

TOMASZ BREWCZYŃSKI

# IMPLIKACJA



OFICYNKA  
WYDAWNICTWO



TOMASZ BREWCZYŃSKI

# IMPLIKACJA



OFICYNKA  
WYDAWNICTWO



*Tobie...*

*Wiesz, jaka jest prawda.*

TT

*Najgorszym więzieniem jest przeszłość.*

Paulo Coelho, *Walkirie*

# PROLOG

Była naga. Mroźny, styczniowy wiatr znieczulał ból broczącego ciała, a ona przestała już szukać w nim miejsc bez śladów czerniejącej juchy. W nieskończonej liczbie rozchylonych nacięć rodziły się nowe, purpurowe strużki krwi.

Długie, mokre od deszczu, skołtunione włosy kobiety przywodziły na myśl niewykręconego mopa, który oplótł lepkimi sznurkami siną twarz i wysmukłą szyję. Z każdym krokiem jej desperackiego biegu, ciężkimi strąkami błotnistego szlamu drażniły pocięte ramiona.

Skóra przyklejona do kości, kości przebijające skórę. Nawet najmniejszy ruch ledwie żywego organizmu przypominał walkę materii rządzonej przez bezwzględne prawa fizyki. Co wcześniej zadziała? Grawitacja, ciągnąca ciało coraz bardziej w dół? Moc oporu, spowalniająca każdy ruch wykonywany pod wiatr, czy siła tarcia, która z coraz większym naciskiem starała się rozerwać skórę kobiety i uwolnić pchające się na wierzch piszczelce?

Nie czuła już strachu, który towarzyszył jej nieprzerwanie przez kilkanaście dni, odmierzanych liczbą otrzymanych ran. Biegła, szła, zwalniała, po czym znów przyspieszała kroku na tyle, ile jeszcze miała sił w poranionych nogach. Nie myślała o niczym, nie widziała nic, nie zwracała uwagi na cokolwiek i kogokolwiek. Jej blada, żółtozielona twarz nie wyrażała żadnych emocji. Ani przeraźliwego bólu, który znalazł źródło w setkach pulsujących trafień, ani też niesamowitego zimna, jakie powinna odczuwać w każdym milimetrze wychłodzonego ciała. Jej oczy, wpatrzone w mocno oddalony, tylko przez nią widoczny punkt, zdawały się obumarłe, nieruchome, ze źrenicami rozszerzonymi tak bardzo, jakby nie zdążyły się przyzwyczaić do światła wlewającego się w ciemną gardziel drzemiącego miasta. Upadła.

Jan Poniatowski przetaił oczy z niedowierzania. Odwrócił się szybko za siebie, a potem spojrzął ponownie na to, co widział przed chwilą. Domniemany miraż nie zniknął. Przeciwnie, teraz wydał się jeszcze bardziej realny.

Ruszył w kierunku kobiety. Przez ulicę przeszedł szybkim, choć niepewnym krokiem. Nie zważał na lunę czerwonego światła, odbijającego się od wilgotnej nawierzchni asfaltowej zebry. Ramieniem trącił jakąś postać ubraną na czarno. Nie znał tej osoby. Zresztą... nie miało to teraz znaczenia.

Jeszcze tylko kilkanaście metrów. Strach przed tym, co ujrzy za chwilę, całkiem go paraliżował. Powodował silny ból w żołądku, obciążał stopy i zaciskał gardło, które teraz nie mogło wydobyć z przyblokowanych strun najmniej słyszalnego dźwięku.

Zatrzymał się i spojrzął pod nogi. Nie mylił się, to była Joanna. Nachylił się nad jej parującym ciałem i dopiero w tym momencie dotarło do niego, że przecież ona może jeszcze żyć. To negatywne myślenie o jej śmierci spowodowane zostało przez drastyczność sceny, której częścią stał się w momencie, gdy w jego głowie zrodził się głupi pomysł ożywczej wycieczki, kasującej znój nieprzespanej nocy.

Opadł na kolana. Opanowując odruch wymiotny, chwycił za przegub ręki leżącej dziewczyny, a potem mocno zacisnął na nim swoją dłoń. Drugą szukał w kieszeni komórki, modląc się myślach, by resztki baterii starczyły na ratunkowy telefon. Wyczuł słabe ciepło i wolno pulsującą krew. Odblokował ekran, nerwowo stuknął w telefon, a potem przytknął urządzenie do ucha. Kiedy wreszcie usłyszał zaspany głos operatora, przez ściśnięte gardło z trudem wymamrotał słowa:

– Ona jeszcze żyje. Kurwa mać, przyjdźcie tutaj natychmiast!

# ROZDZIAŁ 1

Piła, 11 stycznia 2016 roku, rano  
Jan Poniatowski

Chłonął widok zza biurowych okien. Dokładnie tydzień temu klęczał po drugiej stronie ulicy w czerwonej kałuży i desperacko wzywał pomocy. Pogotowie przyjechało natychmiast, a policja tuż potem. Funkcjonariusze na gorąco rozmawiali z obserwatorami zajścia.

– Jak się pan nazywa? – spytał jeden z nich. – Starszy aspirant Tomasz Jahnc – dodał, wskazując na siebie trzymanym w dłoni ołówkiem. – A to aspirant Czeszejko, komenda powiatowa policji. – Niemal jak na umówiony znak obaj zamachali blachami.

– Jan Poniatowski – odparł po chwili zastanowienia, czując spadek adrenaliny.

– No co to za poranne spacerowanie sobie urządza? Dospać pan nie może? – zapytał ten drugi. Najwidoczniej w charakterystyczny dla służb mundurowych, podszyty cienką warstwą ironii sposób chciał rozładować napięcie, które pojawiło się między mężczyznami. Kiedy jednak zauważył piorunujące spojrzenie kolegi po fachu, natychmiast się zamknął.

– Koledze chodziło o to... – chrząknął Jahnc. – Proszę nam powiedzieć, jak znalazł się pan na miejscu zdarzenia, co dokładnie pan widział oraz zrobił – ciepłym tonem głosu zniwelował nietakt Czeszejki. – W tym momencie liczą się dla nas wszystkie szczegóły zapamiętane przez świadków na gorąco, więc proszę wybaczyć, że rozmawiamy w takich warunkach – wyjaśnił Jahnc, bystro omiatając wzrokiem miejską przestrzeń.

Poniatowski opowiedział dokładnie o swoich przeżyciach. Biorąc pod uwagę makabryczność sceny, której był świadkiem przed chwilą, to i tak zapamiętał wiele znaczących szczegółów. Podenerwowany wyrzucał z siebie coraz więcej słów. W natłoku wrażeń nie mógł zdradzić tylko jednego. Znał Joannę Kalicką i posiadał stuprocentową pewność, że na ulicy nie znalazł jej przez przypadek. Była to raczej zamierzona zbieżność i celowość działań, o której dla swojego dobra nie mógł wspomnieć.

Rozpoczął od tego, że od dłuższego czasu cierpi na bezsenność, a krótkie momenty z rzadka przychodzącego snu przerywają mu głupie esemesy. Coraz częściej zdarzały się też głuchoe telefony. Ktoś z uporem maniaka dzwonił na stacjonarną linię, czekał na połączenie, a potem nagle odkładał słuchawkę. Po kilku nieprzespanych nocach Jan bladym świtem wychodził z domu na spacer. W zaduchu czterech ścian nie mógł już dłużej wytrzymać, a na świeżym powietrzu łatwiej odreaagowywał złość, zmęczenie, frustrację i rozdrażnienie.

Później Poniatowski opowiedział o chwili, w której zauważył raną dziewczynę, a także o tym, jak ruszył w jej stronę. Wspominał też, choć trochę tego żałował, że na przejściu dla pieszych zderzył się z kimś ubranym na czarno. I choć nie umiał tego wyjaśnić, sama obecność tamtej postaci bardzo go zdenerwowała i podsyciła uczucie niepokoju. Wreszcie zrelacjonował ze szczegółami, jak klęczał nad nieruchomym ciałem kobiety, która jeszcze przed kilkoma chwilami, całkiem naga, kroczyła prawie nieprzytomna wzdłuż jego ulicy.

– Tak, tak. To już wiemy. I wtedy zadzwonił pan po pogotowie? – grubiańsko wtrącił się Czeszejko. Zamilkł jednak, kiedy kolejny raz natknął się na srogi wzrok partnera. Poniatowski na chwilę przerwał swój wywód.

– Tak, wtedy właśnie zadzwoniłem po pogotowie – dokończył, odpowiadając na zachęcające skinienie Jahnc.

– A co działo się od momentu, w którym wezwał pan pomoc, do chwili gdy my i pogotowie przybyliśmy na miejsce? – spytał grzeczniejszy policjant.

– W tym czasie podbiegło do mnie kilku przechodniów, nikt nie robił nic, wszyscy patrzyli... Przepraszam, wiem... Zachowałem się jak dupa, ale... nie zrobiłem nic, by jej pomóc. Po tym wszystkim nikt nie był w stanie... Ona teraz umrze, przeze mnie... Boże, oby nie! Czekaliśmy w bezruchu, nikt nic nie mówił, wymienialiśmy się tylko spojrzeciami. Potem przyjechaliście wy i karetka.

– Spokojnie – aspirant starał się ostudzić emocje Poniatowskiego. – Myślę, że na wyciąganie tego typu wniosków przyjdzie jeszcze pora. Nie ma nawet pewności, czy udzielenie pomocy nie pogorszyłoby stanu zdrowia poszkodowanej. A tę rozmowę musimy jeszcze dokończyć na komisariacie. Spiszemy protokół z pana zeznań, gdyż mogą być one pomocne w ustaleniu przyczyn zdarzenia. Chcielibyśmy, aby pojechał pan teraz...

– Oczywiście, nie ma problemu – przerwał Poniatowski. – Zadzwoń tylko do pracy, że mogę się spóźnić.

– Tak, proszę zadzwonić – rzucił policjant. – A gdzie pan pracuje? – spytał, by podtrzymać rozmowę.

– Tutaj naprzeciwko, w Prime Bank. – Jan wskazał zlokalizowany po przeciwnej stronie ulicy, mocno wyróżniający się wśród innych punktów usługowych niewielkiego pasażu, oddział jednego z banków.

Wrócił myślami do teraźniejszości. Wyparł z głowy przykre wspomnienia sprzed ponad tygodnia. Obserwując beznadziejny widok za oknem, uświadomił sobie, że to brutalny koniec jego amerykańskiego snu. Architektoniczny burdel i brak budowlanej spójności to nic więcej, jak błada kalka jego aktualnego życia.

– Dno dna – szepnęła z rezygnacją.

– Mówiłeś coś, Janek? – zapytała Marcelina Woś. Podwładna właśnie wtargnęła do jego gabinetu.

– Co? Nie, nic – zreflektował się Poniatowski. – Głośno myślę, nie wolno? Co tam?

– Nic, a co ma być? Trują dupę i tyle. Poczta do ciebie przyszła, ale znów bez nadawcy. – Dziewczyna zamachała mu przed nosem kopertą. – Czyżbyś miał psychofankę? – zadrwiła. – Sporo tego ostatnio.

– A... dzięki. – Uśmiechnąwszy się, wziął przesyłkę i rzucił papier na biurko. Nie chciał wdawać się w jałową dyskusję.

– Jak tam, coś się urodziło? Masz jakieś umowy? – zapytał, by zmienić temat. Prawdę mówiąc, nie interesowało go dziś nic związanego z pracą.

– Daj spokój – huknęła. – Łażą i zawracają mi głowę. Nie chcę kredytów, a zadają te durne pytania. I myślą, że są oryginalni – kontynuowała, rzucając oskarżycielskie słowa. – Po co w ogóle przychodzą, skoro nie chcą kredytu?

– Ano widzisz – wtrącił Poniatowski. – Coś albo raczej ktoś ich tu jednak przyciąga. Widzą z ulicy taką ekstralaskę i nie mogą przejść obojętnie. Muszą zajrzeć do środka – zażartował.

Nic nie odpowiedziała. Jej spojrzenie zapłonęło ogniem, który w jednym momencie wyrzucił z siebie kilkanaście jaskrawoczerwonych iskier. Poniatowski zrozumiał, że mający na celu rozładowanie napięcia żart był w tym momencie wysoce nieadekwatny i kontrastował z nastrojem pracownicy. Na wszelki wypadek przeniósł więc wzrok na blat biurka. A dziewczyna odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu. Trzasnęły za nią tylko drzwi zaplecza, dwukrotnie odbijając się od metalowej ramy.

Westchnął głęboko, a potem popatrzył na kopertę. To zapewne kolejna wiadomość z cyklu: „Wiem, co zrobiłeś minionego lata” – pomyślał. Ostatnio przychodziły bardzo regularnie, nawet kilka razy w tygodniu. Janek nie chciał dziś w ogóle czegoś takiego czytać. Domyślał się, co jest w środku. Zazwyczaj były to małe kartki papieru poplamione krwią lub czymś, co miało ją imitować. Na brudnych, krzywo przyciętych arkuszach wycinanymi z gazet literami o różnych kształtach i wielkościach wyklejony był napis w stylu „Będiesz następny” albo „Na każdego przyjdzie czas”. Ostatnio treść była nieco inna i brzmiała: „Spróbuj mnie znaleźć, idioto, ja Cię znalazłem”.

Bankowiec już wcześniej zaczął łączyć pojawiające się nocą głuche telefony z otrzymywanymi listami. Na razie nie chciał o nich wspominać policji. Nie wiedzieć dlaczego czuł, że musi jeszcze poczekać i zagrać w tę dziwnie rozpoczynającą się grę. Tylko z kim i o co? Jan nie miał pojęcia. Nadal czekał na rozwój wydarzeń, na więcej szczegółów oraz na dalsze wskazówki. W czerwonej kopercie na biurku leżała zapewne jedna z nich. Postanowił



jednak nie zaglądać do jej wnętrza. Wrzucił przesyłkę do szuflady biurka i zajął się przeglądaniem ulubionych stron internetowych. O nie, tylko nie praca, nie dziś.

---

Piła, 11 stycznia 2016 roku, ranek  
Marianna Olecka, Halina Stępniaak

– Cześć, Halinko. Nie przyjdę dzisiaj do pracy, nie dam rady. Wpadnę tylko na chwilę przed zamknięciem. Wiesz, co masz robić, ale jakby co, dzwoń do mnie – powiedziała zaspanym, zachrypniętym, ale i władczym głosem właścicielka sklepu, a potem wypuściła z dłoni telefon.

– Ale... – jej pracownica, Halina Stępniaak, chciała powiedzieć coś więcej. Zrezygnowała, słysząc w słuchawce głośnie trzaski, po których nastała cisza. Trudno, zostanie – pomyślała. Będę zapieprzać sama przez cały dzień. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz.

Marianna Olecka nie czuła się dzisiaj na siłach. Chyba przesadziła wczoraj z ilością tabletek nasennych, które przepisał jej lekarz. Pusta butelka po winie, odstawiona na szafkę nocną, oraz pęknięty kieliszek właśnie jej przypomniały, że wczoraj piła alkohol, który wraz z zażyтыми proszkami odciął ją całkiem od świata żywych.

Próbowała sobie przypomnieć, co jej się śniło. Jeszcze przed chwilą, kiedy wyraźnie odbierała wyświetlany w podświadomości przekaz, widziała wszystko dokładnie. Pomyliła jawę ze snem. Teraz sens i szczegóły realnej projekcji stopniowo się ulatniały.

Stała w ruinach kostnicy. Dopalające się gromnice, ustawione po obu stronach kamiennego katafalku, oświetlały pomieszczenie słabym, brudnożółtym światłem. Pogrzebowe wiązanki kwiatów szeleszczące pod jej stopami splamione były gęstniejącą mazią. Wyraźnie czuła mdlącą mieszaną zapachu róż, gerber i kalii, okraszoną słodką wonią czerniejącej brei. Z brudnych, zakurzonych głośników niczym ziarna żwiru spadały na ziemię słowa pieśni żałobnej, która roztrzęsionym rytmem przesywała ziąb ponurego wnętrza. O ceglana ścianę kostnicy opierało się wieko zniszczonej trumny. Między martwymi karaluchami pełzały po nim tłuste larwy much. Na ostatnim gwoździu chybotął się zardzewiały krzyż. Był pobudzony ziemią, opleciony wiązką trawy i suchych korzeni. Marianna chciała się odwrócić i czym prędzej wybiec z kaplicy. Dobrze bowiem pamiętała moment, w którym zaczęła się bać śmierci, cmentarzy i trupów. Niestety senne okoliczności, w których się teraz znalazła, kazały jej jednak zrobić odwrotnie. Pchały ją w stronę zwłok majaczących w trumnie. Depcząc pogrzebowe wiązanki, potykając się o róg gnijącego, rozścielonego na betonowej posadzce wzorzystego chodnika, pokonując paraliżujący strach, nie odrywając od ziemi ciężkich jak kamienie stóp, przesuwała się coraz bliżej trumny. Kiedy znalazła się dostatecznie blisko, by mogła ujrzeć zawartość jej wnętrza, z głośników wydobyły się głośnie słowa błagalnej prośby: „Pomóż mi, pomóż. Nie chcę już tu być...”. Marianna pragnęła patrzeć tylko przed siebie i usztywniając szyję, robiła wszystko, by jej wzrok nie skierował się w dół. Nie chciała zobaczyć go w trumnie. Wiedziała, że taki widok będzie ją męczył przez kilka najbliższych miesięcy. Wystarczą jej one. Mroczne migawki, codziennie odświeżające pamięć. Kiedy poczuła, że nieznaną siłą zmusza ją, by zająrzeć do trumny, szybko zmrużyła powieki. Pomyślała, że nie otworzy oczu tak długo, jak długo jeszcze ta siła każe jej być w kostnicy. Słuchać żałobnych pieśni, czuć chłód katujący ciało, wdychać powietrze wilgotnych murów wymieszane z zapachem zakrwawionych kwiatów. I jeszcze te słowa wołające pomocy. Mocniej zacisnęła powieki, wstrzymała oddech i gdyby nie strach krępujący ruchy, zatkałaby uszy rękami.

Zdołała uciec. Odplynęła, czując, jak siłą woli zmieniała miejsce i czas. Poczuła się spokojna i odprężona. Było jej ciepło, a potem znalazła się w błogiej ciszy. Jedyne, o czym myślała, to by znowu otworzyć oczy. Po lżejszej stronie tajemnic.

Jak spędzi dzisiejszy dzień? Nie miała szczególnych planów. Najważniejsze, że nie musi jechać do pracy. Nie w tym stanie. Jedno jest pewne – pomyślała. Dzisiaj nie weźmie do ust alkoholu. Co najwyżej zażyje wieczorem małą tabletkę, wyśpi się bez koszmarów i jutro, jak nowo narodzona, rozprawi się z codziennością.

---

Piła, 11 stycznia 2016 roku, popołudnie

Jan Poniatowski

Leniwy dzień w pracy odchodził właśnie w niepamięć. Poniatowski był z tego faktu bardzo zadowolony. Rzadko bowiem zdarzały mu się tak ciężkie zawodowe wpadki. Ta dzisiejsza wywołana była zdarzeniem sprzed ponad tygodnia. Od tego czasu głowę miał zapchaną stresującymi wspomnieniami, które w połączeniu z otrzymanyymi pogrózkami, a także brakiem jakiegokolwiek pomysłu dotyczącego możliwości ich pochodzenia, spowodowało niesamowite obciążenie. Dziś do kompletu jego organizm załączył najdoskonalszą formę fizycznego zmęczenia. Kilkudniowa seria nieprzespanych nocy i jednoczesna konieczność codziennego chodzenia do pracy zdecydowanie sprzyjała wycieńczeniu organizmu.

Pomyślał, że dziś musi się w końcu porządnie wyspać, a jutro zadzwonić do szefa i poprosić o urlop. Potrzebował czasu na odpoczynek oraz odcięcia się od tego, co zaczynało go zżerać. Najlepszym lekarstwem z pewnością okaże się sen, który swoją regenerującą mocą pozwoli mu stanąć na nogi. Kiedy wypocznie, będzie mógł zacząć wyjaśniać, kto męczył go głuchymi telefonami, a teraz jeszcze śle do pracy jakieś bzdurne listy. Na policję z pewnością sprawy nie zgłosi. W przypływie emocji tydzień temu i tak stanowczo za dużo powiedział funkcjonariuszom. W ogóle nie powinien o tym wspominać, ale cóż, stało się. Teraz z pewnością będą drążyć temat. Pomyślał, że najwyżej wciśnie niebieskim kit, że dziwne telefony i artykułowane w innych formach pogróżki ustały i były tylko przelotnym, nic nieznaczącym epizodem. A jeśli podziała na własną rękę, prędzej od nich znajdzie tego psychologa. Ominie też niepotrzebną, głupio mądrą i do niczego nieprowadzącą, a tylko ostro wkurzającą, policyjną gadkę.

Tylko od czego miał zacząć? Czy w ogóle sam był w stanie cokolwiek ustalić? Czy szukać pomocy? Jeśli tak, to gdzie? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej czuł się bezradny i zrezygnowany. Pewne było jedno – ktoś wiedział o nim zbyt dużo. Miał informacje o tym, gdzie mieszka i pracuje. Znał numer telefonu stacjonarnego i w jakimś celu zadał sobie wiele trudu, by zdobyte dane wykorzystywać w bardzo nieprzyjemny sposób. Ludzie to jednak mają dziwne potrzeby, dziwne wizje oraz nieprzewidywalne plany – pomyślał.

– Janek, masz gościa, czeka w sali – Marcelina Woś zwróciła się do przełożonego tym razem nieco łagodniejszym tonem. – Jakiś podejrzany typ – zniżyła głos do szeptu.

– Ja, gościa? – spytał Poniatowski, nie kryjąc zdziwienia.

– No przecież mówię. Gdyby przyszedł do mnie, to bym ci dupy nie zawracała. Facet wyraźnie szukał dyrektora Poniatowskiego. To chyba ty, prawda?

– Skoro tak, to proś na salony. Kopną go zaraz zaszczyty – zmusił się do żartu, lecz gdy podniósł głowę znad monitora, Marceliny już nie było. Po raz kolejny trzasnęła drzwiami zaplecza, które odbiły się kilkukrotnie od twardej ościeżnicy. Terkoczący hałas stawał się nie do zniesienia.

Poniatowski westchnął, poczekał kilka chwil na mężczyznę, a gdy ten się nie zjawił, wstał i wyszedł z przyciasnego biura. Skierował kroki prosto w stronę krzeseł w poczekalni. Zdziwił się i przystanął, kiedy zauważył, że wszystkie trzy miejsca są puste. Rozejrzał się wokół, po czym szybko stwierdził, że został wystrychnięty na dudka. Oprócz niego w bankowym holu nie było zupełnie nikogo. Jeszcze raz spojrzął na puste krzeselka, odwrócił się na pięcie i wrócił do siebie. Już nie usiadł za biurkiem. Nachylając się tylko niezgrabnie nad klawiaturą, odblokował komputer, zamknął wszystkie programy, a potem wyłączył system.

– Koniec na dziś – szepnął.

Mimo chłodu nie założył płaszcza. Potrzebował zimnego orzeźwienia ciała i umysłu, jakie w szybkim tempie zagwarantowało mu zimne, styczniowe powietrze. Już po kilku krokach postawionych na zewnątrz pożałował swojej decyzji. Przeszywający ziąb miał swojego sprzymierzeńca w postaci zimowego wiatru. Jego mroźne, tęgie i dynamiczne powiewy zabierały ze sobą miliony zimnych kropelek, które zatrzymując się na odsłoniętych fragmentach ciała, niczym ostrza szpilek wbijały się w skórę, powodując uczucie piekącego bólu. Nie myślał jednak zawracać. Do domu miał kilkadziesiąt metrów. Ściągnął jedynie poły szarej marynarki i mocno przyśpieszył.

Otworzył drzwi klatki schodowej. Wszedł do środka i od razu poczuł łagodzące ciepło. Już nie musiał się spieszyć, bo jego organizm w błyskawicznym czasie się rozgrzewał. Nachylił się i zerknął do skrzynki pocztowej. Jak zwykle była zapchana. Zaczął wertować reklamowe śmieci. Te, które już sprawdził, odkładał stopniowo na wierzch odrapanych skrzynek. W rękę został mu tylko jeden biały arkusz wielkości pocztówki. Odczytał jego treść:



NIE PRZYSZŁA GÓRA DO MAHOMETA...



Znieruchomiał. Poczuł, jak strach ścisnął mu żołądek. Oblała go fala gorąca, a rozgrzane czoło stało się mokre od potu. Oddychał z coraz większym trudem, szybko i płytko. Obejrzał się odruchowo i popatrzył przez oszklone drzwi, tak jakby po drugiej stronie miał jeszcze stać autor otrzymanej wiadomości. Przeczytał napis raz jeszcze, obejrzał kartkę z dwóch stron, a potem ukrył ją w marynarce.

Ruszył schodami w górę, a w jego głowie trwała gonitwa myśli. Nawet nie wiedział, w jaki sposób pokonał kilkadziesiąt stopni i dotarł pod własne drzwi. Był na granicy omdlenia. Zdążył jeszcze umieścić klucz w zamku. Oparł ciało o drzwi, a potem przekręcił mechanizm. Naciskając klamkę, wpadł do środka, przewracając się w przedpokoju. Drzwi się zatrzasnęły. Biały powidok zmienił się nagle w plamę falującej szarości, a potem w bezkres idealnej czerni.

---

### Piła, 11 stycznia 2016 roku, wieczór Sebastian Świdorski

„Daj mi drugie takie życie, Daj mi szansę, Panie...” – z samochodowych głośników wybrzmiały bałkańskie rytmy i niski tembr głosu Krawczyka. Jakże współgrały z jego refleksjami. Coraz częściej przyłapywał się na tym, że myślał o śmierci, przemijaniu, kruchości życia, a także o krótkiej obecności na tym łez padole. Mimo iż miał dopiero trzydzieści sześć lat, coraz częściej dostrzegał korytarz, na którego końcu znajdowały się ostatnie drzwi. Tylko co jest za nimi? Co ujrzeli ci, za którymi drzwi już się zatrzasnęły? O tym przekona się każdy na końcu. Niestety, nie każdy ma możliwość podzielenia się swoimi wnioskami z żywymi. Do czego zatem tak bardzo się spieszył? Do anielskiej bramy utkanej z błękitów? Chyba raczej nie, absolutnie.

Zwolnił. Właśnie zbliżał się do rogatek Piły. Uśmiechnął się szczerze pod nosem, bo poczuł już smak dzisiejszego seksu. Pisali do siebie od ponad pół roku. Dzwonili codziennie, mając wypieki na twarzy. Zupełnie jak dzieci. Mimo że kiedyś dobrze się znali, a obecnie mieszkali w odległości zaledwie stu kilometrów od siebie, to jednak dopiero kilka dni temu zdecydowali się na tradycyjną randkę twarzą w twarz. Z braku czasu i z braku odwagi. Dawniej przecież od takiego spotkania zaczynało się głębszą znajomość. Ale nie w ich przypadku...

Dziś ukształtowany związek wejdzie w kolejną fazę. Uśmiechnął się jeszcze raz. Poczuł, jak rośnie mu krocze, ale zaraz potem stres ścisnął mu żołądek. Już nawet nie pamiętał, kiedy robił to po raz ostatni. A co, jeśli ona nie będzie chciała? – spanikował. Będzie, przecież zaproponowała nocleg – uspokoił sam siebie.

– Ty dumniu – syknął i zdjął nogę z gazu. – Nie jesteś przecież przygotowany!

Zdecydował, że zatrzyma się na najbliższej stacji i zaopatrzy w materiały pierwszej potrzeby. Paczka prezerwatyw oraz dobre wino powinny wystarczyć. On tylko skosztuje, a jej na odwagę pozostawi resztę. Że też wcześniej o tym nie pomyślał.

---

### Piła, 11 stycznia 2016 roku, wieczór Karolina Janicka

Przyjechała za wcześnie, taksówką. Lepiej być przed czasem, niż się spóźnić – pomyślała. Choć podobno na pierwszej randce nie jest dobrze wypatrywać za nim, lecz kazać mu czekać na siebie. Hm – zastanowiła się. Nie, to nie te czasy. Tym bardziej że nasza znajomość nie jest tak do końca pierwsza. A może wcale by na nią nie czekał, tylko poderwał inną? Całkiem jak kiedyś...

Tak, dobrze zrobiła, że przyszła tak wcześnie, zwłaszcza że ładnych dziewczyn w Świtezi nie brakowało. A jak ona wypadła w tłumie? Chyba dosyć dobrze. Ubrała się ładnie. A może zbyt wyzywająco? Czy nie za bardzo się wyletniła? Przecież jest środek zimy. Pod płaszczem miała tylko cieniutką, mocno wykrojoną czerwoną sukienkę. A na nogach szpilki. Nie powinna zmarznąć. Nie będą przecież wracać na piechotę. Liczyła na ciąg dalszy w sypialni, a wtedy to ona będzie górą w szybkości pozbywania się poszczególnych elementów garderoby. Najdłużej będzie ściągać z siebie bieliznę, choć wolałaby, żeby on zrobił to za nią. Kupiła superseksowny czerwony, koronkowy komplecik. Zapłaciła krocie z nadzieją, że zwiewna inwestycja przyniesie dziś niewymierną korzyść.

Oby wyglądał tak jak kiedyś. Oby zniekształcony obraz kamerki, który jej wyobraźnia jakościowo poprawiała, widząc po drugiej stronie nieskazitelnie przystojnego, męskiego blondyna o niebieskich oczach, odzwierciedlał rzeczywisty, aktualny wygląd Sebastiana. Była potwornie zestresowana, ale już nie mogła doczekać się randki.

---

## Piła, 11 stycznia 2016 roku, wieczór Sebastian Świdorski

Smuga złych przeczuc na chwilę zasnuła mu umysł. Znał ją i wiedział, że nie wróży niczego dobrego. Gdy zbagatelizował pierwszy impuls, otrzymał kolejny, tym razem dłuższy i silniejszy. Albo mnie wystawi, albo z seksu nici – pomyślał. Coś w każdym razie pójdzie nie tak, jak powinno.

– Trudno – szepnął. – Są rzeczy, na które wpływu nie mamy.

Wychodząc ze stacji benzynowej, rozejrzał się wokół. Poczł rosnący niepokój. Podbiegł do samochodu i czym prędzej usiadł za kółkiem. Zapiął pasy i odpalił silnik. Przecił światłami mokrą od deszczu ciemność, a potem z piskiem opon odjechał. W ostatnią część trasy dzielącej go od spotkania z Karoliną. Postanowił zapomnieć o stresie i totalnie się wyluzować.

Podkręcił potencjometr radia do maksimum. Rozsiadł się wygodnie, a swoje myśli skierował w stronę restauracji Świtez. Tam się dziś umówili.

– To będzie miły wieczór – powiedział głośno do siebie.

– Doprawdy?

W tym momencie poczuł na szyi zimny dotyk stali, a potem strach obezwładnił każdy centymetr stężonego ciała.

– Nie odwracaj się i zawróć – usłyszał.

Chciał się obejrzeć.

– Mówiłem, kurwa, nie odwracaj się, bo cię zajebię! – głos tuż za plecami przybrał na sile i zamienił się w paralizujący wrzask.

– Puść mnie, oddam wszystko, co mam. Czego chcesz? – wydukał przez zaciśnięte gardło.

– Stul pysk i jedź. Bo poderżnę ci gardło i rozwalę ten zakuty łeb!

---

## Piła, 11 stycznia 2016 roku, wieczór Karolina Janicka, Anna Sass

Spóźnił się. Zaczęła tracić nadzieję, że z dzisiejszej randki i ewentualnego seksu coś wyjdzie. Telefonu wciąż nie odbierał. To niemożliwe, żeby ją wystawił, za dobrze się znali. Sebastian nie umiałby tak postąpić. Coś musiało się

zdarzyć, że nie dotarł na spotkanie. Nie, to nie w jego stylu. Ostatni raz spojrzała na wyświetlacz komórki: osiemnasta pięćdziesiąt trzy.

Obok rachunku za kawy, które stopniowo przynosiła jej miła kelnerka, położyła sto złotych. Wstała, ubrała się i na pożegnanie kiwnęła głową w stronę baru, a potem wyszła na zewnątrz.

Wiatr z miejsca dmuchnął jej w oczy zimnicą. Rękami osłoniła twarz i na powrót odwróciła się w stronę Świtezi. W szklanych, dwuskrzydłowych drzwiach stała kelnerka. W ręku trzymała tłące się papierosa.

– Co, wystawił? – zagaiła bez ogródek dziewczyna. – Widziałam, że czekasz na kogoś. Facet?

– Tak... Znaczący mężczyzna, ale nie wystawił, tylko coś mu wypadło – niechętnie odpowiedziała Karolina. – Zresztą, nieważne. Nie wie może pani... – postanowiła zachować dystans i nie akceptować narzuconej w rozmowie formy grzecznościowej. – Mogłaby pani zamówić dla mnie taksówkę?

– A dokąd chcesz jechać? – per ty kontynuowała kelnerka.

– Właściwie to nie wiem – wyszeptała Janicka. – Muszę... Chciałabym sprawdzić, co się stało, że mój... chłopak tutaj nie dotarł. – Tak, była w nim zakochana. W sercu poczuła ciepło, gdy powiedziała o nim w ten sposób. – Byliśmy umówieni. Nie odbiera komórki, nie mam z nim kontaktu. To raczej nie w jego stylu.

– To dokąd jedziemy? – wyszczerzyła się pracownica. – Właśnie skończyłam i możemy go znaleźć na mieście. Mam samochód i nic do roboty. – Wyciągnęła dłoń w stronę Karoliny. – Anka.

– Karolina – odpowiedziała Janicka, wyjmując rękę z kieszeni. – No sama już nie wiem...

– Spokojnie, razem coś wymyślimy. Poczekaj tu na mnie, przebiorę się i zaraz jestem.

Karolina nie wiedziała co robić i chyba dobrze, że spotkała dziś tę dziewczynę. Jako wieczna singielka bardziej z przypadku niż rozsądku, miała już dość samotności. Znając dobrze życie, a jeszcze bardziej samą siebie, dzisiejszy wieczór z pewnością przepłakałaby do poduszki, na którą oprócz łez spadłyby krople czerwonego wina. Byłoby przecież najprościej, gdyby w domowym zaciszu zwymyślała Sebastiana i przez zaciśnięte zęby syknęła, jak bardzo ją zawiódł i jak bardzo go teraz nienawidzi. Jednak nie byłoby to zgodne z jej uczuciami, dlatego czuła, że musi działać i nie powinna rezygnować z miłości.

Była stuprocentowym przykładem na to, że można zakochać się na odległość w kimś, kogo wcześniej traktowało się jak przyjaciela. Najpierw sporadycznie wymieniali się mailami, wspominając dawne czasy. Później pisali do siebie coraz częściej, aż w końcu do późnych godzin wieczornych dyskutowali przez telefon, który grzał się jej w dłoniach. Dziś uświadomiła sobie, jak bardzo zależy jej na chłopaku, którego znała dwadzieścia lat temu.

– Hej – z uśmiechem i gracją zawołała kelnerka. – Jestem, przebrana w nową kurteczkę z H&M, zwarta i gotowa. Jedziemy? Fajna kurtka, co nie?

– Tak. – Karolina wróciła na ziemię, nie wiedząc, na jakie pytanie przytaknęła kelnerce. – Co?

– Jajco – zachichotała Anka. – Rusz swoją zgrabną dupencję i w miasto. Helou! Czyż nie chciałaś szukać swojego rycerza, który na białym koniu niestety nie wjechał do tutejszej knajpy? To od czego zaczynamy? Sprawdzamy bałagany?

– Co? Spadaj, jesteś szalona – Karolina wyraziła zdecydowany sprzeciw. – Jemu się coś stało, rozumiesz?

– Stało, stało, zesrało – westchnęła z ironią kelnerka. – Dobra, jak chcesz, to możemy zacząć szukać od szpitali albo cmentarzy, byle jak najszybciej. Spadajmy już stąd, bo ten wiatr zepsuje mi zaraz fryzurkę, a ja nie wzięłam lakieru.

– Wkurzasz mnie. – Janickiej nie było do śmiechu. – To wcale nie jest zabawne, wiesz?

– Ej, no, wrzuć na luz. Co ty, Karola, życia nie znasz? Nie ten, to będzie inny. Tego kwiatu to pół świata. – Szarpnęła ją za poły płaszcza i intensywnie potrząsnęła. – A jak drania nie znajdziemy, to pójdziemy na balety. Masz kieckę i szpileczki, to na pewno coś wyrwiesz na otarcie łez!

Karolina pierwszy raz dzisiaj się szczerze uśmiechnęła i choć tylko na chwilę, wystarczyło to Ance, aby dostrzec w nowo poznanej koleżance zalewającą serce falę ciepła i poczuć do niej sympatię. Mimo iż Anka lubiła sprawiać wrażenie słodkiej, rozpieszczonej blond idiotki, która w dupie ma uczucia innych i problemy całej reszty świata,

znała się świetnie na ludziach. Dzięki wrodzonej inteligencji wyczuła, że Karolina jest bardzo zestresowana, smutna i potrzebuje pocieszenia, choćby tego serwowanego w najprostszej z możliwych form.

– Słuchaj – odezwała się cicho Janicka. – Jeśli możesz, to jedź najpierw do mnie. Być może czeka pod domem. Miał u mnie nocować.

– Wsiada pani – wesoło odparła kelnerka. Ucieszyła się, że smutna dziewczyna podjęła wyzwanie. A może adresik? Nie, no spoko. Ja tam mogę tak krążyć po mieście, lubię jeździć, nawet wołałabym...

– Nowowiejskiego 110 – Karolina przerwała słowotwórczy mozół nowej koleżanki.

– Ale że gdzie? W Pile jest taka ulica? To jakiś malarz? Pewnie jeden z tych impresjonistycznych narajanych psycholi, malujących najlepiej własnym pędzlem – zaświergotała kelnerka.

– Feliks Nowowiejski był kompozytorem, kochana. Ruszaj, powiem ci jak dojechać.

– A tam, jeden pies, malarz, kompozytor – ciągnęła dalej Anna Sass. – Wszyscy artyści to prostytutki, jak śpiewał Kazik. Znasz?

– W oparach lepszych fajek, w oparach wódki? Znam. – Po raz drugi dzisiejszego wieczoru Karolina się uśmiechnęła.

– No właśnie. A wiesz, że koleżanka mojej koleżanki jest modelką. Daj boże takie życie. Na początku nawet mogłabym być prostytutką, ale tylko w oparach wódki – kelnerka dała się porwać fali niepohamowanej wesołości.

Janicka również zarechotała. Pierwsze lody, mogące być przeszkodą na drodze do nowej przyjaźni, zostały przełamane. Zdruzgotana dziewczyna poczuła się trochę lepiej i na chwilę opuściły ją złe przecucia.

Z piskiem opon wyjechały z parkingu. Karolinę wcisnęło w fotel, a na pierwszym zakręcie rzuciło na boczne drzwi samochodu. Choć na złość losowi odpowiedzialnemu za śmierć jej rodziców nigdy nie zapinała pasów, teraz zrobiła to czym prędzej. Dodatkowo kurczowo złapała się bocznej poręczy. Mknęły Aleją Jana Pawła II, zbliżając się do ronda o tej samej nazwie.

– Sorry, że tak wolno, ale tu lubią stać pieski – Anka próbowała przekrzyczeć głośniki samochodowego radia oraz szum jadącego samochodu.

– Wolno? Jedziesz jak wariatka. Zwolnij, bo nas zabijesz, słyszysz! Na rondzie w prawo. Wiesz, gdzie jest Orlen na Niepodległości?

– Spoko, Piłę znam jak własną kieszeń i gdzie ulica prostytutki też wiem.

Dom Karoliny był stary, poniemiecki, niezgrabny. Szara, od dawna niemalowana elewacja przyozdobiona była gęsto szarpanymi dziurkami, wykonanymi pewnie podczas budowania gmachu. Ogrodzono go drewnianym niskim płotkiem, a kubaturą bardziej przypominał przedwojenny schron, bunkier, siedzibę gestapo albo opuszczony klasztor. Wysokie, klinkierowe podpiwniczenie wizualnie podnosiło wysokość i zwiększało ciężar budynku, nadając mu jeszcze bardziej tajemniczy charakter.

– No i nie ma twojego rycerza – oznajmiła kelnerka. – A tak w ogóle – nabrała powietrza do płuc – co to ma być? Ty w tym mieszkasz? – zapytała Anka. Na jej twarzy malowała się trwoga.

– No wyobraź sobie, że mieszkam. – Janicka nie kryła rozczarowania. Miała nadzieję, że Sebastian będzie czekał przed wejściem. – Jak masz coś lepszego, z chęcią się z tobą zamienię – odcięła się koleżance.

– Oj tam, oj tam – Anka starała się udobruchać Janicką. – Coś taka? Chata jak chata. No a ta jest, że tak delikatnie powiem, bardzo oryginalna.

– Najważniejsze, że własna, zresztą w środku jest całkiem przyjemnie – Janicka uspokoiła zaniepokojoną kelnerkę. – Idziesz ze mną czy będziesz mnie ubezpieczać? – zażartowała. – Dzielnica nie jest przyjemna.

– No... Nie. To znaczy tak, idę – Anka odrzekła z niepewnością w głosie. – Pewnie. Jeśli nie masz w środku kostnicy i madejowego łoża, to wstąpię – kontynuowała zbita z luzackiego pantaląku.

– Mam, ale jak będziesz miła, to cię oszczędzę.

– Wielkie dzięki, wiesz? – Kelnerka przełknęła ślinę, tkwiąc nieruchomo przed wejściem.

– No choć już, nie mamy czasu – stanowczo powiedziała Karolina i pociągnęła Ankę za połę kurtki.

Weszły po schodach werandy. Właścicielka lokum wyjęła z torebki pęk kluczy, a potem wsadziła do zamka jeden z nich. Nie chciał się kręcić, więc spróbowała raz jeszcze. Tym razem pewniej i mocniej. To samo. Karolina dopiero po chwili zorientowała się, że drzwi wcale nie były zamknięte. Normalnie o takich rzeczach zawsze pamięta i sprawdza po kilka razy wykonywane przez siebie codzienne, mechaniczne czynności. Widocznie dziś tak bardzo była zestresowana randką, że zapomniała o wszystkim. Była na siebie trochę zła, ale i nieco zdziwiona. Próbowała skryć oba uczucia, które mocną czerwienią malowały się na jej twarzy. Ale blond kelnerka stała odwrócona do niej tyłem. Z rozkładanym lusterkiem w dłoni i odkręconym błyszczkiem usiłowała zmienić kolor ust. Janicka mocno pchnęła ciężkie skrzydło starodawnych drzwi, które skrzypnęły złowieszczo.

– Wchodzisz? – zapytała tak głośno, że Anka podskoczyła w przestachu. Małym pędzelkiem błyszczyka wyjechała poza kontur karminowych ust.

– Tak, głucha nie jestem – szepnęła, zmazując z policzka smugę tłustej mazi. – Pali się czy jak?

Ciemny przedpokój tylko lekko rozjaśnił się po włączeniu światła. Mrok w pomieszczeniu był tak gęsty, że żarówka zamontowana w kryształowej lampie nie zdołała przełamać ciemności, a jedynie nadać jej lżejszy odcień. Na podłodze leżał zdeptyany, długi, szaro-niebieski chodnik, zdobiony mozaikowymi wzorami. Jego krótsze krawędzie wieńczyły zmierzwione, brudne i ostro przerzedzone frędzle. Mniej więcej w połowie mrocznego tunelu stała dosunięta do lewej ściany komódka na obuwie. Miała trzy szufladki pośrodku, dwa boczne skrzydła z małymi szafeczkami oraz nadstawkę w postaci skrzydłowo składanego lustra. Babciny standard lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Anka po raz kolejny się przeraziła. Nie tyle wnętrzarskim designem, co wyobrażeniem dotyczącym braku możliwości wystylizowania się w takich warunkach do kina, pracy, na zakupy, o dyskotecę nawet nie wspomniawszy. Przeleciał ją chłodny dreszcz. Poczowała ciarki, powodujące zjeżenie się tysiąca włosków na usztywnionym ciele. Przeklęła w duchu ten dom, jego półmroczny korytarz i stare, pozdzierane lustro.

– Depilacja! – szepnęła, jakby ją nagle olśniło. Jak tylko stąd wyjdiesz, umów się szybko na wosk! – dokończyła w myślach.

Nie patrząc przed siebie, ciągle nieufnie rozglądając się na wszystkie strony, wpadła na Karolinę. Nowa koleżanka zatrzymała się właśnie przed drzwiami, w końcu korytarza. Białe i potężne, z krataczką małych witrażowych szybek u góry, przypominały bardziej wejście do pałacowej komnaty niż do pokoju młodej, nowoczesnej kobiety. Przez szkiełka leniwie przelewało się światło. Tym razem Karolina nie wytrzymała. Nabrała w płuca powietrza, a potem krzyknęła:

– Jestem pewna, że zgasiałam światło!

– Pewna jest tylko śmierć i podatki – trzeźwo zareagowała kelnerka.

– Tak mówią – przytaknęła właścicielka domu. – A światło gasiałam na pewno.

– Dobra, nie pitol. Bierz, co tam chcesz, wciągaj ciepłe gacie i spadamy. A za kawę dziękuję, jakby co.

– Miła jesteś, wiesz? Wchodź. Sprawdzę tylko pocztę, może choć maila napisał – rzekła Karolina z nową nadzieją w głosie. – A potem spadamy.

– Byle szybko, skarbie. – Anka znowu poczuła dreszcze. – Zdecydowanie wolę otwarte przestrzenie – powiedziała i weszła za Karoliną do środka. – Wow! – krzyknęła. – To nie jest pokój, to komnata. A jaka wysoka. Ile tu jest metrów? Ty to masz życiową przestrzeń, nie ma lipy. Nie to, co mój malutki pokój u starych. Tylko, kurna, czemu tu tak ponuro? Tak jak w korytarzu – znów rozkręciła się Anka. – Wiesz? Kiedyś moja babcia miała mieszkanie w takiej kamienicy, urządzone w podobnym, że tak powiem, stylu. Ale dziś mamy dwudziesty pierwszy wiek. No ja bym nie mogła tak...

– Nie ma laptopa – Karolina powstrzymała monolog trajkoczącej Anki. Stęknęła spanikowana. – Ktoś był w moim domu.

– E, no weź, ludzi nie strasz. Może nawiedza cię babcia? – zażartowała Anka. – Wiesz, moja, jak zmarła, to straszyla i laziła po świecie, ja nie mogę. Pamiętam, jaka byłam osrana. Dawno, że tak powiem, poszła na drugą stronę...

– Przezań, mówię poważnie – zniżyła głos Karolina. – Zawsze zostawiam komputer na tej szafce, obok łózka – palcem wskazała na pusty blat niewielkiego mebla. – Nie ma opcji, by było inaczej. Zobacz, na podłodze leży tylko kabel. Nie mówiłam ci, ale drzwi były otwarte. Światło w pokoju też zawsze wyłączam. Po prostu mam manię sprawdzania przed wyjściem wszystkiego po kilka razy. Nawet kurki od gazówki sprawdzam bez ustanku, jak głupia – odwracając się za siebie, spojrzała w stronę wejścia do pokoju, a potem podskoczyła złąkniona. Drzwi trzasnęły z impetem. W korytarzu dało się słyszeć głośnie kroki ucieczki.

—

Piła, 11 stycznia 2016 roku, późny wieczór

Jan Poniatowski

Budynek pilskiej policji straszyl na odległość. Jan Poniatowski w ubiegłym tygodniu składał tu szczegółowe zeznania w sprawie poranionej Joanny. Był tutaj również dwadzieścia lat temu, a teraz znów jest w tym miejscu. Zamknął na chwilę oczy, aby odgonić złe wspomnienia sprzed dwóch dekad. Nie pomogło. Niezmieniony widok ponurego wnętrza coraz mocniej przypominał mu czas, o którym najwyraźniej będzie pamiętał już do końca życia.

– Słucham, do kogo? Nazwisko! Był pan umówiony? – Tak jak w ubiegłym tygodniu, ta sama, siedząca za drewnianą ladą kobieta strzelała słowami jak z procy.

Oceniając jej wygląd i zestawiając go z wydawanymi przez kobietę, drażniącymi uszy dźwiękami, Poniatowski po raz drugi stwierdził, że ma do czynienia z pudlem, czyli według niego najbrzydszą oraz najwredniejszą rasą komunistycznych psów miastowych. Kobieta, tak jak rasowy pudel, miała napuszone kręcone włosy. Na czubku nosa ledwie trzymały się okulary, które w żadnym stopniu nie zasłaniały okrągłych, wyłupiastych czarnych oczu.

– Poniatowski, nie wiem do kogo, z pewnością nie do pani, nie byłem – przesadził i to ostro. Uznał jednak, że niepotrzebnie cackał się z nią ostatnio, gdyż, jak widać, nie przyniosło to żadnych efektów. Napuszony zwierz już nigdy nie będzie po jego stronie. Jan miał to w nosie. Zyskał kolejnego wroga.

– Słucham? – nienawistnie zareagowała kobieta.

– Chciałbym złożyć zeznania.

– Znowu? Jakie? – Rozpoznała Poniatowskiego.

– Wolałbym o tym porozmawiać z funkcjonariuszem – odciął się bankowiec.

– Proszę pana! – warknęła gniewnie pudel. – Na szczęście to nie pan decyduje o tym, z kim i o czym będzie pan rozmawiał. Nie myśli pan chyba, że – ostentacyjnie spojrzała na zegarek, tak że okulary niemal zsunęły się jej z czubka nosa – o tej godzinie dyżurny wciąż czeka, aby zejść na pogawędkę o wszystkim i o niczym. Akurat przesłuchuje – oznajmiła oschle. – Bo tacy jak pan nie mogą przyjść o normalnej porze, tylko czekają do zmroku ze sprawami, które mogły być załatwione wcześniej. – Każdemu jej słowu towarzyszyła pieniająca się w kącikach ust ślina.

– Chodzi o nękanie, prześladowanie, zastraszanie i terroryzowanie – opisując swoją sprawę, automatycznie scharakteryzowała zachowanie kobiety. Chyba dyżurna zrozumiała aluzję, bo nieco się uspokoiła i już zdecydowanie ciszej odpowiedziała:

– Ktoś pana prześladowuje? Od kiedy?

– Od kilku tygodni, nie powiem dokładnie i nie wiem kto. Mam jednak niezbite dowody, że komuś zależy, aby mnie zastraszyć, mam listy z pogrózkami...

– No i to jest to, o czym mówiłam – szczerknęła nagle kudłacz. – Ludzie przychodzą z takimi sprawami za późno, i nie chodzi mi o porę dnia czy nocy. Dobrze. Ta sama procedura. Nazwisko raz jeszcze, dowód osobisty i zaczekać!

Kobieta chwyciła za telefon, wybrała krótki numer wewnętrzny i poinformowała w kilku słowach o oczekującym na złożenie zeznań człowieku.



– Tak jak mówiłam – spojrzała znad okularów na Jana. – Dyżurny jest teraz zajęty, może zejść za godzinę. Do poczekalni i czekać na wezwanie! – Ruchem głowy wskazała obskurne pomieszczenie.

Janek przytaknął i udał się do poczekalni. Zaczął intensywnie myśleć, przede wszystkim o tym, czy dobrze uczynił, przychodząc tu dzisiaj. Zmarnuje tylko czas. A potem i tak będzie musiał tu przyjść, gdy otrzyma wezwanie w sprawie rannej Joanny. Dodatkowo akurat w tym miejscu czuł się bardzo źle. Coraz mocniej w pamięci wirowały mu przykre wspomnienia.

– Boże, na cholerę mi było to wszystko? Dlaczego mnie to spotyka? – syknął do siebie. Sprawa sprzed dwudziestu lat, rozwód, samotność, stresująca praca, psychopata chcący nie wiadomo czego, prawie martwa Aśka na mojej ulicy, a teraz przesiadywanie w tym policyjnym bunkrze, do którego sam się zgłosiłem. Co ja takiego złego w życiu zrobiłem? To jakaś cholerna pokuta czy co? Kiedy to się skończy?

Po śmierci! Odpowiedź z tyłu głowy pojawiła się nagle, przerywając głośno gradową burzę pytań. Przeraził się, bo poczuł, że to nie on sam sobie odpowiedział.

---

## Piła, 11 stycznia 2016 roku, późny wieczór

### Karolina Janicka, Anna Sass, Jan Poniatowski

– Karolinko, podejdź do pani i opowiadaj szybciotko, co się stało. Nie mamy czasu do stracenia, wieczór długi, a przez tego twojego rycerza będziemy musiały pić karniaki przy barze! Wiesz, jakie są ceny i kolejki w dzisiejszych czasach? – rozpoczęła swój monolog Ania. Wtargnęła do komendy pierwsza, przed próbującą dotrzymać jej kroku Janicką. Kiedy doszła do kontuaru, mina dyżurnej nagle przybrała ciemny, burzowy wygląd. – No hej! – zawołała. – Jestem Sasanka, rozumie pani, Sass Anka? A to jest moja znajoma. Karolina... – I tu odkryła, że nie zna nazwiska nowej koleżanki. – Ej, Kara, podaj pani nazwisko, bo jak znam życie, nie ruszymy z miejsca.

– Janicka – wysapała Karolina, zbliżając się do dyżurki.

– No właśnie – skwitowała kelnerka. – W sumie to nie o mnie chodzi, a o Karolinę. Ja jestem tu tylko dekoracją. Tak wie pani, po koleżeńsku...

– O co chodzi? – splunęła jadem dyżurna i teraz również dziewczyny musiały zobaczyć w niej zwierzęcego potwora. – To, czy pani przyszła do koleżanki czy z koleżanką, wcale mnie nie obchodzi. Szczególnie jeśli nie dowiem się wreszcie, o co paniom chodzi. To jest policja, a nie konfesjonał! – krzyknęła rozjuszona kobieta.

– Dobra, już dobra – uspokajała Anka. – Przecież chciałam wytłumaczyć, ale nie dała mi pani dojść do głosu. – Chodzi o zaginięcie – powiedziała z patosem. – To znaczy jeszcze nie wiadomo, czy o zaginięcie. Właściwie to Karolina podejrzewa, że jej chłopakowi stało się coś strasznego. Mówiłam jej, że to za wcześnie na takie wyroki. Minęły zaledwie cztery godziny, od kiedy nie ma z nim kontaktu. Przecież to właściwie pierwsze poważne spotkanie po długiej znajomości w sieci. Aha, no i przestrzegałam Karolinę przed ludźmi poznanymi w internecie. Przecież po drugiej stronie może siedzieć jakiś psychopata. Tego nigdy nie wiemy – dodała, zwiększając tempo produkowania słów. – Aha, no i właśnie! Jest jeszcze jedno, prawda, Karolinko? – spytała, lecz koleżanka wydawała się nieobecna. Stała z twarzą zwróconą w stronę poczekalni. Dość intensywnie przyglądała się siedzącemu na parapecie młodemu mężczyźnie. Jego twarz, rozjaśniona bładym światłem telefonu, wydała się jej znajoma.

– Zapomniałabym, chodzi jeszcze o włamanie i kradzież – ciągnęła dalej kelnerka. – Karolina, no weź się odezwij! Mów, co się stało!

– Tak... – westchnęła Janicka, odwracając się niechętnie w stronę recepcji. – Chciałabym opowiedzieć wszystko dokładnie – dodała, trwając w zamyśleniu. – Proszę tylko powiedzieć, czy jest szansa, aby dziś policja przyjęła zgłoszenie zaginięcia? O włamanie nie chodzi mi aż tak bardzo, ale czuję, że Sebastianowi naprawdę przytrafiło się coś złego.

– Dyżurny jest ciągle zajęty. – Recepcyjny pudel odstąpił szpilkowe zęby. – Może porozmawiać z panią – zwróciła się bezpośrednio do Karoliny – jak skończy i uprzedzając pani pytanie – tym razem ofuknęła drugą

z dziewczyn – nie wiem, ile to potrwa.

Anka rzeczywiście nie zdążyła zadać tego jakże istotnego pytania. Szybko zamknęła usta, które były już przygotowane do ofensywy.

– Czekać! Najpierw jeszcze pan. – Dyżurna kiwnęła głową w stronę Jana, wskazując tym samym miejsce, w którym koleżanki spędzą kilkadziesiąt kolejnych minut.

Na twarzy kelnerki pojawił się cień rezygnacji. Właśnie uświadomiła sobie, że dzisiejszej nocy nie spędzi w ulubionym klubie. Chciała przecież zaciągnąć tam Karolinę i sprawić, by koleżanka przestała myśleć o niedosłej randce. Dla niej wszystko było jasne. Klasyczny facet – z początku obiecał złote góry, a na końcu wystawił pełną nadziei i spragnioną miłości dziewczynę.

Ocknęła się z chwilowej zadumy, kiedy spostrzegła, że została sama przy ladzie dyżurki. Karolina rozmawiała z jakimś mężczyzną. Kobieta zza lady zgromiła Ankę nienawistnym wzrokiem, dlatego ta szybko uśmiechnęła się do niej i grzecznym skinieniem głowy dała znać, że już nie będzie przeszkadzać zapracowanej kobiecie. Wtargnęła do poczekalni.

– A ty co? Nie przedstawisz mnie nowemu koledze? Znacie się? – zapytała kokieteryjnie. Ominęła twarz Karoliny i spojrzała w oczy bruneta. – Oj, nieładnie, gdzie twoje maniery, kochana? – kontynuowała rozpromieniona.

– Przepraszam. – Janicka zwróciła się do Poniatowskiego, karcąc jednocześnie srogim spojrzeniem niesforną koleżankę. To jest Ania, moja...

– Serdeczna przyjaciółka, prawda, Karolinko? – przerwała głośno kelnerka i jednocześnie wyrazem twarzy wymusiła na towarzysze kontynuowanie kłamstwa, które właśnie wpadło jej do głowy. Spotkany mężczyzna spodobał się jej od razu i czym prędzej postanowiła działać. – Karolinko, to jak ma na imię nasz nowy kol...

– Janek! – przerwała jej nazbyt nerwowo. Nie znosiła kłamstwa, a poza tym zdążyła już poznać zachowanie Anki. Bardzo się bała, że znów chlapnie coś niestosownego.

– Janek Poniatowski – zaczął bankowiec z niepewnością w głosie. – My z Karoliną... – urwał w pół zdania, a potem spojrzał na dawną znajomą. – Właściwie to stare dzieje i zamierzchłe czasy liceum – uzupełnił szeptem.

Karolina nagle spochmurniała. Zwiesiła wzrok i wpatrywała się w starą, zniszczoną posadzkę. Już żałowała spotkania po latach. I tego, że przed chwilą tak ostro zareagowała. Chciała to jakoś naprawić.

– Anka to moja kumpelka – rzuciła naprędce przeproszającym tonem. – Z dawnej pracy...

– Właśnie – kelnerka skwitowała z triumfem. – A dla przyjaciół Sasanka – rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu i podała rękę mężczyźnie. – A tak w ogóle kto by pomyślał, że spotkamy dziś takiego przystojniaka – zaświergotała, bawiąc się włosami. – No i jeszcze tego tam, kudłacza. Ale obsługa, co nie? – przewróciła wymownie oczami, zrobiła kpiącą minę, a potem zamruła do Poniatowskiego.

– No, uprzejmością dupy nie urywa – odparł bankowiec z uśmiechem. Spodobał mu się sposób bycia poznanej przed chwilą dziewczyny. I choć nigdy nie lubił tak przesadzonej filuterności, musiał przyznać, że w takim wydaniu nie przeszkadzała mu ona ani troszeczkę. – No powiem szczerze, że i ja nie myślałem spotkać tu tak piękne i wystrzałowe dziewczyny – pośpieszył z komplementem.

– Bez przesady, jakie tam wystrzałowe? Zwykle dziewczyny szukające rozwiązania problemów. Pomyśl, proszę, Janku – Anka furczała zalotnie – dwie samotne kobiety w takim budynku. Człowiek czuje się jak najgorszy bandzior.

– No tak – odrzekł Poniatowski. – Na pocieszenie dodam, że mi też nie jest tutaj zbyt fajnie. Czekam już ponad pół godziny.

– Tak? – wtrąciła Janicka. – A ciekawe na co?

– Przyszedłem tu, bo... – wstrzymał głos w pół zdania. – Muszę coś załatwić – szybko zmienił kierunek wypowiedzianych myśli. – A wy po co? Chyba niczego nie przeszkrobałyście, co?

– No wiesz, każdy ma małe grzeszki – kontynuowała Anka. – Tyle że z nimi nie chodzi się na policję. – Zatrzepotała rzesami. – Same się tu zgłosiłyśmy, choć ja tylko pomagam. Jako przyjaciółka muszę wspierać Karolę w najgorszych momentach.

– Najgorszych momentach? – Na myśl o przewinach, które zdaniem Anki każdy ma na sumieniu, przez twarz Poniatowskiego przemknął dwudziestoletni cień obaw. Przestał się uśmiechać i na chwilę twardo stanął na ziemi, tak jakby chciał przydepnąć stopami wszystkie problemy skaczące mu do gardła. Wróciły mroczne wspomnienia. Posterunek, Karolina Janicka, głowa pełna strachu, ściśnięty stresem żołądek.

– Zaginął Sebastian, to znaczy wiesz... to teraz mój chłopak. No i miałam jeszcze włamanie, dzisiaj. Ktoś był w moim domu, ukradł komputer – Karolina zdecydowanie za głośno i za szybko przerwała chwilę niezręcznej ciszy. – Cały wieczór próbowałam się z nim skontaktować. Najpierw nie odbierał, a teraz ma wyłączony telefon. To nie w jego stylu, dlatego wróciłam do domu, to znaczy... wróciłyśmy razem.

– Jaki Sebastian? O kogo...

– Myślałam, że tam będzie czekał – Karolina kontynuowała zaczęłą wcześniej opowieść. – Ale go nie było, chciałam więc sprawdzić maila albo napisać do niego, bo ja w telefonie nie mam internetu. Zniknął laptop i nawet nie wiem, co jeszcze. Ktoś tam był i uciekł, słyszałyśmy go z Anią.

– Nie masz komy z netem? – wpadła jej w słowo Sasanka. – Dobrze zrozumiałam? Bo tego, że gnałyśmy na zbity pisk, by odczytać maile, to za cholerę nie mogłam pojąć – utyskiwała kelnerka. – Już chciałam ci zaproponować mojego iPhone'a, ale wiesz... nie wiedziałam, czy się znasz! Sorka, Kara, ale mamy dwudziesty pierwszy wiek – kontynuowała, uświadamiając sobie, że przecież jako serdeczna przyjaciółka Karoliny, właśnie chlapanęła coś, co mogło przestać o tym świadczyć. – No tak – błyskawicznie rozpoczęła korektę gafy. – Przecież pół roku pisałaś do Seby tylko z komputera. A do mnie? Tylko esemesy... Tyle razy mówiłam, że powinnaś delikatnie zasugerować Sebastianowi, żeby kupił ci porządny telefon w prezencie. Miałby lepszy kontakt z ukochaną, a ty miałabyś go pod większym nadzorem. No co? – uzupełniła wypowiedź, widząc srogą minę Janickiej. – Kobieta musi przecież trzymać rękę na pulsie, tym bardziej że tutaj w grę wchodził związek na odległość. – Skarciła się w myślach za użycie czasu przeszłego.

– Tylko spokojnie – Poniatowskiemu udało się dojść do głosu. Spojrzał na dziewczyny z dużą dozą podejrzliwości. – A skąd macie pewność, że temu waszemu Sebastianowi w ogóle coś się stało? On nie jest z Piły? – zadał pytanie bezpośrednio Karolinie. – Może po prostu padł mu telefon.

– Nie, mówiłam przecież, że to nie jest możliwe – Janicka zaprotestowała rozpaczliwym krzykiem, którym przestraszyła nawet samą siebie. – Janek, posłuchaj... – Opamiętała się na chwilę i udało jej się zniżyć głos do szeptu. Nie wiedziała, jak mu to powiedzieć, szczególnie w towarzystwie tej postrzelonej kelnerki. – Ty też znasz Sebastiana, to znaczy Świderka, od dwudziestu lat. A ja? Można powiedzieć, że ponownie znam go od ponad roku. A co do komórki z internetem... – zwróciła się w stronę niepokornej Anki. – Tyle razy ci przecież mówiłam, że ja nie chcę mieć innego telefonu niż ten.

– Dobra już, dobra – rzekła kelnerka przepraszającym tonem. Zrobiło się jej głupio. Będzie musiała najpierw więcej myśleć, a potem dopiero mówić. Odwrotna kolejność nie po raz pierwszy dzisiaj ją zgubiła. – Nie denerwuj się już – uspokajała. – Wiesz przecież, że najzwyczajniej w świecie martwię się o ciebie i tego twojego Świderka.

– Sebastiana? Świderka? Macie na myśli tego Świderka? – Poniatowski krzyknął tak głośno, że zirytowana pracownica recepcji spojrzała nieprzychylnym wzrokiem w stronę rozgadanej trójki. – Proszę, powiedz, że to nie chodzi o Sebastiana Świderskiego – szepnęła, a potem zamilkła. Właściwie ucichli wszyscy. Nawet Anka bała się odezwać.

Spojrzenia dawnych przyjaciół zbiegły się kierowane pędem wieloletniej siły milczenia. Potęga przeszłości ścisnęła im gardła i ciasno sznurowała usta. Znowu rozumieli się bez słów, bo wspomnienie wiążących ich od dwudziestu lat zdarzeń było wciąż żywe. Przeszłość wróciła i tej pewności tak łatwo się nie pozbędą. Myśleli, że uda im się zapomnieć o tym, co przeżyli, że są już od tego daleko. Ale właśnie się przekonali, że wypracowany przez lata dystans nigdy nie istniał, a wczoraj i dziś oddzielone były od siebie tylko nieszczelną zasłoną ułudy. Mijały ciężkie sekundy milczenia, które rzadko obfitują w tak gęsty emocjonalny przekaz. Jeszcze chwilę i będą mieli do wyboru dwie drogi: udawać, że tamten rozdział został już zamknięty lub wrócić do źródła tragedii.

## ROZDZIAŁ 2

Gdy idzie się krętą ścieżką, zawsze popełnia się błędy. Zdarzają się częściej, kiedy ścieżka nie ma końca i kroczy się po niej latami. Moja droga nie jest usłana różami. Nigdy taka nie była. Jest kamienista, stroma i, niestety, bardzo wyboista. Dlatego właśnie ja, mimo drobnych potknięć, nigdy nie odpoczywam. Idę dalej i pokonuję przeszkody. Muszę je likwidować na bieżąco. Nie mogę przecież pozwolić, aby nawarstwiając się, spowalniały tempo mojego pielgrzymowania. Nie dbam o to, że przyszłość osób, które stoją mi na drodze, będzie inna niż sądzą.

Do czego oni dążą? Zastrana rodzina, dom z ogródkiem, zagraniczne wakacje na kredyt, nowy samochód. Przyziemne cele prostaków. Lepiej dla nich, kiedy się boją. Uwielbiam to. Kocham wtulać się w ciepłą aurę ich panicznego strachu. Ta aura szybko gęstnieje, kiedy ofiary orientują się, że nie zrealizują już nawet najmniejszych marzeń. Ubóstwiam ich prośby o litość. Podnieca mnie błaganie o bzdury: łyk alkoholu, papieros, zdjęcie rodziny, telefon do synka, lekarstwa, papier do podarcia dupy. Ich mętne spojrzenia i ochryple głosy błagają mnie niemal o wszystko. Doskonale wiedzą, że tylko ja mogę im to dać. Jednak ja nie dam im niczego. Nie zaspakajam ich brudnych, instynktownych i zwierzęcych zachcianek. Wolę im wszystko zabierać. Tak jak ktoś mi zabrał dawniej marzenia. Oddycham ich strachem. Karmię się resztką nadziei na wolność i przeżycie. To bardzo podniecające uczucia, których nie umiem sobie odmówić.

Ona też się bała. Zajebiście mocno się bała. To bardzo dobrze. Strach bezgranicznie zniewolił jej umysł i zapanował nad ciałem. Wystarczyło robić swoje. Niczego nie symulowała i nie zmieniała swojej postawy. Nie grała twardzielki i nie udawała, że nie obchodzi jej, co z nią zrobię. Cały czas drżała i błagała o wszystko. Jej zmarznięte ciało do samego końca nie było obojętne na ból. Każda rana broczyła krwawym potokiem. Zachcianek miała tysiące, a podczas każdych odwiedzin zasypywała mnie kolejną listą oczekiwań, jakby gadała z maszyną do spełniania życzeń. Owszem dostawała prezenty, ale tylko te z niższej półki piramidy egzystencjalnych potrzeb. To że nie potrafiła docenić mojej hojności, było wyłącznie jej chorym problemem. Rozpieszczasz człowieka i jeszcze mu źle. Jak to mówią: daj palec, a zabierze rękę. Kolejny przykład na to, że być zbyt dobrym nie można, bo ktoś wykorzysta do cna okazaną łaskę.

Szkoda, że nie wszystko poszło zgodnie z planem. Jedna rana więcej zamknęłaby sprawę na amen. Teraz już wiem, kolejnym razem nie mogę okazać litości. Muszę bezwzględnie wykonać wszystkie punkty założonego planu. To nauczka na przyszłość. Trening czyni mistrzem, lecz następnym razem trzeba mi bardziej uważać.

Ale wszystkie inne wydarzenia przybrały pozytywny obrót. To, że Poniatowski wyszedł na spacer i ją zauważył, było wsparciem niebios w realizacji mojego planu. Tak miało być, bo któż inny o takiej porze łązi bez sensu ulicami miasta? Opatrzność czuwa nad moimi poczynaniami i wie, co robi. Pomaga mi. Wie, jaką drogę muszę jeszcze pokonać, i podwozi mnie autostopem o jeden kilometr do przodu. Ten widok, listy, telefony. Jeśli on ma choć trochę inteligencji i umiejętności logicznego myślenia, powinien połączyć jedno z drugim. On też będzie błagał o litość. Wszystko w swoim czasie.

Kolejka życzeń jest długa. Najpierw się zajmę tym nowym, bo już słyszę jego skomlenie. Ale spokojnie. Czas zacząć układać plan dalszego działania. Punkt po punkcie. Zadbam o zegarmistrzowskie dopracowanie każdego szczegółu. Końskie zaloty i miłosne gierki właśnie się skończyły. To, co przeżył do tej pory, może porównać do przyjemnego łaskotania piórkiem pod pachami. Pierwszy punkt. Piórko zamieniam na stalowy nóż. Duży i ciężki. To będzie coś niesamowitego. Coś, czego ta dziura w życiu nie widziała na zapyłone spalinami oczy. Ale zobaczy wkrótce. W martwych kolorach czerwieni. I nic nie będzie już takie samo.

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneek

Aleksandra Poniatowska

Aleksandra Poniatowska nie zmrzyła oka przez całą noc. Ciągle myślała o zadaniach, jakie musi zrealizować w pracy. W związku z tym, że do powierzonych obowiązków zawsze podchodziła z pełnym zaangażowaniem i niespotykaną sumiennością, nie mogła sobie pozwolić na zaniedbanie nawet najmniejszego szczegółu. Dodatkowo dziś ma wizytację dyrekcji, więc do przyjazdu gości z centrali wszystko musiało błyszczeć i pachnieć świeżością. Tak! Zleci jeszcze pracownikom użycie nowych odświeżaczy do powietrza, które zamówiła specjalnie na tego typu okazje. Zapomniała wczoraj o tym wspomnieć podczas codziennej odprawy, lecz dziś z samego rana od razu wyda stosowne dyspozycje i jeszcze raz podkreśli, jak ważna jest dokładność i systematyczność sprzątanania obiektów użyteczności publicznej.

Nie, nie będzie próbowała już zasnąć. To zbyt ważny dzień, by marnować czas na wylegiwanie się w łóżku. Lepiej wstanie, wypije pierwszą kawę i od razu weźmie się za dopinanie wszystkiego na ostatni guzik. Pojedzie do pracy nieco wcześniej i być może zdąży wypić kolejną małą czarną w towarzystwie Haliny i Marianny – serdecznych koleżanek z zaprzyjaźnionego sklepu. Być może jeszcze da radę poplotkować, jeśli tylko będzie w stanie swobodnie rozmawiać i nie stresować się spodziewaną inspekcją z centrali.

Aleksandra uśmiechnęła się ciepło na samą myśl o posiadaniu dwóch tak wiernych i oddanych przyjaciółek. Szczególnie dzisiaj potrzebowała ich wsparcia. Łatwiej jej będzie unieść stres czekających zadań, jeśli przed pracą pogwarzy przy kawie o codziennych troskach. A przy okazji zrzuci z siebie choć część ogromnego ciężaru, jaki na jej barki znowu kładły najświeższe problemy jej syna. Taka jest w końcu rola przyjaciółek – oświadczyła w duchu i wyskakując z łóżka, sięgnęła po paczkę winstonów. Zapaliła czym prędzej i z dymiącym papierosem w dłoni weszła do przestronnej kuchni. Wodą prosto z kranu napełniła czajnik, a z kuchennej szafki wyjęła swoją najlepszą, porcelanową filiżankę, którą dostała od dziewczyny na urodziny.

– Boże, mam już sześćdziesiąt dwa lata – westchnęła, podziwiając urok upominku.

To piękne cacuszko co rano przypominało jej o tym, że zawsze może liczyć na miły gest i przyjacielską pomoc dziewczyny. Nie odmierzając ilości, bezpośrednio ze słoiczka wyspała do filiżanki sporą porcję rozpuszczalnej kawy. Czekając na wrzątek, usiadła przy okrągłym stole i po raz kolejny zaciągnęła się nikotynowym dymem. Z nadzieją spojrzała w okno i od razu pomyślała o Janku. Nie mogła nadal uwierzyć, że jej syn znów ma kłopoty. Dzwonił do niej wczoraj i ze szczegółami przedstawił najnowsze fakty mijających dni.

– Co robić? – szepnęła, wypuszczając dym nosem. – Janek jest przecież taki delikatny. To, co go spotkało dwadzieścia lat temu, i to, co spotyka go teraz, jest jakimś niefortunnym splotem negatywnych zdarzeń. Prędzej czy później odbiją się rykoszetem na jego wątłym zdrowiu.

Woda w czajniku zabulgotała. Poniatowska zerwała się z krzesła, by zalać nim ciemnobrunatny proszek. Kiedy tylko znów się obróciła, by odstawić czajnik na elektryczną podstawkę, usłyszała kruchy trzask zbitej porcelany.

– Moja filiżanka – krzyknęła w przestrachu. Całkiem potłuczona! To znak, jaki mi dają dziewczyny – pomyślała i uśmiechnęła się szybko. Odetchnęła z ulgą. Tak, tylko z nimi może porozmawiać o problemach ukochanego Janka. Najpierw jednak poprosi o nowy prezent, tym razem trwalszy i bardziej odporny na działanie stresów.

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneek

Karolina Janicka

Karolina Janicka nawet na sekundę nie zmrzyła oka tej nocy. Za dużo się wczoraj zdarzyło, by mogła, ot tak, odpoczywać. Kiedy wróciła z komisariatu, była prawie północ. Mimo asysty przyjaciół szła do domu z duszą na ramieniu. Pozapalała światła we wszystkich pokojach, a potem pełniła całonocną wartę. Po wczorajszym włamaniu

nie mogła sobie pozwolić na bezmyślność oraz brak czujności. A jeżeli wróci? Miała czas analizować. Jeśli zorientował się, że został zauważony?

Policja zapewniła ją, że nie ma się czego obawiać, lecz zaleciła bezzwłoczną wymianę wkładki w zamku drzwi jej domu. Karolina dostała taką od posterunkowego, który przyjmował wczoraj zeznania od całej trójki. Po wyjściu z komisariatu Poniatowski zaproponował Karolinie swoją ślusarską pomoc, a kiedy uporał się wreszcie z zardzewiałym zamkiem, spytał, czy nie zostać z nią na noc. Anka również stwierdziła, że jeśli z ich wczorajszego wypadu i tak nic nie wyszło, to ona chętnie zostanie, towarzysząc nowym przyjaciółom do białego rana. Będzie zdecydowanie rażniej, szczególnie jeśli Karolina miałaby w lodówce coś mocniejszego do picia. Coś, co mogłoby, jak się wyraziła, zniwelować intelektualne zrycie i pomóc uspokoić nerwy.

Janicka zdecydowanie obojgu odmówiła, choć była ogromnie wdzięczna losowi, że nie została wczoraj z tym wszystkim sama. Czowała potworne wyrzuty sumienia głównie dlatego, że niepotrzebnie zaangażowała w swoją sprawę dwie dodatkowe osoby, psując przy tym wolny wieczór Ance i dokładając dodatkowych zmartwień staremu przyjacielowi. A Janek, jak się też wczoraj okazało, miał ich ostatnio bez liku. Dlatego odmówiła przyjęcia pomocy, mimo że już dawno tak bardzo nie bała się zostać sama we własnym domu. Obiecała, że odezwie się do nich nazajutrz.

Wciąż myślała tylko o Sebastianie. Nie wie nawet, ile razy bezskutecznie wciskała zieloną słuchawkę w komórkę, kierując swoje myśli tylko w jego stronę. Szybko przestała ignorować powtarzający się po drugiej stronie komunikat, który zwiększał poczucie bezsilności i strachu.

---

## Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneek Jan Poniatowski

Jan Poniatowski obudził się o siódmej trzydzięci i od razu spojrzął w stronę sypialnianych okien. Mimo iż nie zaciągnął rolet, w pomieszczeniu było prawie ciemno. Kiedy wstał z łóżka, zauważył, że wtorkowe niebo całkowicie pokryte jest ciemnoszarymi chmurami. Stały w miejscu i wyglądały, jakby ktoś rozwinął na całej powierzchni sklepienia kilka warstw brudnej, postrzępionej waty. Pomyślał, że gdzieś tam nad grubą pokrywą chmur świeci słońce, które mogłoby dziś napełnić jego serce optymizmem i dodać energii do walki. Nagle zapragnął, by jaskrawe, gorące promienie ogrzały zmęczoną twarz i przez przymknięte powieki rozświetliły najmroczniejsze myśli i czarne scenariusze. A było ich coraz więcej.

Wczoraj dowiedział się, że jego przyjaciel z lat szkolnych, Sebastian Świdorski, przepadł bez śladu, a głęboka analiza okoliczności jego zaginięcia nie pozwalała na dojście do pozytywnych wniosków. Takie rzeczy nie dzieją się tak po prostu. Również to, co ostatnio przytrafiło się Poniatowskiemu, z całych sił utwierdzało go w przekonaniu, że na tym świecie żyją ludzie nieobliczalni, którzy nie spoczną, póki nie osiągną swojego podstawowego celu – ponizenia, zniszczenia i wyeliminowania osób uważanych przez siebie za wrogów.

Zastanawiał się, kim jest osoba, która nęka właśnie jego. Jaki jest jej cel? Do czego dąży, wysyłając te głupie listy z pogroźkami i wykonując głuche telefony? Czy chce tylko zadrwić, zastraszyć, czy może posunie się do wyrządzenia mu fizycznej krzywdy? Czy ta osoba ma jakikolwiek związek z włamaniem do domu Karoliny i tajemniczym zniknięciem Sebastiana? No i najważniejsze pytanie: czy poraniona Joanna, której uratował życie ponad tydzień temu, jest również ofiarą tego samego złoczyńcy? Nie znalazł odpowiedzi na żadne z tych pytań. Za dużo znaków zapytania, a za mało cennych wskazówek.

Z przykrych, porannych rozważań wyrwał go krótki dźwięk telefonu, dochodzący z dolnej kondygnacji mieszkania. Zbiegł po krętych stopniach i po chwili był już w salonie. Szybkim, nerwowym ruchem wzięła do ręki komórkę. Natasza. Otworzył wiadomość czym prędzej: „Mam nadzieję, że pamiętasz o koszykówce Remika? Nie? Dlaczego mnie to nie dziwi? Tak, tak, to dziś, jak w każdy wtorek! Bądź przed osiemnastą! N.”.

Oczywiście, że nie zapomniał. Mimo że w oczach wszystkich był najgorszym ojcem na świecie, nigdy w życiu nic i nikt nie był dla niego ważniejszy. Żadna sytuacja i żaden stres nie były w stanie osłabić jego ojcowskich uczuć. Jeśli komukolwiek wydawało się, że jest inaczej, był w ogromnym błędzie. Kochał syna z całego serca i kolejnym gwoździem do ciasnej trumny, w której aktualnie mieściła się cała jego egzystencja, było to, że nie ma przy nim codziennie Remika. Nie może go wieczorem przytulić i pocałować. Ciężkie łzy płynęły Poniatowskiemu po twarzy, ilekroć kończyły się ich spotkania i słyszał prośby, których nie mógł spełnić.

– Tato, zostań z nami na zawsze, proszę – zanosił się płaczem Remigiusz. – Nie zostawiaj nas znowu. Mama na pewno się zgodzi. Proszę, proszę, proszę.

Natasza milczała z powagą. W czułych, pełnych smutku i tęskniących oczach widać było odbicie jej prawdziwych chęci. Była jednak stanowcza i nieugięta. Za bardzo ją oszukał i zranił. Może i minęła jej pierwsza złość, ale nie minęło rozczarowanie i uczucie wielkiego zawodu. Janek popełnił najbardziej idiotyczny błąd w swoim życiu i taka musiała być jego pokuta.

„Nie, nie zapomniałem. Będę na pewno. Janek” – odpisał. A po chwili odczytał zdawkową odpowiedź: „Jasne... N.”.

– Tak, popełniłem błąd – zaklął przez zaciśnięte zęby. – Czy jednak do śmierci będę za to płacił? Przecież chcę naprawić to wszystko. Przecież wszystko może być tak, jak dawniej. Nawet mordercom się wybacza, podczas gdy ja nadal pozostaję najgorszym przestępcą.

Przerwał rozważania, gdyż organizm automatycznie skierował go w stronę aneksu kuchennego, gdzie czekał na niego jak zawsze gotowy do pracy kombajn. Nacisnął przycisk z ikonką małej filiżanki. Po chwili do kubka zaczęła spływać porcja parującej kawy, której intensywny aromat szybko rozniósł się w całym pomieszczeniu. Pozostało tylko już wcisnąć drugi przycisk z oznaczeniem dużej porcji. Zawsze tak robił. Mała i duża do jednego kubka. Takie zestawienie dwóch porcji aromatycznej kawy dawało napar wprost idealny, bez którego Janek nie wyobrażał sobie początku dnia. Szczególnie jeśli miało się do czynienia z tak paskudną aurą za oknem.

Właśnie zaczęło padać. Nie, tego już za wiele – pomyślał. Nie dam rady dziś męczyć się w pracy. Muszę choć trochę odpocząć – podjął stanowczą decyzję. Postanowił, że do banku pójdzie najwyżej na chwilę, dokończy niepozamykane sprawy, a potem wypisze wniosek urlopowy. Musi nareszcie mieć czas na uporządkowanie swoich spraw. Tak dłużej być nie może.

Ustalił więc plan. Do załatwienia miał trzy podstawowe sprawy. Znaleźć Sebastiana, zlokalizować nękającą go postać i porozmawiać z Nataszą. Do wszystkiego musiał się odpowiednio przygotować, a na to potrzebował kilka dni urlopu. Albo praca, albo życie osobiste. Wybór stał się prosty. Właściwie to już go nie było.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneK

Wiktor Szewczyk

Wiktor Szewczyk czekał z niecierpliwością na telefon od córki. Tej nocy miał się urodzić jego wnuk. Nie umiał sobie znaleźć miejsca, chodził z kąta w kąt i powoli zaczynał wariować. Mało w życiu planował, jednak w tym przypadku przemyślał wszystko dokładnie. Do życiowej misji dobrze się przygotował i wczoraj przystąpił do jej wykonania. Poród Dagmary pomógł mu wybrać odpowiedni termin. Poszło jak po maśle, choć dziś rano nie był już pewien, czy postąpił słusznie.

Kiedy był młody, miał dużo poważniejsze troski i zdążył się przyzwyczaić do trudnych momentów mijającego życia. Nadchodząca starość utwierdzała go w przekonaniu, że grzechy młodości zawsze trzeba odpokutować. Efekt motyla. Bardzo dobrze pamiętał film o tym tytule, choć był na nim w kinie całe wieki temu. Jedno małe, na pozór niemające znaczenia, wydarzenie na jednym krańcu świata implikuje kolejne na jego przeciwnym końcu. Każda próba naprawy popełnionego błędu i zmiany biegu przyszłych wydarzeń skutkuje jeszcze większymi konsekwencjami.

Całkiem jak w jego historii. Kiedyś świadomie skorzystał z życiowych przyjemności kosztem czyjegoś szczęścia, dlatego wczoraj na własnej skórze odczuł ciężar skrzydeł kolorowego owada. Kiedy był w szpitalu, bębni w uszach prawie mu pękały od ich ciężkiego łopotu. Uczucie chwilowej ulgi przyszło dopiero po tym, jak wyszedł z sali. Dziś znowu usłyszał znajomy szelest, który stawał się coraz bardziej intensywny. Czy to, co zrobił, nie będzie iskrą zapalającą kolejną beczkę prochu, który eksploduje w najbliższej przyszłości? Czy nie skomplikował sytuacji jeszcze bardziej? Na odpowiedzi przyjdzie poczekać.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, ranek  
Halina Stępnia, Marianna Olecka

– Przyszłaś jednak? Oj, jak dobrze! Nie wiem, jak bym sobie dzisiaj poradziła bez ciebie – zawołała Halina Stępnia w stronę wchodzącej do sklepu szefowej z uśmiechem kamuflującym złość.

Tak, była na nią zła i kiedy Marianna dziś rano po raz kolejny zadzwoniła, że nie przyjdzie do pracy, pomyślała nawet o złożeniu wypowiedzenia. Mimo iż przyjaźniły się od dawna, praca zaczynała je stopniowo różnić. Halinka zgodziła się zostać pracownicą przyjaciółki tylko przez wzgląd na ich dotychczasowe relacje i nieustanne prośby aktualnej szefowej.

Coraz częściej jednak stała za ladą sama, bowiem zajęta głównie swoimi sprawami Marianna ciągle znikła bez śladu. Piątek, świątek czy niedziela – dla niej nie miało to znaczenia. Potrafiła, dokładnie jak dzisiaj, zatelefonować z samego rana i bez skrępowania oznajmić, że nie będzie jej w sklepie. A wtedy wszystko wisiało nad głową zapracowanej przyjaciółki. Klienci, dostawy, paragony, faktury, realizacja stałych zamówień, a ostatnio jeszcze obsługa sklepu internetowego. Dlatego też dzisiaj, w jednym ułamku sekundy, pod wpływem krótkiego impulsu podjęła słuszną decyzję. Postawi sprawę na ostrzu noża. Albo to wszystko się zmieni i Marianna przestanie ją traktować jak tanią siłę roboczą, albo odchodzi w trybie natychmiastowym. Nie pozwoli dłużej siebie tak traktować. Nie tak miała wyglądać ich współpraca.

– A wiesz... – otworzyła usta szefowa. – Stwierdziłam, że dam radę, mimo tej mojej migreny. Nie wiem już, co mam z nią robić, kochana, ale nie mogę cię przecież tutaj tak zostawiać – tłumaczyła z lekkim uśmiechem, jakby na zmarszczonym czole koleżanki wypisane były słowa wyrzutów, kierowanych pod jej adresem – To przecież nie fair, mamy tyle pracy.

– W sumie nie jest tak źle, choć nie powiem, że bym była szczęśliwa, siedząc tutaj sama, dlatego chciałabym później o czymś z tobą pomówić.

– No to mów, o co chodzi – poprosiła Marianna. – Nie możemy teraz pogadać? Później chciałabym wyskoczyć z pracy. Mam dzisiaj sprawę na mieście.

– Teraz to my już nie zdążymy – odrzekła oschle sklepowa. Za chwilę będzie tu Ola. Zapowiedziała się na poranną kawkę. Ponoć Janek znów wpadł w poważne tarapaty.

– A kto nie wpada w tarapaty? – szepnęła Marianna pod nosem, odwracając się w stronę podświetlanej szklanej witryny. Traktując ją jak zwierciadło, poprawiła kosmyk włosów, których nie udało jej się naprędce wpiąć do całości niezgrabnego koka. Wyglądam gorzej niż źle – oszacowała. Muszę wreszcie skończyć z codzienną dawką alkoholu i przestać brać te przekłete prochy, które i tak nie usuną koszarów z przeszłości – zganiła się w myślach. Została mi tylko pokuta.

– No, każdy ma, to prawda – odpowiedziała Halinka tonem zdecydowanie łżejszym. Złość szybko z niej uchodziła, jak powietrze z dziurawego koła.

– No właśnie – zadumana właścicielka sklepu z powrotem obróciła się w stronę pracownicy. – W dodatku, jak znam naszą Olę, to wszystkie te jej opowieści są lekko przejawskrawione i podkoloryzowane. No powiedz sama, wierzysz w te jej sensacje?



– No wiesz? Takie rzeczy się zdarzają i na pewno Ola mówi prawdę, zobaczysz! – Halinka krzyknęła w obronie nieobecnej przyjaciółki. – Przecież nie wymyśliłaby sobie tego wszystkiego, prawda?

Najbardziej irytowały ją w Mariannie ekstremalny brak taktu, empatii oraz wrażliwości na ludzką krzywdę. No i ten jej wieczny egocentryzm. Przez głowę przebiegła jej seria złorzeczających myśli. Oby kiedyś na własnej skórze przekonała się, jak to jest!

– Daj już spokój. Co się tak od razu denerwujesz? Zawsze ci mówię – wrzuc na luz. W naszym wieku każdy grymas uwydatnia nawet najmniejszą zmarszczkę – powiedziała Olecka, wracając myślami do swojego odbicia w szybie. – Chyba mogę mieć prawo do własnych spostrzeżeń? – zapytała stanowczo.

– Oczywiście, że możesz – syknęła Halinka – Każdy może. Nie wiem tylko, dlaczego tak mało obchodzą cię ludzkie problemy?

– Bo mam wiele swoich... spraw na głowie. I to mi wystarczy – chciała użyć słowa „problemów”, ale to mogłoby wzbudzić u koleżanki zainteresowanie kończące się wścibianiem nosa w nie swoje życie. To była ostatnia rzecz, jakiej chciałaby dzisiaj Marianna. Szczególnie teraz, kiedy jej dawne lęki i uśpione demony przeszłości zaczynały ponownie budzić się do życia.

– Tak? A ciekawe jakich? – Halina Stępniaak wyrwała Mariannę z chwilowego zamyślenia. Spuściła trochę z tonu, zaintrygowana słowami przyjaciółki. Wzięła do ręki jakieś dokumenty. Chciała je wykorzystać do zamaskowania rosnącej ciekawości i sprawić, żeby zadane przed chwilą pytanie brzmiało lekko, naturalnie i było rzucone jakby od niechcenia. Przybliżyła jedną z białych kartek bliżej nosa i udając pozorny brak zainteresowania, z niecierpliwością czekała na odpowiedź. – Na pewno nie tak poważnych jak Aleksandra – dodała po chwili milczenia.

– No nie wiem, czy są aż tak poważne – odparła szyderczo właścicielka sklepu, a potem szybko skarciła się w myślach za zbyt ostry ton. – Ale mam... – uzupełniła grzeczniej. – Zresztą nieważne. Moje sprawy to faktycznie małe piwo w porównaniu do problemów Jana. – W ten sposób chciała odwrócić od siebie zainteresowanie pracownicy. Nie udało się.

– Nie no, przepraszam – rzekła Stępniaakowa, odrywając wzrok od papierów. – Masz rację, powinnam najpierw zapytać, co u ciebie. Co właściwie się stało, że nie mogłaś dziś rano dotrzeć do pracy? W sumie to ty jesteś moją prawdziwą i pierwszą przyjaciółką – skłamała.

– Może później, kochana – odpowiedziała Olecka. – Przecież się nie gniewam. – Przez szybę właśnie zauważyła Aleksandrę. Wizyta schludnej i uśmiechniętej kobiety była jej teraz na rękę. – Spójrz – zawołała. – Idzie nasza Oleńka. – Machnęła ręką w stronę Poniatowskiej, a potem perliście się uśmiechnęła, kończąc tym samym rozmyślenia o swoich zmartwieniach.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, ranek

Anna Sass, Jarosław Grzesiuk

– Jak zwykle spóźniona. Jak można się spóźnić do pracy, mając na dziesiątą? – nie tyle ze złością, co z ironicznym wyrzutem przywitał Ankę jej kierownik zmian. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

– A... To już dziesiątą? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Jest dokładnie dziesiąta dwadzieścia trzy – odczytując godzinę z dużego, technicznego zegara wiszącego w pomieszczeniu socjalnym, odparł przełożony. – Co? Znów balowałeś? W tygodniu?

– Nie, nie balowałam, nie żartuj! To ty miałeś wczoraj wolne – odcięła się pracownica. – A spóźniłam się, bo byłam w McDonalddie, wzięłam dla nas kawkę po drodze. Wiesz, tu ekspres nadal zepsuty, a ja tak lubię nasze ranne nasiadówki – tłumaczyła się Anka. – Proszę – postawiła na stole tekturowe kubki. Przez małe otwory przykrywek wydostawały się dwa parujące strumienie. Tworzyły białe, szybko znikające obłoczki. – A wiesz jaka teraz jest u nich kolejka? Szok. Ale czego się nie robi dla najlepszego szefa na świecie.

– Dobra, dobra. Przestań już czarować – przerwał jej Jarosław. – Masz szczęście, że lubię cię tak samo mocno, jak małą czarną z McDonalda. – szef złagodził swój ton, zwiększając siłę uśmiechu. Nie było już w nim ironii, lecz szczerą sympatią. – To co, pijemy?

– Oczywiście – zaszczębiotała. – Kawy i alkoholu w dobrym towarzystwie nigdy nie odmawiam – odpowiedziała rozpromieniona sukcesem. Była świadoma swojego wdzięku i umiejętności szybkiego rozładowywania napiętej atmosfery. Zawsze jej się to udawało, dlatego czasem mogła sobie pozwolić na małą niesubordynację w pracy.

Usiedli przy małym, okrągłym stoliku stojącym w rogu zaplecza. To był ich codzienny rytuał, na który Jarosław Grzesiuk – kierownik zmiany restauracji Świtez – czekał z niecierpliwością. Drobne spóźnienia Anki irytowały go nie dlatego, że jako szef liczył jej każdą minutę czasu pracy za barem, lecz głównie dlatego, że zabierały im one wspólny czas rannych pogawędek.

– No to mów, Sasanka, co tam u ciebie? – spytał Grzesiuk i pociągnął łyk aromatycznej mokki. – Byłaś wczoraj w tym swoim Bowlingu?

– Coś ty? No mówię ci, że nie! Czy te oczy mogą kłamać? – zaczarowała.

– Chyba nie – zanucił kierownik i dokończył tym samym tekst ogranej piosenki.

– No właśnie – kelnerka była zachwycona szybką i jak zwykle trafioną w punkt reakcją kolegi. – No więc słuchaj, Jareczku. To, co ja wczoraj przeżyłam, to istna gehenna – zaczęła swoją opowieść. – O drinku w Bowlingu to ja mogłam tylko pomarzyć – przełknęła wymownie ślinę. – Czy ty w ogóle masz cień świadomości, co się dzieje w tym mieście?

– No domyślam się – zachichotał Jarek, odsuwając gorącą kawę od ust. – Z pewnością w Pile jest pełno psychopatów i erotomanów. – Znał standardowe opowieści Anki, w których z powodu niewystarczającej wiedzy fantazjowała na całego. To ona i jej koleżanki zawsze spotykały na swej drodze tych złych mężczyzn, dzieląc ich na dwa podstawowe typy: psychopata lub erotoman. Często oczywiście jeden delikwent mógł być psychopata i erotomanem w jednym.

– Skąd wiedziałeś? Przecież nie rozmawialiśmy? – spytała Anka ochoczo. – Zresztą, nieważne. Słuchaj. Otóż pewien psychopata... To znaczy tak myślę, że psychopata. No bo kto mógł zrobić coś takiego? No pomyśl!

– Ale co? – parsknął śmiechem.

– Nie śmiej się, czekaj. No właśnie. Tylko psychopata mógł zrobić coś takiego! – Anka właśnie dokonała szybkiej kwalifikacji i wrzuciła do worka z resztą wykojeńców osobę, która według niej była odpowiedzialna za zniknięcie chłopaka Janickiej. – Istny koszmar – wykrzyknęła. – To, co się dzieje na tym świecie, to jakaś...

– Ale co? – zapytał ostrzej Jarek.

– No czekaj – strzeliła wymownie oczami. – Spokojnie... Nie widzisz, że składam fakty do kupy i wszystko analizuję w mózgu? No więc słuchaj. Jakiś totalny psychopata – tego Anka była już stuprocentowo pewna – maczał swoje brudne palce w zaginięciu chłopaka mojej nowej koleżanki. Tak, dokładnie! Przecież, Jarek, powiedz sam, czy dorosły, odpowiedzialny mężczyzna mógł przepaść, ot tak, bez śladu. Nie odezwać się ani słowem, podczas gdy umówił się na randkę ze swą ukochaną? No jasne – oświeciło ją nagle. – Muszę zadzwonić do Karoliny. Trzeba działać. Dobrze, że wczoraj wymieniliśmy się wszyscy telefonami. A jeszcze lepiej, że mam tego iPhone'a. Wiesz, jaka byłaby siara, gdyby Janek widział, że mam jakieś badziewie?

– Jacy wszyscy? Jaka nowa koleżanka? Jaki iPhone? Jaki Janek? – ostatnie pytanie z wyrzuconej pośpiesznie z zaciekawieniem serii Grzesiuk zadał z lekkim ukłuciem zazdrości. Choć uważał Sasankę wyłącznie za swoją serdeczną koleżankę i najlepszą pod słońcem pracownicę, to czuł spalające go uczucie irytacji, kiedy przez jej usta przechodziło imię innego mężczyzny, zwłaszcza że kiedy je wymawiała, zobaczył w oczach przyjaciółki przelotny błysk. Przypominał jaskrawy flesz aparatu. Nie lubił zdjęć z zaskoczenia i bardzo mu się ten nagły blask nie spodobał. Zdenerwował się tym bardziej, że nigdy wcześniej oczy żadnej kobiety nie strzelały światłem nadziei z jego powodu.

– OK, boss, wszystko ci opowiem po kolei – ciągnęła dalej kelnerka. – Oczywiście, jeśli pozwolisz, że zacznę pracę nieco później niż zwykle. W sumie to i tak po tym, co wczoraj przesłałam, powinieneś być wdzięczny, że

w ogóle dziś tutaj się stawiałam. A ta Karolina? Co ona musi teraz przeżywać? Zaraz do niej dryndnę. A wiesz, że w dwudziestym pierwszym wieku niektórzy nie mają internetu w komórce? Szok.

– No na razie wiem, że dochodzi już jedenasta, a na dwunastą stypa! Trzeba wziąć się do roboty, jeśli mamy ze wszystkim zdążyć – kierownik zmiany Jarosław Grzesiuk zmienił zrećznie temat. Nie chciał zadawać więcej pytań.

– Dobra, już dobra – skrzywiła się zawiedziona kelnerka. Albo jej się zdawało, albo zauważyła ciemny grymas na twarzy Grzesiuka. – Zamykam się, bo widzę, że mało cię obchodzą moje osobiste traumy. Jesteś niewrażliwy na ludzką krzywdę, wiesz? – zażartowała podwładna. – Stypa, stypa... Dobra, robi się. Przecież klientowi to już raczej nie zależy na czasie. Nie mam racji?

– No raczej nie zależy – z uśmiechem odpowiedział Jarek. – A wrażliwy to jestem. Głównie na tubalny głos opierdalającego szefa – odpowiedział Grzesiuk, zmieniając barwę głosu i przedrzeźniając właściciela interesu.

– O tak – zarechotała dziewczyna. – Zabieramy się więc do roboty. A tak w ogóle, kto wymyślił pracę?! Ale za godzinę przerwa? Muszę zadzwonić do Karoliny. Wiesz, chcę się jej zapytać...

– Dobra, za godzinę – Grzesiuk uciął rozpoczynający się kolejny monolog Anki. – Będzie przerwa, ale jak zobaczę postępy w pracy i pierwszorzędnie nakryty stół. Pamiętaj – sześćdziesiąt pięć osób.

– A co to? Prezydent umarł? – zaśmiała się rozbawiona. – Pewnie jakiś kolejny psychopata go załatwił. Boże, co to dzieje się w dzisiejszych czasach? Człowiek niedługo będzie bał się wyjść z domu, jak tak dalej będzie – utyskiwała. Wstała, wrzuciła telefon komórkowy do kieszeni, a potem zniknęła w ciasnym magazynku.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneK

Jan Poniatowski

Jan usiadł przy stole i włączył komputer. Obok urządzenia postawił kubek czarnej jak smoła, mocno parującej kawy. Chciał odnaleźć punkt podparcia, który poruszy ziemię. Złapać nić Ariadny i odnaleźć wyjście z labiryntu. Coś, co pozwoli rozwiązać zadanie z tak dużą liczbą niewiadomych. Droga do wyników nie będzie istotna. Liczy się rezultat, czyli rozpracowanie prześladowcy. Jednym z punktów zadania będzie też pomoc Janickiej. Powinni się spotkać i ustalić plan działania. Wypadałoby też zacząć poszukiwania Sebastiana, bo policja nie raczyła kiwnąć palcem w tej sprawie.

Wykonał kilka mechanicznych czynności. Internet, przeglądarka, Google, wyszukaj: *jak znaleźć dręczyciela*. Trzeci wynik wyszukiwania zapowiadał się całkiem ciekawie: *Obsesja stalkera – jak znaleźć prześladowcę*.

Pochłonął tekst. Wszystko stało się jasne, miał osobistego stalkera. Nie był to powód do dumy, choć słówko brzmiało bardzo nowocześnie i kojarzyło się z kolorowym światem show-biznesu.

– No cóż, fajnie – westchnął z rezygnacją, gdyż porad dotyczących sposobu znalezienia prześladowcy w tym artykule było jak na lekarstwo. Ostrożność, czujność, zachowywanie kopii otrzymanych od stalkera wiadomości, przygotowanie się do samoobrony i oczywiście zgłoszenie sprawy na policję. Wszystko to miał już za sobą, a efektów nie widział. Pociągnął łyk kawy i włączył analityczne myślenie.

Musiał jeszcze raz przeanalizować tekst otrzymanych przesylek. Właśnie przypomniał sobie o dwóch ostatnich, a także o tej, którą pozostawił nieotwartą. Leżała w pracy w szufladzie. Postanowił, że otworzy ją, gdy tylko dziś wejdzie do banku. Za to pamiętał dobrze treść przedostatniej: „Znajdź mnie, ja Ciebie znalazłem”. Ostatnia zaś zawierała część znanego powiedzenia: „Nie przyszła góra do Mahometa”. Na początku oraz na końcu tekstu ktoś umieścił identyczny znak. Dwa krzyże, których dolne pionowe ramię, zamiast prostej belki, posiadało ostro zakończony hak. W miejscu skrzyżowania się pionowej i poziomej belki, na samym środku krzyża, widniał malutki okrąg.

Znów uruchomił przeglądarkę. Szukaj: *krzyż z hakiem*. Pierwszy z góry wynik: *Symbole okultystyczne: krzyż zamętu*.

Kliknął w odnośnik do strony. Z zamieszczonego na stronie tekstu wynikało, że krzyż zamętu, zwany również szatańskim, to starożytny symbol podważający istnienie chrześcijaństwa i boskości Boga, który z czasem został zapożyczony przez satanistów. Interpretowany jest różnie. Jedni uważają, że chrześcijaństwo kojarzy się z pomieszaniem i poplątaniem oraz absolutną niedoskonałością. Takie objaśnienie wynika z tego, że występujący w znaku krzyża okrąg, który kojarzy się właśnie z idealnością kształtu oraz nieskazitelnością formy, jest tutaj niedokończony. Niektórzy dostrzegają w rysunku krzyża inny ważny interpretacyjnie element: znak zapytania, każący zadać pytanie: czy wszystko to, co chrześcijańskie, jest prawdziwe i wiarygodne? Czy Jezus rzeczywiście umarł za grzechy? Czy był zwykłym człowiekiem, prześladowanym i ukrzyżowanym za pospolite występki?

Prześladowany. No właśnie! – pomyślał Jan. Męczony i złożony w grobie po długiej, prześladowczej męce. To akurat najbardziej zaintrygowało wpatrzonego w ekran Poniatowskiego. A jeśli mój stręczyciel wzoruje się na Biblii? – dedukował. Jeśli jest fanatykiem religijnym i w dwudziestym pierwszym wieku odtwarza wydarzenia z początków naszej ery? Jak do tego ma się również stan odnalezionej Joanny?

Pytania, pytania i jeszcze raz pytania. Czy znajdzie odpowiedzi na choćby ich małą część? To znów kolejne pytanie. Jeśli weźmie sprawy we własne ręce, angażując w dochodzenie jeszcze Ankę i Karolinę, z pewnością się uda. Przede wszystkim chciał dziś skontaktować się z dziewczynami i zorganizować wieczorne spotkanie – pierwszą w ich życiu odprawę śledczą. Postanowił zebrać w całość wszystkie posiadane informacje i wypisać, punkt po punkcie, zdarzenia, do których doszło, z określeniem ich skutków. Być może uda im się wyciągnąć pierwsze wnioski i przygotować dalszy plan działania.

Natasza... To wszystko musiał zrobić też dla niej, zrehabilitować się wreszcie. Potem może umrzeć. Kiedy go zostawiła, przysiągł sobie, że nigdy nie da za wygraną i zawsze będzie starał się o odzyskanie jej miłości. Ona go nadal kochała – tego był pewien bezwzględnie. Jej dobre serce wybaczyło mu zdradę już dawno. Znał jego dobroć i ciągle czuł ciepło jej uczuć. Rozum Nataszy kazał jej jednak o tym nie wspominać. Przynajmniej nie w jego obecności.

– Mniejsza z tym – skwitował. – Słowami można manipulować lub w ogóle ich nie wypowiadać. Uczuć i myśli nie da się jednak zagasić. Może tylko na chwilę. I tak zawsze wracają, gdyż są wierniejsze od ludzi.

Powiedział to wreszcie. Kilka miesięcy temu, kiedy myśl – muszę ci coś wyznać – miała już monstrualne rozmiary i rozsadała mu czaszkę. Kilka słów sięjącej spustoszenie prawdy nie miało tak wielkiej siły rażenia, jak sygnały dawno odebrane przez żonę. Ona już wcześniej odczuła skutki tego, co miało za chwilę nastąpić. Dlatego wystrzelony przez Poniatowskiego pocisk zatrzymał się w gęstym powietrzu. Zawisł nad głową Nataszy i nie miał odwagi przebić tarczy ochronnej, którą ona dawno zbudowała. Wyciągnęła otwartą dłoń i gestem nakazała Janowi milczeć. Od tej chwili ich już nie było. Jej dusza odizolowała się od świata zewnętrznego i uruchomiła szczelne pole siłowe, nieprzepuszczające do wnętrza nic i nikogo. Musiała tak zrobić, by ratować życie przed szaleństwem i depresją. Od kilku miesięcy była pewna przyszłości, dlatego stopniowo zamykała się w sobie i stawiała się coraz silniejsza. Tego wieczoru stwardniała na tyle, by zabronić mu wnikać do jej nowej, samotnej rzeczywistości. Inaczej zamieniłaby się w garstkę prochu, powstałego ze strawionej ogniem przeszłości i zwęglonej wiary w człowieka, któremu bezgranicznie ufała.

– Nic nie mów – dodała cicho. – Porozmawiamy innym razem. Idźmy spać. Będzie jeszcze czas ustalić, co dalej.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneK

Halina StępniaK, Marianna Olecka, Aleksandra Poniatowska

– Cześć, dziewczyny. Pijemy kawkę? – zapytała Aleksandra, wchodząc do sklepu Pod Aniołami.

Marianna wymyśliła tę nazwę jakieś dwadzieścia lat temu. Była piękna, młoda i pełna świeżych pomysłów. Bardzo chciała otworzyć własny sklepik i sprzedawać w nim anioły, pod każdą postacią. Wówczas nie wiedziała, że jej marzenia spełnią się dopiero teraz.

– Jasne – z serdecznym uśmiechem odpowiedziała Halina Stępniak. – Lecę po wodę i już włączam czajnik, kochana. Fajnie, że jesteś. Nie opowiadaj tylko beze mnie, zaraz wracam – zagroziła, kiwając palcem.

– Dobra, dobra – zareagowała Olecka. – Wiesz przecież, że Ola nie zacznie bez swojej najlepszej kumoszki – skontestowała z wyczuwalną ironią w głosie.

– Właśnie – westchnęła cicho Halina. Nie dała po sobie poznać, że przytyk szefowej zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie. Przewróciła wymownie oczami i puściła oczko w stronę Aleksandry. Rozumiały się bez słów. Ola dyskretnie odwzajemniła sekretny znak.

– Spokojnie – rzekła Poniatowska – poczekam cierpliwie na wrzątek. Zresztą nie lubię dwa razy powtarzać. Tym bardziej, dziewczyny, że trzeba poważnie pogadać. Musicie mi doradzić i pomóc. Mój Janek ma kolejne kłopoty, a jego przyjaciel...

– Nic nie mów, zaczekaj! Idę po tę wodę – przerwała ostro Halina.

– Dobrze, już dobrze. – Czy w jej wzroku Aleksandra zauważyła teraz coś dziwnego? A może tylko się jej przywidziało?

Koleżanka nadal trzymała w ręku biały, plastikowy czajnik. Szybko wyszła, a właściwie wybiegła ze sklepu. Była bardzo zaintrygowana tym, co Ola chce im powiedzieć. Musi szybko wrócić i zaspokoić ciekawość. Odpowiednio jej doradzi i powie, co robić. W końcu była jej przyjaciółką. A przyjaciół nie zostawia się bez podania gotowych rozwiązań. Ola musi jej dzisiaj posłuchać. Lepiej, żeby tak było.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneK

Julia Węgorzewska

– Panie doktorze, szybko! Coś się dzieje z tą pacjentką z czwórki – krzyknęła Julia Węgorzewska. – Weszłam, żeby zmierzyć temperaturę, a ona... – młoda pielęgniarka urwała, jakby bała się mówić o tym, co zobaczyła.

– Co się stało? – syknął ordynator OIOM-u. Głos miał surowy i nieuznający sprzeciwu. – No niechże pani mówi – nakazał.

– Ona, to znaczy ta pacjentka w bandażach spod czwórki, chyba nie żyje – pielęgniarka nadal krzyczała. W jej głosie słychać było panikę i przerażenie. To był jej pierwszy dzień w pracy i od razu taka sytuacja. Po co w ogóle tu przyszłam? – zastanowiła się w myślach. Mogłam posłuchać koleżanki i rozpocząć pracę w tej nowej klinice. Co ja narobiłam?

– Co też pani opowiada? Przecież podczas obchodu wszystko było dobrze – warknął rozjuszony lekarz. – Rozumiem, jest pani tu nowa i takie tam, ale to nie zwalnia pani z obowiązku dokładnego wykonywania swoich obowiązków – utyskiwał. – Proszę zawołać siostrę oddziałową. Niech sprawdzi, co się dzieje. A jeśli się okaże, że przez swoją niewiedzę i brak kompetencji nasiąła pani niepotrzebnej paniki, to nie omieszkać osobiście z panią pomówić.

Julka jeszcze bardziej zbladła. Miała przechłapanę i to już po kilku godzinach pierwszego dyżuru. Teraz pozostało jej się tylko modlić, żeby Borecka była martwa na dwieście procent. Zachowałaby twarz. Jeśli nie, to świeżo upieczona pielęgniarka właśnie się skompromitowała, a na oddziale będzie się o tym mówiło przez dłuższy czas. Zdążyła już przecież poznać nowe koleżanki. Przyszły do pracy zniechęcone, naburmuszone, niezadowolone i nie pozostawiły suchej nitki na pielęgniarkach z poprzedniej zmiany. O narzekaniu na pacjentów, którzy ciągle czegoś chcą i wrzeszczą z byle powodu, nie wspominając.

Najgorsza była ta oddziałowa. Wredna małpa. Tłusta i krzykliwa. Julka nie zdążyła nawet przekroczyć progu pokoju pielęgniarek i zdjąć płaszcz, a ona już zaczęła swoje pierdolamento. Że za mocny makijaż, że ciasto to w restauracji, a nie w szpitalu, i że dosyć ma rozkapryszonych, nic niewiedzących gimbusów. Postraszyła wszystkim, czym tylko się dało, i skutecznie zniechęciła nowicjuszkę do pracy w służbie zdrowia. A później? Później było już tylko gorzej.

Julka miała w głowie zamęt, a w oczach łzy rozżalienia. Teraz jeszcze ta pacjentka w bandażach. Kiedy pierwszy raz weszła do jej pokoju, pomyślała, że to jakaś fikcja i że się jej przywidziało. Nigdy nie widziała kogoś w takim stanie. Pożałowała jej szczerze. Popytała w szpitalu o jej stan zdrowia oraz o to, co dokładnie się stało. Nie słyszała o niej w mediach. Była zszokowana i przerażona, a jednocześnie czuła się zobowiązana, by co jakiś czas zaglądać do pokoju numer cztery. Tak było właśnie przed chwilą, kiedy zaczęła piszczeć aparatura. Julia nigdy nie sądziła, że tak szybko zobaczy cienką, białą linię mknącą po ciemnym ekranie.

---

## Mrok, 12 stycznia 2016 roku, ranek Sebastian Świdorski

Ciężkie, wilgotne powietrze przesiąknięte było zapachem stęchlizny. Sebastian nie wiedział, gdzie jest. Nawet nie miał pewności, czy żyje. Pomyślał, że albo śni, albo trwa w jakimś dziwnym stanie podświadomości. Z trudem otworzył oczy. Prawie idealna czerń nie pozwalała na rozpoznanie przestrzeni. Była tylko ciemność.

Pulsujący ból rozsadał mu czaszkę, a gęstniejąca krew spływała po włosach i twarzy. Stopniowo odzyskiwał świadomość. Zdecydowanie nie było najlepiej. Kiedy uświadomił sobie, że leży na zimnym betonie w nieznanym miejscu, zaczął się bać. Spróbował się podnieść, ale coś na to nie pozwalało. Jakaś obręcz na nodze. Zgiął się i rękoma dotknął żelastwa połączonego z grubym łańcuchem. Przesunął palcami wzdłuż zardzewiałych ogniw. Swoje uziemienie znajdowały w podłodze. Zaczął z całej siły szarpać łańcuchem. Bezlitosny hałas brzęczącego metalu coraz bardziej rozrywał mu głowę, a ciężka obejma boleśnie haratała kostkę.

Wpadł w panikę i zaczął krzyczeć na tyle, ile miał sił w gardle. Przeraził się głosu wołającego o pomoc, której nigdy w życiu nie potrzebował. Po chwili wrzask stracił na sile i zamienił się w płacz błagający o wolność. Sebastian z całej siły zacisnął powieki. Chciał mieć pewność, że gdy je zaraz otworzy, ciemność i łańcuch ulotnią się jak kamfora. Liczył na to, że spocony i przerażony, obudzi się w ciepłym łóżku w swojej sypialni, analizując zły sen.

Powoli otworzył oczy i od razu pożałował swojej decyzji. Mógł jak najdłużej prosić w myślach o widok innego świata, który niestety nie chciał się pojawić. Mrok, zięb i skrawki wspomnień wczorajszego wieczoru powoli wypełniły nieznaną, przerażającą przestrzeń. Piła, stacja benzynowa, randka, porwanie, kubek ciepkiej brei, uderzenie w głowę, Karolina...

---

## Piła, 12 stycznia 2016 roku, ranek Julia Węgorzewska

Julia Węgorzewska wróciła do pokoju pielęgniarek. Była roztrzęsiona. Rozpłakała się i usiadła w miękkim, zielonym fotelu. Nie wstanie już, tak będzie siedzieć. Do końca dnia, o ile tak długo tu jeszcze wytrzyma.

Przecież jej takie rzeczy nigdy się nie zdarzały, a życie do tej pory dostarczało jej samych pozytywnych doświadczeń. Co więc się stało, że jej zawodowe początki nie są równie dobre? Najwidoczniej obrała zły kierunek. Nie powinna tu w ogóle przychodzić. Trudno. Co się stało, to się nie odstanie. Jest tu dziś po raz ostatni. Postanowione. To nie dla niej. Śmierć na pierwszym dyżurze i do tego jeszcze zatarg z tym wrednym lekarzem.

– Cham – skwitowała. – Nie to, co ten przystojny, młody lekarz w nowym centrum medycyny estetycznej. Jaka ja byłam głupia – deliberowała pod nosem. – Zrezygnowałam z pracy w nowoczesnej, prywatnej placówce na rzecz tego bagna.

– Tak. Byłaś głupia. Po co w ogóle poszłaś do doktora? On tego nienawidzi. Masz już przechlapane – zganiła Julkę siostra oddziałowa. – Mogłaś się domyślić – ciągnęła pouczająco. – Albo chociaż spytać, zanim zepsułaś mu

humor. No, ale czego tu się spodziewać po gimbusach? Brak kultury i za grosz logicznego myślenia – perorowała rozjuszona kobieta. – A teraz wstawaj! Nie płacą tu za siedzenie. Tu się ciężko pracuje.

– Spierdalaj – fuknęła cicho Węgorzewska. Nawet nie zauważyła, kiedy emocje wyrzuciły z jej ust przekleństwo. Była już pewna. Nie mogła tu spędzić ani chwili dłużej, bo zrobi się taka, jak to wredne babsko. Zauważyła purpurową czerwień na twarzy – teraz już to wiedziała – byłej bezpośredniej przełożonej. Oddziałowa wzrokiem zabiła Julkę już pewnie trzy razy, a paprykową miną dała ostro do zrozumienia, że nienawidzi dziewczyny z całego serca. Jeżeli oczywiście to szkaradne coś w białym kitlu w ogóle ma serce.

– Mogłaby pani podać mi rękę? Coś mi się stało, nie mogę wstać z tego fotela – bardzo grzecznie poprosiła Julia. Miała bowiem pomysł, jak załatwić to przygrube, skrzeczące pudło rezonansowe.

– Tak i co jeszcze? Taka młoda i już ma problemy? – oddziałowa zakipiła jadem. – A co będzie dalej? Coś takiego! – Ale podała dłoń Węgorzewskiej i szarpnęła tak mocno, że Julka w ułamku sekundy stała na równych nogach. Na tyle blisko, by poczuć wrogi odór wydobywający się z tłustej, niewyparzonej gęby. Odsunęła się szybko od obrzydliwej kobiety. Gwałtownym ruchem rozchełstała kitel. Zdjęła go natychmiast, kładąc na ramieniu basetli.

– Spierdalaj – powtórzyła. Z przynoszącym ulgę uśmiechem satysfakcji podziwiała idealną czerwień zgrzybiałej, sękiej gęby. – Odchodzę, wredna ździro. A gimbusy? Są stworzone do wyższych celów!

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneK

Halina StępniaK, Marianna Olecka, Aleksandra Poniatowska

– Olu, jestem. Już zaparzam kawkę, chodźmy. – Halina StępniaK ruchem głowy pokazała drzwi na zaplecze. – Zaraz nam wszystko powiesz. – Była niezmiernie ciekawa, jakie problemy gryzą przyjaciółkę. I chociaż domyślała się, o co może chodzić, postanowiła sama nie rozpoczynać tematu. W końcu to nie ona ma wielkie kłopoty.

Wszystkie trzy koleżanki weszły na tyły lokalu. Malutkie, klaustrofobiczne pomieszczenie pękało w szwach. Miejsca było tu naprawdę niewiele, a niemal całą przestrzeń zajmował duży, kwadratowy stół. Pod stołem oraz częściowo na blacie drewnianego mebla ekspedientki poupychały wszystko to, na co nie było miejsca na zewnątrz. Kartoniki, pudełeczka, torebeczki, segregatory z dokumentami oraz towary, które albo czekały na swoją kolej w przeładowanej ekspozycji sklepu, albo miały już czasy swojej sprzedażowej świetności dawno za sobą.

Halinka przez chwilę zastanawiała się, gdzie ma podłączyć czajnik. Chciała szybko zrobić tę kawę. Zdecydowała, że zdejmie plastikową podstawkę czajnika ze stołu i zwolni nieco cennego miejsca. Położy w tym miejscu pudełeczko ciasteczek, które kupiła przed chwilą w boksie ze słodyczami. Postawiła podstawkę na podłodze i włożyła wtyczkę do najbliższego gniazdko. Urządzenie zaszumiało głośno. Aleksandra poczuła się jak sardynka w puszcze. Ciasno, parno, gorąco, a do tego bulgot czajnika.

– Fuuua, ale tu duszno – zaczęła Poniatowska. – Zawsze wam mówię, że musicie coś zrobić z tym zapleczem. Trzeba to powiększyć. Tak się nie da!

– Właśnie. Ola ma rację – przytaknęła Halinka i ze srogą miną spojrzała na właścicielkę interesu.

– Dajcie mi wreszcie spokój z zapleczem – warknęła Marianna. – Za każdym razem, kiedy tu wchodzimy, zaczyna się ten głupi temat. Dobrze wiecie, że nic z tym nie mogę zrobić. Przecież nie powiększę tej kanciapy kosztem każdego cennego metra kwadratowego ekspozycji sklepu – dodała już nieco łagodniej. – Zresztą szkoda dziś czasu na wałkowanie tej sprawy. Żeby tylko takie problemy ludzie mieli na świecie – ostatnie zdanie Marianna wypowiedziała celowo. Chciała zachęcić Poniatowską do zwierzeń, gdyż sama była ciekawa, jakimi to rewelacjami uraczy ich koleżanka. Być może problemy innych choć na chwilę pozwolą jej zapomnieć o własnych.

– Oj, żebyś wiedziała – potwierdziła Ola. Szybko zapominała o błahym temacie zalecza. – Święte słowa, Marianko – dodała. Jej twarz spochmurnała.

Wyłącznik czajnika głośno pstryknął. Gotująca się woda przestała bulgotać i szumieć.

Nie w takiej chwili – przekłęta w duszy Halina. Czym prędzej jednak zerwała się z krzesła. Podniosła z podłogi urządzenie i wlała wodę do filiżanek. W powietrzu uniósł się zapach świeżo zaparzonej kawy. Postawiła naczynia na stole, po czym zdjęła wierzchnią folię, w którą opakowane były ciasteczka. Aromat delikacji szampańskich w połączeniu z zapachem malej czarnej oszałamiał zmysły. Zrobiło się całkiem przyjemnie.

– Częstujcie się, laski – zachęciła Halinka z uśmiechem na ustach, umieszczając słodkości na środku stołu. – Teraz już nic nie powinno nam przeszkadzać. Mamy ten czas tylko dla siebie. A wiecie, kochane, że to jest moja ulubiona chwila? Uwielbiam te nasze poranne pogawędki przy kawce – dodała, rozładowując chwilę niezręcznej ciszy.

Marianna wyglądała na bardzo zmęczoną. Skinęła głową na znak, że zgadza się z przedmówczynią, choć dzisiaj bardzo się męczyła. Minione noce nie tak łatwo wyparują z jej organizmu wraz z resztkami czerwonego wina. Muszę jakoś wytrzymać – w myślach dodała sobie animuszu. Ona również bardzo chciała poznać, jakie problemy mają inni ludzie i czy w ogóle można nazywać je problemami. Kiedy dokonywała analizy swoich przeżyć, utwierdzała się bowiem w przekonaniu, że słowo „problem” mogłoby być zdefiniowane na podstawie patowych sytuacji z jej nędznego życia. Postanowiła jednak skupić się na tym, co do powiedzenia ma Ola. Poczęstowała się delcją, którą szybko popiła łykiem gorącej kawy.

– Dziękuję, słoneczko, ale nie mam w ogóle ochoty na jedzenie – zaczęła Poniatowska, odmawiając słodkości zdecydowanym gestem. Chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie to, co zalegało jej na wątrobie.

– No nie mów, że jest aż tak źle – Stępnikowa pociągnęła zachęcająco. – Nie ma takich kłopotów, których nie dałoby się... usunąć – dodała.

– Może masz rację. – Aleksandra z niepokojem spojrzała na koleżankę. Tym razem nie mogło się jej przywidzieć. Na twarzy Halinki dostrzegła grymas.

– No więc pamiętaj, że na nas zawsze możesz liczyć, prawda, Marianno? – Sklepowa wymownie spojrzała na szefową, czyniąc oczami gest nieuznający sprzeciwu. Miał on sprowadzić na ziemię nieobecną duchem szefową.

– Co? Ach tak, oczywiście, Oleńko. Zawsze – odrzekła z przymusu właścicielka sklepu. – Tylko mów wreszcie, o co chodzi.

– No więc... – Teraz już nic nie powinno przeszkadzać Aleksandrze. W końcu wyrzuci z siebie to, co gryzie jej matczyne serce, i znajdzie ukojenie w pocieszających słowach przyjaciółek. – Od czego by zacząć? – zastanowiła się.

– Najlepiej od początku – rzuciła oschle Marianna. – Żebyśmy się w tym wszystkim połąpały. Nie mam dziś energii na snucie domysłów. Jestem totalnie niewyspana, a po południu jeszcze mam fryzjera. Nie wiem, jak wszystko ogarnę.

Gdybyś nie chlała całą noc, to pewnie byś ogarnęła – pomyślała rozgoryczona Halina. I nie plotłabyś takich andronów. Takie zachowanie szefowej z pewnością nie skłoni dziś Aleksandry do wylewnych zwierzeń. Przeciwnie, może spowodować, że niczego się nie dowiedzą. Czas uciekał.

– Otóż... stało się chyba najgorsze. – Poniatowska nie przejęła się zachowaniem Marianny i rozpoczęła opowieść. – Zaginął przyjaciel mojego Janka. – Poczula, jak po plecach przebiegają jej ciarki, jedna po drugiej. Tysiące milimetrowych włosków na całym ciele stanęło dęba. Mimo duchoty panującej w ciasnym zapleczu, jej ciałem targnął dreszcz zimnych emocji. Uczucie grozy podkreśliła mina Haliny. Jej twarz stężała. Usta miała mocno zaciśnięte, a powiększone ciekawością, szeroko otwarte oczy świadczyły o tym, że chłonęła każde wypowiediane przez nią słowo. Koleżanka czekała na więcej, nie tracąc czasu nawet na bezwarunkowy odruch mrugania.

Co innego Marianna. Aleksandra spojrzała w jej stronę i zauważyła, że przyjaciółka niby słuchała, ale myślała była całkiem gdzie indziej. A przecież jeszcze przed chwilą wydawała się zainteresowana problemami, z którymi Ola dzisiaj do nich przysła. Dziwne. Czyżby Marianna liczyła na inną dawkę sensacji? A może zdradzona informacja tak bardzo na nią wpłynęła? Nie zastanawiając się już dłużej, zaczęła opowiadać dalej.

– Myślę, że ma to związek z tym, o czym już wam szczegółowo mówiłam. Janek ciągle ma kłopoty z tymi groźbami. To się chyba nigdy nie skończy. Był nawet na policji, ale z pewnością oni też nie będą umieli mu pomóc. Przecież mają na głowie ważniejsze sprawy. No i przez to, że ktoś cały czas przysyła Jankowi te głupie listy,



nachodzi w pracy i wydzwania na telefon w domu, chłopak w ogóle nie śpi po nocach. Nie ma z nim kontaktu. Ostatnio nawet zasnął w domu ze zmęczenia. To jakiś koszmar. Po tym rozwodzie znów ma dodatkowe zmartwienia. Czy on w końcu wyjdzie na prostą? Mój mały Janek...

– Ale domyśla się już, kto pisze te anonimy? Skąd ta osoba ma jego numer? Nadal tak dużo tego przychodzi? Jak często? Mogłabyś wreszcie przynieść choć jeden taki list. Prosiłam cię przecież. – Stępnikowa postanowiła dowiedzieć się jeszcze więcej i zachęcić koleżankę do wyjawienia szczegółów. Zadała serię pytań i na wszystkie zamierzała otrzymać wyczerpujące odpowiedzi.

– Halinko, jest tak samo, a może i jeszcze więcej – odpowiedziała matka Poniatowskiego. – Ten dewiant nie odpuszcza.

– No ale Oleńko, nic nie zrobisz. Musisz koniecznie przynieść i pokazać nam te listy. Resztę w sumie już wiemy. Powiedz lepiej, o co chodzi z tym zaginięciem – bez zachowania najmniejszych pozorów delikatności ciągnęła za język Halina. Jej oczy zrobiły się wielkie jak monety pięciozłotowe. Nie potrafiła ukryć ciekawości i było jej wszystko jedno, co pomyśla o niej koleżanki.

– Poczekaj, zaraz do tego dojdę, słoneczko! – odpowiedziała Aleksandra zachęcona do zwierzeń, a raczej przyciśnięta do muru. Poczwała nawet przez chwilę, że jej koleżanki bardziej zainteresowane są świeżą porcją sensacji niż serdeczną pogawędką przy porannej kawie. A może to tylko jej mylne spostrzeżenia?

– Otóż te prześladowania Janka na samym początku bardzo go niepokoiły, ale postanowił nic z tym nie robić. Do pewnego momentu całkowicie je ignorował. Pomyślał, że komuś w końcu znudzą się takie zabawy i odpuści sobie głupie żarty. Niestety, tak się nie stało, a Janek stopniowo zaczął się przyzwyczajać do życia z uciążliwościami. – Aleksandra zamyśliła się na chwilę. Musiała poukładać sobie dalszą część opowieści, tak aby przekazać przyjaciółkom wszystko w należytej kolejności, nie pomijając przy tym żadnego ważnego szczegółu. A może Janek nie mówi jej wszystkiego? – przyszło jej do głowy. Może nie chce martwić starej matki? On to ma jednak dobre serce.

– No mów wreszcie, co dalej – nie wytrzymała Marianna. Siedziała jak na aktywnej bombie. Chyba miała już dość czekania na dalszy ciąg opowieści. tym bardziej że była jeszcze na totalnym kacu.

Halinka nawet nie spojrzała w stronę Marianny. Nie chciała się rozpraszać. Była żądna sensacji.

– No i można powiedzieć, że Janek jakoś to wszystko opanował. Jedyne, co go dręczyło, to ta bezsenność. Wiecie, gdy ma się głowę pełną zmartwień, to spać nie można. On ma to po mnie. No, ale wszystko było w miarę w porządku do tego dnia. – Poniatowska celowo zaakcentowała dwa ostatnie słowa. Po nich zrobiła teatralną pauzę. Można było odnieść wrażenie, że właśnie opowiada dzieciom kulminacyjny moment bajki na dobranoc.

– No mów, Olu, tym razem to ja nie wytrzymam – westchnęła Halinka. Ani na sekundę nie spuściła wzroku z twarzy Aleksandry.

– Pamiętacie ten wypadek na ulicy Bydgoskiej? No... tę kobietę, co to ją znaleźli zmasakrowaną? Ledwo ją uratowali. Podobno jej stan jest ciężki.

– No jasne, kochana, cała Polska o tym trąbi. – Stępnikowa poczuła dreszcz podniecenia. Oczy jej rozbłysły jak gwiazdy. – Piła stała się sławna.

– No, a wiecie, kto nad ranem ją znalazł? – Aleksandrze zaschło w ustach, dlatego pociągnęła ostatni łyk kawy. W zębach zgrzytnęły jej fusy. – No nie kto inny, tylko mój Janek. Uratował jej życie – podsumowała z dumą.

– No i to jest ta cała sensacja? – z kłamanym spokojem wtrąciła Marianna. W gardle ścisnęło ją jednak na samą myśl o tym, co wydarzyło się ostatnio w ich mieście. Temat nie schodził z pierwszych stron ogólnopolskich gazet, a telewizje prześcigały się w dostarczaniu nowych faktów dotyczących makabrycznego odkrycia. Do tej pory jednak w całej tej sprawie Jan pozostawał anonimowy. Ciekawe, co by się stało, gdyby nagle media dowiedziały się, kim jest bohaterki mężczyzna.

– Tylko dziewczyny, nikomu ani sowa – poprosiła Aleksandra, tak jakby odczytała ostatnią myśl przyjaciółki. – Janek nie daruje mi, kiedy rozpęta się kolejne piekło wokół jego osoby. On tego nie przeżyje!

– Spokojnie, słoneczko. Masz to u nas jak w banku – zapewniła Halinka.

Marianna w pełnym zamyśleniu od niechcenia skinęła głową na znak zgody ze słowami Oli.

– No ale co na to policja, co na to Janek? Jak to wszystko wyglądało? – pracownica sklepu walczyła o dalsze szczegóły.

– Ano tak wyglądało, że jak co dzień, po bezsennej nocy Janek wyszedł się rano przewietrzyć. I kiedy tylko zdążył zejść na dół, zobaczył tę ranną kobietę. Było faktycznie tak, jak mówią w telewizji. Naga i kompletnie zmasakrowana szła ulicą i nagle upadła. Mówię wam, istny horror! – Ola zaczerpnęła powietrza, a potem powachlowała się bluzką. – Ale to jeszcze nic. Jakby tego było mało, to dokładnie tydzień po tej kobiecie zaginęła właśnie Sebastian. Boże, co to się dzieje? Ja pamiętam jak oni się lubili. Byli prawie jak bracia – rozpląkała się.

– Ale jak zaginęła? Przecież to dorosły facet, co nie? Mężczyźni, ot tak, nie znikają – zauważyła Olecka. – A ja coś o tym wiem. Zresztą pewnie się okaże, że nawiał z jakąś kochanką. Faceci już tacy są.

– No co też ci przyszło do głowy, Marianno? – wzburzyła się Poniatowska. Kiedy wciągała resztki świeżego powietrza, omal nie zakrztusiła się czarnymi drobinkami kawy. – Jak możesz tak mówić? Przecież to przyjaciel mojego syna. Wiem o nim dużo więcej niż ty – dodała z wyrzutem.

Poniatowskiej zrobiło się przykro. Liczyła na to, że dziewczyny będą jej wdzięczne za świeżą porcję cennych informacji, o którą dziennikarze daliby się wprost poćwiartować. Dodatkowo oczekiwała wsparcia i powiedzenia, że wszystko będzie dobrze, a zawiłe sprawy się jakoś poukładają. Może Marianna po prostu nie ma dnia? – starała się usprawiedliwić przyjaciółkę. Może ma swoje zmartwienia? Aleksandra postanowiła opowiadać dalej i dać Mariannie czas na przemyślenie swojego zachowania.

– Normalnie, a jak? Był i go nie ma, czego tu nie rozumieć? Przepadł bez śladu. Kamień do studni, diabeł ogonem nakrył, proste! – Kobieta mimo wszystko nie mogła powstrzymać napierającej fali irytacji. Była wkurzona. Nie tego oczekiwała od koleżanek. Nie dość, że wyjawia im największe rodzinne tajemnice, to jeszcze spotyka się z ich otwartą krytyką. Pomyślała, że nic tu po niej.

– Ależ, Oleńko, nie denerwuj się tak – uspokajała Sępniakowa. – Po prostu takie rzeczy nie zdarzają się codziennie i trudno nam w nie uwierzyć.

– Nie, Halinko, nie denerwuję się – matka Jana skłamała. – Tylko... – zastanowiła się przez krótki moment. – Muszę w sumie już lecieć – spuentowała oschle. – Zapomniałam wam powiedzieć, że za chwilę mam wizytację z centrali i jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Dzięki za kawę, kochane, będziemy w kontakcie.

To akurat nie było kłamstwo. Spojrzała na zegarek. Było zdecydowanie za późno. W ogóle niepotrzebnie tu przychodziła. Po tym jak dziewczyny dziś się zachowały, stwierdziła, że zmarnowała tylko swój cenny czas. Mogłaby go przeznaczyć na ostatnie, porządkowe szlify w centrum handlowym. Musiała jeszcze porozmawiać z personelem przed przyjazdem szefostwa. Nowe odświeżacze! – olśniło ją nagle.

– Na śmierć zapomniałam – rzuciła, a potem wstała od stołu. Widziała minę zawiedzionej Haliny i obojętność w zmętniałych oczach Marianny. Pożegnała się raz jeszcze i wyszła.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, raneK

Jan Poniatowski

Jan Poniatowski wyszedł z domu. Nawet nie przypuszczał, że tak bardzo będzie się spieszył do pracy. Chciał jak najszybciej przeczytać anonim, którego nie otworzył ostatnim razem. Teraz gdy postanowił stanąć w szranki ze swoim prześladowcą, wiedział, że musi od razu poddać analizie nawet najmniejszy ślad. W jego prywatnym śledztwie nie przewidywał miejsca na zaniedbania i czasu na przesuwanie istotnych terminów.

Wparował do biura. Z hukiem otworzył szufladę. Kurz, dokumenty, komputerowe wydruki, fiszki z notatkami, pieczątki, gumy do życia, klucze, powyginane spinacze, flamastry, nożyczki, klej, długopisy, wizytówki, kalkulator, pusty flakon po wodzie toaletowej, a nawet niedojezdzony batonik. Sam był zaskoczony liczbą bibelotów, które posiadał. Ostrożnie włożył rękę do środka, uważając, by się czymś nie zranił.

– Mam cię! – szepnął, gdy pochwycił zdobycz.

Po chwili oczom Poniatowskiego ukazała się czerwona koperta. Czym prędzej wyszarpnął kartkę z jej wnętrza. Cuchnęła jakoś tak dziwnie. Wyprostował list, po czym niezwłocznie przystąpił do czytania.

*Drogi Janie,*

*na wstępie mojego listu pozdrawiam Cię bardzo serdecznie. Czyż nie tak polonistka uczyła w szkole rozpoczynając korespondencję? Szalone lata dziewięćdziesiąte, istne Beverly Hills. Szkoła jeszcze wtedy czegoś uczyła. Mnie na przykład nauczyła szczerości, sprawiedliwości i pisania pięknych listów. Mam nadzieję, że Tobie wpoila chociaż podstawy czytania ze zrozumieniem i analizowania sugestii. Jak na razie tego nie widać, gdyż dyskretne wskazówki, które otrzymałeś, nie przyniosły pożądanego efektów. Ale jak mówią, papier wszystko przyjmie, więc właśnie masz przed sobą bardziej zrozumiałą, pisemną formę odpowiedzi.*

*Bardzo dobrze, że w końcu to czytasz. Nie myślałeś chyba, że dam Ci święty spokój. To niedorzeczne, jak bardzo zaślepiła Cię wizja ukrycia starych spraw. Przeszłości nie da się wymazać z kart historii, zapisanych ludzką krwią. Upiory same nie znikną i będą czekać na zemstę. Dla Ciebie dwadzieścia lat to olbrzymi szmat zakłamanego życia, które spada z góry prosto do piekła. Dla nieżywych to tylko krótka chwila w poszukiwaniu prawdy. Znajdą ją prędzej czy później, a ja im w tym pomogę.*

*Wiem, co zrobiłeś tamtego lata. Wiem, że nie działałeś sam. Wiem też, że uważacie wszystko za niefortunne zrządzenie losu. Wszystko wiem. Przyjaźń na całe życie okraszona śmiercią. Żałosne. Jak mogłeś myśleć, że mijające lata wysuszą krew sącząc się z gnijącego ciała. Oszukałeś wszystkich: siebie, policję, najbliższych i opinię publiczną. Zrobiłeś z siebie ofiarę, a jesteś śmierzdzącym tchórzem bez krzy honoru.*

*Może zacznijmy od początku. Siedemnastego sierpnia 1996 roku. Czy ta data w ogóle z czymś Ci się kojarzy? Nie? Tak myślę – życie na wyparciu. Pozwól proszę, że jednak odświeżę Ci pamięć. Otóż w tym dniu miała urodziny Wasza starsza koleżanka. Fajna, niepozorna, niewinna impreza. Tylko jej finał, jakże niefortunny. Takie tam, niestandardowe zakończenie. Lepiej o nim nie wspominać. Świat i tak się nigdy nie dowie. Przyjaciółka też się nie dowie. Pakt z przyjaciółmi... A wiesz...? Jest mały problem. Joanna już się dowiedziała. Była bardzo zdziwiona, nie powiem. Przekrwiony wzrok zaskoczenia – bezcenny.*

*Z początku nie chciała mi uwierzyć. Kilka ciętych ran przekonało ją jednak do prawdy bardziej bolesnej niż zadawane ciosy. Miała zginąć, aby się zemścić na Tobie. Podziwiam ją. Nie była winna, ale uwierzyła, że może poświęcić swoje zdrowie dla zemsty na Tobie. Z moją pomocą, gdyż na początku w ogóle nie chciała sama siebie ciąć. Zachowywała się tak, jakby w ogóle nie miała ochoty się zemścić na Tobie. A przecież ma za co, prawda?*

*Widok jej ciała miał Ci coś przypomnieć. Lekko wystraszyć przed tym, co dopiero nadejdzie. To Ty będziesz wisienką na torcie. A wiesz, jaka jest jego druga warstwa? Nie? A próbowałeś się ostatnio skontaktować z dawnym przyjacielem? Może byś zadzwonił i zapytał, czy pamięta Waszą przysięgę: nigdy nikomu ani słowa. Młode wilki z obsranymi dupami. Podobno takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Życie pokazuje, że niekoniecznie. Na Twoim miejscu dzwoniłbym codziennie i pytał, czy nie puścił pary z pyska, zamiast olać kumpla przez te wszystkie lata. Nie, nie! Teraz nie dzwoń! Kontakt z Sebastianem może być nieco utrudniony. Po pierwsze ciężko byłoby mu odebrać. Jest, że tak powiem, trochę skrępowany. A po drugie tam, gdzie aktualnie przebywa, odpoczywając od zgielku zamierzchłych tajemnic, może mieć problemy ze złapaniem zasięgu. Właściwe to tam... może mieć problem ze wszystkim. Czy coś przekazać koledze? Zresztą niedługo się zobaczycie. Takie tam spotkanie po latach.*

*Na tym kończę mój krótki list. Mam nadzieję, że jego czytanie sprawiło Ci choć trochę przyjemności. Taki był zamysł. Poprawić Ci humor. Ostatnio z pewnością jesteś troszkę zestresowany i przygnębiony. Wszystko minie, nie martw się, obiecuję. Musisz tylko uwolnić się od koszmaru i poczucia winy. Nie spoczne, póki Ci nie pomogę w tym zakresie.*

*Pozdrawiam*

*P.S. Zawsze musi być postscriptum, dlatego u mnie też jest. Nie radzę Ci składać kolejnych wizyt w komisariacie. Tam możesz przypadkiem znów kogoś spotkać. Po co angażować w pokutę kolejne niewinne osoby? Zresztą każdy*

*Twój nieodpowiedzialny ruch przybliży Cię do spotkania z przyjacielem. Niekoniecznie w tak dobrym stanie, jak Asia. Mężczyźni są z zasady mniej wytrzymali. Wszelkie nieprzemyślane decyzje i krzywo postawione kroki na grząskim gruncie skracać będą moją drogę do Ciebie.*

*Do zobaczenia niebawem...*

Przeczytał list jednym tchem. Z wrażenia prawie mu go zabrakło pod koniec. Zaczął się dusić i niczym ryba wyjęta z wody zachłannie łąpać powietrze. Oszołomiony, dopiero po chwili zaczął interpretować treść przekazu. Co to ma, kurwa, być? Jak to? Skąd? Kto? Znów znaki zapytania, do których nie mógł dopasować żadnych odpowiedzi.

Nie zwlekając ani jednej chwili, chwycił za telefon. Z listy kontaktów wybrał pierwszy z utworzonych wczoraj. Karolina.

– Słucham? – odebrała. – No i mów, co tam? Wiadomo już coś? Dzwonili do ciebie z policji? Całą noc nie spałam. Do mnie nikt nie dzwonił. Olali nas... – zrobiła długą pauzę, tworząc warunki do utrzymywania się w eterze niezręcznej ciszy. – No powiedz coś! Jesteś tam? Halo – Janicka zachowywała się tak, jakby czekała na ten telefon przynajmniej od kilku tygodni.

– Mam coś... – Jan starał się mówić spokojnie. Wiedział, że na tym etapie nie może powiedzieć jej prawdy ani też ponownie zgłosić się na komendę. List, który przeczytał przed chwilą, utwierdził go w przekonaniu, że muszą działać na własną rękę. On, Karolina i Anka.

– Co masz? Mów! – nakazała w panice.

– To nie jest rozmowa na telefon. Podkreślam, nie na telefon. Musimy się spotkać. Mogłabyś zadzwonić do Anki? Myślę, że każda para rąk się przyda.

– Spotkać? No jasne, że możemy. Choćby zaraz, u mnie – zaproponowała. – Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał. Zadzwonię do Anki, jeśli uważasz, że jest niezbędna – zadrwiła. – Ja akurat sądzę, że ona jest zdrowo rąbnięta.

– Będę za godzinę – przerwał Poniatowski. – Zadzwon do Sasanki, pa.

Nie czekając na odpowiedź, zakończył nagle rozmowę. Pierwsza w jego życiu odprawa detektywistyczna miała dziś szansę się odbyć. Poziom adrenaliny sięgnął zenitu. Pośpiesznie spakował list do koperty. Z domu weźmie jeszcze pozostałe. Poddadzą je głębszej analizie. Może to wszystko złoży się w jakąś logiczną całość? Oby. Teraz jeszcze tylko telefon do szefa. Niech Marcelina drepta, zrządzi i trzaska drzwiami do woli, ale bez niego. On nie wróci do banku tak długo, aż nie wyprostuje prywatnych spraw.

Rozpoczął się wyścig z czasem, własnymi słabościami, umiejętnościami oraz tym popieprzonym psychopatą. Ta nierówna walka zaczęła mu się bezwzględnie podobać. Oby historia nie zatoczyła koła. Dwadzieścia lat to faktycznie chwila.

## ROZDZIAŁ 3

Chodzież, 17 sierpnia 1996 roku, raneek

Joanna Kalicka, Aniela Kalicka

– Wszystkiego najlepszego, kochanie. – Aniela Kalicka weszła do pokoju z promiennym uśmiechem. Do dusznego pomieszczenia wniosła świeżą atmosferę matczynego ciepła. – Kocham cię bardzo, słoneczko – dodała. – Wstawaj wreszcie! Kto to widział, spać do południa we własne urodziny?

Joasia z trudem się odwróciła. Sprężyny w starym łóżku zaskrzypiały głośno. Nastolatka przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

– Ojej, mamo, co zrobiłaś? – wymamrotała dziewczyna. – Dlaczego mnie obudziłaś? Proszę... jeszcze pół godziny. Gdzie tata?

– Tata i tata – zadrwiła Aniela. – W pracy, a gdzie ma być? Przynajmniej tak mówił. Ale ja jestem i jest mi bardzo przykro – zgrywała się. – Chciałam złożyć życzenia urodzinowe najwspanialszej córce na świecie, a tu takie podziękowanie? Chlip, chlip – zrobiła minę zapłakanego arlekina, a potem uśmiechnęła się i pocałowała córkę w czoło. – Już ci nie przeszkadzam, kochanie. Śpij sobie. Do zobaczenia później.

– Mamo, zostań – poprosiła Joanna. – Przepraszam, nie chciałam – tłumaczyła. – Kiedy weszłaś, chyba jeszcze spałam, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. A ty... – westchnęła. – Ty byłaś na łące, w pięknej sukni. Tej od babci Heleny, pamiętasz? Byłaś piękna i uśmiechałaś się do nas, do mnie i Sebastiana. Biegliśmy, trzymając się za rękę, w twoją stronę, a później... – bała się skończyć opowieść.

– Fiu, fiu, z Sebastianem – matka uśmiechnęła się szeroko. – A więc jednak? Ktoś tu się chyba zakochał – zażartowała niezbyt delikatnie. Pomyślała, że mogła zawstydzić córkę, a nie taki przecież miała zamiar. Doskonale pamiętała przecież czasy swojej młodości i okres, w którym tego typu docinki wywoływały rumieńce na twarzy, a nawet uczucie bezpodstawnego wstydu. Zauważyła lekkie zakłopotanie w oczach córki i szybko zmieniła temat. – Ja na łące? No to dokończ proszę, co ze mną?

– A nieważne, już nie pamiętam – jubilatka skłamała zażenowana. Nie chciała mówić matce prawdy, gdyż właśnie przed chwilą, po głębszej analizie tego, co widziała w innej rzeczywistości, zdała sobie sprawę, że sen nie był wcale taki wspaniały. Wręcz przeciwnie. Jeżeli byłaby to wizja prorocza, to jej matka musiałaby chodzić ze zmiażdżoną głową.

– Dobrze, jeśli nie pamiętasz, trudno. Myślałam, że choć we śnie będę piękna – zażartowała matka.

– Oj, mamo, wcale nie – zaprzeczyła dziewczyna. – Wiesz przecież, że tak mi się tylko wyrwało. Jesteś najpiękniejszą i najcudowniejszą mamą na świecie i to się nigdy nie zmieni – dodała. – Nigdy, nigdy, nigdy.

Joasia nie kłamała, chociaż lekko zawahała się, wymawiając po trzykroć słowo nigdy. Po tym, co zobaczyła we śnie, zatliła się w niej iskierka niepokoju i mimo, że powrót na jawę lekko stłumił rozedrgany ogień, to uświadomiła sobie, jak kruche potrafi być ludzkie zdrowie i życie. Wolała rozgonić złe myśli. Jej mama jest przepiękną kobietą i tak musi pozostać. W myślach podkreśliła ostatnie zdanie grubą kreską. To po niej Joanna odziedziczyła urodę i wraz z mlekiem matki wyssała najwartościowsze cechy. Delikatna, proporcjonalna twarz rodzicielki przywodziła jej na myśl jedną z topowych modelek na świecie. Afisz wschodzącej gwiazdy Cindy Crawford od dawna wisiał w pokoju Joanny. Przykleiła go na drzwiach tylko dlatego, że śmiejąca się z plakatu kobieta do złudzenia

przypominała jej matkę. Długie i kasztanowe, lekko zakręcone włosy, zniewalający uśmiech podkreślony szminką w kolorze gryzącej czerwieni, czarne grube brwi i ciemna oprawa hebanowych oczu.

– Zatem jeszcze raz wszystkiego najlepszego – mama powtórzyła życzenia, a potem ciepłą dłonią pogłaskała głowę córeczki.

– Dziękuję, mamó – szepnęła niepewnie Joanna.

—  
Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe

Julia Węgorzewska

Julia wybiegła ze szpitala, nie oglądając się za siebie. Znowu czuła się lekka i wyzwolona. Nie szukała pracy, która ją więzi, ale jak nigdy wcześniej, potrzebowała pieniędzy. Chciała jak najszybciej spłacić dług zaciągnięty w niedalekiej przeszłości i dlatego zarobienie kasy było teraz dla niej sprawą życia i śmierci. Po rozpalonych emocjami policzkach spłynęły łzy oczyszczenia. Dały jej przyjemną, orzeźwiającą ulgę po zbyt długim przebywaniu w przygnębiającej atmosferze dusznych, szpitalnych pomieszczeń. Za chwilę odzyska równowagę i wszystko będzie jak dawniej. Swoje sprawy ułoży nieco inaczej i wdroży w życie plan B. Będzie miała życiowego farta, jak zawsze. Znowu spadnie na cztery łapy, a ze sprzyjającym losem uściśnie sobie rękę.

Jak się dostanę do centrum? – pomyślała. Do autobusu nie wsiądę za żadne skarby, a do centrum miasta jest chyba z dziesięć kilometrów – oszacowała.

Gdy rano jechała taksówką, z duszą na ramieniu liczyła uciekającą odległość. Co chwila, jak zahipnotyzowana, zerkała na wyświetlacz taksometru, chcąc zatrzymać wzrokiem liczby przeskakujące w górę. Kierowca musiał to widzieć, bo przez całą drogę uśmiechał się drwiąco.

– Daleko, co? – zapytał z ironią. – Ten, kto wydał zgodę na budowę tak ważnego dla miasta budynku na takim zadupiu, powinien konkretnie beknąć – dodał, wyłączając licznik. – Czterdzieści dwa złote się należy, z rabatem dla nowej klientki, rzecz jasna.

– Proszę – wyjęła banknot z kieszeni. Ostatni... – Bez reszty – burknęła dumnie. – Czym jest czterdzieści złotych w dzisiejszych czasach? – zakpiła. – Za komfort i wygodę trzeba przecież zapłacić. Musiałyby pan pojechać na zarobek do Warszawy. Już po miesiącu wymieniliby pan tego starego rżęcha na coś nowszego. – Co ty robisz, dziewczyno? – panikowała w myślach. Wsiądz z tej taksówki, nie płac i spierdalaj!

Tak bardzo teraz potrzebowała forsy, a ten staruch oskubał ją z ostatnich zaskórniaków. Między grube jak bochny chleba paluchy musiała mu wsadzić ostatnie pięćdziesiąt złotych. Gdy opuszczała białego, odrapanego okularnika, zawodowo trzasnęła drzwiami.

– A masz, gruby durniu! – syknęła.

Teraz otrząsnęła się z tego wspomnienia. Omiotła wzrokiem przyszpitalny parking.

– Bingo – zawołała.

Właśnie zauważyła, jak ktoś wkładał bilet do parkometru. To była jej szansa. Nie zastanawiając się ani chwili, rozpoczęła wyścig z czasem i nie miała zamiaru go przegrać. Ktokolwiek siedział w czarnym bmw, jest jej rycerskim wybawcą. W ciężkich chodakach pobiegła wzdłuż parkingowego płotu.

– Kurwa mać – zaklęła w głos, nie przerywając morderczego biegu. – Z tego wszystkiego nie przebrałam butów! – syknęła. Trudno. Innym razem się po nie zgłosi. Będzie musiała pojawić się tutaj raz jeszcze. – A niech tylko to stare babsko spróbuje je sobie przywłaszczyć! – utyskiwała. – Moje szczęśliwe szpileczki! Ubrałam specjalnie do nowej pracy – wyrzucała sobie.

Po dłuższej chwili dyszała przy parkometrze. Zagroziła wyjazd, stając pośrodku drogi, a potem podeszła do lśniącej maski auta czarnego jak węgiel.

– Ja to mam szczęście – zawołała, szczerząc się do kierowcy. Ten jednak nie mógł nic słyszeć przez zamknięte okna. Julia zaczęła się zastanawiać, na kogo trafiła. Z pewnością na lekarza, bo jakiego pacjenta stać na taki luksus?

Podeszła znów bliżej. Zatkąło ją nagle z wrażenia. To niemożliwe, żebym miała w życiu aż takiego farta – pomyślała.

– Panie doktorze, tutaj... Helou! – zawołała uwodzicielsko. Machała przy tym rękami, trzęsła rozchełstanym torssem i trzepotała doczepionymi rzęsami. – Proszę zaczekać – zastukała w szybę kierowcy. To on? Co za przypadek! To będzie jednak dobry dzień – skwitowała z nieskrywaną radością.

---

## Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe Wiktor Szewczyk, Halina Stępiak

Pracownik ochrony Wiktor Szewczyk właśnie zameldował się w pracy. Dziś miał dwunastogodzinną dniówkę. To bardzo dobrze, gdyż nie będzie musiał męczyć się kolejnym wieczorem w domu. Do szpitala nie pojedzie wcześniej, niż to będzie konieczne.

Ciekawe, czy ktoś zdążył przeczytać już list – pomyślał. Nawet jeśli tak, co z tego? To jednak był głupi pomysł. Skoro skrywał prawdę przez niespełna czterdzieści lat, nie było najmniejszego sensu kruszyć solidnych fundamentów, na których kilku znajomych zbudowało sobie dużo szczęśliwsze życie.

Włożył służbowy uniform i przypiął do paska krótkofalówkę. Lubił ten moment. Stawał się zawodowym twardzielem. Czuł, że wciąż wiele od niego zależy, a klienci galerii muszą się z nim liczyć. Dawniej nosił ciężkiego glocka w policyjnej kaburze, lecz dziś ochraniarski mundur musiał mu wystarczyć. Mimo sześćdziesięciu pięciu lat wyglądał młodo i potrafił jeszcze młodzieżowo zagaić. Lata spędzone na służbie oraz odwieczne zamiłowanie do sportu pozwalały mu cieszyć się smukłą, acz postawną sylwetką. Bez opony na brzuchu, jakie widział u młodszych kolegów z siłowni.

To dla niej chciał dobrze wyglądać. Swojej osobistej gwiazdki, która świeciła tak mocno, że czasem bał się patrzeć wprost w jej oblicze. Właśnie ją zobaczył, jak wychodziła z zaplecza. Z uśmiechem na ustach ruszył w jej kierunku. Zaraz będzie obok, zaraz jej wszystko opowie. Przecież to ona kazała mu wczoraj odwiedzić córkę w szpitalu. I wcale nie miała na myśli ciężarnej Dagmary.

– Zrób to wreszcie, bo się pogniewamy – Halina Stępiak postawiła sprawę na ostrzu noża. – Za długo nosiłeś to brzemień na swoich barkach – tłumaczyła.

Ale wyznanie pisał w pojedynkę. Do tego nie potrzebował niczyjej pomocy. Dopiero gdy skończył i ze spokojem przeczytał rękopis, zrozumiał sens zawartej na papierze treści. Przeraził się, choć prawdy nie powinien się bać. Tak mawiała Halinka, a on uważał, że dzięki takim zasadom była wartościową kobietą. A gdy wczoraj w szpitalu Dagmara kazała mu wracać do domu, uznał, że nadarzył się idealny moment. Wystarczyło tylko zjechać windą jedną kondygnację niżej i znaleźć odpowiedni pokój.

Salę numer cztery otulała noc, a jej ciemność wdzierała się przez duże, niezastłonięte okno. Jedynymi źródłami światła były migające ekrany aparatury, z której przy łóżku ktoś zbudował wieżę. Każde z urządzeń wydawało dźwięki świdrujące głowę Szewczyka. Pomyślał, że jeśli człowiek miałby bębniaki wykonane z kryształowych tafli, to po całonocnym przebywaniu w takiej kakofonii z samego rana na poduszce znalazłby resztki rozbitego szkła. Piszczący bez przerwy sprzęt i nieruchoma, od stóp do głów zabandażowana, Joanna, utwierdziły go w przekonaniu, że jej ciało nie znajduje się w stanie zwyczajnego snu. Bardziej w śpiączce, letargu, a może nawet w śmierci klinicznej.

Czy przeczyta to, co chce jej zostawić? Jeśli nie ona, to kto? Nieważne. Świat musi dowiedzieć się prawdy. Teraz albo nigdy.

Ostatni raz spojrzął na ciało Joanny, lecz długo nie wytrzymał takiego widoku. Nigdy nie sądził, że przyjdzie mu zmierzyć się z prawdą w takich okolicznościach. Szewczyk pomyślał, że w tej sytuacji robi dobrze wyłącznie sobie.

W samolubnym działaniu kierował się chęcią odzyskania straconej przed laty przyzwoitości.

Włożył rękę pod kurtkę. Z kieszeni wyszarpnął kopertę, wyjął z niej kartkę i rozprostował ją w świetle szpitalnego monitora. Jakby chciał się upewnić, że to, co napisał, nadal się na niej znajduje. Tak, wszystko było na swoim miejscu. Niestety, prawda i wyrzuty sumienia nie znikają, ot tak, po prostu. Nie chciał chować wiadomości gdzieś głęboko, dlatego odrzucił pierwszą myśl wetknięcia jej pod poduszkę. Również w obawie zrobienia córce nieumyślnej krzywdy. I bez tego wycierpiała swoje.

Rozejrzał się wokół. Nic. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było pozostawienie listu na jej łóżku. Zdecydował. Położył kopertę na nogach Joanny okrytych zieloną tkaniną.

– Tak będzie dobrze – szepnął, a kiedy wychodził przez chwilę się zastanawiał, czy balast zrzuconego grzechu nie będzie zbyt obciążała zboląłego ciała. Spojrzał na nią po raz ostatni. – Żegnaj, córeczko...

Wyszedł z sali z głową pełną myśli. Przez chwilę zdawało mu się, że nie jest sam w ciemnym korytarzu.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe

Karolina Janicka, Jan Poniatowski

Dom Karoliny Janickiej był idealnym miejscem do rozwiązywania mrocznych zagadek. Wyglądał ponuro i przynębiająco. Poniatowski pomyślał, że jeśli chodzi o atmosferę, czas oraz miejsce, to wszystko zaczyna się precyzyjnie układać i wróżyć powodzenie w jego prywatnym śledztwie. Był tylko ciekaw, czy po tym, co za chwilę usłyszy Karolina, nie zakończy się ono zbyt szybko.

Siedział sam w dużym salonie, którego styl przywodził na myśl zamkową komnatę. Wysoki na ponad trzy metry strop, wielkie rzeźbione, przeszklone barwnymi witrażami dwuskrzydłowe drzwi otwierane za pomocą antycznych mosiężnych klamek, wysłużona, skrzypiąca podłoga ułożona z drewnianych desek, a także gigantycznych rozmiarów malowidło oprawione w grubą, złotą ramę tworzyło klimatyczną atmosferę wnętrza. Zawiesił wzrok na starym obrazie wiszącym na ścianie.

– Spodobał ci się ten obraz? Mam go po babci – odezwała się Karolina, wchodząc do komnaty z blaszaną tacą w rękach. Wniosła na niej dwa kubki parującej kawy i talerzyk z mieszkanką kruchych ciasteczek. Nie zapomniiała również o kostkach cukru wrzuconych do pozłacanej cukierniczki. – Nie patrz tak – dodała. – Taca też po babci.

– Jejku, Karolina, boję się pytać, co jeszcze masz po babci – zażartował Poniatowski. – A obraz jest lekko szmirowaty i zdrowo trąca myszką. Pasuje tutaj to arcydzieło – zaśmiał się głośno, omiatając wzrokiem komnatę.

– Ale że co? Masz coś do wystroju mojego salonu? Uważaj, bo moja babcia rzuci na ciebie kłutwę z za grobu – załapała żart Karolina. Nie zrobiło jej się ani dziwnie, ani przykro. Przeciwnie. Przez chwilę nawet poczuła się lekko i beztrąsko. Ale zaraz przypomniała sobie Sebastiana. Pobladła i spochmurniała. Nie powinna żartować w takiej chwili.

– Babci lepiej nie drażnić, to fakt. A gdzie Ania? – Poniatowski zmienił temat, widząc zachmurzoną twarz koleżanki. Już teraz bał się reakcji Karoliny na wiadomość, jaką będzie jej musiał przekazać.

– Dzwoniła, że się spóźni. Mają jakąś imprezę okolicznościową w pracy i szef nie za bardzo chciał ją wypuścić. Powiedziała, że możemy zacząć bez niej – głos Janickiej zaczynał się łamać i każde wypowiedziane słowo coraz mocniej zdradzało narastające zdenerwowanie. Przestała mówić, bo czuła, że jest bliska płaczu. Postawiła tacę na stole. Podała Janowi kawę i zachęcającym gestem wskazała talerz z ciastkami.

– Dzwonili? – Mężczyzna zadał retoryczne pytanie tylko po to, aby odwlec chwilę zbliżającej się prawdy. Prawdy, mogącej zgasić ostatnie światełko nadziei tłące się w oczach zakochanej dziewczyny.

– Nie, ale ja dzwoniłam. Chyba cztery razy – siła się na odpowiedź. – Stwierdzili, że mam pozwolić im pracować i że robią wszystko, co w ich mocy. Nie pytałam co, bo wiem, że nic. Nie miałam siły być chamska. Całą noc nie spałam.



– Nie martw się, znajdą go – szepnął Jan ze zbyt dużym optymizmem w głosie. – Trzeba mieć nadzieję, że działają na pełnych obrotach. Jeśli nie oni, to my. Wiesz, chyba mamy na to większe szanse...

– No nie wiem. – Karolina otarła wierzchem dłoni słony strumyczek z policzka.

– Ale ja wiem – odparł Poniatowski. – Nie możemy się załamywać i musimy myśleć pozytywnie. Po to masz mnie i po to ja tutaj jestem. Pamiętaj, że cokolwiek się stanie, nie wolno nam tracić nadziei.

– Spoko – rzuciła Janicka z cieniem rezygnacji w głosie. – Nie mamy przecież innego wyjścia – dodała. – A ty, Janek, co tam masz? – wskazała na szarą kopertę, którą Poniatowski położył przed sobą na stole.

– Ja? Wiesz... to te moje anonimy – odpowiedział posłusznie. Stało się – pomyślał, a zaraz po tym poczuł, że robi mu się gorąco. Zimna krew, którą jak najdłużej starał się utrzymać, powoli zaczynała wrzeć. Czuł, że za chwilę w tym pokoju rozegra się dramat. Zaszło mu w gardle i oddychał z coraz większą trudnością. Pociągnął zbyt duży łyk gorącej kawy. – Wziąłem ze sobą wszystko, co to do tej pory otrzymałem – zasyczał oparzony. – Trochę analizowałem to w domu. Później powiem o moich wstępnych wnioskach. Ale wiesz co? – lekko się zawahał. – Nie możemy zacząć, zanim...

– Nie wrócimy do Chodzieży? – dopowiedziała Janicka. – Wiem, Janek, jestem gotowa przypomnieć sobie wszystko jeszcze raz, choć w sumie to takich rzeczy się nie zapomina.

– To też – powiedział, a potem zamilkł. Musiał jej powiedzieć, że Sebastian jest w szponach psychopaty. Znów zyskał na czasie, lecz to nie mogło trwać przecież w nieskończoność.

– Hej, Janek, wszystko w porządku? Oparzyłeś się kawą czy co? – zapytała Karolina.

– Co? – ocknął się. – No właśnie zanim wrócimy do Chodzieży... Wiesz... ja...

– No właśnie nie wiem. – Karolina zaczęła coś podejrzewać. Nie podobało jej się dziwne zachowanie kolegi.

– No, że ja... Do momentu gdy to wszystko znów się zaczęło, umiałem żyć normalnie – dukał. – Dawałem radę, ale teraz czuję, że czasy luzu znów się zakończyły. Trzeba stawić czoła przeszłości. Karola, może jechać do Aśki? Sądziś, że to ma sens?

– Sama nie wiem? Myślałam o tym przez wzgląd na to, co się wydarzyło. Ale w telewizji mówili, że jest w śpiączce, nasza wizyta nic nie da. Pewnie nawet nas do niej nie wpuszczą.

– Racja – Jan podsumował stanowczo. – Pewnie nigdy nie zadamy jej pytań, które nie padły dwadzieścia lat temu. No chyba że ty miałaś z nią kontakt przez ten czas?

– Coś ty, Janek, jaki kontakt? Zwariowałaś? – zaprzeczyła Janicka. – Żyła obok nas w swoim nowym świecie i nigdy nawet nie próbowałam myśleć, aby się z nią zobaczyć. Nie dałabym rady. – Karolina odzyskiwała równowagę. Zaczynała mówić pewnie i rzeczowo, cały czas zachowując czujność.

– Wiem. A teraz już za późno... – Janek zamilkł, choć do głosu rwały się kotłujące myśli. Łudził się, że na nie jeszcze nie jest za późno. Ani na przekazanie okrutnych faktów Karolinie, ani na odnalezienie Sebastiana, ani na zdemaskowanie tego psychopaty. Na dalszy plan zaczęło schodzić myślenie o osobistych sprawach Jana oraz o tym, że postanowił rano zrobić porządek w swoim osobistym życiu.

– Mam nadzieję, że nie jest – westchnęła.

– Co?

– No, że nie jest za późno dla Aśki – wyjaśniła. – Co z tobą? Jesteś?

– Tak – odparł i wrócił na ziemię. – Jestem, jestem, tylko... – szukał w głowie jakiegokolwiek wątku, kryjąc w głębi ten najistotniejszy. – Tak się zastanawiam...

– Nad czym?

– Jak to się stało?

– Ale co? – chciała wiedzieć Janicka.

– No, że Aśka zaprosiła nas na te urodziny? – znalazł odpowiednią myśl, ale obiecał sobie, że będzie ona ostatnią wymówką przed tym, co powie za chwilę. Bez względu na wszystko i na dalszy przebieg rozmowy uczyni to, co do niego należy. – Przecież ona nawet nie chodziła z nami do klasy – kontynuował. – Była starsza o dwa lata, a z tego,

co pamiętam, poza szkołą zbytnio się nie kolegowaliśmy, co nie? – Zastanowił się nad użytym przed chwilą czasem przeszłym w odniesieniu do Joanny.

– No jak to jak? – zareagowała żywo. – Nie pamiętasz, jak ona szukała przyjaciół, jak bardzo chciała być akceptowana? Na przerwach przychodziła do nas, bo tylko my chcieliśmy z nią gadać. Uważała nas za swoich przyjaciół. A na kilka dni przed urodzinami spytała, czy do niej nie przyjedziemy. Płakała, że nie ma innych znajomych. No! – podsumowała z ironią. – Dopiero po czasie okazało się, że chodziło jej głównie o Sebastiana. Zabujała się w nim i nie wiedziała, jak się do niego zbliżyć.

– Ja tam nie wiem. Być może – odrzekł z zawahaniem w głosie. – Ale to wiesz, każdy z nas ma jakieś młodzieńcze zauroczenia – odpowiedział, przypominając sobie o najbardziej niefortunnym z nich. Dla niego i Sebastiana.

– Niby tak – zgodziła się Janicka. – Ale ja jakoś nie zauważyłam, aby Sebastian wykazywał nią jakiegokolwiek zainteresowanie. – Poczula w sercu solidne ukłucie zazdrości. Nie dopuszczała myśli, że jakaś inna dziewczyna mogłaby w ogóle myśleć o jej chłopaku. Nawet jeśli miało to miejsce dwie dekady temu.

– No ja też jakoś nie. – Poniatowski nie musiał kłamać, by uspokoić serce tęskniącej dziewczyny. Pamiętał, że Joanna była tylko elementem ich niecnego planu. – Zresztą, czy to ma teraz jakieś znaczenie? – zapytał.

– Dobra, jasne, że nie ma. Pokaż lepiej, co masz w tej kopercie. – Przekuwając smutek w mobilizację, dziewczyna odzyskała rezon.

Poniatowski zawahał się. W środku był przecież ten list i wiadomość, która może zabić Karolinę na miejscu.

– No tu masz wszystko to, co do mnie wysłał mój osobisty stalker – wysypał z koperty całą jej zawartość. Ręce trzęsły mu się jak galareta. Czerwona koperta, która wypadła ostatnia, raziła w oczy jaskrawością. Emanowała mroczną energią i drażniła zmysły czymś jeszcze, czego Janek nie był w stanie w tej chwili rozpoznać.

– No... trochę tego już masz – oceniła.

– No raczej – podsumował zbiory z dumą, tak jakby trzymał w ręce kolekcję unikatowych znaczków. – Ten ktoś musi mieć nierówno pod dekle. Spójrz na to. – Poniatowski wyjął z mniejszej, czerwonej koperty list i rozprostował kartkę. Teraz albo nigdy – pomyślał.

– List? – Karolina nie kryła zdziwienia.

– Tak. Otworzyłem go godzinę temu w pracy i przeczytałem. – Ej, co robisz? Zaczekaj! – próbował ją powstrzymać, ale było już po herbacie.

– Dzięki, kolego. – Karolina wyrwała Janowi list z dłoni. – Zobaczmy, co my tu mamy.

– Karolina, zaczekaj, może lepiej będzie, jak usłyszysz to z moich ust – chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył. Za późno. Ona zabije najpierw jego za to, że nie powiedział jej całej prawdy od razu, a na końcu zabije siebie i być może jeszcze kilka osób po drodze. Może Ankę, która pewnie wpadnie tu za chwilę, jak gdyby nigdy nic. Karolina po prostu nie udźwignie ciężaru tej informacji.

Zaczęła czytać. Rozszerzone źrenice szybko przesunęły się z jednej strony w drugą. Dwa okrągłe oczka skanera utrwały obrazy głęboko w pamięci. Trwało to mniej niż minutę i w tym czasie Poniatowski nie zdążył nawet wymyślić usprawiedliwienia.

– Skurwysyn, ma Świderka! A ty co? Co sobie, kurwa, myślałeś? W detektywa będziesz się bawić? – Karolina się wściekła. – Dzwoń na policję albo zejdź mi z oczu! – warknęła.

Który to już raz w ciągu ostatnich dni Janowi zrobiło się słabo? Nie zdążył tego policzyć, bo znowu zobaczył tylko bezgraniczną czerń.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe  
Anna Sass, Jarosław Grzesiuk

– To jak, boss, mogę już iść? Myślę, że szanowny nieboszczyk był zadowolony z imprezy. – Anna Sass zdjęła kelnerską zapaskę i rzuciła nią w kierownika. – Jestem styrana fizycznie i zjechała intelektualnie – dodała i bezwładnie opadła na krzesło.

– No nie mów, że aż tak bardzo się napracowałeś? – zadrwił Grzesiuk. – Przecież w pracy jesteś zaledwie od trzech godzin. Ciesz się, że zgodziłem się na to twoje nieplanowane wychodne.

– No cieszę się, a jakże – sapnęła. – A zmęczona to jestem od tych kręcących się wokół mnie mrocznych tematów. Wczoraj Karolina, no a dziś ta stypa. Zdecydowanie wolę obsługiwać wesela. – Sasanka podparła dłońmi ciężką z wycieńczenia głowę.

– Ja tam wolę stypy – burknął pod nosem Grzesiuk. – Martwi nigdy nie marudzą i nie mają już takich problemów, jak ty teraz. Nic ich nie boli i nie są zmęczeni. Czasem nawet lepiej dla nich, że już nie żyją.

– No co ty teraz bredzisz, boss? – zachnęła się pracownica. – Padło ci na mózg? Chyba też powinieneś odpocząć. Mówię ci, to wszystko stres i przepracowanie. Zobacz, kogo my musimy obsługiwać. Rodziny umarłaków, wylewających na obrusy oprócz barszczu albo rosółu morze słonych łez. Myślisz, że nam to się nie udziela? To są uciążliwe warunki pracy. Powinni nam płacić szkodliwe, bo o napiwkach pograżone w żałobach rodziny to już kompletnie zapominają! Tylko ciągle słyszę: więcej ziemniaków, więcej ziemniaków i jeszcze raz więcej ziemniaków. Jezu, ile można żreć tych ziemniaków? Przecież nie jesteśmy na wsi. – Kelnerka zaczęła się autentycznie rozkręcać. Wyrzucała z siebie w ten sposób cały nagromadzony stres.

– Jakie napiwki? Zwariowałaś? Rodziny trupów nigdy nie myślą o datkach!

– Ja tam nie wiem, Jarek. Gest i kulturę trzeba mieć zawsze, bez względu okoliczność – fuknęła. – Pieprzę taką robotę!

Zaczęła się nagle ubierać. Tak naprawdę nie była zła, ale zawsze lubiła prowokować i sprawdzać reakcję rozmówcy. Tak jak przed chwilą, kiedy w oczach kierownika zobaczyła gniew. Przystał się odzywać. Widocznie był zły, że tak bardzo marudziła, zamiast podziękować za to, że pozwolił jej wyjść dziś z pracy tak szybko. Przecież żaden przełożony nie lubi, kiedy jego pracownik narzeka na warunki pracy, którą tak naprawdę zawdzięcza właśnie swojemu zwierzchnikowi. Trochę przesadziła i chyba właśnie poczuła wyrzuty sumienia. Postanowiła nieco załagodzić sytuację.

– Jareczku, powiem ci tylko jedno. Stypy, nieboszczyki i psychopaci zawsze byli, będą i mogą być w każdej pracy. Ale z takim bossem jak ty wszystko jest do przejścia.

– No nie wiem, czy wszystko – odpowiedział całkiem poważnie Grzesiuk. – Są rzeczy, których nie jest w stanie przetrwać nawet największy twardziel, uwierz.

– No jasne, że tak – z uśmiechem na ustach zareagowała Sasanka, choć nie mogła wiedzieć, o czym pomyślał kolega.

– Idź już, bo się spóźnisz do tego swojego nowego przystojniaka. W ogóle to jak ma na imię ten boski cud i miód? – wyluzował Grzesiuk.

– No nie mówiłam ci? Janek. Śmiesznie, nie? A jakie ma nazwisko, nie uwierzysz. Jak ten słynny książe czy generał.

– No ciekawe jaki? Pewnie Anders albo Kutrzeba – zaśmiał się kierownik.

– Kto? Jaki Andersz? Ten aktor? – udała głupią, choć doskonale wiedziała, o kogo chodzi. Rozbawiła Grzesiuka, który szybko zapomniał o gniewie.

– No nie Andersz, tylko Anders – Jarek poprawił Ankę. – Przystań się zgrywać, bo pomyślę, że te studia to za gruszki skończyłaś. – Znów na twarzach współpracowników pojawił się blask szczerej serdeczności i przyjaźni takiej, jaką dało się wyczuć w tym pomieszczeniu dziś rano, zanim rozpoczęli zmianę.

– No dobrze, już dobrze, Poniatowski. Nazywa się Jan Poniatowski – odpowiedziała Sasanka i puściła oczko kierownikowi. – No co? Co cię tak zatkało – dodała, widząc dziwną reakcję Jarka. Znów coś pomyliłam? Przecież był taki generał!

Kierownik zmiany nic nie odpowiedział. Znał Poniatowskiego. Zresztą... Czego się spodziewać w mieście, w którym każdy wiedział o sobie wszystko, jeśli nie bezpośrednio, to przynajmniej z drugiej lub trzeciej ręki. Zrobiło mu się przykro i długo nie musiał się głowić, dlaczego dziewczyna, na której mu zależało, znów wybrała innego. Pewnie dlatego, że nie grzeszył urodą i nigdy niczym nie był w stanie nadrobić braków w tym zakresie. Choćby nie wiem, jak bardzo się starał, kobiety zawsze przechodziły obok niego obojętnie. Prześwietlały zachłannym wzrokiem spodnie w okolicach jego krocza, w którym ciężko było cokolwiek odnaleźć.

Jego podstawowy kompleks znów zaczynał rosnąć do niebagatelnych rozmiarów. Szkoda, że tylko kompleks potrafił tak szybko zwiększać swoją objętość, w przeciwieństwie do najważniejszej rzeczy dla każdego mężczyzny. Posmutniał i całkiem stracił humor. Anka musiała to zauważyć.

– Co jest, boss? Co się stało? – zapytała zatroskana.

– Co...? Nie, nic – Jarosław wyrwał się z przykrego zamyślenia. – Aniu, idź już. Jakoś zabolą mnie głowa od tego wszystkiego, nic takiego – skłamał.

– No widzisz! To jest to, o czym mówiłam – stwierdziła. – Praca z psychopatami i rodzinami umarłaków. Szkodliwe się należy, jak nic – próbowała dalej żartować kelnerka. Nie zauważyła jednak, aby choć trochę poprawiało to humor przygnębionego szefa. Naprawdę przesadziła dziś ze swoją paplaniną. Będzie musiała bardziej uważać na to, co mówi. Zawsze sobie to obiecuje i nic z tego nie wychodzi.

– To lecę, Jaruś, pa. Nie przemęczaj się i w razie czego dzwoń. Przylecę do ciebie jak na skrzydłach – dodała.

– Jasne. Uważaj na przewody – usiłował zażartować Grzesiuk, choć mu to nie wyszło. – Pa, do jutra.

– Bye, boss – wyszła, zostawiając za sobą zapach Si Giorgio Armaniego.

---

## Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe Julia Węgorzewska, Arkadiusz Żabski

Jakieś pół godziny temu dojechali do centrum. Doktor Arkadiusz Żabski zaparkował pachnące nowością, nieskazitelnie czarne bmw bezpośrednio przed wejściem do kliniki. Jakiś pacjent zgasił papierosa, a potem rzucił niedopałek na ziemię. Najpierw zwrócił uwagę na piękne, niemieckie auto, a dopiero później dostrzegł śmiejących się wewnątrz pasażerów. Szczerze zazdrościł doktorowi, którego rozpoznał zza szyby. Nie dość, że przystojny i cholernie bogaty, to jeszcze w towarzystwie młodej, pięknej dziewczyny. Ale czego tu się spodziewać? On musiałby tyrać całe życie, aby zarobić na taką brykę, oczywiście pod warunkiem, że nie jadłby w ogóle, nie płacił rachunków i chodził nagi, jak go pan Bóg stworzył.

A stworzył go po prostu brzydkim i nieśmiałym. Pożałował mu wszystkiego, co powinien mieć prawdziwy facet: wzrostu, męskości, wyglądu i pewności siebie. Może chociaż po operacji poziom jego życia jakoś się poprawi i już po miesiącu wprost od pana doktora otrzyma przylegające do głowy uszy, prosty nos, no i dużo więcej. Przecież nie miał nic do stracenia, a mógł zyskać tak wiele. Tylko jedna osoba wiedziała o jego zamiarach. To dla niej postanowił tak bardzo się zmienić.

Julia Węgorzewska nie wysiadła z samochodu pierwsza. Niczym prawdziwa dama poczekała, aż kierowca wyjdzie i sam otworzy jej drzwi. Pomyślała, że trzeba się szanować i mieć swoje zasady. Arkadiusz Żabski wyłączył silnik, spojrzął na Julię i uśmiechnął się, odsłaniając śnieżnobiałe, równusieńkie zęby. Wysiadł z auta i zgodnie z oczekiwaniami wymagającej pasażerki, obchodząc samochód z tyłu, stanął u drzwi dziewczyny. Otwierając je, ponownie się uśmiechnął.

– Zapraszam, jesteśmy na miejscu. Oto moje królestwo – zatoczył ręką niewielką pętlę, w której umieścił szklany gmach nowiusieńkiej kliniki.

– Dziękuję. – Węgorzewska była pod wrażeniem obrotu sprawy. Chyba bardziej pasuje do tego świata – pomyślała, wysiadając zwinnie z samochodu i odczytując nazwę „Cinderella Clinic”. Czują, że za chwilę stopy

poczują aksamitną miękkość czerwonego dywanu, nawet jeśli miałyby na nim stanąć w tych szpitalnych chodakach.  
– Piękna – rzuciła zalotnie, gdy już byli w środku.

– Oj, tak... Projektanci starali się jak mogli i chyba się im udało. Proszę. – Żabski wskazał otwartą dłońią przezroczyste drzwi na drugim końcu poczekalni i przepuścił dziewczynę przodem. Nie omieszkał spojrzeć pazernie na podskakujące sprężyscie, jędrne pośladki najnowszej zdobyczy. Praca pracą, ale w życiu nie ma nic za darmo – pomyślał. – Zaraz pokaże pani klinikę, a na końcu moje magiczne biuro – dodał, pogrążywszy się w dzikich fantazjach.

– Ale ja nie wiem... – szeptała, udając zakłopotanie. – Czy tutaj w ogóle pasuję? No proszę pomyśleć, panie doktorze – ciągnęła kokieteryjnie. – Ja w tak pięknej klinice?

– Pasuje pani do niej wprost idealnie – rzucił zalotnie Żabski, trwając wciąż w erotycznym podnieceniu. – Tak czy inaczej, dogadamy się. Będzie się pani tutaj czuła jak ryba w wodzie. Nowoczesna recepcja czeka na kogoś takiego. Piękno przyciąga piękno. No jak tam jeszcze mówią? Nie chciała góra do Mahometa?

– No tak – odpowiedziała Julka. – Ja to mam szczęście – dodała cicho.

– W rzeczy samej – podsumował lekarz. – No więc jak? Idziemy pertraktować? – spytał z przymrużeniem oka. – Zaczynam dziś o trzynastej, więc mamy prawie godzinkę.

– Jasne – rozochociła się młoda pielęgniarka.

Po chwili zniknęli za drzwiami. Dla Julki nie były to zwykłe szklane drzwi, lecz druga, dużo bardziej obiecująca strona magicznego lustra. Jeszcze nad ranem była nędznicą bez grosza w dziurawej sakiewce. Kopciuszkim, który nawet nie ośmieliłby się spojrzeć na swoje odbicie w zimnym zwierciadle. Po południu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieniła się w pewną siebie księżniczkę, która znów ma realny wpływ na swoją przyszłość. Co będzie wieczorem? Na razie o tym nie myślała, choć miała bezczelną pewność, że będzie już tylko lepiej.

Póki co w uszach brzmiał jej ciągle prostacki stukot szpitalnych chodaków.

---

## Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe Karolina Janicka, Anna Sass, Jan Poniatowski

– Co tak siedzicie? Umarł ktoś? – Sasanka buchnęła energią, jak granat wrzucony do bunkra. Jak zwykle najpierw powiedziała, a dopiero później pomyślała. – Karolina, czemu nie zamykasz drzwi? Wczoraj miałaś włam i nie musisz ci chyba powtarzać, że psychopatów w Pile jest od zatrzęsienia. – Dopiero po chwili dotarły do niej wysyłane z wnętrza pomieszczenia w jej kierunku fluidy. Z szeroko mówiących oczu Poniatowskiego wyczytała coś w stylu: lepiej siedź cicho! Niestety było trochę za późno.

– Zamknij się – warknęła Karolina, a potem znowu się rozplakała. Zakryła dłońmi zmęczoną twarz. Wstała i odwróciła się w stronę dużego okna wychodzącego na ulicę.

– Nie jest dobrze – szepnął Poniatowski, który wcześniej zrobił kilka kroków w stronę Anki. – Proszę, nie mów nic na razie. Za chwilę pogadamy. Dajmy Karolinie trochę czasu. – Skinął głową w kierunku przedpokoju, dając jednocześnie znak, by razem opuścili pokój. Anka szybko poddała się sugestii i po chwili stali razem za zamkniętymi drzwiami salonu.

– Co jest? Gadaj – Anka nie wytrzymała. Musiała się w końcu odezwać. Stwierdziła, że nie grają przecież w grę, w której zwycięża milczący najdłużej.

– A to jest! – odpowiedział Jan, pod sam nos podsuwając kelnerce list, który przed kilkoma minutami wypalił dziurę w sercu Janickiej. – Czytaj i siedź cicho, bo Karolina zabije najpierw mnie, a później ciebie – zagroził.

– Ale że co? Mam to przeczytać? Przecież tu jest ciemno jak w grobie. Zobacz – omiotła wzrokiem przedpokój. – Brak oświetlenia! Wzrok mi się popsuje, a ja muszę oszczędzać oczy. Wiosna idzie, a na Allegro niestety nikt za mnie nie posiedzi. Czy ty w ogóle wiesz, jak bardzo niszczy się wzrok przy zakupach internetowych? – z uwagi na

powagę sytuacji Anka posłusznie szeptała. – Czekał, tam jest więcej światła – wskazała na uchylone drzwi znajdujące się naprzeciw zamkniętego salonu i nie czekając na reakcję Janka, wtargnęła do kuchni.

Usiadła na taborecie przy wąskim stole i zaczęła czytać. Co jakiś czas odrywała wzrok z kartki, tak jakby upewniała się, że Poniatowski jest obok i na nią spogląda. Ale on już nie patrzył, wyszedł z kuchni. Anka usłyszała tylko skrzypnięcie otwieranych drzwi. Wstała i pobiegła za nim.

– Jezu, Karolina przepraszam. Tak mi przykro. Wybacz! Ja kompletnie nic nie wiedziałam. Przyszłabym wcześniej, ale ta stypa... – ugryzła się w język. Jak zwykle po fackie pomyślała, że słowo stypa w tej sytuacji może okazać się zwrotem nie na miejscu.

Karolina milczała, choć nie miała już w oczach takiego smutku. Podniosła głowę i spojrzała na koleżankę. Janek stał odwrócony plecami.

– Dobra – przerwał głuchą ciszę. – Dzwonię do Jahnci. – Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia z komnaty.

– Do kogo? – zdziwiła się Sasanka.

– No, na policję – odpowiedział, będąc już w przedpokojach, gdzie przeglądał kieszenie zimowego płaszcza. Ostrożnie wkładał ręce do środka, jakby w każdej chwili miał natrafić na zastawione pułapki na myszy. – O, jest... – szepnął bez entuzjazmu. Wcale nie zależało mu na znalezieniu wizytówki policjanta. Cały czas łudził się, że nie będzie musiał z niej skorzystać.

– Aha, ten z komisariatu? – Anka spojrzała na Jana, który na powrót pojawił się w salonie Janickiej.

– No i ten, który przesłuchiwał mnie, kiedy znalazłem Aşkę. – Poniatowski podszedł bliżej stołu i przez ramię milczącej Karoliny sięgnął po telefon. Odblokował ekran i wystukał numer funkcjonariusza. Cały czas bacznie obserwował tonącą we łzach przyjaciółkę i czekał na jej reakcję. W cichym pomieszczeniu dało się słyszeć pogłos nawiązywanego połączenia.

– Czekał, stop! – huknęła nagle Janicka. – Nie! Rozłącz się.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Mówiłaś przecież, że...

– Wiem, co mówiłam. Nie jestem idiotką! – warknęła. – Tylko że w tej jebanej sytuacji sama nie wiem, co powinniśmy zrobić – odzyskiwała stalowe nerwy. – Musimy działać sami – oznajmiła. – Jeżeli temu psychopacie zależy na nas, to zrobi kolejny krok. Krok, w którym...

– No, no, Karolcia. Nie rozpędzaj się, kochana – skomentowała wreszcie Sasanka. – Chyba zależy mu na was, bo co ja mogłabym mieć z nim...

– Jeśli coś ci nie odpowiada, nie musisz pomagać – Karolina brutalnie jej przerwała, a dopiero potem pomyślała, że koleżanka mogła chcieć sobie tylko zażartować. W swoim jakże oryginalnym stylu.

– Nie no, odpowiada, jest spoko – wytłumaczyła się Anka. – Chciałam tylko powiedzieć, że na takiej zwykłej kelnerce jak ja, to nawet psychopatom nie zależy. Jestem widocznie dla nich mało atrakcyjna. Trudno, taki już mój los. Ale wiecie, ja tam się nie skarzę. Zawsze gdy czuję się niepotrzebna, idę do galerii na zakupy albo szukam promocji w internecie. I wiecie jak to pomaga? – Słowotok Sasanki zaczął nabierać zawrotnej prędkości.

– No właśnie nie wiemy, Aniu – zaśmiał się Poniatowski. – Ale posłuchaj, bo mam propozycję. Pomożesz nam złapać jednego z tych psychopatów i sama mu powiesz, co sądzisz o takim zachowaniu. Może być?

– Jasne! – zaświergotała kelnerka. – Ale uważaj, bo psychopaci często są niezmiernie przystojni – zmysłnie odbiła piłeczkę, której celem były zmysły uroczego kolegi. Dobrze wiedziała, że męczyzna zrozumie dwuznaczność aluzji. – Nigdy nie wiesz, komu pomagasz – dodała.

– Ale nie przekonasz się, jeśli nie zaryzykujesz – zripostował lekko zawstydzony mężczyzna. Miał nadzieję, że Anka nie zauważyła fali gorąca rozpalającej mu lico. Nigdy nie miał z tym kłopotów, ale ta dziewczyna działała na niego niestandardowo. Bardzo mu się to podobało. – Prawda, Karolina? – chcąc uniknąć pąsowej dekonspiracji, odwrócił się w stronę Janickiej.

– Prawda to jest taka, że psychopaci to prędzej mogą z wami zrobić porządek – słowa Karoliny zabrzmiały arcygroźnie. Zdecydowanie nie podobało jej się to, że inni potrafili żartować w takich momentach. – Może łaskawie

usiądziecie i zastanowimy się, co robić? – bardziej rozkazała, niż zapytała. – Pokaż no resztę tego, co dostałeś. – Między ostatnie słowa wplotła nutę wykrzesanej właśnie łagodności.

Była na siebie zła, że potrafi być taka niemila. To efekt stresu i wielu innych skrajnych emocji. Po śmierci rodziców zachowywała się podobnie i miała nadzieję, że już nigdy nie wróci do takiego stanu. Pomyliła się. Anka i Janek posłusznie zasiedli przy stole. Wymienili się spojrzeniami, które sprzęgli z subtelnymi półuśmieszkami. Zaczynali się rozumieć bez słów.

– No to może zaczniemy od... – Janek wyjął ze stosiku papierów interesującą go kartkę. Nazwał ją „Mahomet i góra”. Co powiecie na to? – zapytał, kiedy rozłożył białą arkusz na stole.

– Co to ma, kurna, być? – Sasanka jak zwykle wałęsała z wielkiego kalibru bez strzałów ostrzegawczych. – Nie no, ten ktoś to serio jakiś popapraniec. W wydzieranki się bawi. Ludzie to mają!

– A co to za krzyże? – Karolina zwróciła się z pytaniem tylko do Jana, kompletnie nie zwracając uwagi na dygresję kelnerki. Nie miała siły na jej długie, pozbawione sensu wypowiedzi.

– To krzyż szatański, zwany też krzyżem zamętu – wyjaśnił rzeczowo bankowiec.

– Czekajcie! Mam... To znaczy gdzieś to już widziałam – zawołała rozentuzjasmowana kelnerka. – A może nie? Dobra, dawaj dalej, przystojniaku, bo pewnie mi się pomyliło z takim fajnym wisiorkiem. Pełno takich mają w H&M. Kurczę, to jest trop. W ogóle nie pomyślałam o biżuterii na wiosnę! No co? – zreflektowała się Sasanka, widząc nietęgę minę przyjaciół. – Nie patrzcie tak, usiłuję pomóc.

– Czekaj, stop! – wtrącił Poniatowski. – Jeśli już gdzieś to widziałas, to może pomyśl i sobie przypomnij. To może być cenna informacja. Może spotkałaś kogoś z taką biżuterią albo na przykład z podobnym tatuażem? – dopytywał zaciekawiony.

– Sama nie wiem, ale obiecuję intensywnie nad tym pomyśleć, najlepiej zanim zasną. Tylko wtedy głowa już pełna innych myśli. – Anka puściła oczko w stronę mężczyzny. Na szczęście widział je tylko sam zainteresowany, który delikatnie się uśmiechnął. Musiał szybko zmienić temat, bo w przeciwnym razie znów spiekłby raka.

– No, a o co chodzi z tym krzyżem? Sprawdzałeś to? – Janicka starała się skierować rozmowę na właściwe tory.

– Tak, sprawdziłem dziś rano. Głównie chodzi o to, że jest to symbol podważający istnienie Boga, wiary i wszystkiego, co święte. Typowo antyreligijny znak. Kompletnie nie wiem, jak to się ma do kontekstu listu.

– Może nijak się ma. Może to tylko chorobliwy bełkot i zmyłka? Co o tym sądzicie? – analizowała Janicka.

– No nie wiem, Kara. Zmyłka nie zmyłka, ale dla mnie jedno jest pewne. To jakiś pieprzony, religijny...

– Tak, tak, wiemy, Aniu, psychopata – po raz kolejny Janicka brutalnie skróciła wypowiedź podekscytowanej kelnerki. Przeszkadzała jej monotematyczność dziewczyny, do której jednak powoli zaczynała się przyzwyczajać.

– No właściwie to chciałam powiedzieć fanatyk, ale niech zostanie tak, jak przed chwilą wtrąciłaś. Widzę, koleżanko, że nadal uwielbiasz kończyć za mnie przerwane zdania. Nie, kochana, nie gniewam się, nic a nic. Przez te lata znajomości – Anka postanowiła utrzymywać przy życiu poczętę wczoraj kłamstwo – przyzwyczaiałam się do tego. Nawiasem mówiąc, każdy religijny fanatyk to psychopata, więc na jedno wychodzi – Anka pierwszy raz dała Karolinie do zrozumienia, że nie życzy sobie takiego traktowania.

– Przepraszam – zreflektowała się Karolina. – Wiem, że przesadzam, wybac. Ja naprawdę nie jestem dziś sobą. Jeszcze tylko jedno, jeśli pozwolisz?

– Nawijaj, kochana.

– Nigdy nie znosiłam kłamstw i zawsze brzydziły mnie nawet małe, niewinnie oszustwa. Dlatego myślę, że czas wyjaśnić Janowi, skąd się znamy, nie sądzisz? – uśmiechnęła się do Sasanki.

– No tak, masz rację. – Anka w lot załapała, o co chodzi Karolinie. Spojrzała na Jana z miną zbitego szczeniaczka. – My nie jesteśmy przyjaciółkami i nigdy nie pracowałyśmy razem. Znamy się od wczoraj. Kiedy cię zobaczyłam w komendzie, pomyślałam... – Sass zorientowała się, że nie może powiedzieć wprost, że wczoraj chciała zbliżyć się do nowo poznanego mężczyzny i uznała, że dla przyjaciółki Karoliny będzie to dużo łatwiejsze. – Pomyślałam, że... To znaczy... wiedziałam... – gubiła się całkiem w zeznaniach.

– Dobra, luz, nieważne. – Janek wybawił Ankę z opresji graniczącej z chwilowym zażenowaniem. – Za takie niewinne kłamstewka nie idzie się przecież do piekła – dodał. – Tym razem ci wybaczam, ale później będę zabierał fanty – uśmiechnął się i mrugnął uwodzicielsko.

– No więc nie znamy się z pracy, tylko poznałyśmy wczoraj – wtrąciła Janicka. – Anka obsługiwała mnie w restauracji, kiedy czekałam na Sebę. Później bardzo mi pomogła, a na końcu spotkaliśmy się wszyscy w komisariacie.

– Nie musisz mi nawet dziękować – zachichotała kelnerka.

– Przepraszam – zreflektowała się koleżanka. – Naprawdę, bardzo ci dziękuję. Gdyby nie ty i gdyby nie wy, to nie wiem, jak dałabym sobie z tym wszystkim radę. Pewnie też stałabym się psychopatą.

– Od tego ma się przyjaciół, niekoniecznie z dużym stażem – nadmienił Poniatowski.

– Karolina, bo zaraz pomyślę, że masz zadatki – zachichotała Sasanka. – Podobno w każdym człowieku jest coś z psychopaty, tylko potrzeba odpowiedniego bodźca, aby mógł się w nim zbudzić. Czytałam kiedyś taki artykuł w necie...

– Dobra, działamy! – Jan klasnął w dłonie, kierując dyskusję na właściwe tory. – Nie ma czasu do stracenia. Musimy go jak najszybciej znaleźć.

– Właśnie – potwierdziła Janicka. – Masz jakiś pomysł, o co chodzi z tym teksem? Nie przysłała góra do Mahometa?

– Domyślałem się tylko. – Janek zaczął wyjaśniać. – Wczoraj po południu ktoś podejrzany był u mnie w banku, ale nie widziałem nawet sylwetki tej osoby. A gdy wracałem do domu, w skrzynce była już przesyłka z tymi krzyżami. Nie mam pewności... – zamyślił się przez chwilę – ale mam dziwne wrażenie, że to nie był klient, dlatego powiązałem tę sytuację z tym, co było w skrzynce.

– Nie wiem, czy to ma związek – rzuciła Karolina. – Może rzeczywiście coś w tym jest.

– Na tysiąc procent, Karola – Anka dorzuciła swoje trzy grosze. – Pamiętaj, że nic w życiu nie dzieje się bez przyczyny.

– A wiecie, co jest jeszcze dziwnego w tej postaci z wczoraj? – zapytał, a potem od razu udzielił odpowiedzi: – Chyba spotkałem tego kogoś tydzień wcześniej. To znaczy... nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że to jedna i ta sama osoba.

– Zaraz, stop! – zaprotestowała Janicka. – Nie wiesz, kto był w banku, a masz wrażenie, że widziałeś tego kogoś tydzień wcześniej? – Przecież to się kupy nie trzyma – dodała.

– No wiem, jak to brzmi. Bez sensu, nie?

– No bez – odrzekła Karolina z rezygnacją w głosie, wypierając nadzieję na zdobycie nowych informacji.

– To są tylko moje przeczucia, a te nigdy mnie w życiu nie zawodziły – perorował Janek. – Chodzi o to, że w ten dzień, kiedy znalazłem Aşkę, gdy biegłem przez ulicę, aby jej pomóc, otarłem się o postać ubraną od stóp do głów na czarno. No i kiedy mijałem tę postać, to nie wiedzieć czemu, czułem jakąś taką dziwną do niej nienawiść. Emanowała strasznie negatywną energią. Pomyślałem wtedy nawet o śmierci. Wystraszyłem się.

– No wszystko pięknie, ładnie. Lekko może i nawet mrozi krew w żyłach ta czarna opowiadka. Powiedz tylko, na jakiej podstawie przypuszczasz, że ta twoja śmierć – Anka zrobiła cudzysłów palcami obu dłoni – była u ciebie w banku akurat po tygodniu?

– Ano tylko na podstawie swoich przeczuć – tłumaczył Poniatowski. – A tak jak mówiłem, zawsze w życiu mogłem na nich polegać.

– No dobra – głos zabrała Janicka. – Jeśli nawet, to chyba w bankach zawsze jest monitoring i możecie sprawdzać ostatnie nagrania.

– Racja, monitoring! – Janek zaklaskał w dłonie. Nie wiedział, skąd nagle wziął się u niego taki nawyk. Że też wcześniej nie pomyślał o odtworzeniu zapisu z kamer? – Zaraz to sprawdzę!

– Jeśli potwierdzą się twoje przypuszczenia, będziemy mieli tego psychopatę jak na dłoni. – Karolina zobaczyła światelko w tunelu.



– Albo kogoś, kto tylko doręcza przesyłki – zgasiła je szybko Sasanka. – W każdym razie jednego psychopatę mniej!

Poniatowski zerwał się z krzesła. Pośpiesznie zaczął składać rozsypaną na stole korespondencję, ale w końcu pozostawił papiery w jeszcze większym nieładzie. Stwierdził bowiem, że pojedzie do banku sam, a dziewczynom da czas na przeanalizowanie pozostałych przesyłek. Zabrał ze stołu komórkę. Nie omieszkiał upić jeszcze zimnej kawy z antycznej filiżanki. Nawet mały zastrzyk energii przyda się na drogę. Wziął też ciasteczko na zapas. Poczul się potwornie głodny i dopiero teraz uzmysłowił sobie, że od rana nic nie jadł. Wybiegł z mieszkania Karoliny jak poparzony. Nie ubrał płaszcza, jak zawsze.

– Zaraz będę – krzyknął tylko na pożegnanie. – Zaryglujcie drzwi!

---

## Piła, 12 stycznia 2016 roku, południe Julia Węgorzewska, Arkadiusz Żabski

Julia Węgorzewska pośpiesznie zbierała części garderoby, rozrzucone po gabinecie Żabskiego. Była naga, a w ustach jeszcze czuła smak spermy. Nawet nie wiedziała, kiedy uległa wdziękom przystojnego lekarza. Zaczęło się chyba od tego, jak przez spodnie oceniła wielkość jego męskości, pragnąc ją szybko potwierdzić. Dalej myślała już tylko o jednym. Penis doktora był taki, jakim go najpierw ujrzała w dzikiej, zachłannej fantazji. Tyle że z dużym bonusem. Mężczyźni chyba również spodobały się jej kobiece atuty, bo zareagował automatycznym wzwodem. Pomyślała, że jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie musiała w ogóle pracować. Spłaci swoje długi i w szybkim tempie skończy się jej wszystkie problemy.

Nie wiedziała, co robić. Zostać? Wyjść z gabinetu? Powiedzieć coś czy milczeć? Ubierać się czy czekać na jego dalszy ruch? Trwała przez moment w samozachowawczej niepewności. Głupia sytuacja. Zdecydowała się upuścić ubranie na ziemię i podejść do okna. Prócz chłodu styczniowego powietrza zmieszanego z dymem papierosa poczuła żar buchającego ciepła. Stała tak blisko, że sutkami dotknęła gładkich, umięśnionych pleców. Kilka razy musnęła piersiami o napiętą, opaloną skórę. Objęła dłońmi tułów i opuszczała obie ręce coraz niżej, informując muskularne ciało o rozkoszy, związanej z nadchodzącym dotykiem pulsującego krocza.

– Przestań! Co robisz? – burknął lekarz, a potem się do niej odwrócił. Spojrzał prosto w twarz pielęgniarki i przenikliwym wzrokiem powstrzymał rosnącą w oczach Julii falę pożądania. Myślisz, że wszystko ci wolno? – zapytał. – Dziwka!

Węgorzewska poczuła zimny dreszcz, który postawił na jej ciele tysiące milimetrowych włosków. Nie wiedziała, czy to z powodu otwartego okna, czy jego niespodziewanej agresji. Kiedy wreszcie mózg przetrawił zarejestrowane informacje, była już pewna, że zimne powietrze i brak ubrania nie mają nic wspólnego z jej ciarkami. Odskoczyła od Żabskiego na odległość kilku kroków i ponownie zaczęła składać w całość elementy zdekompletowanego stroju. Kiedy się schylała, kątem oka obserwowała kochanka. Stał znów twarzą do okna. Onanizował się, nie zwracając uwagi na jej obecność. Ubrała się szybko i z całej siły szarpnęła za stalową klamkę.

– Zamknięte – powiedział spokojnie, z podnieceniem w głosie. Mimiką twarzy lekarza zaczęła rządzić fala nadchodzącego orgazmu. – Zaraz cię wypuszczę – stęknął w spazmatycznym zadowoleniu. Jego mina uzależniona była teraz od miarowych skurczów szczytowania. Skończył, plamiąc zaciągnięte plisy. Wytarł białą rękę o brzuch i żyłasty pośladek, a potem podszedł do Julii.

Twarz Żabskiego znów była taka, jak wcześniej, a w oczach nie miał już furii krwiożerczego samca. Uśmiechnął się do przerażonej dziewczyny najszczerzej, jak tylko w danym momencie umiał.

– Względy bezpieczeństwa – powiedział z opanowaniem. – Na wypadek, gdyby ktoś niewychowany chciał tu wejść bez pukania. Zapraszam jutro o godzinie ósmej i z całego serca wolałbym, abyś nie spóźniła się w pierwszy dzień. Rozumiesz, suko! – zagrzmiał tak niespodziewanie, że Węgorzewska podskoczyła w strachu. Znów emanował

nienawiścią. – A jeśli cię jutro nie będzie, zapytam moje kamery przemysłowe, czy widziały nasze dzisiejsze pieszczoty. Do zobaczenia.

Julia nawet nie zarejestrowała okoliczności, w jakich znalazła się poza gabinetem Żabskiego. Wielość emocji oscylujących między miłosną ekstazą a skrajnym przerażeniem nie pozostawiał mózgowi wolnego miejsca na odbieranie standardowych bodźców i analizę zwykłych obrazów. Szpitalne chodaki Kopciuszka z ogromną częstotliwością wystukiwały rytm na lodowej powierzchni recepcyjnego holu.

– To się tak nie skończy, doktorku – wycedziła przez zęby. Wyszła ze szklanego gmachu Cinderelli. Nie odwracając się za siebie, podążyła w stronę centrum. – Jutro, godzina ósma rano? Dobra, ale na moich zasadach!

---

## Mrok, 12 stycznia 2016 roku, południe

### Sebastian Świdorski

Ktoś chodził wokół budynku. Sebastian słyszał nerwowe kroki i modlił się, by ich intensywność nigdy nie zmaląła. To mogłoby oznaczać, że albo nadzieja pomocy odeszła, albo widmo zagłady postanowiło wtargnąć do środka. Gdzieś głęboko wewnątrz półświadomego umysłu czuł, że kroki na betonie świadczą raczej o tej drugiej, zdecydowanie gorszej opcji. Bał się poruszyć, by nie zabrzęczeć łańcuchem. Jego płytki oddech wystarczająco mocno rozbrzmiewał w pustym ciemnym pomieszczeniu i budził przeraźliwy strach.

Potworny ból każdej części ciała niczym gąbka chłonał resztki logicznego myślenia i zachłannie zasysał kurczące się zapasy energii. Sebastian nasłuchiwał uważnie. Czekał na kolejne dochodzące z zewnątrz odgłosy miarowego marszu. Budynek, w którym się znajdował, musiał być bardzo mały, gdyż jego okrążenie trwało krótką chwilę. Jeszcze nigdy tak mocno się nie bał. Zawsze lubił horrory, lecz gdy je oglądał, nie wiedział, co znaczy bać się naprawdę.

Dźwięk kroków ustał. Świdorski pomyślał o hejnale z wieży Mariackiej, który urywał się w najmniej oczekiwanym momencie. Za chwilę tak jak w krakowskiej legendzie grot strzały przebije mu serce na wylot. Cisza. W oddali dało się słyszeć tylko podmuchy zimowego wiatru i szum rozkołysanych drzew. Zastanawiał się, która jest godzina i jaka jest pora dnia. Czy na zewnątrz jest widno czy panują wieczorne ciemności?

Usłyszał stukot zdejmowanej kłódki i odryglowywania drzwi. Czyli jednak będzie miał gościa. Nie wiedział, co robić. Ruszać się, leżeć, patrzeć, coś mówić, milczeć, błagać o wolność, pytać dlaczego? Pchnięte do wewnątrz drzwi zaskrzypiały i wpuściły do środka falującą masę mroźnego powietrza. Było stanowczo za zimne, ale okazało się potrzebne, by chwilowo oderwać się od wilgotnej, zatęchłej i dusznej atmosfery wnętrza. Zrobiło się widniej, ale tylko trochę. A jednak trwał dzień. Sebastian podniósł głowę. Z niepokojem spojrzął w stronę dźwięku i źródła świeżego powietrza. Miał dosłownie chwilę, aby przyjrzeć się otoczeniu i sfotografować wzrokiem kogoś, kto pewnie za chwilę zrobi mu krzywdę.

Usłyszał szmer kroków i pbrzęk metalu sunącego po nierównym murze. W przejściu między izbami dostrzegł obrys czarnej postaci. Stała tuż przy nim, lecz Sebastian nie był w stanie nazwać charakterystycznych szczegółów sylwetki. Wciąż było zbyt ciemno, a on za bardzo bał się spojrzeć w oczy swojemu przeznaczeniu. To już koniec – pomyślał. Zamknął oczy i zaczął szukać w myślach słów jakiegokolwiek modlitwy. Chyba nic innego mu nie pozostało.

Pierwszy cios był płytki, a ostry ból przyszedł zaraz po nim. Ostrze przebiło mu skórę i zatrzymało na kostce, skutej żelazną obręczą. Sebastian nie zdążył nawet zareagować i szarpnąć łańcuchem, gdy przed oczami ujrzał zakrwawione ostrze. Nóż wyglądał na nowy. I nawet w mroku błysnął refleksem światła, by po chwili zniknąć z powrotem w ciemnościach. Drugie dźgnięcie przebiło mu bok zaraz nad miednicą, a kolejne dosięgały brzucha, żeber, mostka, ramion i obojczyka. Ciosy zadawane były bez logicznego układu, w krótkich odstępach czasowych. Sebastian liczył cięcia, ale to nie pomogło usystematyzować cierpienia, nie oszukało strachu i nie zmniejszyło dolegliwości. Po każdej zadanej ranie przed oczami widział coraz bardziej zakrwawione ostrze.

Widok własnej krwi był paraliżujący. Słodko-kwaśny zapach zabrudzonej stali dodawał mu zbędnej pewności, że wszystko dzieje się serio. Krzyknął z bólu tylko za pierwszym razem, bo wtedy działała jeszcze nadzieja i przeświadczenie, że to tylko zły sen. Później zagryzł zęby, liczył ciosy i milczał. Sam był zdziwiony, że jest w stanie wytrzymać tak wiele. Przekonał się, że rolą ofiary jest znosić cierpienie z godnością i stopniowo przygotowywać się na najgorsze. Łowca i zwierzyna. Tak było od niepamiętnych czasów i niechybna śmierć milionów istnień zawsze musiała być okupiona podobnie wyglądającym wstępem.

Jednym haustem wypił mętną breję, którą ten ktoś zostawiał mu zawsze na koniec. Gorzka zawartość blaszanego kubka zaczęła działać od razu. Zawirowało mu w głowie, a przed oczami zobaczył ogrom białej nieskończoności. Podobała mu się znacznie bardziej niż bezkresna ciemność. Resztką zmysłów usłyszał oddalające się kroki i trzask zamykanych drzwi. Brzęk stalowych rygli i zardzewiały pisk kłódki napawały go wielką nadzieją, że jego cierpienie na razie się zakończyło. Może uda się zasnąć i obudzić rankiem w ciepłym łóżku służbowego lokum? Oblany potem tylko przez chwilę będzie analizował morderczą wizję z sennego koszmaru, po czym uśmiechnie się do siebie i z nadzieją położy głowę na miękkiej poduszce. Będzie tak, z pewnością. Zatem dobranoc, Sebastianie, do jutra. Jutro będzie lepiej.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, wczesne popołudnie

Jan Poniatowski

Poniatowski często łamał przepisy kodeksu drogowego, ale rzadko zdarzało mu się naruszyć tak wiele paragrafów naraz. Dziś nie miał czasu się tym przejmować i nawet nie chciał myśleć, jak wiele kamer na przejściach dla pieszych zarejestrowało kanarkową hondę civic, ujeżdżającą zebry na czerwonym świetle. Choć samochód miał swoje lata, umiał jeszcze zaskoczyć nie tylko zrywnym charakterem, ale i naleźycie utrzymaną, zadbaną powierzchnością.

Jan z piskiem opon zatrzymał rozpędzone auto. Tuż pod oddziałem Prime Banku. Wpadł do środka i na zapleczu kartą magnetyczną odblokował zamek serwerowni, w której znajdowało się serce systemu monitorującego oddział. Zastanawiał się, jaki zakres czasowy przyjąć i z której kamery obraz da możliwość zrobienia najdokładniejszych zdjęć postaci w czerni. Jeśli ktoś siedział na krzeselkach poczekalni, to najlepszy będzie widok całego popołudnia z dwójki – zauważył w myślach. Wybrał z klawiatury zapis rejestru z drugiej kamery, wciskając odpowiednie przyciski. Ustawił zakres godzinowy i rozpoczął przeglądanie filmu. Włączył maksymalne przyspieszenie i cierpliwie czekał. Z początku nic się nie działo, a wewnątrz bez konkretnego celu kręcili się tylko pracownicy banku. Przyspieszone tempo odtwarzanego filmu powodowało, że wyglądali bardzo komicznie.

Do banku ktoś wszedł. Kamera widziała to bardzo dokładnie. Zarejestrowała wszystko po to, aby teraz zdać Janowi relację z wczorajszej wizyty. W porę zatrzymał rozpędzony film. Cofnął kawałek i klatka po klatce przesuwiał zarejestrowane na dysku nagranie.

– Jest – szepnął z podnieceniem. Gardło miał ściśnięte tak mocno, że nie potrafił przełknąć śliny. Sięgnął do kieszeni i włączył aparat w komórce. Zrobił kilka ujęć, a potem nagrał krótki filmik. Kiedy skończył, chciał wybrać numer Janickiej, lecz zdecydowanie wołał usłyszeć melodyjny głos Anki.

– Mam go – zawołał, zanim się odezwała. Nie był nawet pewien, czy odebrała telefon. – Czekajcie na mnie, już jadę!

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, popołudnie

Jan Poniatowski

Podeksycytowany odpalił silnik hondy i z piskiem opon włączył się do ruchu. W tyle zostawił światła bankowych witryn z Bydgoskiej.

Po tym jak przejrzał nagranie, nie miał wątpliwości, że postać, którą minął na ulicy w dniu odnalezienia Joanny, to ta sama osoba, która odwiedziła go w pracy tydzień później. Tylko co zrobić z tą informacją i co ona tak naprawdę wnosi do ich prywatnego śledztwa? Zastanowił się nad tym za chwilę w trójkę. Włączył radio. Dziennikarz zachęcał do pozostania przy odbiornikach aż do serwisu informacyjnego. Podobno pojawiły się nowe fakty w sprawie pilskiego nożownika. Która to już z kolei, niczego niewnosząca do sprawy rewelacja? – zastanowił się w duchu. Media od tygodnia nie informowały o niczym nowym, lecz miały wciąż te same informacje. Podtrzymywały atmosferę grozy i podsycaly wątek tragedii. Spekulowały, symulowały i zapraszały tych samych ekspertów.

Wcisnął pedał gazu i podkręcił potencjometr radia. Wybrzmiał sygnał serwisu informacyjnego, a po chwili spiker rozpoczął podawanie wiadomości: „Dziś w pilskim szpitalu zmarła Joanna Borecka – brutalnie skatowana kobieta, którą odnaleziono w tragicznym stanie w ubiegłym tygodniu na jednej z ulic w centrum miasta. Policja nadal poszukuje sprawcy brutalnego morderstwa...”.

W pierwszej chwili Poniatowski przyswoił informację ze stoickim spokojem, jakby po raz kolejny mówiono o katastrofie smoleńskiej sprzed sześciu lat. Ciągle to samo – pomyślał. Osluchany z powielanymi faktami w obu sprawach przestał kompletnie na nie reagować. Dopiero po chwili mózg przetworzył zasłyszany komunikat i wysłał Janowi negatywną wiadomość o krótkiej treści: O kurwa! Nie jest dobrze!

Otóż rzeczywiście zbyt dobrze nie było. Poniatowski właśnie uświadomił sobie, że nie żyje jego znajoma z dawnych lat, a zaginiony wczoraj przyjaciel jest w rękach – teraz było już pewne – psychopatycznego mordercy.

Zaparkował hondę przed domem Janickiej, stanął przed drzwiami ponemieckiej twierdzy i wziął głęboki oddech. Jeszcze wczoraj w nocy zmagał się z nimi, wymieniając tę cholerną wkładkę, a dziś znów go straszą. I choć za dnia nie wyglądały aż tak posępnie, po zmroku kojarzyły się Poniatowskiemu z wejściem do podziemnego labiryntu Minotaura.

Z tyłu głowy poczuł znajome, intuicyjne dźgnięcie. To podświadomość wysłała kolejny sygnał ostrzegawczy. Zinterpretował wirtualny cios jako złe wspomnienia wczorajszego dnia. Spojrzał na szczelinę w niedomkniętych drzwiach. Zdziwił się, gdyż był pewien, że zatrasnął za sobą klekoczące skrzydło. Widocznie dziewczyny wychodziły, kiedy go nie było. Pchnął drzwi do środka. Zaskrzypiały niemilo, odsłaniając ponure wnętrza. W chłodnym przedśionku unosił się zapach starych mebli i wilgotnych ścian. Skrzypienie drewnianej podłogi raz po raz zakłócało ciszę. Włączył światło. Żółty blask zakurzonej lampy z trudem złamała ciemność, a bzyk uszkodzonej żarówki współgrał z chrobotem startego parkietu. Były to jedyne dźwięki, jakie emitowała stęchła przestrzeń domu, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Poniatowskiego. Chciał głośno krzyknąć „wróciłem”, ale zrezygnował. Dziwne napięcie panujące wewnątrz i kolejne intuicyjne dźgnięcie, jakie otrzymał przed chwilą, wywołały u niego serię dreszczy. I jeszcze to przejmujące zimno.

Zrobił kilka kroków w przód, a potem zajrzał do kuchni. Pusto i równie ponuro. Podeszedł do drzwi salonu i przyłożył ucho do pomalowanego wieloma warstwami drewna. Chciał usłyszeć cichą rozmowę koleżanek, ale zamiast tego zarejestrował dziwny szelest. Spojrzał na mosiężną klamkę, położył dłoń na zimnym metalu i delikatnie nacisnął rzeźbiony uchwył. Zamek zachrobotał gniewnie, ale drzwi nie chciały ustąpić.

– Co to, do cholery? – zaklął pod nosem i wzdygnął się na myśl o kolejnej możliwej makabrze. – Klucz? Mógłbym przysiąc, że go tu wcześniej nie było.

Czym prędzej przekręcił klucz w zamku, mając nadzieję, że wszystko będzie w takim samym porządku, jak było przed jego wyjściem. Stał mocno chrupnęła dwa razy. Głośne echo nieprzyjemnego dźwięku poraziło uszy mężczyzny. Nie wystraszył się hałasu, ale bardziej tego, co może zobaczyć za drzwiami.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, popołudnie  
Aleksandra Poniatowska, Halina Sępniaak

– Olu, poczekaj – zawołała Halinka zza sklepowej szyby, którą właśnie wycierała na sucho. Przedsięwziętymi porządkami postanowiła zabić nudę i rozładować złość na Mariannę. Nie mogła usiedzieć beczynnym, tym bardziej że klientów było jak na lekarstwo. Wtedy zauważyła przechodzącą obok sklepu przyjaciółkę. – Jesteś! Musimy pogadać – krzyknęła.

– Halinko, nie teraz, śpieszę się. Dopiero pojechała dyrekcja, a ja jestem w polu z robotą. Mówię ci, kurwa, mam dosyć! – zaklęła jak szewc Poniatowska. Zawsze tak robiła, kiedy nie radziła sobie z nadmiarem obowiązków. – Za chwilę mam rekrutację! Muszę do końca tygodnia przyjąć jeszcze dwie osoby – biadoliła w stresie. – Muszę lecieć, pa.

– Oleńko, proszę, wejść tylko na chwilę – nalegała Halinka. – Tamta dziewczyna nie żyje. Janek już wie? Znaleźli list na jej łóżku!

– Co? – zaskoczona Poniatowska szybko minęła witrynę, weszła do środka i po chwili stała z drugiej strony wystawowego szkła obok Stępnikowej, trzymającej w ręku zwitek zielonych papierowych ręczników. – Smugi ci wyszły – skomentowała. – Dam ci nowy płyn. Dyrektorka mi dzisiaj przywozła.

– Jaki płyn, co ty gadasz? Nie żyje Borecka!

– No i co z tego, Halina? Przecież ona się tylko męczyła. – Ola westchnęła.

– Jak możesz, Olu? – zrugła Poniatowską przyjaciółka. – Przecież to koleżanka twojego Janka.

– No wiem, wiem. Przepraszam, ale mam dziś urwanie głowy. Wiesz, ta kontrola z centrali!

– Musisz jak najprędzej skontaktować się z synem. On pewnie wie dużo więcej. – Stępnikowa zaczęła narzucać własną wolę. – Dowiedz się wszystkiego i wróć szybko na późniejszą kawkę.

– Nie mogę, Halinko, coś ty? – zaprotestowała zdecydowanym tonem Aleksandra. – Mówiłam ci już, że nie dam rady. Zadzwońię do Janka wieczorem i jutro zrobimy ranną nasiadówkę. – Poniatowska zaczęła studiować ciekawość Haliny.

– No jak chcesz – fuknęła zdegustowana.

– Bardziej muszę – usprawiedliwiała się przyjaciółka. – Jak nie zrekrutuję dwóch sprzątaczek, to sama będę zamiatać ulice. – Ola pozwoliła sobie na żarcik. – No, ale wspomniałaś o liście, który napisała Joanna.

– Nie napisała, tylko dostała. – Ekspedientka znów zaczęła się ekscytować. – Ktoś położył jej kopertę na łóżku. Znalazła ją pielęgniarka. No mówię ci! Sensacja jak nic. Jak dla mnie, to ta Joanna i całe to zamieszanie wokół niej ma głębszy sens – kontynuowała z egzaltacją Stępnikowa.

– No, być może ma... – urwała zamyślona.

W głowie tak naprawdę miała inne problemy. Dla niej najważniejsze było to, że dzisiejsza wizytacja nie do końca przebiegła zgodnie z planem. Wykazano kilka uchybień, na które tak doświadczona menadżerka nie powinna sobie pozwolić. Dodatkowo dyrekcja nakazała jej do końca tygodnia zatrudnić dwie dodatkowe osoby.

– Katastrofa na całej linii – skomentowała na głos Aleksandra.

– Tak, kochana – huknęła podniecona Halinka. Cieszyła się, że Ola w końcu zaczęła myśleć o konkretach. – Ten list to jakiś horror – dodała, patrząc jej prosto w oczy. Czyżby dopiero teraz wróciła myślami do sprawy Joanny?

– No... A skąd niby wiesz o tym liście, co? Nie słyszałam, aby media mówiły o takich szczegółach. – Poniatowska postanowiła inteligentnie ostudzić nadnaturalne pobudzenie koleżanki. Znała jej skłonności do plotek i wiedziała, że to pytanie nieco zbije ją z pantałyku. Postanowiła więc zaryzykować i skłamała, że coś niecoś wie o śmierci Boreckiej.

– Ja?

– No ty, Halinko, a kto?

– Ja to wiem... Skąd? – kręciła ekspedientka. – Od... to znaczy... z radia wiem. Mówią o tym przez cały dzień – zaryzykowała. Odwróciła wzrok i zaczęła nerwowo gnieść trzymane w dłoni ręczniki. – No ale, słoneczko, przepraszam, że męczę cię takimi przykrościami po ciężkim dniu. Powinnam była chociaż zapytać jak twoje sprawy. Jeszcze raz przepraszam. Wybaczysz?

– Jasne – Poniatowska odrzekła z nieskrywaną ulgą. – Tak jak mówiłam, zadzwonię do Janka po pracy i jutro rano spotykamy się na kawce. Będiesz jutro czy rzucasz robotę? Mówiłaś już Mariannie?

– Jeszcze nie. Nie mam serca jej zostawić samej z tym wszystkim – sklepowa wskazała na sklepik. – Dam jej jeszcze szansę – dodała. Też ma swoje problemy. No dobra, dosyć o mnie – rzekła, by zakończyć temat. – Leć już, Oleńko. Nie zatrzymuję cię.

– No to baj! Do juterka, Halinko.

– Pa, kochana.

---

Piła, 12 stycznia 2016 roku, popołudnie

Jan Poniatowski

Poniatowski szarpnął za klamkę. Metal zaskrzypiał, powodując ostry ból w uszach. Drzwi salonu szeroko się otworzyły. Wciąż nie opuszczało go przeświadczenie, że coś jest nie tak i bynajmniej nie miał na myśli wyłącznie tego, że dziewczyny nie czekały na jego powrót. Mogły chociaż dryndnąć, że wychodzą – pomyślał.

Wszedł powoli do środka. Minął stół i stanął twarzą do okna. Zdziwił się, że na zewnątrz tak nagle zrobiło się ciemno. Pokój Janickiej oświetlony był żółtym światłem kryształowej lampy. Jej blask rykoszetem odbijał się w potężnych oknach z kratami. Oprócz świetlnych refleksów Jan dostrzegł w szybie coś jeszcze.

– Wiedziałem, że coś tu nie gra – westchnął i poczuł jak jego ciało zalewa fala gorąca. Ręce zaczęły mu drżeć, a mięśnie karku spięły się od stresu. Nie mógł i nie chciał się teraz odwrócić. Czasami lepiej jest być sparaliżowanym i mieć strach po swojej stronie. Uruchomił wszystkie zmysły i zaczął intensywnie myśleć. Chciał dać sobie więcej czasu na ocenę sytuacji.

– Co to jest? – szepnął. Kolejny wytwór chorej wyobraźni czy zniekształcone odbicie realnego obrazu, który wyłonił się za plecami? Nie odwracaj się! – krzyczał wewnętrzny głos. Nie rób tego! To nie może być prawda!

## ROZDZIAŁ 4

### Chodzież, 17 Sierpnia 1996 roku, południe Joanna Kalicka, Aniela Kalicka, Bernard Kalicki

– Mamo, znów dzwonił pan Wiktor. Chciał z tobą rozmawiać – Joasia wołała z głębi chłodnego przedpokoju. Upał nie przybrał jeszcze na sile. – Mam już dość odbierania cudzych telefonów – narzekała. – Dziś moje święto, a ja tracę czas.

Nastolatka odłożyła z hukiem ciężką słuchawkę na widełki. Aniela Kalicka podskoczyła złęknona. Tyle razy prosiła Wiktora, aby się nie narzucał. Miała go coraz bardziej dość. Minęło przecież osiemnaście lat, a czasu cofnąć się nie da. Powinien się cieszyć, że w ogóle mają ze sobą kontakt.

Mężczyzna od kilku dni bezskutecznie próbował wprosić się na urodziny Joanny, ale postawa Kalickiej była niezłomna. W obecności byłego kochanka Aniela nigdy nie mogła być sobą. Nie uspokajała jej nawet świadomość, że Bernard niczego nie podejrzewał. Nigdy nie był drobiazgowy i w tym przypadku również nie wnikał w szczegóły ich dawnej, studenckiej przyjaźni. Na początku był nieco zazdrosny, ale z biegiem lat polubił Szewczyka i nawet smakowała mu wódka w jego towarzystwie. Tylko Aniela coraz mocniej cierpiała na bóle stóp od zadawania szturchańców pod stołem. Wiktor się zmienił i chyba coraz mniej bał się ukrytej prawdy. Zrobił się bardziej rozmowny, pił więcej i pozwalał sobie na zbyt dużą swobodę w interpretacji ustalonych faktów z przeszłości. Czego on chce, do jasnej cholery? – zastanawiała się stale. Czyżby z biegiem lat coraz bardziej zależało mu na Joasi? Chce pieniędzy z wygranej Bernarda czy mnie gnębić bez końca? – Aniela przeklęła pod nosem, żeby oddalić od siebie strach.

– To dlaczego nie poprosiłaś mnie do telefonu? – zawołała i spojrzała na córkę, która zjawiała się w drzwiach, chcąc sprawdzić, jak idą kulinarne przygotowania do wieczornej uroczystości. Aniela otarła mokre czoło wierzchem lewego przedramienia. Obie dłonie miała ubrudzone klejącą masą. Właśnie kręciła krem do ulubionego tortu Joanny.

– Bo nie chciał czekać. Powiedział, że jeszcze zadzwoni – odpowiedziała zdruzzona jubilatka. – Zapytałam, czy coś przekazać, ale nic nie chciał powiedzieć.

– Aha... – matka udała mało zainteresowaną.

– Jak idzie? – zapytała nastolatka, ogarniając wzrokiem bałagan panujący w kuchni.

– Kończę. Został tylko krem i dekoracja.

– No i kupa sprzątanania... Mamo, jak ty to robisz, że tak bardzo bałaganisz przy pieczeniu? – Joanna zaczęła droczyć się z matką.

– Nie narzekaj. Sama robię bałagan i sama zawsze go likwiduję. W przeciwieństwie do ciebie, moja panno. – Aniela zręcznie odbiła piłeczkę. – Posprzątałaś w swoim pokoju?

– W pokoju...? Po co? Przecież to nie muzeum.

– A po to, że jak będzie tam taki rozgardiasz, to twoi znajomi, a wśród nich Sebastian, nie będą mieli nawet na czym usiąść.

– Oj, mamo – przerwała zawstydzona dziewczyna. – Jak możesz? – zamilkła na chwilę, zbierając siły do odwetu.

– Nie będzie siadał. Będziemy całować się na stojąco – odcięła się nagle. Mówiła pewnie i z uniesioną głową, choć z lekko różowymi polikami. – W końcu od dziś jestem dorosła i mogę robić to, na co mam ochotę.

– Skoro jesteś taka dorosła, to może wreszcie zaczniesz pomagać w prostych czynnościach domowych? – zripostowała Aniela.

– Oj, mammo... – westchnęła ponownie Joanna. – Takie kobiety jak ja są stworzone do wyższych celów.

– Tak, a ciekawe do jakich? – chciała wiedzieć matka.

– No jeszcze nie wiem do jakich – córka się zawahała. – Ale na pewno nie do tego, aby siedzieć w domu i sprzątać to, co za chwilę i tak zamieni się w jeden, wielki bajzel – dodała. Zrobiła okrężny ruch otwartą dłońią, otaczając pętlą rozgardiasz panujący w kuchni.

– Nie przejmuj się, kochanie. Do przyjścia twojego narzeczonego będzie tu lśniło czystością i pachniało urodzinowymi specjałami, które właśnie stworzyłam w tym twórczym bałaganie. A teraz chciałam ci powiedzieć, że masz na włosach pełno czekoladowej masy – matka postanowiła blefować.

– O nie, gdzie? – Asia złapała się za gęste, kręcone pukle. Nie mogła niczego znaleźć, dlatego szybko wróciła do przedpokoju, aby przejrzeć się w dużym lustrze. – Ożeż ty, kłamczucho. Nic nie mam! – fuknęła rozłoszczona.

– Mam cię – zarechotała Aniela. – Co? Bałaś się, że Sebastian się do ciebie przyklei? – Matka uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Dobra, OK. Nabrałaś mnie, ale już nie masz dużej porcji czekoladowego kremu. – Nastolatka wróciła do kuchni tylko po to, aby wytknąć matce język i pokazać, że uwielbia z nią w ten sposób żartować. Wsadziła rękę do wielkiej, glinianej makutry, nabrała na palec nieco gęstej, brązowej masy i z rozkoszą zanurzyła palec w ustach. – Będziesz musiała sobie dorobić – rozchichotała się.

– A masz, łasuchu. – Aniela udawała zdenerwowanie. Wyszarpnęła z kuchennej zapaski kraciastą ściereczkę i zaczęła smagać mokrym materiałem niesforną córkę. – Poszła mi stąd – krzyknęła, uśmiechając się szczerze. – Ale już cię tu nie widzę!

– Co tu się znowu dzieje? – Ni stąd, ni zowąd w kuchennych drzwiach stanął zagniewany ojciec. Minę miał srogą i chyba nie był w najlepszym humorze. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, a Aniela nie znajdowała dla męża słów pocieszenia. W rękach trzymał torby z zakupami.

– Nic, tato – zareagowała rozochociona nastolatka. – Mama sprawia mi lanie kuchenną szmatą. Zrób coś, proszę – zachęcającym wzrokiem usiłowała wciągnąć ojca w niewinną zabawę. – Pomóż mi. Masz może coś pod ręką?

– Nie mam ochoty na te wasze głupie zabawy. Gdzie to postawić? – Kalicki omiół wzrokiem kuchnię i wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia. Najwyraźniej jemu bałagan w kuchni przeszkadzał całkiem na poważnie.

– Daj, wezmę je. – Żona ruszyła w stronę Bernarda, zapominając o rękach wysmarowanych tłustym kremem.

– Zostaw – ryknął rozłoszczony Kalicki. – Wszystko upaćkasz!

Matka i córka wymieniły się spojrzeniami. Dla nich wszystko było już jasne. Niewinne żarty oraz zabawne przekomarzania właśnie się zakończyły. Od tej pory trzeba było zachować stuprocentową powagę. Tak w obecności ojca działo się coraz częściej, czego Joasia nie potrafiła zrozumieć. Nie pytała rodziców, o co chodzi, bo bała się odpowiedzi, ale bezsprzecznie traciła możliwość spędzania dobrych chwil z własnym ojcem.

Rozłoszczony mężczyzna postawił torby z zakupami na środku kuchni. Zużyte linoleum zaskrzypiało, po czym Bernard wyszedł. Matka i córka trwały przez chwilę w milczeniu.

– Co się dzieje, mamusiu? – przerwała ciszę Joanna.

– Nie wiem, kochanie – Aniela skłamała. – Widocznie ma gorsze dni – westchnęła, a potem podeszła do córki i mocno ją przytuliła. Kochała ją bezgranicznie, czego nie mógł wyrazić nawet tak silny uścisk.

– Jest taki przeze mnie? – próbowała dopytać się dziewczyna. – Przecież...

– Idź do siebie, słonko – przerwała jej matka. – Szykuj się na wieczór, a tym starym durniem w ogóle się nie martw. Wezmę go w obroty i wieczorem będzie chodził jak w zegarku – zażartowała z wysiłkiem Aniela. Sama nie wierzyła w to, co mówi, ale dla dobrego samopoczucia jubilatki potrafiła blefować, zachowując twarz pokerzystki. W ogóle nie miała ochoty na rozmowę z Bernardem, ale musiała z nim wyjaśnić sprawy, o których wolałaby zapomnieć. Wiedziała, że nie będzie to proste.



---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneek

Julia Węgorzewska

Julia Węgorzewska dawno nie miała tak ogromnego kaca. Z pragnienia mogłaby wypić nawet wodę z klozetu, gdyby tylko ktoś jej ją przyniósł. Przesadziła wczoraj z darmowym alkoholem, choć potrzebowała tego jak nigdy. Z trudem przypomniawszy sobie, w której knajpie teleportowała się do odprężającego raję, zaraz po tym, jak w złości opuściła zdradzieckie wrota Cinderelli. Pamiętała tylko, że stamtąd wróciła taksówką. Znow z tym samym podstarzałym marudą.

Mobilizująca wszechmoc pragnienia zwlekła ją z łóżka. Spojrzała na wyświetlacz komórki. Została jej niecała godzina na doprowadzenie swojego ciała do stanu używalności oraz na wykonanie solidnego kamuflażu mocno spuchniętej twarzy. Zdąży, jeśli zmusi obolały organizm siłą niezłomnego charakteru. Wojowniczkę nigdy się nie poddają i nie rezygnują z nadarżających się okazji. Tak prestiżowa posada, z tak atrakcyjnym wynagrodzeniem, nie leży przecież na ulicy. Do tego dochodziła szansa na wypracowanie dodatkowych środków za znalezienie haka i odegranie się na stukniętym doktorcu.

Weszła do wychłodzonej łazienki i odkręciła wodę w kabinie. Zrzuciła piżamę, sploła ręce na piersiach i przestępując z nogi na nogę, czekała na pojawienie się obłoków gorącej pary. W ciągu tych kilkunastu chwil zdała sobie sprawę, że wszystko zaczyna się od nowa. Nowy dzień, nowe szanse i nowa trampolina, amortyzująca niespodziewane upadki. Ciekawe ile razy dziś spadnie na cztery łapy i jak bardzo los będzie jej sprzyjał. Jest praktycznie bez grosza, nie licząc kilkunastu bezwartościowych monet w starym portfelu. Dobrze, że właściciel mieszkania zgodził się na miesiąc przerwy w opłaceniu czynszu. To był kolejny fart, dla którego nie musiała nawet pokazywać cycków. To znaczy odpięła bluzeczkę, kiedy przyszedł kilka dni temu po swoją należność, ale ten skrzywił się kwaśno i poczerwieniał na twarzy. Powiedział, że pieniądze nie są w życiu najważniejsze. Gej czy prawiczek? – zastanowiła się w duchu, a przez chwilę nawet pomyślała, że być może to z nią robi się coś nie w porządku. Niemniej jednak uśmiechnęła się serdecznie, przeprosiła za trudną sytuację i pocałowała go w lewy policzek.

Powietrze w małej łazience zaczęło tracić na przejrzystości, a zyskiwać na coraz wyższej temperaturze. Julia ostrożnie weszła do nagrzananej kabiny. Przymknęła oczy i pozwoliła, aby rozproszony strumień gorącej wody uderzył w skórę łaknącą relaksu. Wróciła do wspomnień sprzed podjęcia pracy. Pomyślała o tym, czego się dopuściła, i o wysokiej cenie, jaką przyszło jej za to zapłacić. Psychiczny rachunek sumienia będzie tak samo trudny do uregulowania, jak fizyczny koszt ginekologicznego zabiegu. Potrzebowała pięciu tysięcy złotych, które musi oddać pieklącemu się pośrednikowi. Szybko otworzyła oczy. Nie chciała znow widzieć zielonych płytek zniszczonej sali zabiegów.

Gorąca woda doskonale spełniła swoją rolę. Zmyła brudne ślady wczorajszych przygód i przegnała mroczne myśli. Węgorzewska w pośpiechu osuszyła ciało szorstkim ręcznikiem. Tym samym, którym przed chwilą przetręła mocno wilgotne lustro. Przyjrzała się dokładnie zniekształconemu odbiciu. Jest lepiej, niż się spodziewała. Czym prędzej owinęła ciężkim materiałem mokre włosy i naga pobiegła do pokoju, w którym unosił się jeszcze kwaśny zapach na wpół strawionego piwa. Zdjęła z regału szkatułkę z kosmetykami i wróciła do rozgrzanej łazienki. Dobre oświetlenie to połowa sukcesu w wykonaniu perfekcyjnego makijażu. Dziś musi olśniewać naturalnym pięknem kobiecości. Wyjęła z pudranka małą buteleczkę podkładu i nałożyła kilka porcji na rękę. Kiedy zbliżyła dłoń do twarzy, w niewielkim pomieszczeniu zgasły wszystkie żarówki. Nastąpiła przerażająca ciemność.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneek

Aleksandra Poniatowska

Aleksandra Poniatowska włączyła telewizor i wybrała z listy kanałów pierwszą z brzegu stację informacyjną. Wczorajsza rozmowa z przyjaciółką zmusiła ją do szybkiego nadrobienia medialnych zaległości, tym bardziej że kryminalny szum związany ze śmiercią Joanny Boreckiej bezpośrednio dotyczył dręczonych problemami syna.

W ogóle nie musiała czekać na kolejną odśłonę faktów w wiadomej sprawie. Korespondent ogólnopolskiej stacji stał z futrzaną czapką na głowie, z włochatym mikrofonem w ręku przed szklanym wejściem do pilskiego szpitala. Zaczepiał stojących przed budynkiem pacjentów, którzy nałożywszy na pasiaste piżamy znoszone puchate kurtki, palili papierosy, trzęsąc się przy tym i tupiąc z zimna zmechaconymi laczkami. Wszyscy przecząco kiwali głowami, kiedy dziennikarz zbliżał się do nich z wilgotnym szczurem i zadawał pytania. Sondował, czy mogą cokolwiek powiedzieć o śmierci Joanny Boreckiej. Sugerował niejednoznaczność wczorajszych wydarzeń, pytając, czy nie zauważyli niczego podejrzanego oraz jakie jest ich zdanie na temat nagłego pogorszenia się stanu zdrowia najsłynniejszej pacjentki w Polsce. Na koniec przysunął przesiąknięty wilgocią mikrofon do ust, spojrzął wprost w oko kamery i prawdopodobnie po raz kolejny powtórzył to, czego opinia publiczna dowiedziała się wczoraj wieczorem.

Dla Poniatowskiej była to dziewczca dawka informacji, więc słów sprawozdawcy wysłuchała z szeroko otwartymi oczami. Z niedowierzaniem pokręciła głową. Znała przecież Joannę. Mocno przeżyła sprawę sprzed dwudziestu lat i miała nie lada kłopot z doprowadzeniem psychiki Janka do stanu sprzed wydarzeń, którymi wtedy również żył cały kraj. Dziś sprawa Boreckiej wracała niczym australijski bumerang, a przeszłość uderzała ze zdwojoną siłą. Jak bardzo życiem rodziny Poniatowskich kierują mroczne zbiegi okoliczności, aby dwukrotnie cierpieć przez jedną i tę samą osobę?

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneK

Natasza Poniatowska, Aleksandra Poniatowska, Remigiusz Poniatowski

Natasza Poniatowska spojrzała na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Za piętnaście minut powinna być w biurze i zabrać się wreszcie za przygotowanie umowy współpracy z nowym kontrahentem. W ubiegłym tygodniu zakończyła wreszcie negocjacje z szefem restauracji Świtez, która w organizacji przyjęć ślubnych była najlepsza w tym mieście.

Dotychczas gdy próbowała zgodnie z życzeniem klientów zorganizować wesele właśnie tam, musiała walczyć z zaporowymi cenami oraz przesadnie odległymi terminami. Od teraz miało się to wreszcie zmienić, bo właściciel Świtezi obiecał jej Wspaniałym Ślubom prawo pierwszeństwa w rezerwacji najbardziej chodliwych terminów oraz szereg atrakcyjnych zniżek związanych z perspektywą długofalowej współpracy. Wstępne rozmowy zostały już zakończone. Pozostały kwestie formalne, których dopilnowaniem chciała się zająć od dzisiaj. Wszystko jednak wskazywało na to, że nie uda się jej zjawić w biurze o planowanej godzinie.

– Jak on mógł zapomnieć o tej koszykówce? – przekleła pod nosem, wspominając wczorajszą gonitwę. Przecież napisała mu o treningu z samego rana. Czy on to robi specjalnie? Oj, oberwie mu się za to! Już ona odpłaci mu pięknym za nadobne.

Nie... nie odpłaci i nawet nie powie mu złego słowa. Za bardzo za nim tęskniła, żywiąc wielką nadzieję na szybki powrót do czasów miłości dodającej skrzydeł i unoszącej nad ziemią. I choć postanowiła sobie, że skryte nadzieje nie wygrają starcia z miażdżącą siłą kobiecego honoru, bardzo cierpiała i nienawidziła życia bez tego drania.

– Mamo, a wiesz, ile CP ma pokemon typu trawiastego, Bulbasaur? Zobacz sobie! – zawołał Remigiusz, podsuwając matce pod sam nos małą tekturkę z kolorowym stworkiem. Natasza zapinała synowi kurtkę w pośpiechu.

– Nie wiem – prawie krzyknęła. – Proszę, nie zwracaj mi teraz głowy tymi swoimi pokemonami, bo ja się na tym kompletnie nie znam – dodała już nieco łagodniej.

– A tata na pewno by wiedział. – Remik zrobił zawiedzioną minę i spuścił nos na kwintę. – Tata się zna na pokemonach, a ty nigdy nie chcesz ze mną o nich rozmawiać.

– No to skoro tata tak bardzo się na wszystkim zna, to może niech nam powie, dlaczego tak często zapomina o najprostszych rodzinnych obowiązkach? – zapytała w złości.

– Mamo, przestań znowu tak mówić. – Remigiusz podniósł wzrok. Spojrzał na matkę i zaczął płakać. – Bo wtedy tata nigdy do nas wróci.

– Proszę, ubieraj czapkę i szalik, bo spóźnimy się do przedszkola. – Zmiana tematu nigdy nie była idealnym rozwiązaniem, ale teraz tylko to przyszło Nataszy do głowy. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak bardzo ich rodzina potrzebowała znowu być całością. Tak było zawsze i tak zostać powinno. Wierchem dłoni starła łzy spływające jej po policzkach. – Przecież widzicie się z tatą bardzo często. Nie możesz chyba narzekać? – rzuciła.

– Ale ja chciałbym, abyśmy znów mieszkali razem w naszym domu, tak jak kiedyś. Pamiętasz?

– Jak będziemy się tak mazgaić, to tata na pewno nie będzie chciał z nami mieszkać. No pomyśl, kto chciałby mieszkać z dwiema beksami? – totalnie się rozkleiła i musiała jakoś ratować sytuację. Żart, nawet niskich lotów, zawsze rozwiewał czarne chmury wiszące nisko nad głową zasmuconego synka. Chyba zauważyła delikatną poprawę.

– No ale przecież nikt nie widzi, że płaczemy. Mamo, nie powiesz tacie? Proszę.

– Jak się szybko ubierzesz, to nie pisnę ani słóweczka. Umowa? – Poniatowska wystawiła prawą dłoń i czekała na przypieczętowanie zawartego paktu silnym uściskiem dłoni małego mężczyzny. Jakże on był podobny do oryginału.

– Tak, tak, tak! – zachwyił się chłopiec i demonstrując nadprzeciętną siłę, zaczął potrząsać schwytaną dłonią uśmiechniętej matki. – Tylko pamiętaj. Nie mów nikomu.

– Nikomu ani słowa, obiecuję. Tylko puść już moją rękę, bo mi ją urwiesz, siłaczku.

– No, jestem już prawie tak silny, jak tata – z dumą odpowiedział Remigiusz. – A wiesz, mamo, że najsilniejszy legendarny pokemon Rayquaza ma jeszcze więcej mocy ode mnie? On ma tyle energii, że mógłby pokonać nawet kilku przeciwników naraz.

– A ma tyle siły, żeby założyć ci czapkę i szalik?

– Pokemony nie noszą czapek.

– No dobra, ale ty ją załóż. I czekaj na mnie na dole – rozkazała matka, a potem zaczęła pośpiesznie zgarniać wszystkie potrzebne rzeczy do torebki. W tym momencie z głośnika jej telefonu zaczęła płynąć melodia ulubionej piosenki Nataszy: *Nothing's gonna change my love for you* Glenna Medeirosa. Wysłuchała cierpliwie całego refrenu i zamknęła za sobą drzwi od mieszkania. Na korytarzu słychać było schodzącego w dół Remigiusza.

– Odbierz, mamo, to na pewno tata – zawołał Remik z niższej kondygnacji.

– Nie krzycz, sąsiedzi jeszcze śpią – szepnęła Natasza.

– Ale to tata? – dopytywał chłopiec.

Natasza dogoniła synka. Z kieszeni nadal dochodziło głośne zawodzenie Glenna. Po chwili stąpali już po mokrym chodniku. Teraz spokojnie mogła wydobyć z kieszeni dzwoniący telefon. Spojrzała na jaskrawy wyświetlacz i zobaczyła migające zdjęcie byłej teściowej. Niezły początek dnia – pomyślała. Zdecydowanie pod znakiem rodziny Poniatowskich. Już zaczął się dość nerwowo, a przed nią jeszcze kilka godzin wyczerpanej pracy, która będzie rzutować na przyszłość jej firmy. Wspaniałe Śluby – cóż za ironia losu? Kobieta po przejściach organizuje swoim klientom najważniejszy dzień w ich przyszłym, wspólnym życiu. Szewc bez butów chodzi. Natasza zachichotała.

– Mamo, z czego się śmiejesz? Z fotki babci? Przecież sama ją kiedyś zrobiłaś.

– Nie, synku, nie śmieję się z babci. Po prostu coś mi się przypomniało – skłamała.

– No to pewnie cieszysz się, że to nie tata? – Chłopiec nagle posmutniał.

– No coś ty, Remik. Dlaczego tak myślisz? Mnie też go przecież brakuje. – Poniatowska nie zdążyła ugryźć się w język i nie mogła wprost uwierzyć, że kiedy wymówiła ostatnie zdanie, zrobiło się jej lżej na sercu.

– Naprawdę? – Oczywiście Remigiusza zamigotały jasnym światłem obudzonej nadziei. – To dlaczego nie zadzwonisz do taty? Zapytasz go, czy chce znów z nami mieszkać?

– Bo to nie jest takie proste, kochanie. – Natasza otworzyła tylne drzwi samochodu. – Wsiadaj szybko, bo znów spóźnisz się na śniadanie w przedszkolu.

– To jest proste, mamo. Wystarczy tylko zadzwonić i spytać. No dalej, zrób to.

– Remik, nie teraz. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Tłumaczyłam ci przecież...

– A kiedy, mamo? – Remigiusz nie odpuszczał. – Nie chcę już czekać. Chcę, aby znów było jak dawniej. – Zapiął pasy i przyjął wygodną pozycję. Był gotów na dalszą polemikę z matką. – A może dziś, jak wrócę z przedszkola?

– Co...? Nie wiem. Proszę, nie męcz mnie już tymi pytaniami – odpowiedziała matka.

– Ale obiecaj mi, że dziś porozmawiasz z tatą. – Syn zrobił minę nieuznającą sprzeciwu, a świdrującym spojrzeniem zdemaskował skrywane pragnienia ukochanej matki. Wiedział, że jest w stanie zrobić dla niego wszystko, i właśnie teraz postanowił to wykorzystać.

– No dobrze... zadzwonię – uległa w końcu Natasza. Uśmiechnęła się do syna i przeszedł ją dreszcz zimnej paniki. Przez chwilę poczuła, jakby miała umówić się na pierwszą randkę z nowo poznanym chłopakiem. To dobry objaw – pomyślała i choć wiedziała, że jej rozmowa z Janem przybierze jałową, pozbawioną dawnej swobody formę krótkiego sprawozdania, postanowiła dać im szansę.

– Huraaaa! Jesteś najcudowniejszą mamą na świecie! A zaprosimy tatę na kolację?

– Nie przeginaj, młody, bo się rozmyślę. Teraz ruszamy, a ja porozmawiam z babcią, bo chyba nie daje za wygraną – zaśmiała się Poniatowska.

– Nooo. Babcia nigdy nie odpuszcza – odpowiedział uszczęśliwiony Remigiusz. – Lepiej babci nie denerwować. Jedziemy! – zdecydował.

– Co się stało, mamo? Pali się czy jak? – zażartowała Natasza. Co jak co, ale dowcipkować z byłą teściową można było nawet po rozwodzie.

– Cześć, śpicie? – zapytała, zamiast odpowiedzieć. Poczuła ogromną ulgę. A więc jednak odebrała.

– No jak tu spać, gdy telefon dzwoni jak oszalały. – Natasza nie przestawała żartować. – Boże, jak bardzo musiałaś się stęsknić za najlepszą synową na świecie!

– Innej nie mam – Aleksandra zripostowała oschle. – Musimy pogadać – rzuciła.

– Tak? – spytała skonsternowana Natasza.

– A tak! O aktualnych problemach mojego syna, a twojego byłego męża – starsza z kobiet postanowiła nie owijać w bawełnę.

– Słucham? – Natasza się mocno zdenerwowała. – Nic nie rozumiem.

– A czego tu nie rozumieć, kochana? Pomyśl lepiej, jak możemy mu pomóc? Przecież sam nie da sobie rady z tym wszystkim.

– Mamo, proszę, nie wracajmy znów do rozwodu. Wiesz dobrze, że to sprawa między mną a Janem, i nie obraż się, ale nie zamierzam po raz kolejny o tym z tobą rozmawiać.

– Natasza! – Ola mówiła tak głośno, że jej rozmówczyni musiała odsunąć telefon od ucha. – Dobrze wiesz, że nie o rozwód tu chodzi.

– Nie? A niby o co? – spytała z niekłamany zdziwieniem.

– No jak o co? Przestań udawać, kochana. Wiesz dobrze, co mam na myśli.

– No a skąd mam wiedzieć, mamo, co masz na myśli, dzwoniąc do mnie z samego rana? – odcięła się Natasza.

– Ano sprawę Janka mam właśnie na myśli i całą tę zbrodnię sprzed lat. – Teściowa nie była w stanie się uspokoić. – I morderstwo Boreckiej. Może mi jeszcze powiesz, że nie słyszałaś o prześladowcy Janka? To on porwał Sebastiana, jak nic. No, jesteś tam? Powiedz coś... Halo!

– Ale, mamo... – synowa próbowała zabrać głos, bezskutecznie.

– Ja wiem – przerwała jej Aleksandra, gdy tylko upewniła się, że nadal trwa połączenie – między wami nie jest za dobrze. Ale w obliczu tego, co się teraz dzieje, powinniście zakopać topór wojenny, nie sądzisz?

– Ja? – spytała Natasza. Właśnie zatrzymała samochód pod przedszkolem syna. Pokonanie tej kilkusetmetrowej odległości zwykle zabierało chwilę. Remigiusz nawet nie zauważył, że są już na miejscu. Wciągnęła go gra

w telefonie.

– Ty, no, a kto, ksiądz? Janek potrzebuje pomocy i dobrze o tym wiesz. Tak samo jak o tym, że sam o nią nigdy nie poprosi. Prędejsz się wykończy, niż pierwszy wyciągnie rękę.

– Mamo, ale o czym ty mówisz? Ja naprawdę nic nie wiem. On mi nic nie mówi.

– Ale chyba masz telewizor, prawda?

– Tak. – Była żona Poniatowskiego czuła, jak wzbiera w niej irytacja. Na krótką chwilę odsunęła telefon od ucha, licząc szeptem do dziesięciu. – Mam w domu telewizor. – Wziąwszy głęboki wdech, postanowiła kontynuować: – Wiem też, że Joanna to znajoma Janka z czasów szkolnych i że on miał kiedyś poważne problemy przez rodzinę Kalickich. Ale nigdy nie wnikałam dlaczego, zresztą... – westchnęła – twój syn nigdy nie był specjalnie wylewny, jeśli chodzi o swoją przeszłość.

– No i może mi jeszcze powiesz, że nie wiesz, że to właśnie Janek znalazł na Bydgoskiej poranioną Joannę oraz że dostaje anonimy? A nękanie telefonami? Też nic ci o tym nie wiadomo? A porwanie Świderskiego? – Teściowa nadal przypuszczała atak.

– Co? Jakie pogroźki? Jakie porwanie? Mamo, o czym ty mówisz? – dociekała Natasza. Czuła, że jeśli natychmiast nie dowie się, o co chodzi, eksploduje.

– Kochana, ty naprawdę nic nie wiesz? Jak to możliwe? – Aleksandra zniżyła głos do szeptu, jakby bała się, że ktoś podsłucha rozmowę. Dotarło do niej, że synowa może mówić prawdę.

– Nie, mamo, nic a nic. Proszę, powiedz, w czym rzecz, bo szlag mnie trafi na miejscu.

Matka Jana spuściła nieco z tonu. Zorientowała się, że synowa rzeczywiście nie jest na bieżąco. Niby skąd miała o tym wszystkim wiedzieć? – zastanowiła się w myślach. Media nie podawały szczegółów personalnych osób, które były w jakikolwiek sposób powiązane ze znalezieniem Joanny Kalickiej, a teraz Boreckiej. Dodatkowo byli małżonkowie nie musieli wcale rozmawiać o szczegółach swojego życia prywatnego z przeszłości.

Teściowa opowiedziała zatem synowej wszystko to, czego dowiedziała się w ostatnim czasie od Janka. Natasza słuchała, nie odzywając się nawet jednym słowem. Po raz kolejny dzisiejszego ranka natłok negatywnych emocji rozgrzał kochające serce do granic możliwości. Czuła złość, panikę, strach, zdziwienie i zaskoczenie jednocześnie. Na koniec rozmowy teściowa poprosiła Nataszę o spotkanie z Janem oraz o to, aby synowa choć na chwilę zapomniała o ich małżeńskich animozjach.

– Nataszko? Jesteś tam? Natasza, kurwa mać – zaklęła. – Znow mi nawalił telefon.

– Jestem – rzekła otumaniona dziewczyna. – Ale nie wiem, co mam powiedzieć. Tak, oczywiście... Spotkam się z Jankiem – obiecała. – Boże, dlaczego ja nic nie wiedziałam? Jest mi przykro, że zostawiliście to wszystko dla siebie. Dlaczego?

– Ależ kochanie, ja naprawdę myślałam, że wiesz o wszystkim. Nie pytałam Janka, czy tobie też opowiada o wszystkim, bo byłam pewna, że...

– Muszę kończyć – przerwała.

– Halo, poczekaj, przepraszam. Zresztą... – Aleksandra chciała jeszcze coś dodać, ale zamilkła. – Nieważne... Teraz najistotniejsze są sprawy naszego Janka. – Halo, jesteś tam?

Natasza rozłączyła się, bo poczuła wściekłość. Dopiero teraz dotarło do niej, że w tej rodzinie zawsze była piątym kołem u wozu. Z tak ważnymi problemami Jan oczywiście zgłosił się do mamusi, a nie do niej. Jednak nie mogła liczyć na nic innego. Tyle razy próbował się do niej zbliżyć, proponował kawę, chciał porozmawiać, zostać na noc i błagać o przebaczenie. Ona widziała dokładnie, jakie są jego intencje, ale wołała zawczasu zgasić tłące się w jego oczach jasne iskierki nadziei. Bała się, że wróci do punktu wyjścia. Gdzie kara? Gdzie konsekwencje? – myślała. Na miłości już się przejechała, ale na byciu konsekwentną – nigdy. Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego losowi tak bardzo zależy na tym, aby zbliżyć ich do siebie po raz kolejny?

Piła, 13 stycznia 2016 roku, ranek  
Julia Węgorzewska, Gracjan Witkowski

Julia Węgorzewska miała tylko jeden szlafrok i nie zawahała się go użyć w obliczu panujących ciemności i uciekającego czasu. To nawet lepiej, że niemal w całości był wykonany z prześwitującej koronki. Właściwie to mogłaby go w ogóle nie zakładać i efekt jędrnej nagości byłby praktycznie ten sam. Dobrze, że właściciel czynszowej kamienicy rezydował zaledwie piętro wyżej, a o tej porze w budynku nie powinno być nikogo, poza nią i tym dziwakiem, Gracjanem Witkowskim.

Wcisnęła guzik archaicznego dzwonka, typowego dla starych kamienic i już po chwili ujrzała właściciela zrujnowanego przybytku we własnej osobie.

– Dzień dobry, pani Julio – powiedział zdumiony. – Nie umawialiśmy się czasem z płatnością na następny miesiąc? – świdrował przenikliwym wzrokiem zwiewną postać sąsiadki.

– Tak, oczywiście, dziękuję panu raz jeszcze z całego serca – mówiąc o sercu, Węgorzewska wysunęła piersi od przodu. – To miłe z pana strony, ale ja dzisiaj w zupełnie innej sprawie.

– Tak? A w jakiej?

– Mogę? – rozneglizowana lokatorka wskazała wzrokiem wewnątrz przestronnego lokum. Zauważyła, że jej wdzięki nie robią wrażenia na właścicielu mieszkania. A może to tylko siła jego wstrzemięźliwości? – Nie będziemy chyba tak kwitnąć na klatce, prawda?

– Ale... proszę – odparł skołowany mężczyzna. – Właściwie to ja wychodzę za chwilę – delikatnie uchylił drzwi. – W czym mogę pomóc?

– Nie wiem, co się stało, panie Gracjanie – Julia zaświergotała. – Wykąpałam się, wyszłam z wanny, zaczęłam robić makijaż, aż tu nagle – cyk... – zawiesiła głos, zakotyssał piersiami i kuscielsko strzeliła oczami – iskierka zgasała i nastały egipskie ciemności. Myślałam, że wyłączyli prąd, ale widzę, że u pana pełna iluminacja. Tylko u mnie czarno – uskarżała się teatralnie.

Półnaga piękność coraz pewniej wchodziła w głąb zadbanego mieszkania. W jasnym salonie, w przepychu wyszukanych ozdób i gąszczu nietuzinkowych bibelotów uwagę dziewczyny zwróciły poustawiane na mahoniowej komodzie okazałe zdjęcia w stylowych oprawach. Było ich mnóstwo, a szczególną ciekawość Julii wzbudziła monotematyczność fotograficznej galerii. Z wszystkich bowiem ramek uśmiechały się wyłącznie dwie męskie sylwetki przedstawiające Gracjana Witkowskiego oraz jakiegoś mężczyznę. Kilka zdjęć przyozdobiono cyfrowo, a z innych utworzono kolaż. Pielęgniarka chciała podejść bliżej bibelotowej wystawki, lecz zauważyła srogi wzrok spozostawczego Gracjana. Najwyraźniej nie był zachwycony jawnym lustrowaniem jego prywatności.

– Dziwne... - szepnęła zbyt głośno.

– Ale co jest dziwne, sąsiadko? – Gracjan spytał podenerwowany, zasłaniając sobą widok perfekcyjnego wnętrza. Nie spodobało mu się nachalne zachowanie lokatorki, która zbyt swobodnie poczuła się w jego królestwie. Niepotrzebnie wpuścił to dziewczę do środka.

– Co? – zapytała Julia wyrwana z analitycznego letargu. – A, nic... No dziwne, sąsiedzie – próbowała wybrnąć z kłopotliwego impasu. – Ten prąd... Dziwne, że go nie ma.

– A sprawdzała pani bezpieczniki? Pewnie wysiadł któryś z nich. Mamy tu starą instalację i co chwila coś strzela. – Witkowski ustabilizował tembr głosu.

– A mógłby pan rzucić swoim męskim, fachowym okiem? Proszę. Dziś to dla mnie sprawa życia lub śmierci – uwodziła dalej. – Może poszuka pan zapasowych koreczków?

– No... to znaczy... dobrze – odpowiedział niechętnie mężczyzna. Nie w smak mu było opuszczenie miejsca, z którego mógł kontrolować pole widzenia niespodziewanego gościa. Trudno, przecież to tylko mało bystra siksa – pomyślał i pierwszy raz dzisiejszego ranka uśmiechnął się serdecznie. – Zaraz poszukam, sąsiadko. Powinienem mieć jeszcze kilka w drugim pokoju.

– To cudownie – zaczęła kobieta. – Proszę iść sprawdzić, a ja tu grzecznie poczekam. Boję się wracać sama do tego ciemnego mieszkania. Brr! Wolałabym nawet nie myśleć...

Nie dokończyła. Mężczyzny nie było już w salonie. W aneksie kuchennym zauważyła otwartego laptopa na stole. Obok włączonego urządzenia stała filiżanka z parującą kawą.

– O, filmik, no proszę... – szepnęła pod nosem zaaferowana. – Zobaczmy, czym z samego rana raczy się nasz grubasek z drugiego piętra – zarechotała, a potem wstrzymała oddech.

– Ma pani szczęście. – Witkowski zjawił się bez uprzedzenia. Julia podskoczyła złęknona, potrącając chwiejną filiżankę. Czarna zawartość naczynia rozlała się na stole i wartkim strumieniem zaczynała ściekać na drewnianą podłogę. – Mam jeszcze kilka bezpieczników i zaraz...

– Przepraszam najmocniej, ja... to znaczy... Coś działo się z pana komputerem – kłamstwem kamuflowała wścibskość. – Tak, właśnie! Podeszłam, bo myślałam, że się zaczął palić. Warczał tak bardzo i szumiał – tłumaczyła. To, co przed chwilą widziała na ekranie laptopa, przyda się jej na pewno.

– Jak pani śmie! – warknął. Opanował się jednak i po chwili załagodził efekt nietaktownej reakcji. – Jak pani śmie przejmować się takimi rzeczami. Proszę to zostawić, ja posprzątam.

– Oj, sąsiedzie, jakże mi przykro – odparła, ratując parkiet. Robiła to tak sprytnie, że nachylając się nad mokrą podłogą, coraz bardziej eksponowała nagość okazałego biustu. Ale czy szlafrok był dobrym pomysłem w kontekście zarejestrowanych faktów? Sama już nie wiedziała. Nagle coś dostrzegła. Na parkiecie szczerze się do niej uśmiechnął zgięty, stuzłotowy banknot. To się nazywa mieć szczęście – pomyślała rozradowana, a potem głośno zaprotestowała: – O nie... absolutnie. Nie mogę pozwolić na to, aby sam sprzątał pan bałagan, który ja zrobiłam. – Coraz głębiej wchodziła pod blat kuchennego stołu. Nadal nie mogła dosięgnąć majaczącej stówki.

– Proszę to zostawić – powtórzył Witkowski i zerknął na ekran komputera. Chciał sprawdzić, czy wścibska lokatorka mogła odkryć prawdę. Świat nie był na nią jeszcze gotowy i chyba już nigdy nie będzie. – I jak tam na dole?

– Dob... Auć – pielęgniarka uderzyła głową w drewniany blat. Aktorsko spotęgowała uczucie nagłych dolegliwości. – Dobrze. – W kieszeni miała już pochwycony banknot. – Raz jeszcze najmocniej przepraszam.

– Wszystko w porządku? – gospodarz zajrzał pod stół, a potem wyciągnął rękę w stronę klęczącej dziewczyny.

– Chyba tak, panie Gracjanie, w porządku. Powinnam przeżyć – odpowiedziała, zapominając o wymagowanym zderzeniu z blatem. W głowie układała już sposób spożytkowania zagarniętej forsy. – Dziękuję za nowy bezpiecznik – dodała, patrząc sąsiadowi głęboko w oczy. – Co ja bym bez pana zrobiła?

– Nie ma za co, pani Julio – Witkowski siłił się na uprzejmość. – Pomoc lokatorom to przecież mój obowiązek. Pójdę na klatkę, wykręcę, wkręcę i po sprawie. Może pani spokojnie wracać do domu. Za chwilę nastanie jasność – zażartował.

– Och, wspaniale – cmoknęła ustami w powietrzu. – To ja już uciekam.

– Do widzenia, sąsiadko. Polecam się na przyszłość i ze swojej strony przepraszam za chwilowe niedogodności.

Właściciel kamienicy zrobił się nadzwyczaj łagodny, a jego głos przybrał aksamitną barwę. Julka zauważyła ogromną transformację w podejściu Witkowskiego do jej osoby. Kiedy wstała z zalanej kawą podłogi, poczuła, że mężczyzna zrobił się od niej zależny i jest w stanie błagać o każdą godzinę milczenia. Widziała to w jego oczach i słyszała w zmienionej barwie wystraszonego głosu. Przeprofilował front o sto osiemdziesiąt stopni, bo poczuł się zagrożony. Stracił pewność siebie i zdestabilizował utwardzony grunt pod nogami. Węgorzewska postanowiła to wykorzystać w walce o poprawę swojej przyszłości. Jak tu nie kochać życia? – myślała, wracając do siebie. No jak, tłuściutki Gracjanie, no jak?

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneek  
Julia Węgorzewska, Roman Bańka

– To znówu pani? Niemożliwe. Czyżbym został pani osobistym szoferem? – zarechotał ochryple taksówkarz, kiedy w lusterku zobaczył odbicie znajomej twarzy.

– Bynajmniej – Węgorzewska zripostowała z godnością. – Nic mi o tym nie wiadomo. To głupi zbieg okoliczności i muszę przyznać, że też nie lubię być tak zaskakiwana. Wolę sama kreować rzeczywistość.

– No i wykreowała pani, gratuluję! Podstarzałego kierowcę bez cienia przyszłości – ciągnął wesoło mężczyzna. – Też mi kreatorka.

– No i co w tym takiego śmiesznego? Z czego się pan tak cieszy, panie...

– Romanie. – Kierowca podsunął pasażerce brakujące słowo. – Roman Bańka.

– Może być i Bańka, mniejsza z tym – od niechcenia bąknęła podróżna. – Julia – przedstawiła się niechętnie. – Do szpitala, proszę, i to migiem. Czas start, panie Romanie – spojrzała na zegarek. Siódma czterdzieści pięć. – Zna pan przepisy ruchu drogowego?

– Oczywiście, wszystkie. A o co chodzi?

– A o to, że dziś nie obowiązuje pana ani jeden z nich. I niech ten pana okularnik zamieni się teraz w mknącego odrzutowca, rozumiemy się?

– Robi się, pani Julio – odrzekł rozochocony taksówkarz. – Stałym klientkom przecież się nie odmawia – dodał. – A więc jednak spodobała się pani praca pielęgniarki? Wczoraj rano, kiedy panią wiozłem, mówiła pani, że to nie dla pani.

– Wiem, co mówiłam – zachnęła się Węgorzewska. – Nie mam jeszcze zaników pamięci. A zdania nie zmieniałam. To praca na chwilę i ta chwila właśnie wczoraj minęła. Po prostu muszę odebrać coś, co przez jedną wiedźmę wczoraj zostawiłam w tej zatęchłej dziurze – wyjaśniła z przesadzonym gniewem. – Jedzie pan czy szukać innego drajwera?

– Nie, to znaczy tak. Nie szukać, jadę. – Mężczyzna wrzucił jedynekę i wcisnął gaz do oporu. – Niech się pani trzyma, szczególnie na ostrych zakrętach, pani Julio.

– Alleluja – zawołała i oddała się przemyśleniom.

Wczoraj zostawiła w szpitalu jedyne szpilki, jakie posiadała. A okazje takie, jak dziś, wymagają istic kobiecego obuwia, bez względu na pogodę. Nie mogła przecież zacząć pierwszego dnia w pracy w znoszonych botkach albo w nieeleganckich traperach na płaskim obcasie. W końcu jak cię widzą, tak cię piszą. Wystarczy, że wczoraj uprawiała seks z doktorem w szpitalnych chodakach Kopciuszka. Aż dziw, że nie ostudziły żarliwych chęci przystojnego lekarza.

Żabski... Dlaczego on się tak wczoraj zachował? Julia zastanawiała się, co zrobiła nie tak, że wrzeszczał na nią jak opętany. Najgorsze w tej chorej sytuacji było to, że ona nie potrafiła być zła na seksownego doktora. Żabski miał w sobie coś, co kazało jej patrzeć na niego inaczej. No i na zewnątrz miał jeden, konkretnych rozmiarów atrybut. Nie zmieniało to oczywiście faktu, że wyrządził Julce krzywdę i będzie musiał za nią słono zapłacić. Gdyby nie chęć zemsty, pewnie pielęgniarka drzemałaby jeszcze w ciepłym łóżku, zamiast pędzić na złamanie karku w taksówce z podstarzałym dziadem, śmierdzącym przetrawionym czosnkiem. I jeszcze ten Gracjan oglądający gejowskie porno przy porannej kawie! Co to się dzieje na świecie? – pogrążyła się w myślach.

Tymczasem taksówkarz Roman Bańka mknął jak szalony ciemnymi ulicami wciąż drzemiącego miasta. Wreszcie czuł się potrzebny i niezastąpiony. W wieku siedemdziesięciu dwóch lat nie miał już nic do stracenia. Był bezpieczny, nie wadził nikomu i nie rzucał się w oczy. Policja i tak nie zatrzymuje taksówkarzy, a dzisiaj nie byłaby w stanie nawet go dogonić.

Dobrze robisz, Roman – usłyszał wewnątrz podszept. Przez całe życie byłeś prawowitym obywatelem, wzorowym pracownikiem, kochającym ojcem, przykładnym mężem, a nawet wiernym kochankiem. I co z tego dziś masz? Ten podły świat nie wie o twoim istnieniu, a za kilka lat nikt nie będzie już o tobie pamiętał. Nadszedł czas, abyś mnie posłuchał i zrobił wreszcie coś dla siebie. Coś, co na łożu śmierci wyświetli ci się przed oczami w pierwszej kolejności. Nie będziesz żałował, przysięgam. Nie oglądaj się za siebie i rób rzeczy spektakularne.



– Źle robię, przestań! – spocone usta kierowcy warknęły niespodziewanie. Wyrwana z gorzkiej zadumy pielęgniarka zerknęła podejrzliwie na Bańkę.

– Słucham? – spytała zdziwiona. – Mówił pan coś?

– Ja? A tak, że nie zatrzymuję się na światłach, mówiłem – roztrzęsiony taksówkarz gubił się w zeznaniach. – Musimy przecież zdążyć do szpitala. Sama panienka mówiła.

Ciągłe gderanie wewnętrznego głosu coraz bardziej zaczynało irytować Romana. Z początku myślał, że to uboczny efekt starości i szukał wytłumaczenia w teoriach psychologicznych. Ostatnio jednak coraz częściej sięgał do religii. Obejrzał nawet po raz kolejny *Egzorcystę* i zaczął się bać całkiem na poważnie.

– No tak, racja. Już jesteśmy. – Węgorzewska nawet nie spostrzegła, jak szybko minęła jej podróż. Wczoraj liczyła skwapliwie każdy uciekający kilometr, podczas gdy dziś całkowicie zatraciła się w zimnej kontemplacji. – Zatrzymaj się pan i cierpliwie czekaj. O... tutaj – poleciła. – Zaraz wracam, złociutki!

– Nie ma sprawy – zgodził się taksówkarz. – Nigdzie nie wyjeżdżam, przynajmniej na razie – skwitował. – Poczekam na panienkę, choćby całą wieczność – pokusił się o namiastkę żartu. Dawno nie jechał z tak zawrotną prędkością i nie złamał tak wielu komunikacyjnych przepisów. O siłowaniu się z szatanem siedzącym w środku, nie wspominając.

Węgorzewska wystrzeliła z mercedesa jak z procy i mocno trzasnęła drzwiami. Biegła co sił w nogach, choć na dołującym kacu nie było to wcale takie proste. Minęła kilku dziennikarzy i duży wóz transmisyjny ogólnopolskiej telewizji.

– Co u licha? – jęknęła cicho, a potem wbiegła na strome schody prowadzące do wejścia. Białe, szpitalne chodaki dodały jej pewności siebie, bo ich łomot od zawsze kojarzył się Julce z pracownikami służby zdrowia. W tych butach na pewno nikt jej nie zatrzyma.

Z impetem wpadła na oddział intensywnej terapii i poszła wprost do siedliska plugawej gadziny. Opustoszała dyżurka dawała ogromne szanse na bezproblemowe załatwienie sprawy. Weszła do środka i od razu przeszło ją wspomnienie wczorajszych upodleń. Jak to dobrze, że dziś definitywnie kończy się jej przygoda z tym zapyziałym miejscem.

– Proszę, proszę, patrzcie jeno. Któż to nas odwiedził? Córka marnotrawna wróciła? – skrzeczący głos oddziałowej żaby rozdarł na pół serce Węgorzewskiej. – Ładnie to tak, porzucać stanowisko pracy? Ledwie wybroniłam cię przed ordynatorem. Gdyby nie ja, moje dziecko, to nie miałabyś dziś czego tu szukać.

– Ja... to znaczy... Przepraszam, siostrzo, za wczoraj. – Wpadła na genialny pomysł. – Wczoraj nie byłam sobą. Bardzo się stresowałam pierwszym dniem w pracy i jeszcze śmierć tej pani w bandażach – Węgorzewska się rozkręcała. – Dałaby mi siostra jeszcze jedną szansę? Proszę.

– Dobra, dobra – zacharczała gniewnie oddziałowa. – Już ty mnie, gimbusie, pod włos nie weźmiesz. Znam ja takie, jak ty. Ale roboty w bród, więc przebieraj się i maszeruj na oddział. Bo się rozmyślę – ciągnęła rozkazujący monolog. – Wracam za pięć minut i masz być gotowa. Zrozumiano?

– Tak jest, siostrzo, dziękuję. A gdzie mój fartuszek?

– Tam wisi! Ślepa czy jak?

Owłosiona, tłusta ręka skrzeczącej ropuchy wskazała na stojący w rogu szpitalnej kanciapy wieszak i zniknęła wraz z resztą cielska za drzwiami. Na gumowej podłodze tuż obok stały one i pyszniły się ideałem lśniącej czerni.

– Są! Całe i zdrowe – ucieszyła się w głos Węgorzewska. Podbiegła bliżej i pochwyciła leciutkie szpilki. Usiadła w zielonym fotelu. Tym samym, który wczoraj otulił ją ciepłem welurowego bezpieczeństwa, gdy wróciła z gabinetu ordynatora. Jedyna dobra rzecz w tym szpitalu – pomyślała i czym prędzej zrzuciła szpitalne chodaki. Z ogromną siłą cisnęła jednym z nich w stronę zamkniętych drzwi śmierdzącej spirytusem dyżurki. – A masz, stara pizdo – warknęła z satysfakcją w głosie. – Sama jesteś jakaś marnotrawna. Żresz pewnie tyle, że pół Afryki mogłoby przestać głodować. A masz! – w powietrze wznosił się kolejny drewniak. Wyglądał jak spadający airbus Lufthansy podczas awaryjnego lądowania. – A masz! A to jeszcze za wczoraj, tłusta, obslizgła basetlo!

Julka zaśmiała się gromko. Taki sposób odreagowania stresu był jej potrzebny. Błyskawicznie działał cuda. Wzute przed chwilą, migoczące szpilki spotęgowały uczucie euforii. Zdobyłam to, po co tu przyszłam, i mogę gnać na spotkanie z czarującym doktorkiem. Julia Węgorzewska zawsze spada na cztery łapy! Zapamiętaj sobie, ty spasiona beko. A na sam koniec zrobię ci jeszcze jakiegoś psikusa, abys pamiętała, że z gimbusami się nie zadziera – pomyślała rozochociona dziewczyna, a potem krnąbrnym wzrokiem omiotła niewielką kanciapę. A to co takiego? Zatrzymała spojrzenie na lichym stoliku kawowym, który przycupnął obok zielonego fotela.

– Najciemniej pod latarnią – szepnęła. – Na niewielkim blacie zauważyła wymiętą kopertę. Dziewczyna w mgnieniu oka schowała ją do kieszeni. Zdążyła, zanim usłyszała ciężkie kroki nadchodzącej żaby. Podłoga nagle zdrząła. Odrapane drzwi kanciapy stęknęły zgnębione.

– A ty jeszcze w płaszczu? Przebieraj się no, ale już – chrzypnęła wściekła piguła. Z ust wyleciały jej resztki śniadania.

– Bo ja... – zaczęła grzecznie Julia. – Chciałam pani powiedzieć...

– No mów wreszcie, dziewczyno! Co mi chciałaś powiedzieć?

– Spierdalaj! – rzuciła Julia z satysfakcją w oczach. – Spierdalaj, po raz kolejny!

---

Mrok, 13 stycznia 2016 roku, ranek

Sebastian Świdorski

Jednostajny szum lasu był nie do zniesienia, ale dawał Sebastianowi pewność, że wciąż jest przytomny. Już dawno stracił poczucie czasu i przestrzeni, lecz nie pozbył się palącego bólu. Nawet lodowy kompres przesywającego zimna nie był w stanie złagodzić natłoku krwawych dolegliwości. Jak długo to jeszcze potrwa? Kiedy czarna postać odwiedzi go po raz kolejny?

Panicznie bał się kroków zapowiadających koszmar. Dwadzieścia ran broczących pulsującą krwią. Liczył je i po trzech odwiedzinach już wiedział, że powtarzalna liczba ciosów musi mieć znaczenie. Po ostatnim dźgnięciu zwykle tracił świadomość i odzyskiwał ją dopiero, kiedy zostawał sam. Wtedy pił zachłannie brudną i cuchnącą wodę, którą oprawca zawsze mu stawiał przy głowie. Oprócz drobin piasku i rdzawych szumowin było w tej wodzie coś jeszcze. Coś, w czym Sebastian widział pozytywną stronę wizyt bezwzględnej postaci.

Dziś usłyszał warkot zbliżającego się samochodu. Wyostrzony słuch jak dotąd nie wychwycił podobnego dźwięku. Wcześniej Sebastian zastanawiał się, w jaki sposób on tutaj trafił. Nie pamiętał nic od chwili pobicia w lesie, ale przypuszczał, że przywieziono go jakimś wozem. Być może nawet wykorzystano jego służbowe auto. Tym bardziej odgłos silnika dochodzący z zewnątrz nie wróżył niczego dobrego.

Drzwi pojazdu trzasnęły. Jedne, a potem drugie. Dopiero później usłyszał kroki. Były szybkie, głośne, przeplatane raz po raz chaotycznym szuraniem. Sebastian wstrzymał oddech i poczuł, jak jego serce wskakuje na coraz wyższe obroty. Słabym, obolałym ciałem wstrząsnęła seria spazmatycznych dreszczy. Był przerażony.

– Zaraz będzie po wszystkim – wyszeptał. – Przyjdzie i pójdzie. Nic nie trwa wiecznie, więc najcięższe chwile również przeminą. Na końcu będzie woda i błogi stan zapomnienia. No chodź już! Nie męcz mnie więcej. Błagam! Chcę mieć to za sobą...

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, ranek

Jan Poniatowski

Otworzył oczy, pokonując ciężar spadających powiek. Kątem oka spojrzął na wyświetlacz radiobudzika. Mrugnął dwukrotnie z niedowierzaniem, gdy odcyfrował czerwień rażącej godziny. Ósma czterdzieści. To niemożliwe, że

w ogóle udało mu się zasnąć.

Wszystko przez to, że ktoś po północy zakradł się do drzwi jego mieszkania i coś przy nich majstrował. Z początku Janek nie słyszał dziwnego szurania dobiegającego z zewnątrz, jednak głośne trzaski wybiły go z nadchodzącego snu. Zerwał się na równe nogi i czym prędzej zbiegł w bieliźnię na dół, do salonu. W pierwszym odruchu chciał otworzyć drzwi i sprawdzić, kto go niepokoi, ale pomyślał, że na boso i w pomarańczowych gaciach raczej ciężko będzie kogokolwiek złapać, tym bardziej że ten ktoś może być uzbrojony. Przypomniał sobie też słowa aspiranta Jahnca z poprzedniego dnia.

Wczoraj na komisariacie policjant zagroził, że jeśli Anka i Jan zatają jakiegokolwiek informacje i choć przez chwilę będą sami szukać niebezpiecznego przestępcy, postawi im zarzuty utrudniania śledztwa i zastosuje względem nich bardziej radykalne środki niż zwykle upomnienie. Policjant zapytał nawet sugestywnie, czy niesforna kelnerka i mały wylewny bankowiec nie prowadzą z nim niezrozumiałej i niebezpiecznej gry. Mówił, że aktualne okoliczności oraz drastyczny w skutkach bieg wydarzeń w sprawie mogą rzucać negatywne światło na dziwnie milczących detektywów amatorów, zwłaszcza jeśli o swoich irracjonalnych działaniach nie informują policji.

Karolinie nie groził ani nawet jej nie upominał. Pytał o nią przez cały wczorajszy wieczór, ale akurat jej zachowania nie krytykował. Nie mówi się bowiem źle o nieobecnych. Tak, nieobecnych. Bo Karoliny Janickiej nie było. Zniknęła bez śladu i w tym tkwił największy dramat wczorajszych wydarzeń.

Sasanka płakała bez przerwy i za nic w świecie nie mogła się uspokoić. Milczała większość wieczoru, co w jej przypadku było ewidentnym znakiem, że stało się coś bardzo złego. Zdawkowo odpowiadała na pytania aspiranta i była przerażona. Wczoraj pierwszy raz w życiu przekonała się, że namacalne zło istnieje naprawdę i potrafi wyrządzić fizyczną krzywdę w najmniej oczekiwanym momencie. Najpierw poczuła drażniący zapach kwaśnego potu, a później usłyszała przyspieszony oddech napastnika. Czowała się bezsilna i niczego nie potrafiła logicznie wyjaśnić. Nie wiedziała nawet, w jaki sposób rozstała się ze swoją komórką. Nigdy wcześniej nie pozwoliłaby sobie przecież na spędzenie choć krótkiej chwili bez łączności ze światem. Pytania, którymi zasypywał ją przesłuchujący policjant, pozostawiała w większości bez odpowiedzi nie tylko z powodu odbierającego mowę przerażenia, ale również z braku wiedzy, którą jako jedyny świadek wydarzeń powinna przecież posiadać.

Wczoraj gdy Janek znalazł ją w domu Janickiej, trzęsła się w rogu niczym galareta. Zwinięta w kłębek kołysała się z boku na bok. Poniatowski ostrożnie zbliżył się do wystraszonej dziewczyny. Bał się odezwać. Nie wyglądało to dobrze.

– Hej, co jest? – wykrzesał z siebie w końcu trzy słowa, z trudem rozpoznając swój głos. Kelnerka drgnęła wystraszona.

– To... – Sasanka chyba chciała dodać coś jeszcze, ale nie mogła.

– Co? – zapytał spokojnie, choć był coraz bardziej zdenerwowany. – Gdzie Karolina?

– Nie wiem... To wszystko... moja wina – Anka zaczęła mówić, z oczu spłynęły jej pojedyncze łzy. Jedna z nich zatrzymała się dopiero na dygoczącym podbródku.

– Jak to nie wiesz? Przecież byliście razem, kiedy wychodziłem. Gdzie poszła Karolina?

– Nigdzie.

– Więc gdzie jest?

– Nie wiem, ale...

– Ale co? – Janek zaczynał tracić cierpliwość. Przed wybuchem wzbierającego w nim zdenerwowania chronił go tylko stan nowej koleżanki.

– Słyszałam... Janek. – Anka spojrzała niewidzącym wzrokiem na Jana. – Ktoś... – zamilkła.

– Proszę, mów. Mów wszystko, co wiesz! – krzyknął niecierpliwie.

– Janek, ktoś tu był. Sprawdź, proszę, czy na pewno poszedł, i zamknij drzwi. Proszę... tak się boję.

Poniatowski poczuł na plecach chłód. Stres i adrenalina spięły mięśnie i zjeżyły włosy. Przez głowę przeleciało mu tysiące myśli, a wśród nich ta, że być może wcale nie są z Anką sami w domu Janickiej. Zdecydował, że nie będzie teraz tego sprawdzał i nie wyjdzie z pokoju, dopóki nie dowie się czegoś więcej.

– Siedziałyśmy tu same i oglądałyśmy twoje listy... – Anka wyrzuciła z siebie pierwsze logicznie brzmiące zdanie, z charakterystyczną dla niej szybkością. Teraz gadulstwo niesfornej kelnerki było na wagę złota. – Wiesz ja... Ja wpadłam na pomysł... To znaczy ja... – zamilkła, ponownie robiąc dłuższą pauzę.

– Na jaki pomysł? Mów, proszę. Nie ma na co czekać.

– No ja pomyślałam, że Karolina po przeczytaniu tego listu o porwaniu Sebastiana jest w totalnej rozsypance. Zaczęła znów płakać, no i powiedziałam jej, że powinna się napić czegoś mocniejszego na ten stres. Alkohol zawsze pomaga. No i poszłyśmy razem do kuchni, do spiżarni. Zadziwiłam się, że ludzie w dwudziestym pierwszym wieku mają spiżarnię, ale w takim domu to właściwie nie jest dziwne. A do mnie zadzwonił Jarek, mój kierownik. Pytał, gdzie schowałam klucz do magazynku. No powiem ci, że już nie miał o co zapytać. Ja wszystkie klucze wrzucam zawsze do takiej szklanej miseczki na stole w socjalnym...

– Do rzeczy! Co ty pleciesz? Jaki stolik, jakie klucze, jaka spiżarnia? – Poniatowski gotował się w środku. Miał ochotę ponownie wrzasnąć na Sasankę, ale nie chciał wprowadzić jej w stan, z którego przed chwilą wyszła. Mówienie sprawiało jej ulgę, jednak nie przybliżało go do prawdy, jaką chciał poznać.

– No tu, w kuchni jest spiżarnia i Karolina trzyma tam wino jeszcze po babci, która sama je pędziła w jakimś tam gąsiorze. A może w kaczorze? Nieważne. Skończyłam rozmawiać z Jarkiem i położyłam telefon gdzieś w kuchni, chyba na tym starym kredensie, nie pamiętam dokładnie. Karolina zawołała mnie do spiżarni, bo nie mogła dosięgnąć butelki. Ja sięgnęłam, bo jestem wyższa, ale butelka wysmyknęła mi się z ręki i spadła na podłogę. Zbiła się. Zaczęłyśmy zabierać szkła z podłogi i Karolina...

– Proszę, co tu się stało? Anka, co z Karoliną? – Janek oczyma wyobraźni widział, jak Karolina obcina sobie ostrym szkłem palec u ręki. Zawsze miał wybujałą fantazję. Czuł, że obcięty palec byłby najłagodniejszym scenariuszem tego, co się stało podczas jego nieobecności.

– Przecięła sobie palec... – Anka znów zapadała w stupor. – Krew... dużo krwi... Krew i wino... – mówiła niczym wiedźma, przepowiadająca morderczą pożogę. Jej słowa pozbawione były zabarwienia emocjonalnego i wybrzmiewały lodowatym chłodem w uszach Poniatowskiego.

– Aniu, wszystko w porządku? – Janek przeraził się po raz kolejny dzisiejszego wieczoru. Nie znał nikogo, poza samym sobą, kto tak często zmieniałby nastrój. Sasanka mocniej zacisnęła ręce na podkurczonych kolanach. Znów zaczęła dziwnie się huścić i dygotać z przerażenia.

– Karolina wysłała mnie... Plaster był w pokoju. A kiedy tu weszłam... – słowa kelnerki były coraz mniej wyraźne.

– Błagam – syknął Poniatowski. – Powiedz wreszcie, co się z nią stało!

– Zabrał ją... ten z tych twoich listów. Słyszałam... Zamknął mnie. Ja słyszałam...

– Co słyszałaś?

– „Nie, nie, proszę, zostaw mnie! Anka ratuj!” Głos Karoliny oddalał się, a ona krzyczała. Mnie zamknął w pokoju. Uderzył ją... słyszałam. Ona ucichła. Nie mogłam wyskoczyć przez okno!

Wciąż gapiąc się w sufit, sięgnął omackiem po telefon na nocnej szafce. Odblokował ekran i odczytał stan bieżących powiadomień. Szesnaście nieodebranych połączeń.

– Natasza – szepnął, a potem stuknął symbol zielonej słuchawki.

Mrok, 13 stycznia 2016 roku, ranek  
Sebastian Świdorski, Karolina Janicka

Sebastian Świdorski zapragnął dotknąć źródła ciepła leżącego obok, lecz nie miał już siły się ruszyć. Chciał się przysunąć i chłonąć wilgotny żar płytkiego oddechu. Zachłanność. Bezwzględna chciwość przetrwania

w ekstremalnych warunkach czyniła z niego zwierzę kierujące się instynktem. Zmysł powonienia wyostrzony w ciemnościach podpowiadał mu, że jest z nim kobieta. Wraz z pojawieniem się gorącego ciała w zatęchłej ciemności poczuł zapach potu zmieszanego z damskimi perfumami. Ich nasycenie w powietrzu osiągało graniczny poziom nadnaturalnej intensywności. Było mu dobrze z nowymi doznaniem. Cieszył się, że nie jest tu sam, choć nienawidził tych samolubnych oznak radości. Przewidywał, że gdy tylko nieznajoma się ocknie, jej plany na przyszłość legną w zakrwawionych gruzach.

Ostrze błysnęło w świetle rozgwieżdżonej nocy. Ubrana na czarno postać doskoczyła do Sebastiana, odwróciła go twarzą do ziemi i łańcuchem skrępowwała mu nogi. Chwilę później ułożyła ciało ofiary w kształt krzyża. Sebastian mocno zagryzł wargi, czekając na pojawienie się w ustach kwaśnej słodczy krwi. Jednego z nielicznych doznań, na które nadal miał wpływ. Zaciśnął oczy przygotowując się na nadejście bólu.

Ktoś usiadł na nim okrakiem. Ciężko dyszał i wodził krawędzią ostrza po tępym betonie w okolicach jego lewego ucha. Intensywność metalicznego chrobotu była przerażająca i potęgowała strach. Nóż oderwał się od ziemi, a zimna stal musnęła mokrą potylicę, sunąc niżej w kierunku karku. Ciałem Sebastiana wstrząsnęła seria lodowatych dreszczy i nagle świat zawirował mu w głowie. Osłabł. Prawie nie poczuł pierwszych otrzymanych ciosów. Dopiero po jakimś czasie coś go zapiekło w łędźwiach, a zaraz potem usłyszał dziki, zwierzęcy skowyt. Najpierw się przeraził, a później rozpoznał swój głos. Głośny, spazmatyczny pisk uświadomił mu, że nadal tu był, ledwie żywy. Ktoś bez skrupułów dziurawił mu ciało w mrocznej i zatęchłej sali tortur. Na swoich plecach coraz dotkliwiej czuł kata trzymającego nóż. Świat przestał się kręcić i wróciła do niego bolesna świadomość beznadziejnych okoliczności.

Ostatnie pchnięcia były niespodziewanie silne. Mocne, głębokie i częste. Czubek długiego ostrza kilka razy zahaczył o kości. Ostatnie dźgnięcie przebiło mu ciało na wylot, a stal zachrzęściła o beton. Sebastian coraz wyraźniej czuł, jak strugi krwi tworzą pod nim szybko stygnącą kałużę. Zaczął się modlić, aby wreszcie wciągnęła go na dno. Wiedział, że ciosów nie zostało już wiele. Za chwilę będzie po wszystkim. Za moment będzie szczęśliwy. Zostanie mu woda i błogi sen zapomnienia.



Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneek  
Julia Węgorzewska, Kajetan Andrzejewski

Klinikę medycyny estetycznej doktora Żabskiego otwierano punktualnie o dziewiętej, jednak wykwalifikowany personel medyczny wraz z pozostałymi pracownikami przekraczał nieskromne progi futurystycznego budynku dobrą godzinę wcześniej. Nadzwyczaj dokładny właściciel dbał o należyte przygotowanie placówki do przyjęcia pierwszych pacjentów, których z samego rana zawsze było najwięcej.

Julia Węgorzewska spojrzała na zegarek. Ósma czterdzieści pięć.

– Niech się cieszy, że w ogóle jestem – burknęła pod nosem, stojąc przed wejściem, a potem przybrała minę zadowolonej z bezstresowego życia dziewczyny. – A co to? Jeszcze zamknięte? – zapytała.

– Otwieramy zawsze punktualnie – zza pleców Węgorzewskiej przemówił miły głos. – A pani... na wizytę?

– Och... – wystraszyła się pielęgniarzka, lecz nie dała po sobie poznać zaskoczenia. Szybko się obejrzała. Utrzymywała maksymalne nasycenie olśniewającego uśmiechu, gdyż niezawodna intuicja podpowiadała jej, że powinna zadbać o jakość pierwszego wrażenia. – Oj, dzień dobry. Nieźle mnie pan wystraszył – odpowiedziała kokieterystycznie, widząc dość przystojnego mężczyznę. Na pierwszy rzut oka wyglądał na młodego lekarza. Wysoki, szczupły, o długich blond włosach, spiętych w gładkiego kucyka. – Ja? Na wizytę? Ktoś mnie tu chyba usiłuje obrazić – zaświergotała.

– Przepraszam – odparł zbity z pantałyku młodzieniec. – Ja? Ależ skąd... Po prostu chciałem pomóc.

– No nie wiem, nie wiem – Julia postanowiła potrzymać przez chwilę w szachu ujmującego ciepłą aparycją i emanującego pozytywną energią nieznajomego. Przebywając w pobliżu właśnie takich ludzi, czuła się najswobodniej.

– Przyrzekam – tłumaczył sympatyczny blondyn. – Jak babcię Kocham! – Złączył dwa palce prawej ręki i podniósł ją w górę na znak składanej przysięgi.

– No dobrze już, dobrze. Wierzę i nawet się nie gniewam. Dobrze panu z oczu patrzy, więc mogę zdradzić rąbka wielkiej, ale to wielkiej tajemnicy. – Julia zaczynała świetnie się bawić i miała wrażenie, jakby rozmawiała ze starym przyjacielem, którego zresztą nigdy nie miała. Przez głowę przeszła jej myśl, aby zaprosić mężczyznę na kawę i chromolić stres skumulowany wewnątrz szklanego sześcianu Cinderelli.

– Ależ nie – zareagował mężczyzna. – Bezwzględnie nie chcę odzierać tak szlachetnej niewiasty z jej największych sekretów – ciągnął, coraz bardziej angażując się w zabawną rozmowę. – Toż jam nie godzien znać żadnej z tajemnic prawdziwej damy. Nie ja!

– To zgaduj zatem, młodzieńcze. Co ta prawdziwa dama robi tak wcześnie, w środku zimy, w cholernie cienkich szpilkach, przed zamkniętymi drzwiami tegoż oto przybytku medycznej rozpusty? – Tylko na moment z ust Węgorzewskiej znikł pierwszy od dawien dawna promień beztroskiego uśmiechu. Szybko jednak odrzuciła nieciekawe wspomnienia w myśl zasady: co się stało, to się nie odstanie.

– Nie wiem, czy wypada mi odkryć prawdę za pierwszym razem, ale zaryzykuję – żartował mężczyzna. – Czy stoi przede mną nasza nowa przepiękna recepcjonistka?

– Bingo, brawa dla tego pana. – Julia zaklaskała w euforii. – Właściwie to ja jestem pielęgniarką, ale mam złe wspomnienia z tym zawodem – wyjaśniła. – Tak czy inaczej dziś zaczynam, jeśli oczywiście dostanę się do środka.

– Dziękuję za gromkie owacje. Naprawdę nie było trzeba. – Mężczyzna dotknął otwartą dłońią swojej klatki piersiowej, czyniąc kurtuazyjny gest ukłonu. – A jeśli chodzi o wejście do środka, to raczej nie tędy droga. VIP-y wchodzi tajnym wejściem z drugiej strony budynku, za pomocą indywidualnego kodu dostępu.

– Kodu? – zdziwiła się pielęgniarka. – To po co ten du... – z trudem powstrzymała się od użycia nieeleganckiego określenia w stosunku do doktora Żabskiego. Na samą myśl o wczorajszym upokorzeniu oblała się rumieńcem. – Po co doktor kazał mi być tu o ósmej, skoro i tak nie mogę się dostać do środka?

– No właśnie po to, by weszła pani ze mną – wyjaśnił mężczyzna. – Wczoraj otrzymałem bojowe zadanie czekania tutaj z samego rana i powiem szczerze... wziąłem zlecenie niechętnie. No, ale gdybym wiedział, że chodzi o tak piękną kobietę, zgodziłbym się bez wahania. To co? Wchodzisz... to znaczy wchodzi pani ze mną do wnętrza szklanej pułapki?

– Dobra, dobra. Bez cukrowania i zbędnych ceregieli. Mam na imię Julia. – Pielęgniarka wyciągnęła zziębniętą dłoń.

– Kajetan – zareagował chłopak. – Nadworna zapchajdziura na stanowisku informatyka melduje się właśnie do usług!

– Ładnie. – Węgorzewska zachichotała. – Imię niczego sobie, ale nazwisko? Nadzwyczaj oryginalne – skomentowała po chwili. – U mnie tak bardziej standardowo, Węgorzewska – zripostowała z uśmiechem. – No to, Kajtku Zapchajdziuro, prowadź w odmęty tej szklanej pułapki. Oby tylko z tego żarłocznego sześcianu było jakieś logiczne wyjście.

– Miło mi. Niech będzie Zapchajdziura, choć wolę jednak używać prawdziwego nazwiska. Andrzejewski brzmi bardziej swojsko – dodał Kajetan, a potem życzliwie się uśmiechnął. Polubił nową koleżankę. – No więc za mną! – rozkazał po generalsku, wskazując kierunek, a potem bez zastanowienia zrobił pierwsze kroki.

– Tak jest! – zaszalutowała.

Maszerując tuż obok długowłosego blondyna z ledwością dotrzymywała mu kroku. Odzyskane dziś szpilki wyglądały przepięknie, ale znacznie utrudniały chodzenie po mokrej i gładkiej marmurowej nawierzchni. Z duszą na ramieniu idzie się jeszcze trudniej, ale mając u boku nowego sprzymierzeńca, droga ku zemście stawała się mniej wyboista. Julia Węgorzewska zawsze spadała na cztery łapy i jeszcze nigdy nie poniosła klęski. Nigdy.

Chodzież, 13 stycznia 2016 roku, raneK

Marianna Olecka

Siedziała w zimnej ławie skąpanego w półmroku kościoła. Słabe światło dawały tylko gromnice ustawione wokół ołtarza. Ktoś z tyłu donośnie kaszłał, ale Marianna nie odwracała się za siebie. Bała się stracić natchnienie. Musiała tu w końcu przyjechać, a w jej przypadku wybór świątyni miał kolosalne znaczenie. Postanowiła, że zostanie w niej tak długo, ile będzie trzeba. Pomodli się żarliwie o odpuszczenie grzechów i spokojny sen bez wracających koszmarów. Nie miała już siły oszukiwać własnego sumienia, postanowiła więc poprosić o ostatnią szansę na rehabilitację.

Nigdy nie sądziła, że aż tak nisko upadnie. Zawsze była twarda i umiała żyć, przywdziewając teatralny kostium zakłamanego błazna. Dziś coś w niej pękło i coś się zmieniło. Zrozumiała, choć zdecydowanie za późno, że prawda potrafi zdemaskować nawet najznakomitszego aktora. Co robi, jeśli modlitwa nie pomoże? Coś przecież wymyśli, jak zawsze. Zgłoszenie się na policję będzie kolejnym krokiem. Prędzej czy później świat dowie się prawdy i odkryje, dlaczego musiała milczeć przez całe życie. Nie przewidziała dla siebie dotkliwszej kary niż długie lata tajemnic. To one rozsadały ją od środka. Nie, nie żałowała. Przeciwnie. Cieszyła się niezmiernie, że z pomocą aniołów przetrwała tak długo, skutecznie broniąc się przed prawdą. To świadczyło o sile jej stalowych nerwów i mocy spizowego charakteru. Bo czy ktokolwiek inny wytrzymałby martwy czas emocjonalnego czyścica przez całe dwadzieścia lat?

Była z siebie dumna, jak nigdy dotychczas.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneK

Julia Węgorzewska, Kajetan Andrzejewski

Świeżo upieczona recepcjonistka od godziny siedziała za pachnącym nowością, drewnianym kontuarem. Światła reflektorów wiszących nisko nad blatem przyjemnie ogrzewały twarz, sprawiając, że złe wspomnienia odchodziły w niebyt. Włączony niedawno komputer także emanował uspakajającym ciepłem.

Kajetan obiecał Julii, że kiedy tylko upora się z podstawowymi obowiązkami, jakie czekały na niego zawsze po przyjeździe do pracy, wróci i dokończy wprowadzenie ustawień osobistych dla nowej pracownicy. Nada jej również niezbędne dostępy do wszystkich firmowych aplikacji, wewnętrznej poczty elektronicznej oraz internetowej bazy klientów Cinderelli. Na otrzymanie tych uprawnień Węgorzewska czekała najbardziej. Wiedziała już nawet, od kogo rozpocznie filtrowanie dostępnych rekordów.

– Jestem – rozpromieniony informatyk trzasnął w blat recepcyjnego kontuaru grubym plikiem wydrukowanych dokumentów. – Zapoznać się i podpisać do przyjscia litościwie nam panującego monarchy. I radzę się bezwzględnie zastosować, bo inaczej głowy polecą – artykułował tak, jakby czytał królewski dekret.

– O Jezusie... Znów mnie wystraszyłeś. Ładnie to tak? – Tym razem Julka nie musiała udawać przelęknienia. Pograżona w myślach nawet nie zauważyła, kiedy Kajetan podszedł do jej stanowiska. – Niech stracę, złociutki. A kiedy nadasz mi uprawnienia do poczty i systemów? – spytała kokieteryjnie. Chłopak coraz bardziej zaczynał się jej podobać.

– Jak ładnie poprosisz, to za małą chwilkę – odparł lekko zawstydzony mężczyzna. – No i jeśli obiecasz, że starannie wypełnisz wszyściutkie dokumenty.

– Proszę i obiecuję. – Recepcjonistka zalotnie lypnęła okiem w stronę długowłosego blondyna. – U mnie jak w szwajcarskim banku – skłamała.

– No lepiej, żeby tak było. Nie powinienem nadawać ci uprawnień, zanim nie podpiszesz glejtów.

– Bla, bla, bla – naigrywała się pielęgniarzka. – Bo pomyślę, że podkradasz Żabskiemu formalinę.

– Że co?

– No, bo poczułam od ciebie nieświeży oddech formalisty – wyjaśniła.

– Aaa, nie – zaśmiał się informatyk. – W pracy nie piję. Chyba że kawę w miłym towarzystwie. A z tym to tej pory był tutaj duży problem.

Omiótł wzrokiem nowoczesny hol.

– Od dziś to się zmieni, obiecuję – przymlała się recepcjonistka. – Ze mną kawa smakuje najlepiej. A tak à propos... To może ja zrobię dla nas pyszne espresso, a ty zająłbyś się wreszcie moim komputerkiem? – Wskazała wzrokiem stojący w rogu poczekalni duży ekspres do kawy.

– No, może tak być – Andrzejewski z entuzjazmem odniósł się do intratnej propozycji. – Biała, bez cukru, mieszana, niewstrząśnięta – wyrecytował.

– To może jeszcze szklaneczka martini, Jamesie? – Węgorzewska podłapała żart informatyka.

– Dziękuję, madame, lecz nie piję w tajnej służbie jej królewskiej mości, a właściwie... jego królewskiej mości. Wolę nie narażać się zwierzchnikom.

– Rozumiem, bo inaczej śmierć nadejdzie jutro?

– Albo nawet dzisiaj! – szepnęła stanowczo Kajetan. Mocno obniżając głos, zrobił cwaniacką minę, naśladując filmowego superagenta.

– No to lepiej nie sprawdzać, czy człowiek ze złotym pistoletem ma licencję na zabijanie. – Julka parsknęła gromkim śmiechem. Dawno nie czuła się tak swobodnie w towarzystwie obcego mężczyzny.

– A teraz pani wybacz... obowiązki – długowłosa blondyn nadal nie wychodził z roli i udając hollywoodzkiego twardziela, zasiadł przed ekranem komputera. – To jak będzie z tą kawą, madame?

– Kawa? A co mi tam. W sumie nie mam nic do stracenia. Żyje się tylko dwa razy, a szczególnie w obliczu śmierci.

– Zatem idź po kawę, żyj i pozwól umrzeć – dopiero teraz usta Kajetana rozciągnęły się w promiennym uśmiechu. Chyba zaczynał lubić tę pracę i pierwszy raz od dawien dawna zapomniał, że przychodzi do niej tylko z finansowego obowiązku. Etat w klinice nie był lekkim kawałkiem chleba, szczególnie gdy jest się w niej nadworną zapchajdziurą. Środowisko lekarzy to zdecydowanie nie jego bajka. Do tej pory nie miał tutaj z kim porozmawiać, a o swobodnych żartach w miłej atmosferze mógł tylko pomarzyć. Czuł, że od dziś wszystko może się zmienić. Być może nawet znowu się zakocha? Kto wie...

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, raneek  
Jan Poniatowski, Natasza Poniatowska

– Natasza? – zapytał łamiącym się głosem. – Dzwoniłaś do mnie?

– No wyobraź sobie, że nie – zareagowała zbyt ostro, choć cieszyła się, że w końcu go usłyszała. Była już w biurze i właśnie usiadła do pracy.

– Jak to nie? Mam w telefonie informację, że... – Poniatowski kompletnie nie radził sobie z produkcją słów. Grzęzły gdzieś poniżej linii oddzielającej dźwięczne brzmienie od charkliwego bełkotu.

– Powtórzę, nie dzwoniłam. Wydzwaniałam! Przez godzinę. Zresztą nie tylko ja. Twoja mama też zachodziła w głowę, co się z tobą dzieje. Ona jednak przynajmniej wiedziała, że ma prawo z tobą dziać się coś niedobrego. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Jak mogłeś?

– Spałem... O czym wszystkim? O czym ci nie powiedziałem? – Trudność w wysławianiu się nie znikła. Przeciwnie. Janek nie był pewien, czy Natasza usłyszała cokolwiek z jego niezdecydowanej odpowiedzi.

– Jesteś tam? Halo?

Nie usłyszała.



– Jestem.

– To dlaczego nie odpowiadasz?

– Myślałem, że mało obchodzą cię moje sprawy...

– Mnie?

– Tak, ciebie.

– Obchodzi mnie, czy Remik nie straci znów ojca. – Była zadowolona z bystrości własnej reakcji. Odpowiedź nie stanowiła być może riposty idealnej, ale w obliczu totalnego zaskoczenia dała jej szansę na szybkie okiełznanie uczuciowego chaosu.

– A można stracić kogoś dwa razy? – Janek zaczynał coraz pewniej stąpać po konfrontacyjnym gruncie. Chciał, aby wreszcie zaczęli szczerze mówić o swoich uczuciach.

– Możesz powtórzyć? – starała się zyskać na czasie. Mimo iż bardzo dokładnie usłyszała pytanie i zdążyła odczytać jego domyślną treść, postanowiła zagrać na zwłokę.

– Pytałem, czy można stracić kogoś dwa razy.

– Dobrze wiesz, że Remik cię nie stracił. – Natasza odpowiedziała spokojnie, zastanawiając się jednocześnie, czy Jan nie ma przypadkiem racji.

– Ale stracił rodzinę, a ja straciłem...

– Więc dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – w ostatnim momencie powstrzymała byłego męża od składania kłiwych deklaracji przez telefon. I chociaż bardzo chciałyby je usłyszeć, nie był na to czas.

– Nie chciałem was martwić – postawił na szczerość. – Uwierzę, że im mniej wiecie, tym bezpieczniejsi jesteście – dodał całkiem spokojnie. – Nie zniósłbym myśli, że przeze mnie mogłaby stać się wam krzywda. Zresztą... ja praktycznie jestem już pozbawiony jakichkolwiek myśli.

– Janek! – wrzasnęła nagle Natasza, a potem zrobiła krótką pauzę. – Przecież musi być jakiś sposób na to wszystko. Mama trochę mi opowiedziała. Czy ja... mogę ci jakoś pomóc?

– Obawiam się, że nie. Sprawa jest cholernie ciężka.

– To może chociaż opowiedz mi, co dokładnie się dzieje. Rozmowa zawsze pomaga.

– Natasza... to ma związek ze sprawą sprzed dwudziestu lat. Pamiętasz...

– No właśnie, że nic nie pamiętam – przerwała. – A przepraszam, może z wyjątkiem tego, jak skutecznie ty i twoja matka kamuflowaliście ten temat. Ja nigdy nie wnikałam w żadne szczegóły i to był mój błąd. A może to dobry moment na szczerość?

– Jeśli chcesz wysłuchać i masz czas... – Janek zobaczył światelko w tunelu. Rozmowy z Nataszą zawsze niosły ze sobą spokój.

– Czasu nie mam, ale słowa wyjaśnienia jak najbardziej mi się należą, więc?

– Jesteś w biurze? – Poniatowski nagle zapragnął do niej pojechać. Mógłby ją mocno przytulić, zamknąć łzawiące oczy i nigdy ich nie otwierać. I wszystko byłoby już jak dawniej.

– Tak, właśnie zabrałam się do pracy – odpowiedziała i spojrzała na stos piętrzących się dokumentów. Wyjęła je przed chwilą z podręcznej szuflady i zamierzała wpiąć do segregatora opatrzonego napisem: kontrahenci. Dotyczyły gotowej już umowy współpracy z nową restauracją. – Jeśli chcesz tutaj przyjechać, to mogę najwyżej zagonić cię do czarnej roboty – zażartowała.

– Nie, dzięki – uśmiechnął się Poniatowski. – Jestem na urlopie, a czarnego koloru aktualnie mam po dziurki w nosie. – A wieczorem? – Coraz bardziej zaczęło zależeć mu na spotkaniu.

– Wieczorem podpisuję umowę z klientem.

– Gratulacje – Janek żywo zareagował. – Cieszę się, że firma się rozwija. Zresztą wiedziałem, że tak będzie.

– Dzięki. Staram się jak mogę i póki co nie mogę narzekać. – Nataszę rozpieszczała duma. Jeszcze rok temu nie sądziła, że kiedykolwiek odważy się poprowadzić własny biznes, a tak spektakularnych sukcesów nie spodziewała się nawet w najśmielszych snach. – To dzięki tobie, Janek. Bez względu na wszystko zawsze będę tak myśleć – szepnęła.

– Daj spokój, ja tylko przekonywałem cię, że dasz sobie radę – odrzekł nieskromnie. – Zawsze w ciebie wierzyłem.

– Dobrze, już dobrze. A co do spotkania... Około piątej powinnam już być wolna – musiała przerwać zbyt osobistą rozmowę, gdyż była bliska złamania własnych ustaleń. Zaczzerwieniła się i zrobiło się jej gorąco. – Remigiusz będzie na koszykowie, więc będę dyspozycyjna – dodała.

– Przepraszam za wczoraj. Gdyby nie to wszystko, odebrałbym Remika – usprawiedliwił się. – Nie chciałem...

– Byłam zła, nie powiem – przerwała mężowi Natasza. – Ale nie wiedziałam, że masz kłopoty. To jak będzie z tą siedemnastą? – zapytała, zmieniając temat. – Mógłbyś przyjść do Świtezi? – zapytała.

– Do Świtezi? – zdziwił się Poniatowski i automatycznie pomyślał o Ance. Wolałby spotkać się z żoną w bardziej neutralnym miejscu.

– Tam mam to spotkanie – wyjaśniła Natasza. – Podpisuję dziś z nimi umowę na organizację przyjęć. To wielka szansa dla Wspaniałych Ślubów.

– Ach... – zawiesił głos Poniatowski. Fakt, że jego i Sasankę łączyła iskrząca nić porozumienia, mógłby wszystko zepsuć. – Dobrze. Będę o siedemnastej – dodał po chwili wahania. Zaryzykował, bo przyszłość miała sens tylko u boku Nataszy. W obliczu piekła, przez które przechodził, nie miał już innych pragnień. Karolina i Sebastian – są jeszcze oni. Żyją. Janek nie dopuszczał innej możliwości. Gdzieś tam czekają na jego pomoc. Ocali ich, bez względu na wszystko. Będzie podążał śladami wskazówek i szybko znajdzie najbliższy punkt chorego popaprańca. Liczy się każda sekunda i nie ma chwili do stracenia.

– OK, będę czekać – Natasza przerwała krótkie rozważania mężczyzny jej życia. – Daj znać, gdyby coś się zmieniło, i dzwoń w razie kłopotów.

– Muszę kończyć – powiedział szybko, bo o czymś sobie przypomniał. Chciał czym prędzej sprawdzić czego nocny intruz szukał pod jego drzwiami. – Do zobaczenia!

– Pa.

---

Chodzież, 13 stycznia 2016 roku, przedpołudnie

Marianna Olecka

Marianna Olecka stanęła na zewnątrz kościoła. Spojrzała w niebo zasnutę grubą warstwą czarnych chmur, tak jakby spodziewała się przejaśnień wywołanych długą i żarliwą modlitwą. Liczyła na to, że niebo rozjaśni się choć częściowo na znak jej cudnego ułaskawienia. Było jednak za wcześnie na obserwację jakichkolwiek efektów duchowej przemiany. Hodowane przez lata sękaty pnącza ciemności nie zwiędną przecież po pierwszym podlaniu wodą święconą. Jeśli w ogóle znikną kiedykolwiek.

Trudno – pomyślała i zaczerpnęła w płuca porcję mokrego powietrza. Przyzwyczaiała się do istnienia pogody dla bogaczy i przystąpiła do drugiego etapu dzisiejszej misji. Postawiła futrzany kołnierz zimowego płaszcza i spojrzała przed siebie. Kierunek był tylko jeden. Za kilkanaście minut będzie na miejscu. Właśnie zaczynało padać.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, przedpołudnie

Anna Sass, Jarosław Grzesiuk

– Skromne restauracyjne progi serdecznie witają wszystkich spóźnialskich – Jarosław Grzesiuk żywo zareagował na widok pracownicy, która przyzwyczaiała już wszystkich do elastycznych godzin rozpoczynania pracy.

Dziewczyna nie odezwała się słowem. Zrzuciła puchową kurtkę i otworzyła szafę. Wyjęła z niej kilka rzeczy i poszła się przebrać. Jarek przetaił oczy z niedowierzaniem. Mógłby przysiąc, że przed chwilą zobaczył ducha

i zrobił z siebie idiotę, próbując z nim porozmawiać. Usiadł przy stole i postanowił zaczekać, aż poranna zjawia przybierze postać jego ulubionej kelnerki. Anka musi przecież wrócić do formy, gdyż obsługuje dziś ważnego gościa – piękną właścicielkę Wspaniałych Ślubów. Przedstawiciele obu firm będą podpisywać umowę o wzajemnej współpracy. Dla Grzesiuka oznaczało to pewność dalszego zatrudnienia, wyższe utargi, ekstra napiwki, a być może nawet dodatkowe premie miesięczne. Jeśli dziś coś pójdzie nie tak, szef urwie mu głowę, a wysokie notowania Sasanki z pewnością spadną do zera. A przecież nikt nie zdoła jej zastąpić.

– O jesteś? – zapytał, kiedy zobaczył uchylające się drzwi toalety. – Źle się czujesz? – zapytał.

– Dobrze... – jęknęła Sasanka.

– No właśnie widzę! – Grzesiuk krzyknął celowo. Chciał, by cokolwiek dotarło do nieobecnej dziewczyny.

– Nie krzycz, proszę – odpowiedziała. – Mam dość wrzasków. Wczoraj krzyczała Karolina. Nie pomogłam jej.

– Karolina? – zdziwił się Jarosław, choć wiedział, kogo ma na myśli kelnerka.

– Porwał ją wczoraj. – Twarz dziewczyny była zmęczona i smutna. Opadła zrezygnowana na krzesło, ciężką głowę opierając o ścianę. – Daj mi coś do picia – szepnęła.

– Proszę – odrzekł przełożony po chwili wahania, podając jej szklankę, którą wcześniej przygotował dla siebie. Kelnerka wypila zawartość bez zastanowienia. Oczy wyszły jej na wierzch, gdy się zakrztusiła.

– Co to było? – zapytała, zaglądając do wnętrza pustego naczynia.

– Dobrze ci robi – wyjaśnił spokojnie. – Tylko staremu ani słowa, zrozumiano? – uśmiechnął się szczerze.

– No nie wiem – wydukała. Alkohol stopniowo rozchodził się w organizmie. Anka poczuła, jak uspokajające ciepło łagodzi stres, którego obecności wcale nie była świadoma.

– A teraz mów. – Jarek dotknął opuszką palca słonej kropelki na jej bladym policzku. – Co się stało?

– Masz jeszcze? – Odstawiła pustą szklaneczkę na blacie.

– Zaczekaj. – Grzesiuk wstał od stołu i otworzył blaszaną apteczkę. Drzwiczki zaskrzypiały leniwie. Wyjął z niej małąkę wódki. Zdjął zakrętkę i przelał pozostałą zawartość do szklanki. – Tylko powoli. Dziś obsługujesz starego.

– Pamiętam – odpowiedziała Anka i wlała w siebie kolejną porcję zbawiennej cieczy. Powinna dać sobie radę – dodała bez przekonania. – Dzięki za pierwszą pomoc – wskazała palcem w stronę apteczki i uśmiechnęła się dziś po raz pierwszy.

– Trzymałem to na czarną godzinę, a widzę, że chyba taka nadeszła.

– Żebyś wiedział, Jarek – kelnerka nabrała ochoty do zwierzeń. Czym prędzej chciała wyrzucić z siebie niepokojące myśli. Wiedziała, że dobry przyjaciel zawsze ją wesprze. – Po tym, co wczoraj przeżyłam, wiem jedno. Moja czarna godzina właśnie wybiła.

– Co ty pleciesz, Aniu? Jak przeszłaś? Co takiego? – Grzesiuk odetchnął z ulgą. Zobaczył w jej oczach dwie wielkie litery M. To monologi, które za chwilę wyskoczą przez usta z prędkością światła.

– Słyszałam go... To psychopata, mówię ci. Porwał Karolinę. Ja pierdolę, Jarek. – Sasanka włączyła pierwszy bieg i nabierała prędkości. – Janek zorganizował wczoraj u niej naradę i przywiózł te wszystkie listy z pogroźkami. W jednym był symbol takiego dziwnego krzyża. Jestem pewna, że gdzieś już widziałam coś takiego. Później Jan pojechał do swojego banku sprawdzić monitoring. Przypomniał sobie, że ten ktoś był u niego w pracy. Zostałyśmy same z Karoliną w tym bunkrze. Mówiłam ci już – ona ma taki stary dom, chyba nawet sprzed wojny. Janek śmiał się, że zamiast pokoi są komnaty. Ale to prawda. Wiesz, jak tam jest wysoko? Nie mam pojęcia, jak ona wieszka firany, bo ona jeszcze ma firany. No powiedz Jarek, kto w dzisiejszych czasach upina firany? Ale to jeszcze nic. Ona ma w oknach kraty, jak w więzieniu. Nie mogłam wyskoczyć i wezwać pomocy. Uwierz mi, że chciałam... Próbowałam... Modliłam się, aby się wydostać. Tak bardzo się bałam. Zabrał ją tak samo, jak Sebastiana. Słyszałam go, Jarek, i błagałam Boga, aby już poszedł. Zamknął mnie samą, a ona krzyczała... Tak przeraźliwie. A potem była już tylko cisza. Przepraszam... Powinna jej pomóc. – Sasanka rozplakała się jak dziecko i nie mogła się uspokoić. Ostatnie słowa wypowiadała coraz wolniej, stopniowo zamykając się w sobie.

– Płacz, śmiało. To zawsze pomaga – uspokajał kierownik. Wiele zrozumiał z bezwładnej lawiny słów i zdążył zorientować się, że z Anką nie jest dobrze.

– Trzeba im pomóc – zaszlochała nagle Sasanka. – Zrób coś, proszę. To moja wina.

– Nie martw się, Aniu, coś wymyślimy. Na pewno coś wymyślimy.

Jarosław Grzesiuk widywał już strach w ludzkich oczach, ale pierwszy raz w życiu cudze spazmy histerii nie były mu obojętne. Czuł się za nią odpowiedzialny. Był przecież jej szefem i osobiście przyjmował ją do pracy. To „na służbie” poznała tę całą Karolinę, a później Janka Poniatowskiego. Od początku przeczuwał, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Słyszał o tym, że Poniatowski zdradził żonę, czego skutkiem był głośny i natychmiastowy rozwód. Nie dziwił się pani Nataszy, przecież jest taka miła i elegancka. Każda kobieta na jej miejscu zrobiłaby tak samo. Pozbierała się po tym wszystkim i szybko stanęła na nogach. Jarosław cieszył się na tę współpracę. Odkąd pani Natasza zaczęła ich odwiedzać, wiedział, że zyskają na tym obie strony. Szkoda, że Ania jest dzisiaj w takiej niedyspozycji, będzie musiała odpocząć. Piękna właścicielka Wspaniałych Ślubów zasługuje na najwyższą jakość obsługi oraz wysublimowane smaki koronnych dań. Zaraz porozmawia z szefem. Może da się jeszcze wszystko uratować. Oby tylko nie było za późno.

## ROZDZIAŁ 5

### Chodzież, 17 sierpnia 1996 roku, wieczór Aniela Kalicka, Joanna Kalicka. Wiktor Szewczyk, Bernard Kalicki

– Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery? – Aniela Kalicka nie kryła zdziwienia. – Zostaw nas dzisiaj w spokoju!  
– Chciała pozbyć się nieproszonego gościa.

– Nie takiego przywitania się spodziewałem – Szewczyk wybełkotał z trudem. – Dlaczego nie oddzwoniłaś? Chciałem pogadać – dodał, wtykając stopę między drzwi a metalową ościeżnicę.

– Dobrze wiesz, że nie mamy o czym – Kalicka syknęła przez zęby. – Jesteś pijany. Proszę, nie psuj Aśce urodzin, a mnie reszty życia. Po co to wszystko? – spytała.

– Jest Bernard? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Jest i lepiej, żeby nie widział cię w takim stanie.

– Ale dla kogo lepiej, kochanie? Dla ciebie czy dla nas?

– Przestań. Nas nie ma od osiemnastu lat. – Aniela wypchnęła intruza za próg i zaryglowała zamek. Oparła się o drzwi i oddychała miarowo. Musiała się uspokoić, aby odzyskać równowagę.

– Wszystko w porządku? – spytał Bernard, wychodząc z kuchni. W ręku trzymał butelkę z piwem. On również tuszował emocje kolejną dawką alkoholu.

– Tak, kochanie – odpowiedziała Aniela i spojrzała na męża. – Nie mam już siły na tego Kaczmarka. Rzadko spotyka się tak upierdliwego sąsiada – skłamała.

– Doprawdy? Mógłbym przysiąc, że słyszałem Wiktora – zadrwił Kalicki i popatrzał gniewnie. Aniela zauważyła w jego oczach przedziwny odcień agresji, którego nie potrafiła ani rozpoznać, ani zrozumieć. Czyżby Wiktor rozmawiał z Bernardem, gdy była u fryzjera?

– Szewczyk...? Tutaj? Przecież to młodzieżowa impreza.

– A znasz innego Wiktora? – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– A ciebie co dziś ugryzło? – Aniela postawiła na atak, który w stosunku do męża zawsze był skuteczną formą obrony. – Asia ma urodziny, a ty od rana fukasz na wszystkich.

– O której wychodzą tańczyć? – Bernard nie podjął wyzwania. Szkoda mu było czasu na zbędne dyskusje.

– Nie wiem dokładnie. Chyba o dwudziestej – odrzekła, czując na plecach zimny dreszcz niepokoju. Nigdy wcześniej aż tak bardzo nie bała się męża, lecz dziś rano coś się zmieniło. Jego spojrzenie znów było dzikie, zwierzęce i nieokiełznane.

– To lepiej się dowiedz! – warknął rozwścieczony. – Wychodzę – dodał, pociągnął pokaźny łyk spienionego piwa, a potem rzucił pustą fłaszczkę wprost pod stopy złkniętej kobiety i wyszedł.

Aniela zaczęła zbierać resztki stłuczonej butelki. Ostre krawędzie zielonego szkła zraniły jej skórę. Dygotała. Bernard już wie, to pewne – podsumowała. Zmierzenie się z prawdą było już tylko kwestią czasu. Wiktor nie umiał zachować sekretów i zawsze o tym wiedziała. Od dziś nic nie będzie już takie, jak kiedyś. Przez kochanka, który nie dochował tajemnic.

– Wszystko w porządku? – zapytała schodząca na dół Joasia. Wzrokiem omiotła ponury przedpokój tak, jakby chciała pomóc matce w sprzątaniu. – Co to za hałas?

– Hałas? – Aniela drgnęła złęknioma. Wyrwana z chwilowego zamyślenia nie usłyszała skrzypienia drewnianych schodów. – A... Tak. Spadła mi butelka, kochanie – skłamała. – Jak tam urodzinki? Donieść wam czegoś na górę?

– Mamo, nie musisz kłamać – głośnym szepciem skwitowała Joanna. – Dobrze wiem, że ojciec znów narozrabiał. Słyszałam jego głos przed chwilą. Co się dzieje?

– Nie martw się, panuję nad sytuacją.

– Właśnie widzę. Mamo, masz przeciętą rękę – krzyknęła nastolatka. Zeskoczyła z trzech ostatnich stopni i pobiegła do kuchni. – Zaczekaj – poprosiła w biegu, a potem zniknęła za drzwiami. Wróciła z grubą rolką papieru. Pośpiesznie oderwała kilka białych listków i zatamowała spływającą krew.

– Córciu, to tylko drobne skaleczenie. – Kalicka uśmiechnęła się dobrotliwie. Wiedziała, że na jej pomoc zawsze mogła liczyć. – Powinam przeżyć.

– No tak, mamo, tylko co to za życie? – mówiła dwuznacznie Joanna. – Nie pozwalaj, by cię tak taktował. Wystarczy, że mnie wyrzucił już ze swego serca. Widzę to w jego oczach. Czy ja mu coś zrobiłam?

– Co ty za głupstwa pleciesz? – zaprzeczyła Aniela. – Przecież wiesz, że ojciec w ogień za tobą wskoczy. Po prostu... – zawahała się – ma gorsze dni, ale to z pewnością nie chodzi o ciebie. – Wstała z podłogi. Zabolały ją kolana od przydługiego klęczenia. W koszyczku złączonych dłoni trzymała części strzaskanej butelki.

– No nie wiem – burknęła cicho Joasia, nie dając wiary matczynym wyjaśnieniom. Przecież pamiętała dawną dobroć taty, która nie miała nic wspólnego z gniewem aktualnego ojca. – Nieważne.

– Asia.

– Co?

– Jutro porozmawiamy o wszystkim, dobrze? Obiecuję. Dziś dajmy temu spokój. – Aniela była pewna, że córka jest już na tyle dorosła, aby poznać prawdę dotyczącą jej obecności na świecie.

– Ale o czym, mamusiu? – Nastolatka świdrowała spojrzeniem twarz zatroskanej matki. Nie potrafiła z niej wyczytać nic innego, jak tylko aurę tajemniczości.

– O wszystkim, Asieńko, o wszystkim... – odpowiedziała zamyślona Kalicka. – A teraz zmykaj do swoich gości. A jak tam Sebastian?

– Oj, mamo – jęknęła głośno Joanna. Zaczynała się mocno czerwienić. – Przestań.

– No co? Pytam tylko. To już matce nie wolno o nic zapytać? – Aniela zaśmiała się szczerze, a potem mrugnęła okiem dwuznacznie. – O której idziecie do klubu?

– No właśnie miałam ci mówić. Właściwie to chcielibyśmy już teraz. Nie pogniewasz się, że zostawię cię samą?

– No jasne, że się pogniewam. Będę tu fukać na wszystkich. Przez cały tydzień. Trzaskać drzwiami i tłuc puste butelki na lewo i prawo – zażartowała Kalicka i przewróciła wymownie oczami, zatrzymując ironiczną spojrzenie na drzwiach, za którymi przed chwilą zniknął rozniewany Bernard.

– To ja porobię zakupy, a kiedy wrócę, rozrzucę pełne siatki w kuchni – podchwyciła rozweselona Joanna. – Być może w tym domu w końcu zapanuje należyty porządek! – Z trudem powstrzymała głupawy wybuch wzbierającego śmiechu.

– Tak jest! – Matka usiłowała zaskłamać po generalsku. W ostatniej chwili przypomniała sobie jednak o szkiełkach trzymanyh w dłoniach. Choć przywodziły na myśl wyrzucane na brzeg niewinne skarby Bałtyku, nie dodawały nadziei. – Chodź tu do mnie, słoneczko – powiedziała łagodnie i pocałowała córkę w sam czubek głowy. Nie przeżyłaby tego, jeśli coś złego stałoby się jej dziecku. – Kocham cię, córeńko. Bawcie się dobrze i uważaj na siebie. Zadzwoń później z miasta, żebym się nie martwiła. A tym starym grzybem w ogóle się nie przejmuj. Już ja sobie z nim poradzę.

– Ja ciebie też kocham, bardzo. – Joanna przylgnęła do matki, wyrażając tym samym ogrom bezgranicznej miłości. – Zadzwoń. Jak będzie drętwo, to powinnam szybko być w domu. Pewnie, że sobie poradzisz, mamo...

– Drętwo? Z Sebastianem? – przerwała Aniela. – To niemożliwe. – Znów puściła oczko w stronę Joasi. – Choć powiem szczerze, że ten cały Janek też jest niczego sobie – zamruczała.

– Oj, przestań już. Przecież to tylko koledzy.

– Ale za to jacy przystojni. Oj, gdybym ja była młodsza i nie miała w domu tego grzyba – parsknęła niepohamowanym śmiechem.

– To pewnie byś nie miała też mnie – zripostowała nastolatka. – Chciałabym ci z tego miejsca przypomnieć, że ten stary kapeć to, jakby nie patrzeć, mój własny ojciec – zakpiła.

– No... tak... – odpowiedziała Aniela zbita z pantałyku. – Leć już kochanie i uważaj na siebie.

– Ty też mamó. Zaraz będziemy się szykować, pa.

Joanna spojrzała na matkę po raz ostatni. Poczula się dziwnie, ale nie umiała tego wyjaśnić. Kiedy mrugnęła, pod powiekami pojawiły się niemiłe resztki dzisiejszego snu. Matka uśmiechnęła się, odwróciła i zniknęła gdzieś w kuchni. Po chwili słychać było odgłos wyrzucanych odpadków.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie

Roman Bańka

Taksówkarz Roman Bańka od kilkudziesięciu minut oczekiwał na przydział kursu z korporacji. Przed chwilą sprawdził po raz kolejny, czy nie stracił radiowej łączności z dyspozytornią. Wszystko w porządku. Stojąc na postoju, z pewnością nie uzbiera na wakacje życia. Marzył mu się gorący zapach słonecznej Malagi i pozostanie w Hiszpanii na zawsze. Zostawi gderającą żonę, a czerwone zachody słońca będzie celebrował w portowej knajpce ze szklaneczką aromatycznej sangrii. Do tego jednak potrzebne były pieniądze. Miał wyrzuty sumienia, że dał się wciągnąć w to wszystko. Brak asertywności i duża skłonność do ulegania wpływom zrobiły swoje. Do tego coraz częściej do głosu dochodził ten w lustrze. Tym razem nawet go nie ostrzegał. Wręcz przeciwnie, wciąż nakłaniał do złego, mówiąc o pieniądzach leżących na ulicy.

Pierwszy raz był najgorszy. Gdy wracał do domu, spalił w ognisku przyciężkie ubrania i zwymiotował. Osiągnął dno bagnistego dna i najgłębszy poziom ludzkiego upodlenia. Malaga. To dla niej brnął w to wszystko i zaszedł tak daleko. Ciarki przeszły mu po plecach. Czuł do siebie obrzydzenie.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik mercedesa. Nie będzie czekał beczynnym na postoju. Postanowił pojeździć po mieście i poszukać okazji do legalnego zarobku. Być może pokryje nimi całkowity brak szacunku do resztek samego siebie.

– Nie martw się – odezwał się ten drugi, z krainy czarów. Roman dostrzegł go tym razem w odbiciu samochodowego lusterka. – Takie jest życie... – dodał. – Jeśli nie ty, to ktoś inny. Weź się w garść i przestań się mazać. Sangria w słonecznej Hiszpanii warta jest poświęcenia. To tylko praca i tak do tego podejdź. I popraw sobie kołnierzyk. W końcu jesteś porządnym obywatelem. Głowa do góry i nikomu ani słowa. Zrozumiano?

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie

Gracjan Witkowski

Witkowski nie mógł przestać myśleć o tym, co dziś rano wydarzyło się w jego mieszkaniu. Jak mógł do tego dopuścić? Zawsze był przecież ostrożny i nikomu nie udostępniał szczegółów swojej odmiennej prywatności. Nie powinien w ogóle wpuszczać tej natrętnej lokatorki do środka lub mógł przynajmniej szybko wyłączyć laptopa. Zawsze powtarzał sobie, że ostrożności nigdy za wiele i lepiej dmuchać na zimne. Więc co dziś się stało? Wszystko przez ten filmik, który tak bardzo lubił. Głównie przez jednego aktora, do złudzenia przypominającego mu kogoś szczególnie bliskiego. No, może ten z ekranu był trochę ładniejszy i dysponował pełniejszą muskulaturą. Poza tym wszystko się zgadzało. Ilekroć uruchamiał to nagranie, zatracał się w nim do granic fizycznego podniecenia. Czasem

szczytował nawet bez konieczności rozpinania rozporoka. Kiedy ta zdzirowata siksa zadzwoniła do drzwi, był niesamowicie bliski kolejnego doznania. To przez niego to wszystko. Przez niego.

Witkowski nie miał pewności, ile zarejestrowała niesforna lokatorka i czy w ogóle widziała cokolwiek. Musiał zatem koniecznie to sprawdzić. Postanowione. Zaprosi ją wieczorem na kawę. A może zajdzie do niej pod byle pretekstem i wykorzysta jej metody badawcze? Kolejna awaria oświetlenia? Tym razem nie będzie to przypadkowa usterka, ale w kontekście rannych ciemności nie powinna wydać się podejrzana. Jeśli ta cycata pielęgnarka wie nazbyt wiele, będzie musiał zapłacić za jej milczenie. W przeciwnym razie wszystko na nic. Życie do poprawki albo wyjazd na drugi koniec świata z podkulonym ogonem, zamiatającym puchate tumany wstydu.

Zbyt wiele miał do stracenia. Przede wszystkim możliwość kontaktu z nim. Dziś był w stanie zrobić wszystko tylko po to, by móc zamienić z nim choćby jedno zdanie, spojrzeć mu w oczy i poczuć męski zapach błęgiego testosteronu. Gracjan wolał nawet nie myśleć, co by było, gdyby on poznał prawdę o jego orientacji. Za bardzo lubił kobiety. Witkowski nie miałby nawet odwagi spróbować namówić go do grzechu, bo bał się stuprocentowej jakości jego męskiego usposobienia. Lepiej więc zadbać, by wszystko zostało tak, jak dotychczas, niż ryzykować utratę małej namiastki metafizycznego spełnienia. Wszystko się jakoś ułoży. Najważniejsze, że są pieniądze. Takie ladacznice, jak ten wścibski gimbus z parteru, dla pieniędzy są w stanie zrobić wszystko.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie  
Jan Poniatowski

Jan Poniatowski wolał nie zbliżać się do śmierdzącej stęchlizną kartki. Leżała na stole. Przeczytał tekst już dwa razy. Wcześniej miał dobre przeczucie, aby jeszcze raz dokładnie obejrzeć bohomyzy, które ktoś w nocy wykonał na jego drzwiach. Kiedy skupiał się na dokładnych oględzinach wejścia upačanego farbą, pod nogami zaszeleściła wystająca spod wycieraczki koperta. W pierwszej chwili nie chciał podnosić z podłogi czerwonej przesyłki, gdyż słyszał jeszcze w uszach wczorajszą przestrogę rozgniewanego policjanta. Jahnc jasno i wyraźnie potępił nieodpowiedzialne zachowanie Janka i Sasanki, które – utrudniając śledztwo – mogło narazić skrywających ważne dowody na ogromne niebezpieczeństwo.

Druga opcja, jaką wziął pod uwagę, to zabezpieczenie koperty wewnątrz mieszkania, oczywiście po jej natychmiastowym otwarciu i zapoznaniu się z ewentualną treścią listu. Poniatowski udał przez moment, że targają nim etyczne dylematy, lecz w praktyce wybór był niesamowicie prosty: podnieść, przeczytać i zastanowić się co dalej.

A co miał? Bardzo dużo nieszczęśliwych faktów i równie pokaźną liczbę znaków zapytania. Ponad tydzień temu znalazł na ulicy zmasakrowaną koleżankę z licealnych czasów. Joanna umarła w szpitalu, mimo iż jej stan zaczęto określać jako stabilny. Ten sam sprawca porwał Sebastiana, o czym pisał w liście dostarczonym do banku. Nazajutrz w drastycznych okolicznościach zniknęła też Karolina i tym samym Janek stracił dwie kolejne osoby, z którymi dwadzieścia lat temu tworzył zgraną paczkę przyjaciół. Wszystko to poprzedzone było pogroźkami pod jego adresem oraz niewybrednym szantażem, który z czasem zaczął przybierać na intensywności.

Była też Sasanka i jej udział w części późniejszych zdarzeń. Sprawa wydawała się nadzwyczaj prosta i z pewnością dotyczyła makabrycznych wydarzeń z przeszłości Jana Poniatowskiego. Komu jednak te fakty przeszkadzają i dlaczego tak bardzo tej osobie zależy na eliminacji czwórki przyjaciół sprzed dwudziestu lat?

Pociągnął duży łyk aromatycznej kawy. Była to jedna z nielicznych przyjemności, jaką w bieżących okolicznościach mógł sobie zafundować bez zbędnych ograniczeń. Gorąca fala upłynionego brązu Kolumbii błyskawicznie wypełniła spragnione usta i wdarła się odważnym strumieniem do gardła. Mózg zareagował niemal błyskawicznie i zeszywniały organizm otrzymał mocnego, kofeinowego kopa. Bankowiec odstawił kubek z gorącą kawą i wziął do ręki pomietą kartkę papieru. Obejrzał ją dokładnie, szukając śladów, jakie mógł zostawić nadawca korespondencji. Poza tym, że kartka śmierdziała całkiem znajomo, nic szczególnego Janek nie zarejestrował.



Trzymając list w dłoni, pociągnął kolejny łyk smolistej używki. Postanowił raz jeszcze zapoznać się z treścią najnowszej korespondencji.



*Wszelkie karcenie na razie nie wydaje się radosne, ale smutne, potem jednak przynosi tym, którzy go doświadczyli, błogi plon sprawiedliwości.*

*[Hbr 12,11 – 4143]*

*Czy nadal doskwiera Ci wolność? Potrafi rujnować, prawda? Zzera od środka i nie pozostawia złudzeń? Wyobrażam sobie, jak bardzo się męczysz. Otwierasz oczy, a ona wciąż żyje. Rośnie w siłę i zaciska pętlę. Spójrz, zniszczyła Ci życie! Zabrała wszystko: rodzinę, przyjaciół, pracę... Wszystko! Gdybyśgnił w zamknięciu, nie miałbyś żadnych problemów.*

*Jeszcze gorsza jest nadzieja. To bzdura, że umiera ostatnia. Zdradza pierwsza i nigdy nie ogląda się za siebie. Z każdym dniem idzie krok dalej i szuka okazji, by zniknąć za rogiem. Szybko znajdzie innego, rozkocha i uniezależni. Sprzedajna zdzira!*

*Uważam, że jesteś wytrwały. Broniłeś się dzielnie przez całe dwadzieścia lat. Poddaj się, bo nie masz już siły! Nie oszukasz przeznaczenia i nie unikniesz sprawiedliwości. Prawda pociągnie Cię na dno i nikt nie poda Ci ręki. Nie martw się. Masz jeszcze mnie. Czy już wiesz, kim jestem? Nie? Nigdy się nie domyślisz, bo jesteś za mało inteligentny. Mówiąc prościej: za głupi!*

*Chcę tylko, abyś wiedział, że Sebastian i Karolina są w końcu razem. Ich wymarzone spotkanie nareszcie doszło do skutku. Nie wiem, czy poczekają na Ciebie. Chłopak nie daje rady. Jest słaby... Nie należy do osób szczególnie walecznych. Ona stawiała większy opór, ale to przecież dopiero początek jej życiowej pokuty. Ma więcej ikry, lecz to się zmieni. Podda się prędzej czy później i podziękuje za pomoc z całego krwawiącego serca.*

*Wiem, że nie możesz się już doczekać oczyszczającej mocy zbawienia. Nie martw się, pamiętam o Tobie. Oczekiwanie jest połową przyjemności, a bardziej ucieszy Cię coś mocno wytęsknionego. Najgorsze masz już za sobą. Dwadzieścia lat temu wstąpiłeś na krętą ścieżkę poszukiwania prawdy i przeszedłeś ją niemal w całości. Zostało Ci kilka ostatnich stacji, więc nie waz się odkładać krzyża! Wytwraj do końca, bo finał jest bliski. Twój upadek będzie bezsprzecznym końcem realizacji boskiego planu zadoścuczynienia. Ja pozwolę sobie na drobną jego modyfikację. Należy mi się. Co o tym sadzisz? Niebiosa nie powinny się gniewać, bo przecież i tak na końcu zajmę się Tobą.*

*Przeklęty ten, co wypełnia dzieło Pańskie niedbale!*

*Przeklęty ten, który swój miecz powstrzymuje od krwi!*

*[Księga Jeremiasza 48:10]*

*Znasz jakąś odpowiednią osobę? Nie musi być naznaczona grzechem, jak cała wasza plugawa czwórka. Jasna krew niewinnego serca byłaby wyjątkiem w prostych regułach wymiaru sprawiedliwości. Rozejrzyj się wokół siebie i pomyśl! Nikt konkretny nie przychodzi Ci do głowy? Naprawdę? Znow wszystko na mojej głowie. Nie można już liczyć na bezinteresowną pomoc. Dobrze już, dobrze. Mam kogoś na oku. I nowe stalowe ostrze. Wchodzi w skórę jak w masło i nawet nie muszę go skrywać. Nikogo nie dziwi, że bawię się słodko. Cóż za komfort.*

*Żegnam... Jadę. Zakochane gołąbki są głodne.*

*Mówi ten, który o tym świadczy: Zaiste, przyjdę niebawem.*

*Amen*

*[Apokalipsa wg św. Jana 22,20 – 2144]*

*Do zobaczenia...*

Nie trzymało się to przysłowiowej kupy. Wcześniej satanizm, teraz cytaty z Biblii. Najpierw szatański krucyfiks, dziś obraz Chrystusa upadającego pod ciężarem krzyża. Religijny fanatyk czy przypadkowy szantażysta posługujący się losowo wybranymi symbolami?

– Bądź tu mądry i pisz wiersze – westchnął Poniatowski. Jedno jest pewne – pomyślał. Jest zdesperowany, cholernie niebezpieczny, wie zbyt dużo, nie boi się niczego i z pewnością nie cofnie się przed zrobieniem krzywdy Sebastianowi i Karolinie.

Janek nie miał pojęcia, co robić. Przez moment coś mu zaświtało, lecz krótkotrwały bodziec przeminął i nie pozostawił po sobie nawet cienia bezcennych informacji. Został jedynie ślad zżerającego strachu. Poniatowski pomyślał o Nataszy i Remigiuszu. Modlił się, by byli bezpieczni. Może to i lepiej, że Jan nie miał teraz bliskich kontaktów z rodziną. Liczne problemy nie wywoływały bowiem niepotrzebnych reperkusji rzutujących na bezpieczeństwo synka i byłej żony. Gdy tylko dziś się spotkają, porozmawia z Nataszą o tym, by miała oczy szeroko otwarte i często oglądała się za siebie. Jakże był nieodpowiedzialny, iż nie zalecił jej tego wcześniej. Osiągnął szczyt samolubstwa, dbając wyłącznie o swoje bezpieczeństwo. Chyba nie jest jeszcze za późno – zastanawiał się.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie  
Julia Węgorzewska, Gracjan Witkowski

– Klinika medycyny estetycznej Cinderella, Julia Węgorzewska, w czym mogę pomóc? – świeżo upieczona recepcjonista odebrała kolejny telefon, który od rana dzwonił jak oszalały.

– To bardzo dobrze, że słuchasz! – warknął mężczyzna po drugiej stronie. Charchot w słuchawce nie był zwiastunem dobrych wiadomości. Zdecydowanie nie brzmiał, jak głos pacjentki umawiającej się na wizytę. Julka rozpoznała go od razu. – Masz pieniądze? – zapytał.

Zamurowało ją. Nie lubiła być zaskakiwana, a on potrafił to wykorzystać. Czy to możliwe? Jakim cudem? Skąd? Kto mu powiedział? Ile mam czasu? Skąd wezmę tę pierdoloną kasę? Co robić? – zastanawiała się w myślach.

– Nie udawaj, że nie słyszałaś, kurwo! – Psychopatyczny warkot zamienił się w wulgarny krzyk. – Wiem, że tam jesteś. Wszystko wiem i lepiej nie próbuj mnie zwodzić. Znajdę cię prędzej niż pomyślisz!

– Daj mi jeszcze kilka dni – zmusiła ściśnięte gardło do wydania ledwo słyszalnych dźwięków.

– Masz dwa dni i pamiętaj o odsetkach. Licznik bije, a ja nie uznaję taryfy ulgowej! – huknął do słuchawki rozłoszczony mężczyzna.

– Kasa będzie. Przysięgam – zniżyła głos do szeptu i rozejrzała się po holu recepcji. Nie chciała, by ktoś przypadkowo podsłuchał tę rozmowę. – Proszę jeszcze o trzy dni...

– W piątek szmal ma być na koncie, rozumiesz, oszukańcza suko? A jak nie, to wepchnę ci tego bachora z powrotem do środka!

– Tak. W piątek... – dukała.

– I lepiej nie próbuj żadnych prostackich sztuczek, bo następnym razem nie będę taki wyrozumiały.

Węgorzewska odłożyła słuchawkę i ponownie omiotła wzrokiem klinikę. Chciała mieć pewność, że nikt nie słyszał głośnego krzyku jej szantażysty. Nadal trzęsła się jak galareta, lecz zmusiła się do uśmiechu. Znów chciała być pewną siebie dziewczyną, której zdarzyło się wpaść w przejściowe tarapaty.

– Któż nie ma swoich problemów? – szepnęła pod nosem i spojrzała w stronę szklanego wejścia Cinderelli.

Pojawił się w nim ktoś, kogo nigdy nie spodziewałaby się tu spotkać.

– No proszę – rzekła do siebie. – Kogóż to moje piękne oczy widzą? – dodała, mocno wytężając wzrok.

Nie mogła uwierzyć, że widzi tu właśnie jego. W tym samym momencie przypomniała sobie pomysł zorganizowania potrzebnych pieniędzy, na jaki wpadła dzisiejszego ranka. Koncepcja była raczej szalona, ale w jej sytuacji nie powinna przebierać w niewielu dostępnych środkach. Szmal leży jednak na ulicy – pomyślała. I wiem już nawet, kto schyli się po to, by podać mi go na złotej tacy!

Gapowaty jegomość wszedł do środka i rozejrzył się po ekstrawaganckim wnętrzu. Wydawał się lekko zdezorientowany i zachowywał tak, jakby odwiedzał klinikę po raz pierwszy. Z początku nie zauważył recepcji, jednak po chwili ruszył w kierunku drewnianego kontuaru. Do samego końca nie rozpoznał za ładą Julii Węgorzewskiej.

– Dzień dobry – rzucił oschle i dopiero teraz dotarło do niego, z kim ma przyjemność.

– No witam szanownego sąsiada – recepcjonistka zaszczebiotała z wystudiowanym entuzjazmem. – Co sprowadza w nasze skromne progi tak wspaniałego gościa? – zapytała, patrząc Gracjanowi prosto w oczy.

– Och, dzień dobry, pani Julio. Nie poznałem pani. Ktoś tu będzie niedługo bogaty – roześmiał się głośno Witkowski.

– Ale że ja? Bogata? – Pielęgniarka zauważyła, że jego twarz nagle przybiera odmienny, sztucznie przyjacielski wyraz. On też musi być niezłym aktorem – pomyślała. Doskonale знаła takich ludzi. – Daj Boże, przemiły sąsiedzie – pociągnęła kokieterijnym tonem.

– Pani Julio, skoro się już spotkaliśmy, to chciałbym serdecznie przeprosić za swoje poranne zachowanie. Nie zaproponowałem pani nawet niczego do picia, a i mój nastrój pozostawiał wiele do życzenia. Przepraszam!

– No nie wiem, nie wiem, panie Gracjanie – recepcjonistka kontynuowała uwodzicielskim tonem. – Powiem szczerze, że trochę liczyłam na poranną kawkę w towarzystwie uroczego sąsiada. Każdy może mieć przecież ten gorszy dzień... – wróciła myślami do swoich problemów. – Zawsze można jednak wszystko naprawić, prawda? Człowiekowi zdarza się popełniać błędy.

– Otóż to – wtrącił Witkowski. – Dlatego też chciałbym się nieco zrehabilitować i zaprosić panią dziś wieczorem do siebie. Miła pogawędka przy lampce dobrego wina?

– Właściwie niezbyt mi dzisiaj pasuje – skłamała Julia, bawiąc się włosami. Pokerowy bluff miał zmylić przeciwnika i sprawdzić, czy bardzo zależy mu na spotkaniu. Zaczynała domyślać się, czemu ma służyć to niespodziewane zaproszenie. Gej miał wiele do ukrycia i chyba obawiał się, że dziś rano został brutalnie zdemaskowany. – Mam tyle zaległości w mieszkaniu... Przez tę ranną awarię prądu nie zdążyłam nawet posprzątać.

– Niechaj nie daje się sąsiadka prosić – nalegał właściciel kamienicy. Jego twarz zrobiła się całkiem czerwona, a na zmarszczonym czole wystąpiły liczne kropelki potu. – Nie uznaję sprzeciwu.

– A nie moglibyśmy przełożyć tej wizyty na inny termin? – spytała, mając w garści zdeterminowanego mężczyznę. I choć od kilku chwil jej samej dużo bardziej zależało na popołudniowej schadzce, postanowiła odwrócić kota ogonem. – Przecież to może poczekać, prawda?

– Nie może! – odparł zdecydowanym tonem. Jego nerwowa odpowiedź rozniosła się gromkim echem po akustycznym holu kliniki. Kilku zaciekawionych pacjentów podniosło głowy znad rozświetlonych ekranów, których dotykane zabijało nużące chwile czekania na wizytę. Witkowski zorientował się, że zbyt ostro zareagował przed chwilą. Poprawił się błyskawicznie, przyjmując bardziej łagodną postawę. – Ależ pani Julio, nie ma sensu przekładać miłego, sąsiedzkiego spotkania. Mamy przecież do siebie tak blisko, a obowiązki domowe mogą poczekać. No dobrze... mam jeszcze jedną propozycję, która z pewnością się pani spodoba – rzucił łagodniej.

– Zamieniam się w słuch, panie Gracjanie – szepnęła z zaciekawieniem. Jak jeszcze poniżej się Gracjan Witkowski? – dodała w myślach.

– W zamian za dzisiejsze spotkanie jestem gotów umorzyć pani czynsz za całe trzy kolejne miesiące. Wyjątkowa promocja dla wyjątkowej kobiety! I co pani na to? Robi wrażenie, prawda?

– No nie! – powiedziała głośno. – Absolutnie nie mogę przystać na taką propozycję. Oczywiście jest ona bardzo, ale to bardzo kusząca, lecz proszę powiedzieć, panie Gracjanie... No jak by to wyglądało? Porządny właściciel

kamienicy wynajmuje mieszkanie całkiem za darmo. Do tego jeszcze młodej i pięknej dziewczynie. Co sobie ludzie pomyślą? Że niby jak ja się panu odwdzięczam? O nie, nie pozwolę, żeby...

– Pani Julko – wpadł jej w słowo Witkowski. – Robię to z czystej sympatii, jako przyjaciel, nie jako wynajmujący. A ludzkim gadaniem proszę się nie przejmować. Sprawa zostanie wyłącznie między nami – wyszczerzył się niemilosiermie. Był w stanie zapłacić każdą cenę za milczenie tej głupiej dziewczyny. – To jak? Dziewiętnasta?

– Tak – Węgorzewska odpowiedziała niczym automat. Z nadmiaru szczęścia na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością. – Tak... To znaczy, nie! – szybko skorygowała pochopną odpowiedź. – Oj, sama już nie wiem, panie Gracjanie. Nie za późno, jak na domową wizytę? Przecież porządne dziewczyny o tej godzinie biorą już wieczorny prysznic – odzyskała kokieteryjny ton.

– Ależ, pani Julio – nalegał dalej mężczyzna. – To wyjątkowa okoliczność. Raz, nie zawsze! A niestety ja nie dam rady być w domu wcześniej.

– Interesy? – zaciekała się pielęgniarka.

– Coś w tym rodzaju. Takie tam... nudne sprawy. To jak będzie, pani Juleczko? – uciął niewygodny temat. – Mogę więc liczyć na miły wieczór u boku mojej najlepszej lokatorki?

– No dobrze. Ma pan niesamowity dar przekonywania. Postaram się przyjść, ale nie obiecuję.

– Cudownie – znów zbyt głośno zareagował mężczyzna. – A więc jesteśmy umówieni?

– No chyba nie do końca, panie Gracjanie.

– Jak to? – zdziwił się Witkowski. Z jego twarzy znów dało się wyczytać niepewność.

– No bo jeszcze nie umówił się pan na wizytę – Węgorzewska odrzekła zalotnie. Coraz mocniej zaciskała garść, w której od dłuższej chwili trzymała czynszowego pryncypała. Uwodzicielski uśmiech emanował intensywnie połyskującą czerwienią uszmiokowanych warg. – Chyba po to pan tutaj przyszedł, prawda?

– Aaa, tak, oczywiście. To znaczy nie – gubił się w zeznaniach. – Przyszedłem tutaj, bo podobno klinika dysponuje wolną powierzchnią na sprzedaż. No właśnie, tak! Chciałem się spotkać z właścicielem.

– Doprawdy? – zdziwiła się Węgorzewska. – Nic nie słyszałam o wolnych lokalach, ale jeśli pan chce, mogę później zapytać doktora. Chwilowo go nie ma w klinice. Żabski jest właścicielem – zauważyła. Przystojny, cholernie bogaty i zajębiście dobry w seksie. Nie to, co ty, gejowaty grubasie – zakłęta w myślach.

– Nie! – Witkowski zareagował zbyt głośno i zbyt agresywnie. Zbity z pantałyku nerwowo chwycił kopertę, która leżała samotnie na recepcyjnym blacie. Musiał zająć czymś spocone dłonie. – Nie trzeba... Skontaktuję się osobiście, z kim trzeba. Zresztą... To nie jest aż tak pilna sprawa – lawirował, szukając ratunku.

– Skoro tak.

– Pani Julio, ja już uciekam. Nie chciałbym więcej przeszkadzać. Z pewnością ma pani w pracy ważniejsze sprawy, niż dyskusowanie z kimś takim, jak ja. Do zobaczenia wieczorem.

– Prawdę mówiąc to jeszcze sama nie wiem, ile mam pracy i jakie obowiązki na mnie tutaj czekają. Dziś jestem tu pierwszy dzień.

– To niemożliwe! Nigdy bym nie powiedział, że jest pani nowa. Radzi sobie pani świetnie, a wygląda... jak milion dolarów.

– Och, dziękuję, panie Gracjanie – ozwała się pielęgniarka. Uśmiechnęła się jeszcze mocniej. – Jest pan bardzo miły. Zatem do zobaczenia. Będę na pewno, ale obiecaney promocji czynszu nie podaruję – dalej się umizgiwała. Postanowiła wykorzystać do cna wszystko, czym zaczął obdarowywać ją przychylny los.

– Słusznie – rzucił na odchodne. – Ma to pani jak w banku. Moje słowo droższe od pieniędzy, a szczegóły omówimy przy lampce wina. Do widzenia.

– Do widzenia.

Julia Węgorzewska odprowadziła wzrokiem do wyjścia przygarbionego mężczyznę o miękkich ruchach. W ostatniej chwili zauważyła, że grubas trzyma w ręku lekko zmiętolony papier. Mogłaby przysiąc, że nie miał go ze sobą, gdy wchodził do środka. Zaraz, zaraz... To przecież koperta, którą wraz ze szpilkami zabrałam dziś rano

z kanciapy tej wrednej piguły, syknęła nerwowo i spojrzała na blat recepcyjnego kontuaru. Położyłam ją tutaj dosłownie przed chwilą, pomyślała, po czym machnęła ręką na znak rezygnacji. To już nie mój interes! Niech stara pizda szuka jej sobie do swego usranego końca.

Ostatni raz zerknęła na wychodzącego z kliniki Gracjana. Stuprocentowy pedzio – skwitowała, utwierdzając się w dotychczasowych przypuszczeniach. Mniejsza o większość – mruknęła pod nosem i odrzuciła zbędne ograniczenia. Najważniejsze, że spadł jej dziś z nieba jak boska manna, która w cudowny sposób nakarmi zgłodniałe przegródki jej pustej torebki. Witkowski szuka kolejnych lokali... Podarował mi czynsz... – analizowała w myślach. To znaczy, że musi mieć kasę. Dobrze, idealnie, znakomicie.

– Mega szczęściara ze mnie! – szepnęła rozpromieniona. – Muszę jedynie dopomóc sąsiadowi w rozdysponowaniu finansowych nadwyżek. Gej sypanie groszem, to więcej niż pewne.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Jak tu nie kochać życia? Parsknęła głośno szyderczym chichotem. Była podbudowana świetlaną przyszłością, bo widziała w niej siebie wolną od finansowych zmartwień. Dziś rozwiązanie najcięższych kłopotów samo do niej przyszło. Jak to dobrze, że szczęście nadal jej nie opuszcza. To ono zabrało ją wczoraj z przyduszonych komnat szarego szpitala. Nie wytrzymałaby przecież u boku tej prukwy ani minuty dłużej. A tak? Jest blisko pociągającego doktora, który bielą porcelanowego uśmiechu właśnie zawstydzał alabastrowe proggi boskiej Cinderelli.

Piękny – pomyślała oszołomiona recepcjonistka. Nawet jeśli te zęby również są sztuczne, oddałyby wszystko za powtórkę wczorajszego wieczoru. Zakochała się? Nie, to niemożliwe. Przecież on potraktował ją jak brudną, zużytą szmatę. Miała zamiar to pomścić. A może istnieją jakieś okoliczności łagodzące takiego zachowania? Czy coś szczególnego nim powodowało? Jaki jest jego sekret? Julka miała oczywiście swoje przypuszczenia, ale potrzebowała jeszcze odrobinę czasu, aby zweryfikować realne prognozy z medyczną rzeczywistością. Idzie! Pierś do przodu i uśmiech numer czterdzieści jeden! Przedstawienie musi trwać.

---

## Mrok, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie Sebastian Świdorski, Karolina Janicka

Na zewnątrz nieprzenikalnej czerni beczelnie hałasowały ostre podmuchy zimowego wiatru. Okalały chłodem malutki budynek na tyłach gospodarstwa. Styczniowa wichura zrywała przegniłe resztki spadzistego dachu. Wszystko tu było złowrogie... Nawet ptaszyska chodzące po dachu. Przylatywały do niej specjalnie. Chciały pokazać, że u nich trwa życie, a wolność daje szereg nieograniczonych możliwości.

Zmrużyła spuchnięte powieki, choć w idealnej ciemności nawet nie zauważyła różnicy. Chciała jednak oddać się marzeniom, a z zamkniętymi oczami zawsze wychodziło to lepiej. Sama nie wiedziała, co wolałaby sobie wyobrazić. Cofnięcie straconego czasu czy chwilę, w której odzyskuje wolność, zrzucając z nogi ciężką, metalową obręcz? W kontekście patowej sytuacji nie miało to dla niej większego znaczenia. Wiedziała, że zginie, więc myślała o wszystkim tym, co nie było związane z tym koszmarnym miejscem.

Sebastian oddychał coraz spokojniej i wydawało się, że zapada w głęboki sen. Karolina zbliżyła się do niego, gdy tylko dostrzegła, że nie jest sama w ciemnościach. Musiała go dotknąć. Wpadła nawet na pomysł, aby go pocałować. Szybko jednak zmieniła zdanie, odsuwając się na bezpieczną odległość. Nie była w stanie wytrzymać krwawego zapachu nadciągającej śmierci. Miała do siebie żal, lecz brzydziła się smrodu fekaliów, kwasu wymiocin oraz fetoru przepoconych ubrań. Do końca życia zapamięta bezduszny chłód kościstego ciała oraz lepłą skórę upačkaną zastygłą krwią.

Zdała sobie sprawę, że czeka ją wkrótce to samo. Sama się sobie dziwiła, że w takiej sytuacji jest w stanie w ogóle generować myśli. To źle. Bardzo źle. Wolałaby nie analizować sytuacji, w której się znalazła. Do tej pory sceny tego typu widziała wyłącznie w thrillerach. Pomyślała, że to też musi być film. Tak! Przypomniała go sobie właśnie przed chwilą. Jego akcja zawiązała się na komisariacie policji, kiedy razem z Anką spotkały Janka

czekającego obok recepcji. Wtedy była pełna nadziei na pozytywny rozwój wydarzeń i uwierzyła nawet w możliwość iście hollywoodzkiego happy endu. Karolina oddałaby wszystko, by mogli dziś całą trójką dalej poszukiwać Sebastiana. Podążali właściwym tropem, lecz do odkrycia prawdy potrzebne były dwa krótkie słowa topograficznego drogowskazu.

Wczoraj pozwolono jej poznać trasę prowadzącą do śmierci. Widziała zbyt wiele, by mogła pozostać wśród żywych, musiała więc podzielić los Joanny i Sebastiana. Poddać się czy walczyć do końca? – pytała siebie. Spojrzała w górę, szukając wsparcia u nieżywych rodziców.

– Pomóżcie, proszę – jęknęła z nadzieją. – Co robić, kochani? Wiem, że jesteście ze mną. Odezwijcie się. Błagam! – krzyczała.

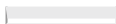
Zaczęła panikować.

– Potrzebuję was. Czy to tak wiele? Mówcie, natychmiast! – rozplakała się i przymknęła oczy. Pod powiekami szukała odpowiedzi. Czekala cierpliwie, jak wygłodniały pies, warujący na tylnych łapach. Skomlała o pomoc w oczekiwaniu cudu. Pragnęła choćby niewielkiego błysku rozświetlającego ogrom bezkresnego mroku. Niech kilka okruszków światła wpadnie mi teraz do oczu – błagała. Niech grzęzną głęboko niczym ziarenka piasku, które niesione siłą nadmorskich podmuchów dają poczucie prawdziwości świata. Ziarenka prawdy z plaży rozgrzanej nadzieją.

– Mamo, tato! Pamiętacie? – szepnęła, ocierając spływające łzy. – To były nasze ostatnie wakacje. Tak bardzo mi was brakuje... Proszę, pozwólcie mi dokończyć życie tak, jakbyśmy wrócili z nich razem. Wróćcie ze mną do gorących dni. Chcę zobaczyć wasze uśmiechnięte twarze i usta, z których wyczytam najprostsze słowa pomocy.

– Uciekaj i walcz! – usłyszała głos mamy. To były jej ostatnie słowa, którymi krzyczała z wnętrza rozbitego auta. – Dasz sobie radę. Kochamy cię.

– Mamo – Karolina szepnęła, otworzyła oczy i z powrotem zobaczyła ciemność. – Dziękuję. Nie poddam się, obiecuję. Przepraszam. Przysięgam. Kocham was – puste echo słów po raz kolejny uświadomiło jej, w jak ciężkim położeniu się znalazła. – Żegnaj... Do zobaczenia.



Skrzypiące drzwi otworzyły się nagle. Do środka wtargnęło głośnie szczekanie zdziczałego kundla. Ktoś postawił dwa ciężkie kroki wewnątrz budynku, po czym trzasnął ciężką, metalową sztabą. Duszne wnętrze wypełniło się zimnym powietrzem oraz czymś jeszcze. Zapachem, po którym ją rozpoznała. Czarna postać właśnie się do niej zbliżała.

Serce Janickiej biło jak oszalałe, lecz trzeźwy umysł postanowił zachować spokój. Nie wolno jej panikować. Musi spokojnie poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Będzie udawała, że śpi. Sebastian jest nieprzytomny, więc jemu również sadysta powinien odpuścić. Oby tylko za chwilę wyszedł. Karolina potrzebowała przecież więcej czasu na strategiczne myślenie.

Coś głośno zaszeleściło. Odgłos nylonowej torby. Ten ktoś czegoś szukał. Latarka. Jej punktowe światło zaczęło nerwowo rozświetlać ciemność. Karolina zamknęła oczy, choć bardzo chciała podążyć wzrokiem za jasną smugą odkrywającą prawdę. Suwak błyskawicznego zamka. Plecak lub duża torba sportowa. Kilka przedmiotów wrzuconych luzem do środka. Metal, blacha, żelastwo, ostrze... Nóż. Ten sam, którym podziurawiono Joannę?

Oprawca trzyma coś w ręku! Odkłada latarkę, kierując białe światło bezpośrednio na twarz Świderskiego. Widziała wszystko, bo otworzyła oczy, które nie chciały słuchać wewnętrznych głosów zdrowego rozsądku. O Boże, nie! Słoneczko! Dopiero teraz Sebastian przestał być dla niej anonimowy. Pokochała go jeszcze bardziej. Miał lekko uniesione powieki i patrzył w jej stronę błagalnym wzrokiem szukającym wsparcia. Sponiewierane zakrzepłą juchą pobladłe resztki wyziębionego ciała. Smugę latarkowego światła przerwało duże, stalowe ostrze przytknięte do wychudzonej szyi bezbronnego Świdarka.



Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie

Jan Poniatowski, Anna Sass

Jan Poniatowski opuścił budynek pilskiej policji. Tak bardzo nie cierpiał tego miejsca, a tak często musiał w nim bywać. Teraz i dwadzieścia lat temu. W głowie miał mętlik i czuł aurę nadchodzącej migreny.

Zaraz po tym, jak ponownie przeczytał znaleziony dziś rano list, zadzwonił do Jahnci. Wolał nie narażać się po raz kolejny. Prowadzący śledztwo nakazał mu pozostać w domu i czekać cierpliwie na swoje przybycie.

– Tylko niech pan niczego nie rusza do przyjazdu techników – wrzeszczał do słuchawki, jakby rozmawiał z głuchym.

Kiedy zakończyli czynności, zabrali go na komendę. I znów się zaczęło. Kiedy, o której, jak długo, dlaczego, pamięta pan?

Aspirant pytał o Ankę oraz zalecił Janowi zachowanie bezwzględnej czujności. Powiedział, że w miarę możliwości ma nie opuszczać mieszkania oraz że całe miasto zostało objęte jeszcze bardziej wzmożonym monitoringiem. Zalecił też kontakt z rodziną. Kazał uczulić najbliższych, by byli ostrożni i czym prędzej informowali kryminalnych o jakichkolwiek niepokojących faktach, które tylko na pozór mogą wydawać się nieistotne.

Poniatowski nie zdradził Jahncowi swoich dzisiejszych planów. Bał się, że policjant zabroni mu iść na umówione spotkanie z Nataszą. Zadał mu w zamian całą serię pytań dotyczących domniemanego miejsca pobytu Sebastiana i Karoliny, chcąc udowodnić, że w obliczu płynącego czasu, który gra w tym przypadku na wielką niekorzyść jego przyjaciół, słowa dotyczące postępów w śledztwie nie przedstawiają tutaj jakiegokolwiek wartości.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – powtarzał jak mantrę policjant. Ile razy Jan słyszał już takie zapewnienia?

Skrzydła podnosiła mu jedynie myśl o dzisiejszym spotkaniu. Jan postanowił, że opowie Nataszy wszystko ze szczegółami. Choć tego nie chce, wróci do czasów, kiedy był nastolatkiem, zmuszonym do radzenia sobie z makabrą nieodwracalnych przeżyć. Ukochana już dawno zasługiwała na szczerość, również w tej kwestii. Wyparcie oraz chęć siłowego zepchnięcia męczących wspomnień na samo dno zranionej psychiki nie były najlepszymi pomysłami. Można powiedzieć, że oszukał Nataszę, nie zaznajamiając jej ze szczegółami swojej przeszłości. Było to bardzo wygodne i samolubne, ale niestety zemściło się na nim w najmniej oczekiwanym momencie. Tę kobietę miłował przecież nad życie i miał do niej stuprocentowe zaufanie. Wiedział o niej wszystko i zawsze słyszał z jej ust wyłącznie słowa bezwzględnej szczerości. Nawet wówczas, gdy ją zdradził.

Wyjechał z parkingu i skręcił w ulicę Bydgoską. Nie zdążył się nawet porządnie rozpędzić, gdy usłyszał stłumiony dźwięk telefonu. Zdjął nogę z gazu. Wyjął komórkę z kieszeni, przetaił kciukiem zaporowaną szybkę i kliknął w symbol zielonej słuchawki. Telefon niemal nie wypadł mu dłoni. Sasanka.

– Cześć, jesteś tam? – Poniatowski odezwał się pierwszy.

Oboje milczeli przez chwilę. Jan miał wrażenie, że Anka połączyła się z nim przez przypadek. Moment wcześniej jego uwrażliwionym sercem zawładnął cień niepokoju. Chyba nie umiał już reagować spokojnie.

– Jestem – odpowiedziała Sasanka, zanosząc się płaczem. – Jeszcze... w pracy...

– Gdzie? Poszłaś rano do pracy? – Poniatowski krzyknął zdziwiony. Zareagował zbyt nerwowo, nie usiłując nawet kontrolować irytacji. – Wiesz przecież, co mówił Jahnc!

– Proszę, nie... – chlapała roztrzęsiona dziewczyna. – Nie krzycz, mam dosyć krzyków.

– Wszystko w porządku? – złagodził ostry ton. Nie powinien podnosić głosu, zwłaszcza po wczorajszych wydarzeniach. – Jesteś tam?

– Musiałam tu przyjść – stęknęła kelnerka, nieco się uspokajając. Głos Jana był jej dzisiaj niezwykle potrzebny, nawet w postaci stanowczej reprimendy. – Nie dałabym rady siedzieć sama w domu.

– OK, przepraszam. Po prostu martwię się o ciebie. Nie zniósłbym, jeśli i tobie ten wariat zrobiłby coś złego. Widzisz, co się dzieje. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co mu przyjdzie do głowy.

– Dziękuję. Wiem, że się martwisz. Psychopata jest przecież na wolności. Wczoraj... Ja... Byłam tak blisko... – Sasanka próbowała uruchomić maszynę produkującą długie wypowiedzi. Jej umysł coraz mocniej domagał się oczyszczenia, a wyrzucanie z siebie negatywnych emocji zawsze przynosiło jej ulgę. Tym razem jej niezawodny silnik nie chciał w ogóle odpalić. Sasanka pierwszy raz w życiu rozumiała znaczenie słowa niewola. Czuła się zakneblowana i całkiem pozbawiona swobody.

– Anka, przestań się w końcu obwiniać – przerwał nagle Jan. – Przecież byłaś tam wczoraj, aby pomóc rozwiązać zagadkę. Nie miałaś wpływu na to, co stało się później – starała się pocieszyć przyjaciółkę, choć czuł, że nie będzie to łatwe.

– Może miałam, może nie miałam – mówiła zobojętniałym głosem. – Mogłam chociaż zamknąć drzwi za tobą, kiedy Karolina mnie o to prosiła, a tak?

– Mogę ci jakoś pomóc? – dążył do zmiany tematu. Brnięcie w samooskarżenia nie miało dziś najmniejszego sensu.

– Mógłbyś – zachlipała kelnerka. Głos jej się łamał, a ściśnięte gardło nadal utrudniało budowanie nawet najprostszych zdań. W słuchawce zapadła kilkusekundowa cisza.

– Jasne, że mógłbym. Się robi! – Janek chciał zażartować, lecz sprawiło mu to duży kłopot. Emocjonalny stan przyjaciółki uruchomił wszystkie pokłady jego wrażliwości. – A co mógłbym?

– Przyjedź po mnie, proszę.

– Przyjechać? – zawahał się Poniatowski. – O której kończysz pracę? Nie wiem, czy wieczorem dam radę. Mam dziś spotkanie.

– Teraz.

– Teraz?

– Tak. Już jestem po pracy. Jarek już mnie puścił do domu.

– No... – zawiesił głos. – Spoko. Mogę być za kilka minut. Jestem na Bydgoskiej. Zaczekaj w pracy.

– Dobrze, będę przed wejściem – szepnęła.

Chyba przestała płakać, przynajmniej tak wydawało się Poniatowskiemu. Czyżby w jej głosie usłyszał maleńką dawkę pozytywnego nastroju?

– To jadę, pa.

– Pa.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie

Roman Bańka

Roman Bańka wygrzebał z szafy czarną koszulę. To już ostatnia w takim kolorze. Czarny najlepiej pasował do tego, czym musiał się teraz zajmować. Smutne przebranie do smutnej roboty. Jeśli tak dalej pójdzie, przy kolejnym zleceniu poprosi o ekstra dodatek na kupno służbowej odzieży. Po skończonej pracy zawsze się jej pozbywał. Z dwóch podstawowych powodów.

Po pierwsze nie chciał wzbudzać podejrzliwości znieawidzonej małżonki. Ona jak nikt inny lubiła węszyć i szukać sensacji. Jej przesłuchania ciągnęły się wieczność, a każdy niejasny trop z miejsca dokładnie sprawdzała. Kiedy dopadła ofiarę, nie przestawała drążyć, aż nie wyciągnęła z niej wszystkiego. Triumfowała i nigdy nie przestawała węszyć. Ulubionym, a często jedynym obiektem jej bzdurnych podejrzeń był, zawsze do usług, Roman. Dlatego mąż szczególnie dbał o niszczenie śladów aktualnego zajęcia.

Jakże on jej nienawidził. Małżonki. I czarnej roboty też. Chyba nawet bardziej. Od jednej i drugiej uwolni się już niebawem. Gromadzone w banku oszczędności rosły w zadowalającym tempie. O nowym rachunku



oszczędnościowym to wścibskie babsko również nie miało pojęcia. Jak to dobrze, że miły kierownik z Prime Banku polecił mu dyskretną formę oszczędzania.

– Żona o niczym nie będzie wiedziała – zapewniał i nawet zaparzył pyszną kawę z ekspresu. – Uzbiera pan na Malagę i jeszcze wystarczy na dobrego drinka z odsetek.

To się nazywa profesjonalna obsługa – wspomniał zadowolony taksówkarz.

Roman niszczył użyte ubranie z jeszcze jednego powodu. Brzydził się sobą i tym, czego się podjął dla realizacji osobistych planów. Dlatego rozbierał się tuż po wszystkim, chcąc wierzyć, że zrzuca z siebie śmierdzący ciężar wyrzutów sumienia. Za każdym razem, gdy wzniecał pod mostem szmaciane ognisko, odczuwał przypływ emocjonalnej ulgi i wzbierającą falę psychicznego wsparcia. Podsycony benzyną z taksówkarskiego kanistra, chemiczny błękit drgających płomieni trawił ubrania przesiąknięte śmiercią. Jeszcze tylko kilka rozpalonych ognisk i wszystko wróci do normy. Już wkrótce fetor gorejącej szmaty zmieni się w zapach grillowanej ryby. Oczywiście w portowych knajpkach kuszącej Malagi.

Najważniejsze, że mógł jeszcze liczyć na jego obecność. Ten w lustrze zawsze go wspierał i podtrzymywał na duchu. Roman obawiał się go tylko czasami. Wtedy gdy kazał posuwać mu się o krok za daleko i robić więcej niż mu nakazano. Istnieją przecież granice zdrowego rozsądku i ludzkiej wrażliwości.

– Bo przecież ich nie przekraczam, prawda? – szukał potwierdzenia, spoglądając w luto wiszące w staromodnej szafie.

– Wszystko pod kontrolą, Romuś. Jesteś prawowitym obywatelem, który pragnie realizacji swoich najskrytszych marzeń. Czy jest w tym coś złego?

– Nie! – krzyknął Bańka zbyt głośno. Na pewno go usłyszała. Już po nim.

– Roman! – usłyszał zrzędlawy głos nadbiegającej żony. – Co ty tu robisz? – chciała wiedzieć rozjuszona kobieta. – Z kim ty, do cholery, rozmawiasz? Mów natychmiast.

– Nic, kochanie – odpowiedział spokojnie taksówkarz. – Robiłem porządku w szafie. Niczego tutaj nie mogę znaleźć.

– Dobra, dobra. Słyszałam dokładnie. Rozmawiałeś przez telefon – utyskiwała zaciekawiona małżonka. – Masz kochankę? Która to dziwka?

– Przesłyszało ci się, kochanie. Przepraszam cię, jeśli ci przeszkodziłem. Idę do pracy. Pokręcę się trochę po mieście. Może wpadnie dziś jeszcze kilka dalekich kursów – załogodził Bańka.

Kobieta spojrzała na męża z niedowierzaniem i zadała serię kolejnych pytań. Roman już ich nie słuchał. Wyłączył się całkiem i utwierdził w tym, że dobrze robi, planując swoją przyszłość. Malaga. Tylko on, przyjaciel z lusterka i duża szklanka słodzusięńskiej sangrii. Nigdy nas nie znajdziesz, zrzędlawa prukwo – warknęła w myślach taksówkarz. Nie przyślę ci nawet cholernej muszelki znad morza. Nie zasłużyłaś na nic. Kompletnie na nic.

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie  
Arkadiusz Żabski, Julia Węgorzewska

W apogeum złości wprawił w ruch stojące na biurku wahadło Newtona. Patrzenie na stalowe, uderzające o siebie miarowo kuleczki fascynowało go już od dziecka. Dziś, zamiast go uspokoić, wznieciły w nim skrajne emocje. Przywiodły na myśl siłę, agresję, brutalność i wyuzdanie, którego nigdy nie zdołał się pozbyć. Podniósł słuchawkę i wcisnął jedynekę. Węgorzewska. Zmiesza ją z błotem, a później przeleci. Tak jak wczoraj. Zupełnie tak samo. Nikt, ale to zupełnie nikt nie będzie grzebał w jego kartotece! Musi raz na zawsze wytłumaczyć tej dziwce, kto tu rządzi i rozdaje karty. Masz prawo robić tylko to, na co ci pozwolę – tak zaraz jej powie. Ewentualnie robisz mi łaskę, jeśli ci rozkażę, zrozumiano?

Tej siksy bał się tak samo jak wszystkich, lecz z premedytacją zaprosił ją do swojego świata. Od początku wiedział, że będzie trudną rywalką. Piękna, młoda, cwana i bardzo nieprzewidywalna. Dokładnie taka, jaka być nie

powinna. Silnych osobowości wystrzegają się zawsze jak ognia, lecz w jej przypadku zdecydował inaczej. Na samą myśl dotyczącą jakości dokonanego wyboru przechodził go znany dreszcz podniecenia, napinający wszystkie mięśnie wyćwiczonego ciała. Nie zdołałby postąpić inaczej, tym bardziej że potrzebował pilnie posadzić kogoś za biurkiem opustoszałej recepcji. Zrobił jak musiał i zdecydował słusznie. Wczoraj był tego absolutnie pewien. A dzisiaj?

Dziś głowę zaczęły wypełniać znajome obawy rosnące do drastycznych rozmiarów. Zabierały przestrzeń, a pasożytnicza bestia nigdy tego nie lubiła. Im miała mniej miejsca, tym bardziej się denerwowała. Kiedy przestawała jej słuchać, ona zwiększała ciśnienie, wprawiając w ruch jego emocjonalną huśtawkę. To ona wczoraj tak źle potraktowała Julię. Nie on! Teraz znów chce nad nim zapanować. Nie, nie może ulegać presji. Jest przecież kimś na poziomie. Lekarzem. Wykształconym człowiekiem z zasadami, a nie bezmyślnym zwierzęciem. Postara się, aby tym razem sprawy przybrały inny obrót. Poskromi potwora. Oby tylko znalazł na to siłę.

– Klinika medycyny estetycznej Cinderella, Julia Węgorzewska, w czym mogę pomóc? – mechanicznie wypluła z siebie słowa powitalnej formułki. Będzie musiała ją nagrać albo zdecydowanie skrócić. Uprościć, bo inaczej szlag jasny ją trafi. Jeśli oczywiście będzie jej dane jeszcze tu jutro pracować.

– W niczym! – huknął rozzłoszczony medyk. Nie umiał inaczej. – Proszę natychmiast do mnie, ale już.

– O pan doktor, jak miło... Nie poznałam pana przez telefon. Myślałam, że to jakiś mężczyzna umawia się na zabieg. Wie pan, te męskie sprawy to teraz żyła złota – szydziła Węgorzewska, czując, jak rośnie w siłę. Wiedziała już, skąd zdobyć pieniądze i mogła pozwolić sobie na słodki smak złościwości. Jakże ona mocno kochała życie. Z tarczą, no i na wozie rzecz jasna.

– W tej chwili do mnie. Ma pani minutę – warczał wściekle jak buldog.

– Coś nie tak, Arkadiuszu? – szydziła Węgorzewska. – Po co te nerwy? Złość piękności szkodzi. Za chwilę będę, tylko przypudruję nos.

– Za moment zaskodzi ci – rozzłoszczony rzucił słuchawką. Jak to dobrze, że wciąż są telefony z kablem – pomyślał.

Julia podskoczyła złęknona.

– Psychopata – szepnęła, uśmiechając się do oczekujących w holu pacjentów. Dyskretnie opuściła dekolt obcisłej bluzki. Była gotowa na starcie tytanów. O doktorze Żabskim wiedziała już wszystko. Kajtek spisał się na medal. Wszystkie uprawnienia działały wspaniale. Oj, współczesna technologia daje wielkie możliwości.

Gabinet prezesa wystrojem nawiązywał do reszty wnętrza ekskluzywnego gmachu. Skrzący się bogactwem luksus, ozdobiony najdroższym gatunkiem szkła i kryształu. Pierwsze skojarzenie pozwoliło Julce już wczoraj przyrównać biuro Żabskiego do wielkiej lodowej komnaty. Rozległe tafle zamrożonych siklaw, wypolerowane do granic możliwości, pyszniły się blaskiem boskiej doskonałości. Zanim nadeszła zima, ktoś zdążył jeszcze zatopić w ich warstwach buzujący splendor zastygłych dekorów. Całość oświetlono nisko zawieszoną kryształową lampą.

Arkadiusz Żabski siedział za biurkiem. Powierzchnia mebla niczym czarne lustro wiernie odzwierciedlała rzeczywistość. Węgorzewska dostrzegła w nim zacięte oblicze ponadludzkiego stwórcy. Buchająca czerwienią twarzy nijak nie pasowała do surowej aury prezesowskiej twierdzy. Będzie gorąco – pomyślała Julka, zmieniając nagle kierunek patrzenia. Zatrzymała wzrok na oszklonych ramach, które wisiały za plecami rozgniewanego szefa. Cztery kwadratowe tafle, podświetlone od spodu czyścicielnym światłem, oprawiono białym drewnem. Julka z miejsca poznała, czyje zdjęcia umieszczono w ramach. Arkadiusz Żabski, zjarany solką na turecki mahoń, szczyrzył się z czterech fotografii. Zakochany w sobie egocentryk! Któż inny mógłby powiesić w swoim gabinecie własne zdjęcia? I ta rozchełstana koszula. Szajbus i erotoman!

– Jak tam sprawy recepcji? – zapytał całkiem spokojnie. W ogóle nie patrzył na Węgorzewską, skupiając uwagę na stalowych kulkach rytmicznie skaczących z obu stron kinetycznego szeregu. Szykował się do ataku z zaskoczenia, dlatego musiał jakoś uspić czujność swojej ofiary.

– Recepcji? – zdziwiła się pielęgniarka. Była pewna, że Żabski inaczej zacznie rozmowę. – Wszystko w porządku – odparła. – To chyba widać, prawda? – poczuła, że gra rozpoczęta. To ona będzie rozdawać tu karty.

– Taaa... – właściciel kliniki prychnął lekceważąco. – Widać, widać. Zresztą nie tylko to.

– Tak? A to jestem ciekawa, szanowny Arkadiuszu, co też jeszcze takiego widać, prócz wzorowo pracującego sekretariatu? – przesadziła z lekceważącym tonem. Przynajmniej na samym początku rozmowy. Jeszcze nie czas na eksplozję furii doktora.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, pani Julio. – Oderwał wzrok od wprawionej w ruch zabaweczki i spojrzał wprost w oczy pielęgniarki. Nie zobaczył w nich strachu, lecz impertynencki upór z dziką skłonnością do walki. – A wie pani chociaż, co jest drugim stopniem?

– Nienawiść – odgryzła się Węgorzewska. – Chyba że wolisz agresję? – Była szczęśliwa, bo szybko znalazła słowa riposty. – No powiedz, co bardziej do ciebie pasuje? – postanowiła, że dalej będzie zwracać się do niego na ty. Ta forma pozbawiona była szacunku.

– Siadaj – lekarz chrypnął wyprowadzony z równowagi. Julka podskoczyła złknięta. Nie spodziewała się tak prędkich efektów zastosowanej taktyki. – Ustalmy coś raz na zawsze, ty mała, fałszywa szmato! To ja tutaj zadaję pytania! Zrozumiano?

– I po co te nerwy? – Pielęgniarka starała się reagować spokojnie. Szerokim uśmiechem i melodyjnością w głosie kamuflowała stres, jaki przed chwilą zaczęła odczuwać. – Ups, chyba właśnie zadałam kolejne – cmoknęła z ironią. – A mamusia zawsze mnie upominała, że to nieładnie odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Powiedziałem siadaj! – ryknął jeszcze głośniejsze, wstał i wyskoczył zza biurka. Stał po drugiej stronie hebanowego mebla, o krok od zdezorientowanej dziewczyny. Odsunął krzesło i nerwowym gestem nakazał jej usiąść. Nabrał powietrza, zmienił wyraz twarzy, rozciągając usta w fałszywym uśmiechu. – Bardzo proszę, niech pani usiądzie – złagodził również ton głosu. To niesamowite, jak szybko potrafił wyłączyć agresję i przywdziać maskę powściągliwego mężczyzny. – Chciałbym coś pani pokazać.

– No, Arku, wreszcie – zaszczębiotała z wdziękiem recepcjonistka, a potem usiadła i z gracją założyła nogę na nogę. Jak to dobrze, że rano odzyskałam szpilki, pomyślała. Dodawały jej wdzięku i pewności siebie. – Już zaczynałam się zastanawiać, gdzie się podziały twoje wczorajsze maniery – ukąsiła, po czym puściła oczko, wysoko zadzierając głowę. Odczuwała strach, kiedy patrzył na nią tak z góry. Starła się jednak, by tego nie zauważył.

Straciła go z pola widzenia. Zniknął jej gdzieś za plecami. Julia postanowiła, że nie odwróci się nawet na chwilę. Nie chciała się zdradzić, że dopadł ją lęk przed tym, co mógłby zrobić jej zniecka. Nie widząc przeciwnika, znacznie trudniej mogła przewidzieć jego kolejny ruch. Ale co ten psychol może mi zrobić? – pomyślała, dodając sobie rezonu. Usłyszała, że napętnia czymś szklankę. Musiało go strasznie suszyć. Widocznie tak samo jak ona odreagowywał stres wczorajszych wydarzeń. O swoim kacu Julia już zapomniała, chociaż nie pogardziłaby porządnym łykiem gazowanej wody.

Żabski pił bardzo zachłannie, przetykając głośno. Kiedy skończył, z hukiem odstawił naczynie na blaszaną tacę. Zrobił kilka równie przesadzonych kroków, a potem Julia usłyszała trzask zapadki zamka. Zmrużyła powieki i wzięła głęboki oddech. To nie może być prawda.

– No więc, pani Węgorzewska... – rozpoczął tak, jakby chciał opowiadać jej bajkę. Znów go zobaczyła. Usiadł z powrotem za biurkiem. Skórzany fotel jęczał pod naporem jego ciała. – Nie wiem, czy Kajetan zdążył wyjaśnić pani szczegóły działania zintegrowanego systemu bezpieczeństwa informacji w naszej klinice. Zdążył? – z zajądlnością popatrzał na Julkę. Podobała mu się. Nagle zapragnął szybkiej powtórki z wczoraj.

– Aż tak bardzo zintegrowany to on raczej nie jest – rzuciła z ironią recepcjonistka. Zaczęła lekceważąco bawić się paznokciami. – A już na pewno nie jest skomplikowany – dodała. – Coś tam Kajtek opowiadał, ale powiem szczerze, że wolałam słuchać, kiedy prawił mi słodkie komplementy. Chyba mu się podobam, wiesz?

– To niech pani posłucha! Teraz! – zaryczał niespodziewanie, uderzając pięścią w stół. Julka drgnęła, ale tylko nieznacznie. Była przygotowana na emocjonalną żonglerkę w wykonaniu wczorajszego kochanka. Spojrzała prosto w oczy opalnego doktora. Była w nich nieokiełznana złość zmieszana z szaleństwem i pożądaniem.

– Nawijaj, przystojniaku – podsycala agresję Węgorzewska. – Może dowiem się czegoś ciekawego. Tylko proszę, nie przynudzaj i mów konkretnie.

– Zamknij się wreszcie i słuchaj! – Twarz właściciela kliniki mieniła się wszystkimi odcieniami purpury. Mały krok dzielił go od wybuchu furii. – Wiem, że grzebałaś w mojej kartotece. Jak mogłaś, ty wścibska suko? – krzyczał bez opamiętania.

– No właśnie o tym mówiłam. – Węgorzewska pozostała spokojna. – Co to za system bezpieczeństwa danych, w którym nowy pracownik może w pierwszym dniu pracy prześwietlić dane właściciela kliniki? Przecież to powinno być jakoś zaszyfrowane.

– Nie rób ze mnie głupka – warknął rozwścieczony lekarz. – Jest zaszyfrowane. Ten niedouczony informatyk zrobił błąd w zakresie twoich uprawnień. Kretyn słono mi za to zapłaci! Szkoda, że nie powiedział ci, że każda próba wejścia w medyczne kartoteki pracowników kliniki jest rejestrowana. Osobiście, przeze mnie!

– No, a co to za tajemnica? – zapytała Julka całkiem niewzruszenie. Przecież Kajtek podsunął mi do podpisania świstek dotyczący zachowania tajemnicy lekarskiej. Myślisz, że powiem wszystkim, że...

– Zamknij się, dziwko, i posłuchaj – przerwał Żabski, drąc się wniebogłosy.

Julka rozejrzała się po gabinecie tak, jakby sprawdzała akustyczną szczelność szklanego wnętrza. Zaczynała odczuwać przyływ adrenaliny. To dzięki niej będzie mogła za chwilę zaatakować i przedstawić swoje postulaty.

– Właściwie to powinienem cię zabić, ale mam zbyt dużo spraw na głowie. Gadaj, czego się dowiedziałas!

– Co? – Węgorzewska uśmiechnęła się ironicznie. – Myślałeś, że zatrudniasz pustą idiotkę ładnie wyglądającą w recepcji, która od czasu do czasu zrobi ci laskę za friko? – zaczęła mówić coraz głośniejszym i coraz dosadniejszym głosem. – Wszystko wiem – syknęła głośno dla wywołania lepszego efektu. – Począwszy od tego, że nie byłeś kiedyś tak piękny i wymuskany. Na zdjęciach sprzed operacji wglądasz tragicznie. Nawet kijem bym cię nie dotknęła, gdybym wiedziała. Nie mówiąc już o wzięciu do ust tego małego flaczka, którego miałeś kiedyś między nogami. To naprawdę da się zrobić operacyjnie? – zadrwiła, ścisząc głos teatralnie. Była z siebie dumna. Właśnie odegrała się za wczorajsze upokorzenie, co jest wyłącznie początkiem rychłego upadku wielkiego mistrza. No... chyba że grzecznie spełni jej wszystkie warunki i sprosta finansowym oczekiwaniom.

– Nie krzycz tak. Ktoś może cię słyszeć – cedił przez ściśnięte zęby. Wstał z fotela i całkiem niespodziewanie przerzucił przez biurko ciężar muskularnego ciała. Jedną rękę oparł na blacie, podczas gdy drugą dosięgnął włosów pielęgniarki. Julia była totalnie zaskoczona. Rozjuszony mężczyzna szarpnął energicznie głową dziewczyny tak mocno, że ta zakwiliła z bólu. Przycisnął jej polik do błyszczącej nawierzchni mebla. Krótki i wystraszony oddech recepcjonistki pozostawiał na hebanowej gładzi rosnącą, kropelkową plamę. – Masz jedno wyjście, kochanieńka – szeptał, spoglądając czujnie w stronę oszklonego wejścia. – Trzymasz gębę na kłódkę i spełniasz moje erotyczne zachcianki w ramach obowiązków służbowych...

– A co, jeśli to ja zacznę stawiać warunki? – zabełkotała.

– A oglądasz kronikę kryminalną? – Medyk jeszcze bardziej ściszył głos i zbliżył twarz do odsłoniętego ucha trzymanej w uścisku ofiary. – Pytam się, kurwo, oglądasz?

– Taaak. – Julia była przerażona. Serce waliło jej jak oszalałe. Miała wrażenie, że za chwilę kołaczący organ albo przestanie pracować, zmęczony liczbą łupnięć na sekundę, albo wyskoczy z klatki piersiowej napędzony oceanem przepompowywanej krwi.

– No więc właśnie! Masz jeszcze jakieś pytania?

---

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie

Jan Poniatowski, Anna Sass

– Ania, piłaś coś? – chciał wiedzieć Poniatowski. – Sorry za to pytanie, ale czuć od ciebie – dodał.

Oprócz alkoholu zidentyfikował jeszcze jeden zapach, z którym przyjaciółka wsiadła do samochodu. Był przekonany, że poznał go już wcześniej i przez to dziwnie się mu kojarzył. Ten smród czuł w nozdrzach jeszcze od poprzedniego zachnięcia, jednak za żadne skarby nie umiał sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach

znieawidził go po raz pierwszy. To właśnie była jedna z tych chwil, których szczerze nie cierpiał. Po raz kolejny dostał podpowiedź od czujnego mózgu, ale za nic w świecie nie mógł z niej skorzystać. Z całych sił skupił się na podprogowym przeczuciu, bo właśnie posiadał bezsporną pewność, że w nim należy poszukiwać prawdy. Nie udało się.

– Jarek mi dał – odpowiedziała kelnerka podniesionym tonem.

– Cicho, nie teraz – uciął Poniatowski i przytknął palec do ust. W dalszym ciągu pragnął wydobyć z głowy bezcenną wskazówkę, choć już dobrze wiedział, że jest na to za późno. Zbawienna myśl znikła, jak pękająca bańka mydlana. – Kto?

– Jarek, mój szef, mówię przecież. I nie uciszaj mnie, skoro sam się pytasz – złościła się młoda kelnerka. – Gdyby nie ten sznaps, to nie wiem jak dziś w ogóle bym funkcjonowała. Zresztą Jarek dużo mi pomaga.

– No właśnie widzę – odparował Janek, czując lekkie ukłucie zazdrości. – To po co w takim razie zadzwoniłaś do mnie? – Jak zwykle przesadził z ripostą. Obrócił głowę w stronę przyjaciółki i spojrzął w jej spuchnięte oczy. Cały czas tkwił w nich ten nieprzejeđnany smutek.

– Bo chciałam... Zresztą, nieważne – szepnęła, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Wcale nie musiałyś przyjeđźać, jeśli nie chciałyś – dodała.

– Nie, no, spoko – zreflektował się Poniatowski. – Chciałem... To znaczy... Nie podoba mi się tylko to, że pijesz w pracy, a do tego sam kierownik częstuje cię wódką. Średnio to wygląda, Anka. Tym bardziej że wczoraj przez wasze wino...

– Uważaj! – Sasanka krzyknęła tak głośno, że Janek podskoczył w fotelu. Kanarkowa honda cudem zatrzymała się na mokrej i śliskiej nawierzchni. Jechał zdecydowanie za szybko, choć wiedział, że ciągłe przekraczanie prędkości musi go zgubić. Prędeej czy później. Zauważył ją, ale dopiero w ostatniej chwili.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno? – ryknęli w tym samym momencie. Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się szczerze. Pierwszy raz od wczorajszego wieczoru i dzisiejszego spotkania. Janek zdążył zapomnieć, jak bardzo polubił Sasankę. Może jest szansa, by znów odzyskała dziecinny blask niewinności.

Oczy dziewczyny, której o mało nie przejechali, były załęknione. Trwała nieruchomo, opierając się o maskę ich samochodu. Kiedy wybiegła z gabinetu Żabskiego, świat zawirował jej w głowie i chyba dopiero teraz zaczynała odzyskiwać jasność umysłu i zdolność konstruktywnego myślenia. Nie wszystko potoczyło się po jej myśli. Właściwie to nic nie wypadło tak, jak sobie zaplanowała. Ten psychopata mógłby przecież zrobić jej krzywdę na serio. Jeszcze nigdy nie widziała, by rosnąca fala agresji decydowała w tak dużym stopniu o czynach ogarniętego furją mężczyzny. Cudem oswobodziła się z jego uścisku. Traciła oddech, a ciche wołanie o pomoc nie przynosiło żadnych efektów.

Dusił ją jedną ręką, podczas gdy drugą rozpinął rozporek. Julka nie sądziła, że Żabski jest aż tak silny. Strach, przerażenie i mocny uścisk mężczyzny nie pozwalały jej na wykonanie żadnego ruchu. Nogi ślizgały się na gładkiej podłodze, a ręce po omacku szukały piekącego źródła pulsującego uścisku. Wpadała w panikę i coraz trudniej było jej zachować zimną krew. Nie to, żeby skapitulowała. Węgorzewska nie poddawała się nigdy i zawsze spadała na cztery łapy. Zaczynała jednak tracić nadzieję na przeforsowanie swoich pierwotnych założeń. Kątem lewego oka zarejestrowała wszystko. Zadając sobie pytanie, dlaczego dziś musi przejść przez to po raz kolejny, szukała praktycznej podpowiedzi, jak wyrwać się z brudnych rąk nieobliczalnego psychologa. Onanizował się tak jak wczoraj. Trwało to kilka sekund. Krócej niż chwila. Zmniejszające się dawki gorącej spermy niczym płatki topniejącego śniegu spadały na czarną nawierzchnię asfaltowego biurka. Nie omijały przy tym napiętej twarzy Węgorzewskiej. Nigdy nie lubiła smrodu ścinającego się białka, jednak tym razem wyczuła w nim jeszcze wyraźną nutę hysterii z ostrą domieszką nienawiści. Nasienie Żabskiego zawierało wszystko to, czym mocno nasiąkło jego wysportowane ciało. Piękne z zewnątrz i obrzydliwe od środka.

Kiedy skończył, przystawił jej do ust drgającego jeszcze penisa, myśląc może o gwałcie oralnym. Szybko jednak zrezygnował z tego zamiaru, gdyż wiedział, że nie może pozwolić ofierze na oderwanie od blatu mocno rozpłaszczonyj twarzy. Dziś miał na celu wyłącznie chore samozadowolenie, połączone z bezwzględny upokorzeniem nowej pracownicy. Nie zwalniając uścisku, zapiął rozporek, rzucając mnóstwem nieprzemysłanyh

wyzwisk. Julia próbowała do końca zachować ironiczny uśmiech. Bała się, choć śmierć nie wydawała jej się jakoś specjalnie realna. Paradoxem byłoby przecież zginąć w biały dzień, w pierwszym dniu pracy, w budynku pełnym nieświadomych pacjentów i współpracowników. Ciekawe, co zrobiłby z jej bezwładnym ciałem.

Kajtek Andrzejewski był jej pisany od samego początku. Gdyby nie on, Julia nie stałaby teraz żywa na środku ulicy. Właśnie wybiegał za nią z wnętrza futurystycznego budynku. Wcześniej zapukał do gabinetu Żabskiego i na całe szczęście zbliżył ciekawskie oczy do weneckiego lustra zastosowanego w produkcji kryształowego wejścia. Dobijał się do środka tak długo, aż wzbudził zainteresowanie pracownika ochrony. Gdy otworzyli zamek zapasowymi kluczami, Żabski stał twarzą do okna. Opanowany i uśmiechnięty. Odwrócił się nagle i rzucił spokojnie:

– Nikt stąd nie wyjdzie bogatszy o wiedzę. Mam nadzieję, że są panowie na tyle inteligentni, aby zrozumieć sens moich słów... Od lutego będą spore podwyżki!

Julia wybiegła przez rozpostarte drzwi. Nie zwracając na nikogo i na nic uwagi, gnała na oślep, cudem odnajdując drogę spontanicznej ewakuacji. Ostatnia myśl, jaką wyprodukowała w głowie, dotyczyła jej utraconych nadziei na szantażowanie doktora. Jest jeszcze Gracjan Witkowski – pomyślała. Zawsze trzeba mieć bijące źródło alternatywnych rozwiązań.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno? – tym razem tylko Poniatowski powtórzył wykrzywane przed chwilą słowa. Spojrzał na Ankę, która zdążyła nawiązać nić empatycznego porozumienia z roztrzęsioną dziewczyną. Kobiety podświadomie czują, gdy któraś z nich popada w prawdziwe tarapaty. – Mogłem cię rozjechać jak żabę – z lekkim uśmiechem kontynuował Jan. Ucieszył się, że to jednak nie nastąpiło.

– Julka zaczekaj – wołał zasapany blondyn biegnący w ich stronę. Głos uwiązał mu w gardle nie tylko z przejmującego zimna. Z posiniałych ust wypłynął delikatny obłok nieregularnej pary. – Pogadajmy.

– Nie, Kajetan... – Węgorzewska odpowiedziała, nie używając w ogóle mimiki twarzy. Od początku kolizyjnego zajścia nawet nie mrugnęła wytrzeszczonymi oczami. – Nie wrócę. Ten pan... zawiezie mnie do domu – zaryzykowała.

– Ja? – zakwestionował Poniatowski. Miał już serdecznie dość tego wszystkiego. Czy on naprawdę wygląda na rycerza na białym koniu? Nie ma czasu. Musi dziś jeszcze przygotować się do spotkania z Nataszą.

– No, a kto? – zareagowała Sasanka. Podskórnie wyczuła, że ta dziewczyna wplątała się w jakieś niewyobrażalne kłopoty. Intuicja jeszcze nigdy jej nie zawiodła w tych sprawach. Nie pomyliła się przecież kilka dni temu, kiedy poznała Karolinę. – Wsiadaj, kochana – skinęła głową w stronę Węgorzewskiej.

– Nie! – krzyknął długowłose blondyn odziany w przykrótkie polo z logo Cinderelli. Było mu zimno, o czym świadczyła gęsia skórka pokrywająca jego blade ręce. – Jadę z tobą.

– Wracaj do środka – warknęła Sasanka, sugerując, że to Kajetan jest sprawcą całego zamieszania. – Nie mamy już miejsca w samochodzie – skłamała.

– Ale ja... – zaciął się Poniatowski. – No nie mam miejsca... I czasu też nie mam! Nigdzie nie jadę.

– Nie chrzań, Janek. Dziewczyna potrzebuje pomocy. To widać na pierwszy rzut oka. Wsiadaj za kierownicę i jedź tam, gdzie ci powiem. Ty też, Julia – Anka wydała rozkaz i kiwnęła głową, wskazując otwarty samochód. Za nimi ustawiło się już kilka innych aut. Kierowcy zaczęli się niecierpliwić. – Janek cię podwiezie. – Z niechęcią spojrzała na długowłosego blondyna. – Facet to świnią, bez dwóch zdań! I psychopata! – skomentowała.

– Dobra już, dobra! I przestań tak narzekać, bo globus mi pęknie – Janek uśmiechnął się do Anki. Poweselał. Jeszcze kilkanaście chwil temu widział przyjaciółkę w całkowitej rozsypce, podczas gdy teraz emanowała chęcią pomocy i siłą konstruktywnego działania. To niemożliwe, jak szybko potrafiła zmieniać nastroje. Widocznie problemy innych pozwalały jej odrzucić myślenie o własnych.

Sasanka odwzajemniła uśmiech. Od samego początku nadawali na tych samych falach i rozumieli się bez słów. Zupełnie jak kiedyś z Nataszą. Oby ten czas wrócił jak najszybciej.

Chodzież, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie

Marianna Olecka

Marianna spojrzała na wzgórze drgających światełek. Odetchnęła ciężko i przymknęła zbolące powieki. Mocne podmuchy styczniowego wiatru przewodziły ciepło woskowych lampionów. Czuła je na twarzy wraz z mokrym zapachem butwiejących kwiatów. W sklepiu przed bramą kupiła dwa znicze. Oba z figurką płaczących aniołów. Jakoś nie wyobrażała sobie innego wyboru.

Deszcz padał coraz intensywniej, przechodząc z subtelnej mżawki w zimną, nieustępliwą pluchę. Olecka rozłożyła czarną parasolkę i niepewnym krokiem przeszła przez bramę do miasta nieżywych. To tutaj od dawna wiodła ją jej trauma. Nie miała pewności, czy trafi z pamięci, ale liczyła, że zaprowadzą ją głosy. Te same, których wołanie słyszała codziennie przez długie dwadzieścia lat. Najwyższy czas spełnić rozkazy demonów z przeszłości. Zbyt długo czekała, by dziś zrezygnować. Postanowiła dokończyć walkę o najświętszy spokój własnego sumienia.

Dostrzegła właściwy nagrobek. Zeszła prędko z brukowej alejki, krocząc labiryntem między pomnikami. Wysokie obcasy zamszowych kozaków tonęły raz po raz w zmętniałych kałużach, lecz Marianna w ogóle nie zwracała na to uwagi. Nie przeszkadzał jej nawet ekstremalny ziąb wszechobecnej wody, która coraz śmieiej wdzierała się do środka delikatnych butów. Jej wzrok skupiony był teraz tylko na tym jednym punkcie i łapczywie namierzał mężczyznę przy grobie. Z pewnością tam siedzi, ma parasol, klęczy. Albo grabi śmieci i zmurszałe liście... Z rezygnacją spojrzała na mokrą ławeczkę z drewna. Stała nad grobem i z niedowierzaniem zamrugała oczami, tak jakby Bernard miał tu do niej przybiec w ułamku sekundy, zdążyć wysuszyć przemoknięte drewno i usiąść na ławce z nadzieją na cuda.

Prawda była inna. Marianna nie spotkała przy grobie dawnego kochanka. A czego się spodziewała? Czy ona w ogóle może mieć jeszcze jakiegokolwiek żądania wobec tej rodziny? Nic w życiu nie dzieje się na zawołanie, tym bardziej jeśli zdążyło się w nim do cna wykorzystać przychylność fortuny. Najwyraźniej, nawet dla zawsze silnego Bernarda, dzisiejsza pogoda była nie do przejścia. Trudno. Posiedzi tu chwilę i zapali znicze. Dwa światełka życia w geście pojednania.

Przyklękła niezgrabnie, opierając obolałe nogi o rant zimnej płyty. Postawiła na piasku przezroczystą siatkę i wyjęła na wierzch anielskie lampiony. Barkiem przyciśniętym do szyi, wprawnym gestem przytrzymała nad głową daszek z parasola. Potrzebowała obu wolnych rąk, by znaleźć zapaliki, które sprzedawczyni umieściła na dnie nylonowej tytki. Olecka miała tak mocno przemarzniete dłonie, że z ledwością ścisnęła palcami maleńki kartonik. Wyjęła pierwszą szczapkę i już miała potrzeb rudawą główką o szorstki kropkowany brzeżek, gdy usłyszała krótki odgłos pękającego szkła. Poderwała się, zatrzymując spojrzenie na pierwszym z lampionów, które postawiła na zmokniętym grobie. Mogłaby przysiąc, że jeszcze przed chwilą żaden z nich nie posiadał skazy.

Ciarki przeszły po napiętych plecach Marianny, a lodowaty deszcz niepokoju targnął przemarznietym ciałem. Znow ten sam odgłos, tyle że dłuższy i mocniej słyszalny. Olecka bała się przenieść wzrok na drugi znicz, lecz zrobiła to raczej odruchowo. Tym razem była już pewna, kto rozbił nowiutkie lampiony, ale nie zdążyła nawet o tym dokładnie pomyśleć. Dostrzegła jej postać stojącą nad grobem. Szkoda, że Bernard tego nie zobaczył.

Zerwała się z kolan na równe nogi. Zgubiła przy tym parasol, który sfrunął gdzieś za nią wraz z mocnym podmuchem deszczowego wiatru. Mokła coraz bardziej, ale nie chciała się po niego schylać. Nie mogła pozwolić sobie, by utracić z oczu płaczącą Anielę. Jeśli jej widmo odejdzie w tej chwili, Marianna nie będzie mogła powiedzieć jej tego, jak bardzo żałuje i pragnie pokuty. Otworzyła usta i zaczęła mówić. Łzy oczyszczenia zaczęły z wolna napływać do zmęczonych oczu.

– Przepraszam. Tego lata... Wiesz, Anielo? Co ja plotę? Na pewno wiesz. Wy tam na górze znacie nawet najmniejsze sekrety grzeszników. Przemilczałaś wszystko, a już dawno mogłaś opowiedzieć światu szczegóły prawdy. Chcę, byś wiedziała, że bardzo żałuję swojej nikczemności. Stałaś się celem mego okrucieństwa, a niczym nie zasłużyłaś na takie cierpienia. Kierowały mną żądze... A ja? Nie miałam nad nimi kontroli. Dlaczego znow kłamię? Przepraszam. Umiałam i mogłam to kontrolować! Mogłam powstrzymać wszystko, lecz tego nie chciałam!

Wolałam ciągle podsycać swą zawiść i karmić się nienawiścią. Rosła we mnie fala wzbierającej złości. Tak, wiedziałam, co robię, i sprawiało mi to niewyobrażalną rozkosz. Najwspanialsza była myśl, że umiałam to wszystko sama zaplanować i oszukać naiwnych bez mrugnięcia okiem.

Triumfowałam! Dzięki tobie osiągnęłam sukces, który śnił mi się w każdej młodzieńczej fantazji. Zdobyte pieniądze otworzyły mi furtkę do świata iluzji bez dawnego wstydu. Miałam rację. Jestem silna i wiedziałam, że to właśnie mi uda się zdobyć szczyty w tak niedługim czasie. Manipulowałam nieświadomymi ludźmi tak jak chciałam.

Nie pomyślałam tylko o jednym. Nawet w najgłębszych snach nie przypuszczałam, że dopadną mnie kiedyś wyrzuty sumienia. Nie rozpoznałam ich na samym początku... Żyłam z nimi, bo nie były duże. Ale on nie odpuszczał. Diabeł jest sprytny, Anielo! Kiedy już było po wszystkim, pokazał swoje prawdziwe oblicze. Nigdy nie sądziłam, że wyrzuty sumienia są narzędziem diabła, który z biegiem czasu podkręca ich siłę. Tak unicestwia każdego, kogo udało mu się namówić do grzechu. Myślę, że kiedy doprowadzi już jedną ofiarę do upadku, przerzuca się na kolejną. Ja nie poddawałam się przez blisko dwadzieścia lat. Jestem silna i nadal z nim walczę. Dlatego dziś tutaj przyszedłam. On jest na mnie zły, że postępuję wbrew jego woli. Kiedy postanowiłam przyznać się do winy, zaczął robić wszystko, by temu zapobiec. Wolał, żebym dalej ukrywała przed światem grzech, którego się dopuściłam. A wówczas on dalej mógłby mnie dręczyć, niszczyć od środka! Myślę, że on chce, żebym się zabiła! Żebym martwa trafiła tutaj... do ciebie! Ja jednak zawsze miałam swoje zdanie. Dlatego postanowiłam zacząć od spowiedzi przed tobą. Muszę też porozmawiać z Bernardem. Śni mi się codziennie, błaga o moją modlitwę. Pomóż mi go spotkać! Proszę. Jeśli moja skrucha nie zabije diabła, pójdę na policję przyznać się do winy. Zrobię wszystko, żeby raz na zawsze zrzucić z siebie ciężar skrywanych tajemnic. Jeśli jesteś w stanie wybaczyć mi wszystko, proszę, daj mi choć małą szansę na odkupienie moich win. Powiedz, czy moje serce nie cierpiało dosyć przez te wszystkie lata. Czy mój aktualny stan nie jest wystarczającą karą za to, co zrobiłam? Sklep wcale mnie nie ucieszył. Zawsze chciałam go mieć, by moje anioły znalazły swe miejsce. Wiesz, jak one głośno płaczą, gdy przekraczam próg, przychodząc do pracy? Wśród nich najgłośniejszy głos należy do ciebie. Wiem, wszystko wiem, słyszę. Głowa mi już pęka od nadmiaru pisku. Mój lekarz wciąż myśli, że jestem wariatką. Patrzy na mnie dziwnie, gdy wypisuje recepty. Raz nawet zasugerował mi wyjazd do... jak on to nazwał oględnie? Sanatorium? A te jego proszki... Nie działają wcale. Nie dają wytchnienia, a jedynie lekko niwelują smutek. Coraz rzadziej przychodzę do sklepu. Halinka myśli, że mam inne sprawy. Ale ja... Po prostu nie umiem wytrzymać tam dłużej niż godzinę. Wszyscy o mnie myślą: jaka ona piękna, a jaka zadbana, pewnie nie ma zmartwień. Sama, bogata, niezależna i do tego zawsze uśmiechnięta. To wszystko maski, Anielo. Dlatego wybac mi i przestań już płakać. Błagam, daj choć małą oznakę tego, że jesteś w stanie wybaczyć mi zbrodnię.

Aniela Kalicka była niewzruszona. Marianna zamilkła. Wpatrywała się zachłannie w zakrwawioną postać, czekając cierpliwie na gest przebaczenia. W końcu po to dziś przyjechała na cmentarz. Zauważyła, że wszystkie rany na bladym ciele Anieli krwawią coraz mocniej. Trwający przez lata okres zapomnienia wcale ich nie zabliznił. Przeraziła się szczerze i zamknęła oczy. Nie chciała już dłużej przyglądać się śmierci.

– Nie! – krzyknęła desperacko. Przecież przeprosiła i wyznała prawdę. Kalicka powinna ją zrozumieć. – Większym zbrodniarzom zdarza się wybaczyć. A ja? Przecież ja nie jestem najgorsza, Anielo. Błagam! Chcę otworzyć oczy i widzieć twój uśmiech. Liczę do trzech, słyszysz?

Raz... dwa... trzy... – Olecka otworzyła oczy. Wierzchem dłoni osuszyła twarz. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczynało się ściemniać. Jak wiele czasu spędziła na cmentarzu? Wydawało się jej, że zaledwie chwilę. Anieli Kalickiej nie było. Musiała zniknąć, kiedy Marianna przymknęła powieki, prosząc o nagrodę.

– Trudno. I tak się przyznałam – szepnęła cichutko. Przypomniała sobie nagle o zniczach, które wcześniej ustawiła na śliskiej płycie starego nagrobka. Powinna je zaraz zapalić, by ulżyć upiorom. Nawet w tym deszczu musi jej się udać. Ukłęknęła przy grobie i spojrzała prosto. Zamarła. Ze zdziwieniem stwierdziła, że oba lampiony goreją jaśnieńskim blaskiem. Dwa płomyki światła drgały w jednym takcie tak, jak gdyby tańczyły w parze walca wiedeńskiego. Dziwne – pomyślała. Przecież ich nie zapaliła. Nie zdążyła nawet pozbiierać zapalek, które wysypały się z pudełeczka. Rysy na spękany szkłe migoczących lampek zdawały się teraz mniej złowrogie. Marianna uśmiechnęła się szczerze, spoglądając w niebo. To jej wystarczyło, by poczuć się zdecydowanie lepiej.



– Dziękuję kochana – wyszeptała, nie zważając na krople deszczu wpadające jej wprost do otwartych oczu. Dwa smoliste kruki leciały w kierunku pobliskiego domu Kalickich. Dziękuję. Zaraz tam jadę. Jadę do domu Bernarda!

Piła, 13 stycznia 2016 roku, popołudnie  
Jan Poniatowski, Anna Sass, Julia Węgorzewska

– Przestań zachrzaniać jak psychopata – krzyknęła Sasanka, upewniając się po raz kolejny, czy jest chroniona przez pas bezpieczeństwa. – Robisz nam siarę tym żółtym kanarkiem. – Zaciśnęła dłoń na oparciu siedzenia. W odbiciu wstecznego lusterka zobaczyła Julię. Pograżona w myślach dziewczyna tępo gapiła się w okno. Złota zawieszka, jaką nosiła na szyi, tańczyła żwawo w rytmie warczącego silnika. Gdzieś już widziała podobny symbol. – Uważaj! – zamarła, widząc, że pędzące auto niebezpiecznie zbliżyło się do prawej krawędzi drogi. Jak to dobrze, że znowu zerknęła przed siebie. – Krawężnik!

– Janek, nie Krawężnik, zapomniałeś już? – zripostował Poniatowski, ze spokojem korygując jazdę. – A mój samochód to nie żaden kanarek, lecz barwne cudeńko spod japońskiej ręki – zachichotał.

– Wiedziałam, że każdy mężczyzna to samochodowy dupek – odburknęła. – Wiesz jak to się nazywa? Przedłużenie męskości, o! – uśmiechnęła się delikatnie, zadając Jankowi oczyma pytanie, co zrobią z pasażerem na gapę z tylnego siedzenia.

– Ale po co mam zwalniać? Czasu nie mam, sprawy mam. – Janek pomyślał o zbliżającym się spotkaniu z Nataszą i poczuł krótkie ukłucie stresu w burczącym żołądku. Dokładnie tak samo, jak osiem lat temu przed ich pierwszym, wiosennym spotkaniem. – A jeszcze muszę was porozwozić do domów. Hej tam z tyłu! – zawołał, zerkając we wsteczne lusterko. – Julia, żyjesz? – zapytał najsympatyczniej jak umiał, lecz nie wyszło to zbyt naturalnie. – Powiesz nam wreszcie, co przeskrobał ten twój długowłosey?

– Pokłóciliśmy się – odpowiedziała Węgorzewska, dalej patrząc się przez zaparowaną szybę. – Nic takiego – skłamała. – Chyba wreszcie dotarło do niego, że między nami wszystko skończone. – Julka nie zamierzała ujawniać prawdy. Nie nadawała się na sprzedaż, zwłaszcza że była upokarzająca również dla niej samej. Zaczynała już myśleć o dzisiejszym spotkaniu z Witkowskim. Akurat tej szansy nie wolno jej zaprzepaścić. – O! Tutaj. Możesz mnie już wysadzić – wskazała palcem minicentrum handlowe na Osiedlu Górnym. – Na tym przystanku – sprecyzowała.

Anka milczała. Jej mina mówiła sama za siebie i zdradzała złość wymieszaną z trwogą. Postanowiła jednak się nie odzywać, bo musiałyby krzyknąć o wiele głośniejszym głosem niż wcześniej. Stwierdziła, że nie ma to sensu, nie nauczy Jana delikatnej jazdy. I choć nigdy nie lubiła powolnych kierowców, dziś nie była w stanie znieść tak szaleńczej prędkości. Zrobiło jej się niedobrze i poczuła mdłości. Niepotrzebnie piła dziś rano z Grzesiukiem.

– Mieszkasz tu? – Poniatowski zwrócił się do Węgorzewskiej, nie odrywając wzroku od poblądłej Anki. Zauważył, że zbyt prędko jazda najwidoczniej jej zaszkodziła.

– Tak, to znaczy w tej okolicy. Spoko, tutaj może być – rzuciła pielęgniarzka, zbierając się do wyjścia. – Wskocz jeszcze do sklepu.

– Julia, poczekaj. Ja też tu wysiądę. Wychodzi na to, że jesteśmy sąsiadkami. A temu kierowcy już dziękujemy. – Anka spojrzała wymownie na Poniatowskiego. – Pójdę z tobą. Kupię sobie drinka na rozluźnienie, bo jakoś tak źle się poczułam.

– No jak chcesz – rzekła Węgorzewska.

– Nie masz dość na dzisiaj, co? – nie mógł powstrzymać się przed komentarzem Jan.

– A co ty, Janek, w dobrą ciotkę się bawisz? – odpowiedziała niewzruszona, zapominając zupełnie, w jakich okolicznościach dziś rano przechyliła szklankę. – To już zestresowana kobieta nie może pozwolić sobie na małego sznapsa? – dodała. – Prawda, Juleczko?

– Racja. Ja dziś też się muszę znieczulić. – Węgorzewska pomyślała o swoim planie na wieczór.

– No właśnie. Baba z babą zawsze się dogadają – powiedziała Anka, puszczając oczko nowej koleżance, a potem uśmiechnęła się niepewnie do Poniatowskiego. Czuła się słabo i było jej trochę głupio. Po pierwsze nie powinna pić w pracy, czego skutki odczuwa w tej chwili. Co Janek sobie pomyśli? – skarciła się w myślach. Karolina i Sebastian zniknęli. A ona? Jeszcze godzinę temu dzwoniła do Janka z błagalną prośbą, a teraz zachowuje się tak, jakby w ogóle się niczym nie przejmowała. Sama za chwilę wyjdzie na pierwszą w Pile psychopatkę. Nie, nie zapomniała o wszystkich dramatach. Wręcz przeciwnie. Coraz bardziej zaczynała to wszystko przeżywać, bać się konsekwencji i wątpić w skuteczność ich poszukiwań. Co ona poradzi, że w ten sposób odreaguje stresy?

– Anka! – Mężczyzna chwycił kelnerkę za rękę, kiedy wysiadała z auta. – Wszystko w porządku? Chciałaś przecież pogadać.

– W porządku – skłamała, a potem spojrzała mu w oczy. – Cholernie się boję, Janek. Wolę nie być teraz sama, ale ty... masz swoje sprawy. Sam mówiłeś.

– Nie no, Anka – chciał się wytłumaczyć. – Przecież wiesz, że mam czas dla ciebie.

– Wiem, wiem – rzekła, a potem uśmiechnęła się lekko. – Dzięki, że przyjechałeś. Jutro działamy?

– Jasne – zareagował żywo. – Znajdziemy ich, przysięgam – odwzajemnił uśmiech i spojrzał jej głęboko w oczy. Zobaczył w nich strach i bezradność. Do Poniatowskiego dotarło, że harata życie kolejnej osobie, która całkiem przypadkiem wpadła w jego koszmar. Anka w żaden sposób nie zasłużyła na to wszystko. – Trzymaj się i dzwoń w razie czego – rzucił na sam koniec.

– Spoko – zapewniła, zerkając na Julię. – No to chodź, kochana. Zaprowadzę cię do takiego fajnego sklepu. Ostatnio, mieli tu ekstrapromocje. Kiedyś koleżanka mojej koleżanki kupiła tu okazjynie...

Poniatowski siedział przez chwilę w opustoszałym aucie. Odprowadził wzrokiem Ankę i Julię, które zniknęły za szklanymi drzwiami osiedlowego marketu. Julia wyglądała tragicznie. Może nie powinien, ale pomyślał o niej jak o ofierze gwałtu lub przemocy rodzinnej. Bezsilnie chwiała się na wysokich, połyskujących czernią, ekskluzywnych szpilkach. To z pewnością nie była zwykła kłótnia żarliwych kochanków – pomyślał. Ale może przesadza? Nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. Nie miał już siły i czasu. Jutro zadzwoni do Anki i szczerze z nią porozmawia. Nie teraz. Teraz jest ważna Natasa.

## ROZDZIAŁ 6

Jeśli się kogoś szczerze nienawidzi, powinno się zrobić dla niego wszystko. Nienawiść to najwspanialsze uczucie pod słońcem. Nie ma sobie równych w świecie śmierdzącym miłością i ufajdanym pozorami szczęścia. Nienawiść cierpliwa jest, łaskawa jest. I unosi się gniewem. Nie zapomina złego. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję i wszystko przetrzyma.

Jak mam postąpić inaczej? Nienawidzę tak bardzo, że czuję rosnącą złość w pulsującej skroni! Po prostu nie mogę na niego patrzeć. Brzydę się jego zakłamaniami. Jak ja go nienawidzę! Co on ma w sobie, czego ja nie mam? Zabrał mi wszystko i zrujnował życie. I teraz chce zrobić to po raz kolejny. Po prostu to wiem. Czuję. Ale nie zdąży... Nie pozwolę! Nie mogę dopuścić do jego triumfu. Jakie to szczęście, że umiem mu przeszkodzić. Zaaranzować niefortunną przeszłość.

Powinien być pierwszy w moim scenariuszu. Zdecydowanie. Zbyt długo korzystał z nieuzasadnionej wolności. Mój plan się nigdy nie skończy, a ja wciąż się rozwijam. Nigdy nie mam dość i nigdy nie spocznę. Teraz nie ma już żadnych reguł. Każde rozwiązanie jest słuszne, albowiem jest zesłane przez Boga. On jeden wskazuje zawsze najwłaściwszą drogę.

Nie mogę się już doczekać nadchodzących zdarzeń. Tak samo, jak te wieczne nienażarte hieny. Dziennikarze żądni purpurowej brei. Chcecie krwawej jatki? Ależ proszę bardzo! Będziecie mogli rozprawiać do woli. O mnie, o mnie i wyłącznie o mnie. Nareszcie. I tak przecież nikt nigdy mnie nie rozpozna. On też nie, bo jest za głupi. A ja mu piszę takie piękne listy. Mętlik w głowie czynię.

Mam wielką nadzieję, że już wkrótce usiądę naprzeciw niego. Pooddycham bryzą strachu, nakarmię swe zmysły parującym bólem i nacieszę oczy jego smętną bezradnością. Wszystko z wielką gracją serwowane z Nieba. Na srebrnej paterze. Dla mnie! Najprawdziwsza uczta koneserów. Mocno w to wierzę, że Bóg pozwoli mi z bliska obserwować kolejny etap jego nieuchronnego końca. Upodlenia, w którym jego idealne ciało wielbione przez innych zmieni się w śmierdzące, poszarpane ścierwo.

Ale... Musi jeszcze poczekać na swoją kolejkę. Mam teraz nowe wyzwania. To nawet lepiej. Będzie bardziej cierpiał przed śmiercią. Będzie myślał, że znów spotkało go to, co najgorsze. Znów się przeliczył! Myślał tak dokładnie dwadzieścia lat temu. W dniu rozwodu podobno również tak myślał. Błazen! Kiedy zobaczył zakrwawione ciało Joanny. Naiwniak! Gdy znikli przyjaciele! Półgłówek! Nie widzi, że to łańcuch. Dureń! Jeśli myśli, że najgorsze ma już za sobą, to jest skończonym idiotą! Nadzwyczaj dobre są złego początki! A dobre dopiero nadchodzi. Dla mnie! Wszystko, co było, miało jedynie stworzyć najsłodsze preludium dziecinnej zabawy. Prolog, przedmowę, aperitif, rozbieg.

Zazdroszczę mu tego cierpienia. Zazdroszczę, że ma kogoś takiego jak ja. Anioła stróża, na którym zawsze może polegać. Bardzo o niego dbam. Interesuję się całym jego życiem. Przeszłością, teraźniejszością i szczęśliwym jutrem. Nigdy z niego nie zrezygnuję. Uwolnię od prawdy i poczucia winy. O mnie nikt nigdy nie troszczył się tak bardzo. Nigdy! Szczególnie ty... mamu. Wciąż sądzisz, że między nami wszystko jest w porządku? Rozmawiamy zawsze i mi się spowiadasz. Ale, kurwa, nic nie jest w porządku! Rozumiesz, suko! Tylko cię wykorzystuję dla swoich celów.

Jednak myślę o tobie każdego poranka. Wspominam codziennie i płaczę w łazience. Zapłacisz mi za to, czym ON mnie doświadczał wieczorami. Nie domyślałaś się, że był jakiś inny? Mamusi! Przecież zawsze ci podpowiadałem. Słonym wzrokiem, zasinionym bólem, cichymi gestami i torsjami zwykłego obrzydzenia. Płakałem i trząsałem się

z zimna. A ty? Nie chciałaś czytać pomiędzy wierszami. Wolałaś doić z niego pieniądze. Wiem, gdzie on teraz mieszka. Kiedyś go odwiedzę z moim nowym nożem. Nawet nie wiesz, mamusiu, jaki jest ostry. Śliczny jest!

Już niedługo znów sobie pogadamy. Inaczej! Odsłonię swe blizny i traumy z przeszłości. Najpierw był twój dziki przyjaciel, później ty, niewidząca strachu, a na końcu jest on. Wszystkimi się zajmę. W swoim czasie. Świat będzie należeć tylko do mnie i jeszcze o mnie usłyszysz. Już nikt nie będzie wyrządzał mi krzywdy! Nikt i nigdy! Bóg mi w tym pomoże. Zawsze podawał mi pomocną dłoń. Słuchał i cierpiał razem ze mną. Nienawidzę wszystkich, którzy myślą, że on nie istnieje!

---

## Chodzież, 17 sierpnia 1996 roku, wieczór Aniela Kalicka

Aniela Kalicka właśnie skończyła ogarniać pokój nastolatki. Po domowym party nie było już śladu. Spojrzała na zegar wiszący na ścinanie. Dwudziesta pierwsza dwadzieścia sześć, a przed nią jeszcze sprzątanie salonu. Ale to dobrze, musi się czymś zająć, by przegonić smutki. Zbyt wiele emocji jak na jeden wieczór.

Najbardziej przytłaczała ją fakt, że Joanna stała się dorosła, a ona już wkrótce zostanie całkowicie sama. Zanim dziś rano przyszła obudzić śpiącą jubilatkę, płakała w sypialni nad swoim nieszczęściem. Wspominała młodość i błędy z przeszłości. Do tego wszystkiego ten męczący Wiktor. Zrobił się bardzo natarczywy i nie przebierał w środkach, gdy ją szantażował. Aniela zaczynała się go poważnie obawiać i nie czuła się już bezpieczna. Czasy bez troski minęły bez śladu.

Wstała z kanapy i chciała już wyjść z pokoju. Ułożyła jeszcze książki na biurku Joasi w równą, wysoką kolumnę. Byłaby zapomniała. Pamiętnik! A jeśli Bernard go znalazł? – zastanowiła się i pomyślała, że musi czym prędzej sprawdzić, czy zamknęła na kluczyk swoją toaletkę. Ostatnia rzecz, która do końca pozostanie wyłącznie jej tajną własnością, nie powinna wpaść nigdy w żadne niepowołane ręce. Reszta została już dawno sprzedana i rozgrabiona. Bez zastanowienia pognała w kierunku sypialni. Wszystko było w idealnym porządku. Pamiętnik na samym dnie malutkiej szufladki, a kluczyk jak zawsze w sekretnej skrytce głęboko pod łóżkiem.

– A więc jednak Wiktor – westchnęła, skrywając twarz w dłoniach. – Wszystko popsuł, łamiąc naszą przysięgę. – Musiałyby jakoś się go pozbyć, by odzyskać dawną stabilizację. Ostatnio zastanawiała się nad tym coraz poważniej. Czuła, że któreś z nich prędzej czy później zrobi ten pierwszy krok, zupełnie jak osiemnaście lat temu. Między miłością a śmiercią istnieje już niewielka granica. A jeśli nawet... Przekraczanie barier sumienia i moralności już dawno przestało mieć w życiu Kalickiej jakiegokolwiek znaczenie. Najważniejsza jest Asia, Bernard i szczęście domowego ogniska. Dla nich jest w stanie zrobić wszystko. Musi wymyślić coś jak najszybciej. Nie wszystko stracone! Uśpi czujność Szewczyka, a potem zaatakuj zniecka. Raz się żyje i nikt się nie dowie. A Bernard znów będzie szczęśliwym człowiekiem.

---

## Piła, 13 stycznia 2016, późne popołudnie Jan Poniatowski, Natasza Poniatowska

Jan Poniatowski stanął przed drzwiami restauracji Świtez. Wziął głęboki oddech i zajrzał do środka. Przytulne i ciepłe wnętrze tonęło w klimatycznym półmroku, a rozjaśniało je tylko słabe światło zapalonych świeczek. Nie dostrzegł nigdzie Nataszy. Zrobił kilka kroków, by w końcu zatrzymać się przy okrągłym barze po prawej. Przed kontuarem, z kartą dań oprawioną w drewnianą okładkę, stał brodaty kelner podobny do bobra.

– Dzień dobry – zagaił mężczyzna z uśmiechem. – Miał pan rezerwację? – spytał z wyższością w głosie.

– Miał – zawołała Natasza, która właśnie wyłoniła się z półmroku. – Ten pan przyszedł do mnie – dodała, uśmiechając się do wąsatego pracownika knajpy. Spojrzała na Janka. – Choć, siedzę na tyłach. Zamówiłam już coś do jedzenia. Głodny?

– O, przepraszam panią – bobrowaty kelner wydał się zmieszany. – Nie wiedziałem, że...

– Spokojnie, nic się nie stało – weszła mu w słowo. – Proszę lepiej poinformować pana Jarka, aby podszedł do nas za chwilę.

– Tak jest! – odpowiedział brodac, jakby zdawał wojskowy raport żołnierzowi wyższej rangi. – Oczywiście!

– No to chodźmy – zdecydował Janek i wskazał dłonią wewnątrz restauracji. – Pan wybacz – dodał, spoglądając z triumfem w stronę pracownika Świtezi. Czuł się kimś ważnym u boku Nataszy, jak kiedyś.

– To opowiadaj – rzuciła, gdy szli do stolika. Tak było jej łatwiej ominąć poczucie niezręczności, jakiej bała się podczas dzisiejszej rozmowy.

– Tak od razu? – spytał zza jej pleców. – Może najpierw usiądźmy?

– Szkoda czasu – odrzekła. – Pewnie masz mi sporo do powiedzenia. No chyba, że znów chcesz zataić kilka nieistotnych szczegółów? – zadrwiła, ale nie po to, by wytknąć byłemu mężowi błędy. Bardziej dlatego, że nadal czuła się urażona faktem, że o niczym jej nie powiedział. Było jej naprawdę przykro.

– No... tak, to znaczy... nie – wystękał Jan. – Ostatnio staram się niczego nie pomijać i nie bagatelizować. Tym razem jednak to mi ktoś nie chce powiedzieć wszystkiego.

– Dobra, od początku, tylko bez kłamstwa i owijania w bawełnę.

Natasza starała się grać wyluzowaną, pełną siebie kobietę sukcesu. Jeśli chodzi o to drugie, to z pewnością nią była i nie musiała niczego udawać. Jednak o psychicznym luzie nie mogło być mowy. Serce jej kołatało, a słowa przechodziły jej przez gardło z trudnością. Bała się panicznie dzisiejszej rozmowy, choć skrycie marzyła o takim spotkaniu. Ona i on, przyjemna restauracja, pyszne jedzenie, prawdziwa rozmowa, a na koniec najszczęśliwy uśmiech przepełniony dobrem. I nawet przed samą sobą nie umiała przyznać, że pragnęła mocno najprostszego bliskości. Miała mu przecież tyle do opowiedzenia. Czy właśnie dziś wybaczyła mu zdradę? Czy jest to jeszcze w ogóle możliwe?

– OK – odpowiedział Janek, odsuwając krzesło Nataszy. – Zacznijmy od początku.

Tak bardzo zależało mu na wyrzuceniu z siebie wszystkiego, co niszczyło go tak długo. – Zacznę o tego, że...

---

Piła, 13 stycznia 2016, późne popołudnie

Julia Węgorzewska

Jakieś dwie godziny temu Julia Węgorzewska zniknęła w mroku kamienicznej bramy. Zdążyła polubić tę całą Sasankę, lecz poczuła ulgę, kiedy się rozstały. Pilnie potrzebowała samotności, by pozbiierać myśli i ściszyć emocje. Musiała się ogarnąć i profesjonalnie przygotować do spotkania z Witkowskim.

To już ostatnia szansa na zdobycie tej cholernej kasy. O forsie Żabskiego musiała na razie zapomnieć. Wolała nie wracać myślami do wcześniejszego zdarzenia. Nigdy nie sądziła, że sprawy przybiorą aż tak niekorzystny obrót. Mogła się oczywiście spodziewać, że lekko nie będzie, jednak nawet w najczarniejszych wizjach nie zakładała próby morderstwa w afekcie. Zdecydowanie powinna zgłosić to wszystko na policję. Że też miasto nie wyznacza nagród za pomoc w łapaniu takich psychopatów.

Zaraz, zaraz... – zastanowiła się w myślach. Chyba słyszałam w telewizji o jednym takim. Żabski również coś dzisiaj wspominał. To z pewnością jakaś grubsza afera. A może jest jakiś szmal do wyjęcia? – kalkulowała.

Zajmie się tym, lecz dopiero jutro. Zdecydowanie nie teraz. Dziś ma inne zadanie – Gracjan Witkowski. Ostateczna szansa, by odzyskać spokój.

– Nie spierdol tego, Juleczko – szepnęła pod nosem gotowa, by walczyć. – Rasowe fajterki zawsze triumfują! Wszystko będzie dobrze, a życie jest piękne – powiedziała głośno, spoglądając w górę. Całe piętro wyżej mieszkało

jej szczęście. Ciepłutki Gracjanek nieświadomy prawdy. – Oj, zatańczysz ty dzisiaj w takt mojej melodii.

Weszła do mieszkania i cicho westchnęła. Z przemęczonych stóp zzuła ukochane szpilki. Zawsze przynosiły jej szczęście i jeszcze nigdy się na nich nie zawiodła. Poza dzisiejszą wpadką w Cinderelli, oczywiście. Ale wpadkami nie będzie się już przejmować. I tak czuła się mistrzynią w tej nierównej walce. Powinna się cieszyć, że w ogóle żyje. To wszystko mogło się przecież źle skończyć.

Zimna podłoga czynszowego lokum działała kojąco na zmęczone nogi. Julia ciężko opadła na sofę. Zaczęła tworzyć plan wieczornych intryg. Na początek wygląd. Mała czarna i odkryte plecy.

– Tylko czy Gracjan to doceni? – zastanowiła się. – On na sto procent wolałby siorbać wino z jakimś delikatnym chłopcem. Albo z kilkoma naraz. Boże, w co ja się wpakowałam? – spytała z rezygnacją w głosie. – Ech... Ale czego się nie robi w słusznej sprawie? – mówiąc do siebie, starała się zdusić negatywne myśli.

Wstała z kanapy, bo coś sobie przypomniała. Motyw przewodni sąsiedzkiej wizyty. Po pierwszej rundzie dzisiejszego starcia, której skutków nie mogła przecież przewidzieć, szybko podjęła decyzję, że drugi raz nie będzie ryzykować zdrowia.

– Prawdziwa kobieta musi się jakoś bronić – szepnęła, całując seksownie lufę pistoletu. – Gracjanowi spadną galoty – zachichotała. – O ile wcześniej nie nasra w gacie ze strachu!

---

## Mrok, 13 stycznia 2016, późne popołudnie

Karolina Janicka, Sebastian Świdorski

Karolina z trudem doczołgała się do ukochanego. Pełzła po omacku, nie tracąc nadziei, że zdąży się z nim pożegnać. Dopiero przed chwilą przestała słyszeć odgłosy jego chrapliwego oddechu. Nigdy wcześniej aż tak bardzo się nie bała. Nawet wówczas, gdy po wypadku ujrzała w aucie nieżywych rodziców.

Rozkwaszona twarz Sebastiana stygła szybko. Karolina głąskała ją ciągle w mechanicznym geście. Mogła się tylko ludzić, że kiedy umierał, nadal trwał w letargu, jaki zapewniały spore dawki tej śmierdzącej brei.

Świderek zawsze od razu wypijał całą zawartość obtłuczonych kubków. Musiał dużo wcześniej przetestować zbawienne działanie cuchnących naparów. Szybko po nich zasypiał. Wcześniej pogwizdywał, nucił różne melodie, a jego głos przybierał jaśniutki odcień nadziei. Widocznie od razu wolał się znieczulać, by chociaż na chwilę zapomnieć o tym, co go tu spotkało. Czym ten ktoś ich faszerował?

Odsunęła rękę i postanowiła czym prędzej wrócić na swoje miejsce. Nie chciała, aby morderca spostrzegł, że się przemieszczała. Zaczęła znów pełznąć, odpychając się dłońmi od zimnej nawierzchni. Luźne fragmenty żwirowatej tarki wbijały się w jej skórę, kalecząc jak kaktus. Nie sądziła, że tak małą odległość będzie pokonywać z tak wielkim wysiłkiem.

Znieruchomiała. Chciała wierzyć zmysłom, że to fakt, nie mara. Skostniałe opuszki poranionych palców zachłannie macały cenne znalezisko. Nie spodziewała się takiego skarbu w żadnej z najśmielszych modlitewnych prośb, które wznosiła do Boga. Chłód stalowej klingi na nowo rozpałił gasnące nadzieje. Tylko co z nią zrobi? – posłyszala odgłos logicznej riposty. Nawet jeśli udałoby się jej zaatakować tego psychopatę, to nie ma z nim najmniejszych szans. Jest wycieńczona i pozbawiona resztek mobilizujących sił. Nie wspominając o tym, że jedną nogę przykuł jej do ziemi żelazną obręczą. Próbując bezradnego ataku, mogła tylko pogorszyć swoją sytuację. Nieważne. Ważne, że zrobi cokolwiek. Nowe rozdanie, nowe szanse – pomyślała. Nie bez przyczyny po raz kolejny los wyciągał pomocną dłoń w jej kierunku. To od nich... Prezent od rodziców! – ucieszyła się.

Doczołgała się na swoje miejsce. Z dużym nożem w dłoni było to jeszcze trudniejsze niż wcześniej, jednak już po chwili spoczęła na śmierdzącym posłaniu z kartonów. Szybko doceniła ich wygodę. Nie oddałaby ich teraz za żadne skarby świata. Jak widać, małe rzeczy zaczynają cieszyć w ekstremalnych okolicznościach. Czym prędzej wsunęła nóż pod zimne legowisko. Macając wypukłość, upewniła się, że w razie czego zdąży bez problemu wyjąć go z powrotem.

– Dosyć biadolenia! – syknęła z nadzieją. – Nie chcę umierać! Nie pozwolę... Świderek, kocham cię, słoneczko. Przepraszam, że mówię ci to dopiero teraz. Wybacz, nie zdążyłam. Przez dwadzieścia lat nie zdążyłam. Ale błagam... Nie miej mi za złe tego, że nie chcę być z tobą tam, po drugiej stronie. Jeszcze nie teraz. Mamo, tato! Bardzo za wami tęsknię, ale nie zabierajcie mnie jeszcze do siebie. Każdego dnia wszystko mi was przypomina. Każde znajome słowo, każde ziarno nadmorskiego piasku, podmuchy gorącego wiatru... Wszystko. Ale ja nie chcę być z wami, przepraszam. Ja chcę żyć, rozumiecie? Proszę, błagam, pomóżcie mi dzisiaj, jeśli mnie kochacie!

---

Chodzież, 13 stycznia 2016, późne popołudnie

Marianna Olecka

Marianna poczuła ostry zapach wydobywający się z wnętrza domu. Niósł się razem z wiatrem wiejącym w jej stronę. Ulatniający się gaz? – sondowała. Czy to możliwe, żeby ktoś tego nie dopilnował? To przecież dawno opuszczone mury.

– Nieistotne – szepnęła. – Ważny jest wyłącznie spokój Bernarda.

Rozejrzała się wokół. Wszystko się tutaj zmieniło. Nie było ogrodu, tylko martwe chaszczce. Zniszczona fasada starego budynku była symbolem ludzkiej beczynności.

– Jak doszło do tego wszystkiego? – szepnęła cichutko i podeszła bliżej drewnianej werandy. Roztłuczone szyby w popękanych oknach, zdezelowane parapety, farba nietrzymająca się mokrych ścian, wybrzuszone deski spuchnięte wilgocią, pokruszone schody i urwana klamka. Tak bardzo zniszczonego i ponurego miejsca Marianna jeszcze nigdy nie widziała. Nawet krajobraz pustego cmentarza nie przygnębiał bardziej niż podupadająca willa rodziny Kalickich. I pomyśleć, że jeszcze dwadzieścia lat temu myślała przebiegle o tymże majątku. Świat nie stoi w miejscu. I choć na przestrzeni wieków pozostaje wciąż ten sam, to już nigdy więcej nie będzie taki sam.

Marianna zaczęła zastanawiać się, jakby wyglądało jej życie bez wszystkich anielskich podszeptów. To przecież one instruowały ją, od zawsze wskazując, którą wybrać ścieżkę. Podpowiadały, jak żyć i walczyć o swoje, gwarantując sobie wymarzoną przyszłość. Bez nich z pewnością byłoby inaczej.

Nie czułaby przecież rosnących wyrzutów sumienia. To w końcu one zmusiły ją do dzisiejszej pokuty. Na szczęście to już przedostatni etap. Od jutra, kiedy zgłosi się na policję, wszystko będzie jeszcze łatwiejsze. Przyzna się do winy. Właściwie to już dziś doświadczyła niebiańskiej lekkości w skołatany sercu. Aniela w końcu jej wybaczyła. Wy-ba-czy-ła! O niczym innym nie marzyła ostatnio. I nie ma takiej możliwości, żeby Olecka źle zinterpretowała płonące żywym ogniem, niepodważalne symbole z zaświatów. Przed chwilą na cmentarzu doświadczyła zbawczej mocy odpuszczenia grzechów. Skrzętnie to wszystko zaplanowała, a w realizacji planów pomogli jej jak zwykle skrzydłaci współpracownicy.

– Marianko. – Oczywiście wyobraźni zobaczyła, jak Bernard staje w butwiejącym progu werandy. – Czekałem na ciebie, kochanie. – Jak wiele by dała, by dziś usłyszeć ten głos.

– A więc... – szepnęła Marianna. Z wrażenia opadła na ławkę przy wejściu. Na siedząco będzie jej łatwiej rozprawić. Tym bardziej że miała coraz mniej siły w mocno zmęczonych i ziębniętych nogach. – Dobrze być znowu u ciebie – westchnęła i zaczęła monolog. Szczerze bała się, że może nie zdążyć. Dziś nie może sobie na to pozwolić. – Bernard, słoneczko, przyjechałam błagać cię o przebaczenie.

---

Piła, 13 stycznia 2016, późne popołudnie

Jan Poniatowski, Natasza Poniatowska

– A resztę historii już znasz – podsumował Janek, kończąc wyznawanie prawdy. O zatajeniu niewygodnych faktów nie mogłoby być dzisiaj mowy. Dobrze wiedział, że drugi raz Natasza nie da się zbyć powierzchownym liźnięciem tematu. Nie pomylił się.

Słuchała czujnie i nawet nie próbowała przerywać. Z jednej strony bystro przyswajała fakty. Z drugiej chłonęła każdy zapomniany szczegół męskiego uroku, którego tak bardzo brakowało jej w ostatnim czasie nużącej rozłąki. Właśnie uświadomiła sobie, jak mocno za nim tęskniła. Pomyślała nawet, że zrobiła błąd, podejmując tamtej nocy zbyt ostrą decyzję o szybkim rozstaniu. Cóż... Okazało się, że tak naprawdę nigdy do końca nie знаła mężczyzny, którego tak mocno kochała. Nie czas jednak na powroty w przeszłość. Trzeba żyć od nowa i zapomnieć błędy.

– Wiesz – powiedziała po chwili ciszy. – Nie zapytam nawet, dlaczego mi nic nigdy nie powiedziałeś. Gdybyś mógł, zrobiłbyś to przecież. Rozumiem cię i myślę, że sama nie byłabym w stanie z nikim o tym mówić. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie mam do ciebie najmniejszego żalu. Nie mogę go mieć – mówiła, patrząc mu w oczy. – Przeciwnie. Chciałam ci podziękować za dzisiejszą szczerość. W życiu bym nie pomyślała, że przeszedłeś przez takie...

– Daj spokój – przerwał Poniatowski. W dalszym ciągu był pod presją faktów, które właśnie zakończył wspominać. – To ja ci dziękuję. Za to, że w ogóle zechciałaś tutaj przyjść i posłuchać, jak było naprawdę.

– Nie chciałam. To znaczy chciałam, myślałam o tobie i o naszym spotkaniu, ale pewnie sama z siebie nie zdecydowałabym się nigdy na ten krok. Gdyby nie twoja mama, to raczej dziś nie byłoby mnie tutaj. To znaczy byłabym, lecz wyłącznie przez wzgląd na moją pracę – na umowę Wspaniałych Ślubów z nimi. – Natasza spojrzała na przytulne wnętrza Świtzi.

– A on? Nadal tu pracuje? – zareagował Janek w momencie, w którym rozpoznał Grzesiuca. – Tylko mi nie mów, że cię obsługiwał?

– No wyobraź sobie, że tak. Na zmianę z takim wysokim brodaczem – odrzekła z zakłopotaniem. – A tak w ogóle... – dodała, zmieniając temat – coś długo im idzie w kuchni. Nie mamy zbyt wiele czasu – zerknęła nerwowo na zegarek. – Janek, proszę cię tylko, żebyś dał mu dziś spokój, jeśli do nas podejdzie. Nie zwracaj na niego uwagi, co?

– Dziś moja uwaga skupiona jest tylko na tobie – zripostował Janek z uśmiechem na ustach. Chwycił byłą żonę za rękę, ale nadal mierzył Jarosława wzrokiem. – On zresztą również należy już do przeszłości, a ja zamierzam skończyć z przeszłością raz na zawsze. Mam nadzieję, że ty również. Powiem ci tylko, że to szef Sasanki, to znaczy Anki.

– Tak? No widzisz, widocznie awansował – odpowiedziała Natasza. Nie cofnęła ręki. Aksamitna skóra męskiej dłoni cudownie ją uspokajała. W ogóle nie czuła skrepowania. Była całkiem swobodna i modliła się w myślach, by ta chwila trwała w nieskończoność.

– No ale, Janek, co dalej? Powiem szczerze, że nieciekawie to wszystko wygląda.

– Dalej może być już tylko lepiej. Nie zakładam innej możliwości. Sebastian i Karolina muszą się odnaleźć. Jeśli policja ich nie znajdzie, to ja zrobię to sam, na własną rękę.

– Janek, co ty mówisz? – głośno spytała zmartwiona Natasza. – Ty już lepiej nic nie kombinuj i zadbaj wreszcie o siebie – dodała, jeszcze mocniej ściskając dłoń Poniatowskiego. – Z tego, co mówisz, ten psychol nie cofnie się przed niczym. Nie domyślasz się, o co może mu chodzić, do licha?

– Nie mam pojęcia – odrzekł. – Wiem tylko, że na poważnie zabrał się za całą naszą paczkę z przeszłości, posługuje się religijnymi symbolami, i jest jakimś totalnym popaprańcem – skwitował. Tak naprawdę w ogóle nie myślał o strachu i całej tej sprawie. Pierwszy raz od dłuższego czasu nie miała ona dla niego tak dużego znaczenia. Zawsze gdy w pobliżu była Natasza, wszystkie problemy zniknęły, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i najwyraźniej to wcale się nie zmieniło. – No ale pamiętaj – ocknął się nagle z bez troskiej fantazji. – Tak jak ci mówiłem: miej oczy z tyłu głowy, uważaj na siebie i na Remigiusza. Ciągle mam w myślach ostatni anonim, który mi zostawił.



– Wiesz co? Ja mam wrażenie, że to wszystko, o czym ty mi mówisz, to zwykły koszmar, z którego trzeba się w końcu obudzić. Totalnie chora, literacka fikcja. Takie rzeczy dzieją się w filmach, a nie w prawdziwym świecie. A wtedy w tym domu? Jak mogłeś to wszystko ukrywać? Nadal nie mogę tego pojąć, jak do tego w ogóle doszło? Gdzie ten szalenięc ich przetrzymuje? A jeśli właśnie robi im to, co martwej Boreckiej? Co to musi być za człowiek!

– Natasza zaczynała myśleć coraz bardziej nerwowo. Informacje, z jakimi została właśnie zaznajomiona, dopiero teraz podziały na jej uśpiony system nerwowy.

– Spokojnie. – Janek zacisnął rękę na dłoni Nataszy. – Wszystko będzie dobrze. Znajdę go i nie pozwolę, aby jeszcze skrzywdził kogokolwiek. Obiecuj mi tylko, że będziecie na siebie uważać.

– To co mamy robić? Z domu nie wychodzić? Tak się przecież nie da. – Natasza ponownie sprawdziła godzinę. Szósta dwadzieścia jeden. – Co z tym jedzeniem, do cholery? Zaraz muszę jechać po młodego! – zaczęła się niepokoić. Myśl, że coś złego mogłoby przytrafić się Remigiuszowi, spowodowała u niej wewnątrz paraliż.

– Najwyżej zrezygnujemy. Co jak co, ale zamówienia w tej knajpie zawsze szły jak krew z nosa – skwitował Poniatowski. Nigdy nie darzył Świtezi jakąś szczególną sympatią. – Natasza... a mógłbym pojechać z tobą? Chciałbym zrewanżować się za moją wczorajszą wpadkę – zapytał z nadzieją w głosie. Niewyobrażalnie tęsknił za synkiem. Kiedy uświadamiał sobie, jak niewiele czasu mógł mu ostatnio poświęcić, ogarniał go wstyd.

– Jasne – odrzekła, odzyskując spokój. Z Jankiem wszystko zawsze było o wiele łatwiejsze. – Remigiusz będzie miał mega niespodziankę.

– Dzięki. – Janek spojrzał Nataszy głęboko w oczy. Brązowe źrenice w miękkim blasku świeczek przywodziły na myśl dwa okrągłe bursztyny, które ktoś zatopił w stygnącym kryształ. Nie odwróciła wzroku. Korzystała z chwili. Śmiały miśmyślami była już w przyszłości. Milczeli.

– Bardzo proszę – męski głos górujący nad ich głowami gwałtownie zepsuł romantyczny nastrój. – Zamówienie, pani Nataszo.

Jarosław Grzesiuk przyniósł na tacy parujące dania. Ustawił talerze tylko po jednej stronie stołu, ignorując tym samym obecność Poniatowskiego. Janek porozumiewawczo uśmiechnął się do Nataszy. Spokojnie, nie dam się sprowokować – zabrzmiały niewypowiedziane słowa.

– Dasz radę zmieścić to wszystko? – Jednakże nie byłby sobą, gdyby zostawił takie zachowanie bez słów komentarza. – Może weźmiesz na wynos?

– Podzielę się z tobą, nie będę taka. – Puściła oczko mężowi. Jak zawsze rozumieli się bez słów. Również tej umiejętności nie zdołała pogrzebać ich przeszłość. Uniosła głowę z niebывałym wdziękiem i dosięgła wzrokiem Grzesiuka. – Dziękujemy.

– Życzę pani smacznego, pani Nataszo – wszystko wskazywało na to, że uparty kelner nadal realizował przyjętą przez siebie strategię ignorowania gościa najnowszej kontrahentki Świtezi. – Gdyby jeszcze czegoś pani potrzebowała...

– Dzień dobry. – Jan postanowił podkreślić swoją obecność i napiętnował nietakt hardego mężczyzny. – Proszę od razu przynieść rachunek dla pani Nataszy. Pani Natasza ma bardzo mało czasu i, jak się okazuje, niebывałą ilość żarcia do wchłonięcia – zakreślił nad stołem pętlę w powietrzu, po czym spiorunował Grzesiuka wzrokiem. Zauważył, że w jego mocno przymrużonych oczach zatlił się ogień dawnego żalu. A może ten płomień nigdy nie został ugaszony?

Grzesiuk spojrzał pytająco na Nataszę. Właśnie otwierała usta, aby coś powiedzieć.

– Tak, tak – ozwała się Poniatowska. – Bardzo proszę o ten rachunek. Za kilkanaście minut musimy odebrać syna z treningu i mamy bardzo mało czasu na zjedzenie kolacji.

– Rachunku nie będzie – odpowiedział Grzesiuk.

– Jak to nie będzie, dlaczego? – zdziwiła się Natasza.

– A to szef nie mówił, że od dziś może się pani stołować u nas za darmo?

– Słucham? Nie, nic nie wspominał. Pamiętałabym raczej – właścicielka Wspaniałych Ślubów nie kryła zakłopotania. Spojrzała na Jana w geście usprawiedliwienia. Nie chciała, by pomyślał o jakichś specjalnych

względach, których przecież u właściciela Świtezi nigdy nie miała. – A to jakieś szczególne wyróżnienie tylko dla mojej firmy?

– Oczywiście. – Grzesiuk uśmiechnął się szczerze. – Tak ważnej klientki jeszcze tutaj nie mieliśmy i dlatego szef postanowił potraktować panią w wyjątkowy sposób. Zresztą... – urwał. – Pewnie jutro sam to pani wyjaśni – kontynuował z podnieceniem w głosie. – A właśnie! Będzie pani jutro, prawda?

– Tak, będę – odparła Natasza. – Szefowi czegoś brakowało w dokumentach, ale naprawdę nie trzeba takich gestów – próbowała wywinąć się z niezręcznej sytuacji. Nie była przyzwyczajona do otrzymywania w życiu czegośkolwiek gratis.

– Ja tam nie wiem, pani Nataszo – ciągnął dalej Grzesiuk. – Takie zalecenia otrzymałem dzisiaj od właściciela, więc proszę się nie obrazić, ale nie mogę przynieść rachunku. – Wyraźnie zaakcentował trzy ostatnie słowa, jednak ani razu nie spojrzął na Poniatowskiego.

– Skoro tak, bardzo dziękuję – rzekła z życzliwością w głosie. – Postaram się jutro wyjaśnić tę kwestię z panem Ożarowskim.

– Oczywiście, smacznego – Jarosław zareagował żwawo. Na koniec dygnął unieżeniem i oddalił się w stronę kontuaru.

– Co za pajac! – skomentował Jan, który przez dłuższą chwilę powstrzymywał się przed parsknięciem śmiechem. W końcu nie wtrzymał. – Pani Nataszo to, pani Nataszo tamto. No, no, pani Nataszo, darmowe obiady to przecież nie byle co! I do tego jakaż profesjonalna obsługa. Nie mogę, ha, ha, ha. – Poniatowski śmiał się do rozpuku. Nie mógł się powstrzymać nawet wówczas, gdy zauważył, że Grzesiuk spogląda na niego z oddali.

– Smacznego, pani Nataszo – szepnął. – Jeszcze raz ci dziękuję za dzisiaj – wyszeptał najczulej, jak tylko potrafił. – Zapomniałem, że przy tobie można zapomnieć o wszystkim.

– To ja dziękuję. Z całego serca dziękuję – odpowiedziała i w tym momencie podjęła decyzję.

---

Piła, 13 stycznia 2016, późne popołudnie

Roman Bańka

Roman Bańka właśnie dotarł na miejsce. Ogarnął go emocjonalny paraliż, jak zawsze. Znał to miejsce jeszcze z młodości, ale nigdy nie sądził, że pozna je dokładniej. Przebrał się w samochodzie i upewnił, czy ma wszystko pod ręką. W czarnej odzieży zlewał się z deszczowym mrokiem zimowej pogody. Był prawie gotowy zmierzyć się z następnym zadaniem. Niemal identycznym jak tamte. Powinien więc zacząć się z nimi oswajać, ale nie potrafił. Zbyt mocno się bał. A co, jeśli wszystko się wyda, nim zdąży czmychnąć do ciepłej Hiszpanii?

Wziął głęboki oddech i zacisnął pięści. Zmrużył zmęczone powieki. Przeistaczał się w ten sposób w zupełnie inną osobę. Kogoś, kto jest skłonny robić rzeczy skrajnie ekstremalne. Odczekał chwilkę. Zaraz powinien zjawić się jego lustrzany zbawiciel. To on zawsze przejmował pałeczkę. Mówił, co ma robić, sterował rękoma. Po skończonej pracy Bańka często nie pamiętał szczegółów działania z drugiej strony zamykanych drzwi. Może to i lepiej. Im mniej wiesz, tym żyje ci się łatwiej – pomyślał całkiem zniecierpliwiony. Przez głowę przechodziła mu zawsze jeszcze jedna myśl – czy można się z tego wycofać. Ale wiedział, że jest już za późno.

– No to co, Romuś? – usłyszał głos przybierający na sile. Nareszcie. Zaraz będzie po wszystkim. – Gotowy do akcji? Samo się nie zrobi. Słoneczna Małaga czeka!

---

Piła, 13 stycznia 2016, wieczór  
Julia Węgorzewska, Gracjan Witkowski

– Proszę otworzyć, panie Gracjanie, to przecież ja, pana najmilsza lokatorka – Julia Węgorzewska krzyczała bałamutnym tonem przez ciągle zamknięte drzwi. I choć już chwilę wcześniej słyszała ciche kroki nadchodzącego sąsiada, a tuż po nich głośne zgrzytnięcie przekręcanego klucza, nie przestawała się wdzięczyc. Chciała już od początku wyrzucić na Witkowskim mylne wrażenie całkiem niepozornych odwiedzin. – Helou! Jest pan tam? Panie Gracjanie... Hop, hoop!

– Dobry wieczór, kochana pani Juleczko – słowa Witkowskiego nasycone były równie radosnym odcieniem błękitu.

Stare, zdobione drzwi mieszkania otworzyły się z impetem. Oczom Julki ukazała się niska postać ciapowatego misia. W jednej ręce trzymał flaszkę czerwonego wina, a w drugiej bardzo długą, purpurową różę. W niezgrabnym geście podsunął Julii pod nos oba upominki naraz.

– Proszę, to dla pani – rzucił całkiem sztywno, jakby nigdy dotąd nie wręczał kobiecie prezentów.

– Ależ dziękuję, sąsiedzie – Julia pochwyciła w ręce otrzymane dary. – Czekam... pukam, wypatruję... a tu efektów nie ma. Już chciałam wracać z kwitkiem na swoje pięterko! – skłamała. – Martwiłam się, czy pan czasami nie zapomniał o naszym spotkaniu.

– Oczywiście, że nie, pani Juleczko. Jak mógłbym zapomnieć? – tłumaczył się sąsiad, dalej nadużywając środków artystycznego wyrazu. – Zatrzymały mnie obowiązki. Nie sądzi pani chyba, że siedzę wyłącznie w kamienicy i podwyższam czynsze swoim lokatorom? Nie jestem aż taki zły – głądził. Otworzył drzwi szerzej, ustępując jednocześnie miejsca Węgorzewskiej. – Zapraszam, czym chata bogata.

Wtargnęła do środka dynamicznym krokiem. Stukot czarnych szpilek odbił się dźwięcznym echem od brudnawych ścian klatki schodowej. Ucichł za drzwiami zamortyzowany bujnym gąszczem włosatego dywanu. Węgorzewska straciła równowagę. Przed pewnym upadkiem ustrzegło ją flakowate ramię gospodarza domu. Kosztem otrzymanej przed chwileczką róży.

– Ojej, najmocniej przepraszam – zawołała. Postanowiła wykorzystać chwilę i przyłgnęła posturą do ciała sąsiada. – Mój wybawiciel. Kompletnie zakręciło mi się w głowie. Nie wiem, jak to się stało. Życie mi pan uratował, panie Gracjanie!

– Ja? – odrzekł zdezorientowany. Był zaskoczony eskalacją zdarzeń. – Nic się pani nie stało?

– Mnie nie – wycodziła. – Jestem cała i zdrowa. Lecz pąsowa róża... całkiem połamana!

– Szczęście w nieszczęściu, droga pani Julko – ozwał się mężczyzna. – Nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdyby stała się pani jakakolwiek krzywda. Przejdźmy już lepiej do salonu. Tam... mam zapasowego kwiatka. – Gracjan był wyraźnie zakłopotany. Próbował się wyswobodzić z dzikiego uścisku natrętnej dziewczyny. Poczł się niekomfortowo, gdy ostry kolec złamanej łądygi utkwł mu w skórze. – Auć! – zasyczał w spazmie przesadzonej męki. – Bardzo proszę do środka... Ale szczypie.

– Zraniłam pana, panie Gracjanie. Jest pan ranny. – W głowie sprytniej pielęgniarki pojawił się przebiegły plan. A czemużby nie? – pomyślała. Oparta nadal o niemieckie ramię, wypuściła z dłoni trzymaną w drugiej ręce butelkę z darowanym winem. – Cii – mruknęła seksownie w ucho sąsiadowi. – Spokojnie, nic się nie stało. Ma pan tak niesamowicie mięsisty... dywan, panie Gracjanie. – Przycisnęła dłoń do krocza mężczyzny, zaciskając palce na dżinsowym wzgórk. – Za chwilę krwawienie ustanie. Mówi to panu świeżo upieczona pielęgniarka. Młoda, ale z bardzo dużymi... kompetencjami.

Rozluźniła erotyczny uścisk i odjęła palce od erogennych stref gospodarza. Przesunęła ręką wzdłuż jego całkiem zeszywniałego ciała. Głaszcząc ostrymi czubeczkami tipsów obcisłe ubranie grubawego misia, aktywowała – jeden po drugim – bezwarunkowe dreszcze podniecenia. Kiedy dotarła wreszcie do skaleczonego barku, środkowym palcem wędrującej ręki osuszyła jasną krew wolno wypływającą z rany. Ostentacyjnie oblizała palec, a później przytknęła go do spierzchniętych ust Witkowskiego. Nie zdążył ich otworzyć, a dobrze widziała, że chciał coś powiedzieć. Usiłował zapewne sprzeciwić się krokowi, które z coraz większą pewnością siebie stawiała w jego domu ta... jakże rozochociona siksa.

– Proszę nic nie mówić, panie Gracjanie – szepnęła z erotyzmem w głosie. – Warto zaufać wysoce wyspecjalizowanej i ponad przeciętność wykwalifikowanej kadrze medycznej. Najmłodszej generacji. Potrafimy pomóc w każdej sprawie – zachichotała. – Nawet pan nie wie, jak szybko zdobyłam tak rozległe doświadczenie zawodowe.

Dopiero teraz zwolniła Gracjana z klinczu. Odsunęła się od niego na odległość swobodnego kroku, odwróciła tyłem i kontynuując wątek, nie uginając nóg w kolanach schyliła się po butelkę wina, leżącego na gęstym, włochatym kilimie.

– Wsadzi pan... korkociąg, wyciągnie i po kłopocie. Proste, nieprawdaż, czcigodny sąsiedzie?

– No nie wiem. Pani Julia taka bezpośrednia – bełkotał Witkowski. Nie lubił być w ten sposób zaskakiwany, szczególnie przez kobiety. Tę sytuację zdecydowanie wolałby przeżyć w innej konfiguracji, chociaż i teraz poczuł w majtkach pęczniącego członka. Zaczynało się to mu nawet podobać. – O, taaak... Wsadzę... To znaczy mam korkociąg! Za chwilę otworzę wino, usiądziemy sobie ze spokojem, a pani, pani Juleczko – zaczynał odzyskiwać utraconą przed chwilą dawną klarowność zmysłów i zgubioną po drodze lekkość codziennej emfazy – opowie mi prędko, gdzie zdobyła pani tak różnorodną praktykę w zawodzie. Może nawet skorzystam z prywatnej opieki.

---

Piła, 13 stycznia 2016, wieczór

Jan Poniatowski, Natasza Poniatowska, Remigiusz Poniatowski

– Tata, tata, tata! Dlaczego mi nie powiedziałaś, mamgo? – krzyczał rozradowany Remigiusz. Właśnie skończył zajęcia z basketu. Wraz z nim z przyduszonej hali wyprysła banda roześmianych chłopców. Wszyscy z piłkami w rękach, z przemoczonymi do suchej nitki włosami i z rumieńcami na twarzach.

– No nie wiem. Mama mówiła, że będziesz szczęśliwy – zagał Poniatowski z miną udawanego smutku. – Jak tam trening?

Chłopiec nie odpowiedział słowem. Patrzył naprzemiennie w stronę każdego z rodziców. Szukał wyjaśnień obserwowanych faktów. Mama i tata razem. Na koszu. Pierwszy raz. Tak jeszcze nie było. Zawsze woziła go mama. No może czasem babcia.

– Dalej, chodź tu do ojca, mój ty koszykarzu – Janek nie wytrzymał. W jednej chwili zapragnął przytulić synka najmocniej, jak tylko potrafił. Okazać miłość, której nie da się wyrazić słowami, i chłonąć przez skórę niewinne ciepło bezgranicznych uczuć. Kucnął przed chłopcem i rozpostarł ręce. – No co? Pokemona zobaczyłeś czy jak?

Remigiusz rzucił się ojcu w ramiona. Zaczął rżęsiście płakać. Z tęsknoty i z zaskoczenia. Zamknął zmęczone powieki. Mokną od łez i potu buzię szybko przykleił do ramienia taty. Poniatowski poczuł współgrający łopot dwóch niespokojnych serc: swojego i Remigiusza. Na chwilę zapomniał o wszystkich problemach. Przeszłość straciła niszczycielską siłę, a dzień jutrzejszy nie napawał strachem.

Natasza w ciszy podziwiała piękno rodzinnego obrazka. Stała nieruchomo jak zaczarowana. Bała się odezwać, by nie zepsuć chwili. Pomyślała, że tylko takie momenty warto pielegnować. Dobre, magiczne i niepowtarzalne. Utrwalać je w sercu już do końca życia. Tak samo jak miłość... Nawet jeśli ktoś kiedyś usiłował ją zniszczyć. Wiedziała, że podjęła decyzję. Wcześniej nie była na nią gotowa.

– Tato, pojedziesz z nami do domu? Tylko na godzinę, proszę! – Remik otworzył zapłakane oczy i przez ramie ojca obserwował mamę. Dobrze wiedział, że tylko z jej ust może usłyszeć właściwą odpowiedź. Tak bardzo mu zależało. Właśnie dzisiaj. Nie jutro, nie innym razem, nie w przyszłym tygodniu. Teraz! Janek nie widział ani miny syna, ani też reakcji Nataszy. Był jednak pewien, że na linii ich bezpośrednich spojrzeń rozgrywa się walka targających uczuć. Nie chciał się odwracać. W napięciu czekał na werdykt. Z ogromną nadzieją w sercu. – No tato, pojedziesz?

– Tata, głuchy jesteś? – rzuciła Natasza i przeniosła spojrzenie na czubek głowy Poniatowskiego. Zupełnie zapomniała, jak to jest, gdy nie trzeba już walczyć ze zranioną duszą. – Syn cię o coś pyta.

– Tato, zgódź się, proszę – zapłakany chłopiec już wiedział. Mama się zgodziła. Zbyt szybko i jakoś tak lekko. Miała jasne oczy, które znów się śmiały. Nie była już smutna tak jak dawniej. Czym prędzej rozluźnił uścisk. Przystawił swą twarz do twarzy ojca tak blisko, jak tylko było to możliwe. Nie pragnął widzieć teraz nic więcej. Chciał głośno usłyszeć jedno krótkie słowo. – Pojedziesz z nami do domu?

– Tak – odpowiedział Janek. Uśmiechnął się lekko i pocałował Remigiusza w czoło. Jeszcze raz przytulił chłopca do siebie. Z prawego oka Poniatowskiego spłynęła łza. Poczul jej słoność na wyschniętych ustach. Zrobiło mu się gorąco. Z emocji, z duchoty i z przemęczenia. Spojrzał na Nataszę. Poszukiwał w jej wzroku aprobaty. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– No dobra – rzekła generalskim tonem. – Biegnij się przebierać, bo znów będziesz ostatni. Chyba nie chcesz, żeby tata zobaczył?

– Mamo! – zaprotestował Remigiusz. – Przestań!

– No co? Może nie mam racji? – przekomarzała się Poniatowska.

– No dobrze. Dziś będzie inaczej – Remigiusz podjął wyzwanie i zerwał się z kolan na równe nogi. – Nie będę ostatni. Czekajcie. Tato, nigdzie nie odchodź, dobrze?

– Jasne – odpowiedział Janek z uśmiechem. Wyjął z kieszeni komórkę. Odblokował wyświetlacz i stuknął w ikonkę zegara. – Ktoś przecież musi kontrolować czas. Uwaga... Start! – wydał sportową komendę. Rozpędzony chłopiec zniknął za drzwiami przebieralni.

Stali przez moment w milczeniu. On i Natasza. Zapadła krępująca cisza przerywana raz po raz głośnymi odgłosami sportu. Poniatowski nigdy nie lubił takich momentów. Zawsze musiał coś wtedy powiedzieć, aby przerwać niezręczność. Cokolwiek, nawet coś głupiego. Tyle że w tej sytuacji każde słowo musiało być mądre i trafiające w sedno. Nie mogło popsuć magii.

– Może usiądziemy? – postawił na neutralność i wskazał wolną ławeczkę ustawioną pod ścianą. Natasza uśmiechnęła się lekko i zajęła miejsce.

– Wiesz, jeśli masz inne plany, nie chciałabym zabierać ci czasu – zaczęła niepewnie. Najwyraźniej sytuacja również ją krępowała. – Mówiłeś, że musisz jeszcze raz przemyśleć całą tę sprawę, poszukać nadziei.

– Nie, coś ty – zaprotestował. Żarliwym tonem głosu obnażył wszystkie dzisiejsze pragnienia. – To znaczy, chcę przeanalizować wszystko i raz jeszcze poukładać fakty. Muszę odnaleźć przyjaciół, ale zdążę. Chyba. Zresztą mam przed sobą całą noc na rozmyślania.

– To dobrze, Janek – odetchnęła z ulgą. – Remigiusz bardzo się cieszył. Sam widziałeś. – Myślam była już w domu. Razem przy wieczornym stole. Może zrobi jakąś kolację. Porozmawiają spokojnie.

– No tak, tylko już się boję pożegnania z Remikiem. Serce mi pęknie.

– Wiem. Najwyżej pojedziesz, jak zaśnie. To znaczy, nie będziesz musiał od razu. Tak mi się tylko powiedziało – zaczęła się poprawiać. Niepotrzebnie. Przecież niczego już nie musi udawać. Może mówić prosto z mostu. – Jeśli oczywiście masz czas.

– Mam – oświadczył stanowczo, chwytając Nataszę ze rękę. Była miękka i chłodna, mimo gorączki panującej wewnątrz. – Dla ciebie... dla Remigiusza, dla nas.

Natasza uśmiechnęła się szczerze, ale nic więcej nie powiedziała. Janek też nie. Teraz już wiedział, że mógł sobie na to pozwolić, jak dawniej. W milczeniu czekali na Remigiusza, z nadzieją wlepiając wzrok w stronę otwierających się raz po raz szarych drzwi przebieralni. Co chwilę stawali w nich chłopcy odziani w grube, pompowane kurtki, wełniane czapki, szaliki i rękawiczki. Poniatowski pomyślał, że po tak intensywnym treningu musi być im teraz niezwykle gorąco. Z przerzuconymi przez ramię torbami ochoczo maszerowali w stronę czekających w holu rodziców. Janek nie liczył wychodzących chłopców, jednak zdawało mu się, że duszne, wykafelkowane na biało pomieszczenie opuścili już wszyscy mali sportowcy. Prawie wszyscy.

– Ten jak zwykle ma czas na wszystko – westchnęła Natasza, przerywając ciszę. – Standard. Jak znam życie, to paraduje tam ciągle w gaciach i bez skarpetek – uśmiechnęła się szczerze.

– Faktycznie, porażające tempo – Janek odezwał się ledwie zrozumiałym szeptem. Wstał z ławki i spojrzał na wyświetlacz komórki. Przeskakujące cyfry stopera usilnie doganiały przyszłość. Poniatowski uświadomił sobie, jak wielką wartość ma każda mijająca sekunda. Pomyślał o Sebastianie. O Janickiej też, ale o niej dopiero po chwili. Jego mózg znów pracował na najwyższych obrotach.

– Janek! Słyszysz? Nie ma Remigiusza! Słyszysz?

Janek dopiero teraz zorientował się, że głos Nataszy dochodził z wnętrza szatni. Był drżący, nerwowy i nasycony sporą dawką rosnącej paniki. Czym prędzej wszedł do środka sali. Natasza stała nieruchomo twarzą do okna. Prócz nich w niewielkiej szatni nie było nikogo.

– To niemożliwe. Nie mógł przecież wyjść przez okno – Natasza lamentowała. Odwróciła głowę i spojrzała na Janka. Mroczny cień niepokoju malował się na jej delikatnej twarzy.

– Daj spokój, jak przez okno? Coś ty? – odrzekł bez przekonania. Rozejrzał się. Dostrzegł niedomknięte drzwi z napisem WC po swojej lewej stronie. – Pewnie jest w toalecie, sprawdzałaś?

– Jasne, że sprawdzałam. Nie ma go tam – rzuciła.

– To niemożliwe – powtórzył i szybkim ruchem pchnął łazienkowe drzwi, które nie otworzyły się na oścież. Zamiast stuknąć w ścianę metalową klamką, odbiły się miękko o coś sprężystego. Wszedł do środka, robiąc szybki rekonesans. Pusto. Odkręcony kran i niespuszczona woda w niezamkniętej muszli. Standard, jeśli chodzi o Remigiusza. I jeszcze ten zapach. Świeżo wyprodukowanej kupy. Poniatowski wiedział już, że jego syn musi być w środku. Uśmiechnął się szczerze i szarpnął niezwłocznie drzwiami.

– Mam cię, łobuzie – zakrzyczał wesoło i spojrzał na syna. Chłopiec rechotał, nie hamując śmiechu. – Nie dość, że ktoś tu jest ciągle ostatni, to jeszcze nie umie spuścić po sobie wody w toalecie. Ładnie to tak?

– Boże, Remik. – Natasza stanęła w progu małej łazienki. – Nie rób tego więcej, słyszysz? Myślałam, że... – spojrzała wymownie na Poniatowskiego. Chyba oboje przypomnieli sobie swoją rozmowę w Świtezi.

– A co myślałaś, mamu? – zapytał synek, zupełnie nie rozumiejąc zdenerwowania matki.

– Nic... Że cię nie ma po prostu! Wychodź natychmiast. Jedźmy już do domu.

– Chciałem zrobić wam kawał – usprawiedliwiał się chłopiec, szukając wsparcia w tacie, który najwyraźniej lepiej rozumiał psikusa. – Przepraszam.

– Dobrze już – powiedział Janek, kładąc w uspokajającym geście dłoń na ramieniu żony. – Żart się udał, nie ma co. Zdradziła cię tylko niespłukana woda w kibelku – dodał. – No już, koszykarzu, kurtka, czapka i jazda do domu. Chyba że wolisz stać tu za drzwiami w śmierdzącej łazience. – Poniatowski humorem starał się rozładować napięcie.

Również Natasza zmieniła nastawienie. Dotarło do niej, że zbyt ostro i nieracjonalnie oceniła sytuację, jaka miała miejsce przed chwilą. W sprawach bezpieczeństwa synka rzadko potrafiła zachować zimną krew. Nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby Remikowi stała się jakakolwiek krzywda. I do tego jeszcze cała ta sprawa z prześladowaniem Janka. Nie, nie może przecież wpadać w paranoję.

– Chodźcie, chłopaki, bo robię się głodna. – Wyciągnęła dłoń w stronę chłopca nadal czekającego na uśmiech przebaczenia. – Co powiecie na pyszną kolację? Może pizza?

– Taak! – krzyknął całkiem rozpromieniony chłopiec. – Tato, zjesz z nami?

– Jasne, mistrzu, ale pod warunkiem, że wyjdziemy wreszcie z tej śmierdzącej szatni.

Poniatowskiego nie zdziwiło zachowanie żony. Miała pełne prawo, by wpaść w tak wielkie przerażenie. Szczególnie po tym, czego dowiedziała się dzisiaj. Niepotrzebnie wciągnął ją w to wszystko. Dobrze ją przecież znał. Będzie się zamartwiał. Wszystko koncertowo spieprzył. Jak zawsze.

## ROZDZIAŁ 7

Na samo wspomnienie mojej grzesznej przeszłości robi mi się niedobrze. Tej dawnej oraz tej najświeższej. Nie umiem tego tak szybko zapomnieć. Świat wiruje mi w głowie, a kropelki potu nawilżają czoło. Wciąż myślę o rosnących torsjach i szaleńczym biegu do toalety. Tak już chyba będzie do samego końca. Końca, który nareszcie się zbliża! Bo przecież to ja decyduję. O wszystkim! I za to czeka mnie premia – upragniona wolność, spokojniejszy sen i niczym niezmacona radość. Miłość? Mam nadzieję... Dawne, uśpione marzenie? Z pewnością. Tylko, czy po tym wszystkim, co się wydarzyło, będę w stanie wrócić do początku? Złe wspomnienia nie znikną przecież, ot tak, po prostu. Szczególnie jeśli robiło się takie rzeczy. To nie był film. Niestety...

Ale przecież później będzie już tylko lepiej. Wymażę z pamięci obraz zimnej śmierci. Siłą charakteru z czasem zmyję ze swych dłoni krwawe plamy zbrodni.

Pierwszy raz był fascynujący. Doskonale pamiętam ten moment. Trudno ubrać w słowa rosnący poziom podniecenia. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie i nie każdy może ich doświadczać. Ogromne natchnienie, które się nigdy nie kończy, oraz euforia nieuznająca przeszkód. To niesamowite, jak łatwo można znaleźć się we właściwym miejscu i odpowiednim czasie. Stańc tak po prostu w centrum zdarzeń, które na zawsze odmieniają przyszłość. Z każdą mijającą chwilą utwierdzają nas w przekonaniu, że jutro nic już nie będzie takie samo. Mimo konwulsji panicznego strachu ciągle nie możesz przestać. Brniesz w to dalej i dalej. To, co niedostępne, wciąga coraz mocniej. Zakazany owoc smakuje najlepiej. Wskakujesz do pędzącego pociągu i po prostu biegniesz w nim. Pod prąd, w przeciwną stronę, i ciągle mijasz kolejne wagony. W każdym z nich czeka nowa przeszkoda. Ludzie, których musisz poświęcić dla dobra swojej przyszłości. Trudno. W życiu zawsze wygrywa silniejszy. Prawo dżungli.

Chodzież, 17 sierpnia 1996 roku, wieczór

Joanna Kalicka, Karolina Janicka, Sebastian Świdorski, Jan Poniadowski

– To jak, Świderek, dzisiaj? – Jan Poniadowski pociągnął łyk piwa. Jedno z pierwszych w nastoletnim życiu. Smakowało słabo, lecz nie wypadało się skrzywić. – Będziemy bogatsi.

– Zamknij się, debilu – ostro zareagował Sebastian i rozejrzał się wokół. Niemal zachłysnął się alkoholem. Siedzieli przy barze, czując się dorośle. – Aśka może usłyszeć! Mogą tu być lada chwila.

– Co, strach cię obleciał? – wyszczerzył się kumpel. Głośny dźwięk dyskotekowej muzy doszczętnie zagłuszył rechot jego śmiechu. – Wiedziałem, że spękasza, stary.

– Nie drzyj się tak, durniu – Sebastian krzyknął bardzo głośno. Chciał zagłuszyć rytmy szalonej imprezy. Przesadził, bo w tym momencie zamilkły ogromne, czarne głośniki stojące tuż obok i usłyszeli go wszyscy amatorzy drinków w okolicy baru. Kudłaty barman skrytykował go wzrokiem. – Łatwo ci mówić – wyszeptał przez zęby, chowając bladą twarz za pustym kuflem piwa.

– O co ci chodzi? – zapytał Janek, patrząc zaczepnie na barmana. – Dwa piwa! – starał się zbić natręta z pantafelku. Udało się. – Przecież wiemy o tym tylko ja i ty. – Poniadowski poczuł się pewniej, bo z głośników znów zaczęła dudnić tandetna muzyka. – Mamy przymierze. Nikt, nigdy... Pamiętasz?

– Ale nie, kurwa, w takiej sprawie. Spierdolimy sobie życie, zobaczysz. – Sebastian wpadał w panikę. W głowie miał mętlik i targały nim dwie sprzeczności. Metoda prostego wyboru w tym przypadku nie miała najmniejszych

szans powodzenia.

– Dobra, nie pękaj – podsumował przyjaciel. – Pij i przestań się mazać. – Poniatowski spojrział na dwie pękate szklanki złocistego trunku, które barman postawił na lepkiem blacie kontuaru. Setki małych bąbelków i delikatna pianka zdecydowanie zachęcały do kontynuowania alkoholowej rozpusty. – Na trzeźwo nic nam nie wyjdzie.

– A wy znowu przy barze? – spytała Karolina, wciskając głowę między dwie twarze gadających kumpli. – Widzę, że nie można was zostawiać samych nawet na małą chwilę. I pomyśleć, że byliśmy w toalecie tylko kilkanaście minut. – Asiu, to przecież tobie należy się urodzinowy drink. To twój wieczór.

– Ja? Nie, dzięki – odpowiedziała zmieszana jubilatka. – Nie mam jakoś ochoty. W ogóle chyba wolałabym już wracać do domu.

– Żartujesz? – zdziwiła się Karolina. – Chłopaki, słyszeliście to? – objęła rękami Janka i Sebastiana. Zróbcie coś. Wytlumaczcie Joannie, że w naszej paczce balujemy do bladego świtu, prawda?

Obaj koledzy porozumiewawczo spojrzeli po sobie. Mieli w głowach plan i chyba właśnie ustalili początek jego realizacji. Postanowili brnąć w coś, czego konsekwencji nie mogli przewidzieć nawet w najmniejszym procencie. Byli za młodzi, pili alkohol i czuli się panami wszechświata. Zachowanie Joanny przyspieszyło podjęcie pochopnej decyzji.

– Przestań, Karolina – rzucił Janek, odwracając się w stronę Joasi. – Nie zmuszaj dziewczyny, jeśli nie chce. Jak dla mnie, możemy spadać. Co powiecie na wizytę w monopolu i powrót na chatę?

– Dla mnie spoko – podłapał Świdorski. – Głowa już mnie boli od tego łupania. – Spojrział wymownie na kudłatego garsona. – Dziewczyny, co wy na to?

– Ej no, zaraz. Nie róbcie mi tego. Nawet nie potańczyłam. Przecież dopiero po jedenastej – zakwestionowała Janicka, patrząc wymownie w stronę koleżanki. Prawdopodobnie liczyła na wsparcie.

– Może być – odparła Joanna, która za grosz nie odnajdywała się w pubie. Duży hałas, alkohol, papierosowy zaduch, beznadziejna muzyka, no i Sebastian pijący przy barze. Nie tak wyobrażała sobie magiczne urodziny w klubie. Chyba jednak w domu czuła się najlepiej. Zatęskniła za rodzicami i przeszedł ją dreszcz. Miała złe przeczucia. Spojrzała na nowych kolegów. Oczami wyobraźni zobaczyła szkarłatną krew na ich rękach. Dobrze, że nie dała się namówić na wypicie tego przekłętą drinka. I bez niego świat huczał jej w głowie.

– To ustaliliśmy – podsumował Janek, uśmiechnął się szczerze i zeskoczył z wysokiego krzesła. – Idziemy?

– Nie wybaczę wam tego, chłopaki – Janicka nadal protestowała.

– Przestań – wtrącił Świderek. – Zrobimy flaszeczkę na mieście i będziesz inaczej gadać – Prawda, Asiu?

– Chodźmy już, proszę – szepnęła Joanna.

Nie było jej słychać, lecz Sebastian poczuł, że panicznie się boi. A może złości? Ma przecież prawo się na niego gniewać. W ogóle się nią nie zajmował, bo wolał chlać piwko z Poniatowskim. Zaraz to wszystko nadrobi, bo w przeciwnym razie z całej akcji nici. Aśka musi ich z powrotem zaprowadzić do domu. Najpierw jednak wódka, bo traci odwagę.

– No dalej – naglił Poniatowski. – Zbieramy się. Nie ma czasu do stracenia.

---

## Piła, 13 stycznia 2016, wieczór

### Julia Węgorzewska, Gracjan Witkowski

– Dolać pani wina, pani Juleczko? – zapytał Witkowski, wstając z miękkiej sofy. Zaczynał już lekko bełkotać.

Najwidoczniej temu durniowi nie trzeba było zbyt wiele – pomyślała Julia i sięgnęła po komórkę. Sprawnym ruchem kciuka odblokowała ekran. Po czym sięgnęła do torebki. Najwyższy czas zacząć przedstawienie. Po dziurki w nosie miała już nadskakiwania temu tłuściochowi.

– Ani on ładny, ani towarzyski – prychnęła sama do siebie. Zawsze gardziła szkaradnymi ludźmi.



– Słuuuucham? – Witkowski zawiesił przetłuszczoną twarz nad pełnym biustem wkurzonej dziewczyny. – Mówiła coś teraz sąsiadka? – zapytał.

– Ja? Skądże znowu – fuknęła zdecydowanie za ostro. Poczła w nozdrzach nieświeży oddech sapiącego knura. – To znaczy tak, mówiłam – zreflektowała się w ostatniej chwili. Zacisnęła zęby. Nie powinna przecież odpuszczać. Jeszcze nie teraz. – Żeby dolać tego winka, Gracjanku. A jakże. Po dwudziestej pierwszej tańca i alkoholu nigdy nie odmawiam. Szczególnie w takim towarzystwie. – Julka wyszczerzyła się śmiało. Znalazła w torebce to, czego szukała. – A tak w ogóle... Już zapomniałaś, że wcześniej przeszliśmy na ty? Piliśmy przecież bruderszaft.

– Och, no tak, rzeczywiście. Nie mogę się jeszcze przyzwycząić. No bo powie mi pani... To znaczy. Powiedz no, proszę, kochana Juleczko, jak mam się skoncentrować, mając przed sobą tak jędrne widoki – cmoknęła w powietrzu ustami. Nie zdołał dosięgnąć do piersi sąsiadki. Julka wykonała unik. W ostatniej chwili.

– A co to? Oj ty. Nie tak szybko, wariacie. Widzisz, że mam zajęte ręce. Chciałeś wykorzystać bezbronną kobietę? Ładnie to tak?

– Przepraszam. Cóż za nietakt z mojej strony – tłumaczył Witkowski. Zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy. Mówił już całkiem nieostro. Otwieranie ust sprawiało mu coraz większą trudność.

Tabletki zaczęły działać. Nareszcie. Węgorzewska konspirowała w duchu.

– Nie ma za co, łobuzie – zaświergotała nagle. – Wszystko jest przecież dla ludzi. W końcu jesteśmy sąsiadami i możemy sobie pozwolić na kilka niewinnych grzeszków. Biegnij po to wino, a nie pożałujesz.

– Się robi, sąsiadko. Ale nigdzie nie odchodź. Zaraz wracam.

– Nie mam zamiaru wychodzić. Zbyt długo czekałam na tę chwilę – odrzekła Julia dwuznacznie. Już się nie uśmiechała. Nie musiała i nie miała więcej ochoty. Wiedziała, że za moment będzie po wszystkim. Kolejny raz spadnie w życiu na cztery łapy.

Podniosła się z sofy i podeszła do białej komody. Tej samej, którą widziała ostatnio. Rzeźbiony antyk upstrzony bzdurami z pewnością kosztował fortunę.

– Który facet...? Wróć! – szepnęła, szybko korygując myśli. – Który zdrowy facet wydaje pieniądze na takie pedalskie zbytki? I jeszcze te zdjęcia w gipsowych oprawach – dedukowała. Tym razem Julia przyjrzała się im dokładnie. Wszystkie przedstawiały Gracjana w towarzystwie tego samego mężczyzny. – Fotomontaż? Bawiłby się w to? A kto go tam wie!

Włączyła kamerę w komórce, a potem ukryła sprzęt w gąszczu tandetnych drobiazgów. Biały iPhone wtopił się w pejzaż licznie ustawionych ozdób. Dla pewności zamaskowała go jeszcze ciężkim świecznikiem stojącym na samym środku rustykalnej komody. Ot tak, na wszelki wypadek.

– Przejorny zawsze ubezpieczony – mruknęła. Ten dureń nigdy nie zauważy pułapki, jaką na niego zastawiłam. Za nic w świecie. Nie w takim stanie.

A ty, Julka? Dla ciebie nie ma już drogi powrotnej. No i dobrze – westchnęła tak, jakby odganiała wątpliwości. To, czym zajmowała się właśnie w tej chwili, było kolejnym dowodem, że nawet w sytuacji bez wyjścia, w jakiej znalazła się, gdy psychopatyczny szantażysta zażądał od niej horrendalnej sumy za pomoc w przeprowadzeniu aborcji, umiała wyjść obronną ręką, zachowując tym samym najświętsze prawo do bycia szczęśliwą.

– Po trupach do celu – szepnęła. To zawsze ją wiodło na szczyty. Zawsze też powtarzała „Jeśli chcesz zwyciężyć w nierównej walce, zabezpiecz się na każdą ewentualność twardym, najlepiej kompromitującym dowodem”. W tym przypadku postanowiła nagrać krótki filmik, który przyda się na później w szantażu. Oby tylko zdążyła. Tego zaczynała obawiać się teraz najbardziej. Chyba przegięła z dawkowaniem proszków, które nazbyt często wrzucała do wina. Śledząc ich wpływ na ciało Gracjana, zorientowała się dość szybko, że biegnący czas będzie mógł utrudnić wykonanie planu. Takiej rzeczy jeszcze nie robiła. Ta myśl dodała jej skrzydeł.

Piła, 13 stycznia 2016, wieczór

Jan Poniatowski, Natasza Poniatowska, Remigiusz Poniatowski

Ciepła poświata waniliowej świecy pieściła sypialnię aksamitnym blaskiem. Szum miękkiej pościeli tracił stopniowo na intensywności, ustępując miejsca głośniejszemu szeptowi rozpedzonych serc. Poniatowski nie umiał powstrzymać uśmiechu. Starł się go ukryć, lecz wyschnięte usta nie były mu teraz posłuszne. Czuł, że z każdą sekundą czerwieni się jeszcze bardziej. Zupełnie jak kiedyś. Jak za pierwszym razem. Nie miał odwagi spojrzeć na Nataszę. Bał się zobaczyć w jej zranionych oczach niewesołe wspomnienia. Jak wiele podobnych chwil stracił przez własną głupotę? Wolał o tym w ogóle nie myśleć. Przez moment wszystko wydało się proste. Tak mogłoby zostać na zawsze.

Natasza również się uśmiechała. Było jej bardzo gorąco. Fala tętniącego szczęścia oblewała wrzątkiem każdy zakątek stęsknionego ciała. Przykryła się kołdrą, by nie utracić rozkosznego ciepła. Spojrzała na Janka. Chciała być pewna, że jest tu naprawdę. Wreszcie mu na to pozwoliła, a właściwie przestała wymagać od siebie niemożliwego. Nie miała nawet świadomości, jak mocno tęskniła za ostrym profilem jego śniadej twarzy. Dziś podobał się jej bardziej niż kiedykolwiek. Był rozpromieniony i wyglądał naprawdę dobrze. Lekki zarost, którego wcześniej nie nosił, dodawał mu siły i wyrazistości. Nie widać było po nim ani stresu, ani przemęczenia. Widziała, jak z trudem powstrzymywał przebijający uśmiech. Ale po co? Przecież wcale nie musiał. Krępował się? Być może wiedział, że jest pod obstrzałem ciekawskiego wzroku Nataszy.

Przez chwilę wpatrywał się w sufit, lecz nagle mocno zacisnął powieki. Spontaniczna radość zamieniła się teraz w grymas. Ciekawe o czym pomyślał. O zdradzie? – zastanawiała się w duchu Natasza. Właśnie sobie o niej przypomniła. Odegnęła czym prędzej przykre skojarzenia. Nie chciała już więcej niszczycielskich wspomnień. Po co rujnować nadchodzącą przyszłość?

A Janka nagle coś tknęło. Jakaś myśl tkwiła przez chwilę gdzieś w podświadomości, by rozmyć się później niczym zjawa przepędzona światłem. Ale nie zniknęła do końca.

– Co się stało? – spytała cicho Natasza. – Wszystko w porządku?

– Nie, Sebastian nie żyje. To oczywiste – szepnęła Janek. Mężczyzna nadal był nieobecny.

– Przestań! Co ty za głupstwa pleciesz? – zareagowała Poniatowska. Zbyt ostro. – Nie wolno ci nawet myśleć w ten sposób, rozumiesz?

– A Karolina walczy o życie. Po prostu to wiem – dodał. – Tak jak Joanna, którą ktoś zamęczył. Ale Janicka żyje, jeszcze...

– No co z tobą? Otwórz oczy i spójrz na mnie, słyszysz? – wołała Natasza, mając wrażenie, że Janek bez reszty utracił kontakt z rzeczywistością. Ale już wiedziała, co się stało. Znała siłę jego intuicyjnych przeczuć, które sprawdzały się prawie za każdym razem.

Poniatowski wystrzelił z łóżka. Całkiem nagi. Zapomniał, że nie ma na sobie nawet dziurawej skarpetki. Staranował przymknięte drzwi sypialni i z miejsca pognał w stronę pokoju Remika. Czuł niekontrolowany przymus sprawdzenia, czy z chłopcem jest wszystko w porządku. Włączył światło w ciasnym przedpokoju. Szarpnęła za klamkę. Za mocno. Zamaszystym i zdecydowanie zbyt energicznym ruchem rozpostarł lekkie, mahoniowe drzwi, które z impetem uderzyły w ścianę. Poniatowski dopiero teraz miał zamiar puknąć się zdrowo w pustą łepetynę. Właśnie uświadomił sobie, że ktoś tutaj bez dwóch zdań jawnie się kompromituje i robi z siebie głupka tuż po randce, która właśnie kończyła się kłęską. I tym kimś, jak zwykle, musiał być on. Nawet jeśli miał jakieś przeczucia, to mógł się chwilę zawahać, zanim zdecydował się na nocną interwencję pozbawioną sensu. Wolał jednak teraz tego nie robić i zamiast stukać się w czoło, wykorzystał obie dłonie do zamaskowania błyszczących golizną męskich klejnotów rodowych. Tym bardziej że poczuł za sobą przyśpieszony oddech zdeorientowanej Nataszy. Totalny dramat – przeklął w splątanych myślach.

– Tata? – spytał Remigiusz zachrypniętym głosem. – Co ty robisz? Czemu jesteś bez...?

– Bo ja... – przerwał Poniatowski, choć nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Był zażenowany. Zrobiło mu się gorąco. Do tego jeszcze ten buchający grzejnik.

– Tata... Tata zgubił gatki – Natasza pokusiła się o kolejny żart dzisiejszego wieczoru. Nie było jej jednak do śmiechu. Nie tak miała wyglądać dalsza część wytęsknionej nocy. Teraz to Remik nie zaśnie już pewnie do samego rana. – I myśli, że może ty je schowałeś.

Poniatowski odwrócił się i z zakłopotaniem spojrzął na Nataszę. Wzrokiem wyraził wdzięczność za próbę ratowania jego roznegliżowanego tyłka. Oboje uśmiechnęli się szczerze, choć oczy Nataszy czekały na wyjaśnienia.

– Nawet mi się nie przyznał, że nie może ich znaleźć, tylko zawędrował z gołą pupą wprost do twojego pokoju – kontynuowała Natasza.

– Nie schowałem ci majtek, tato – Remigiusz odparł z powagą, jakiej wymagała niejednoznaczność chwili. Przyglądał się ojcu uważnie, lecz chyba dał wiarę wyjaśnieniom mamy. – Ale jak chcesz, mogę pożyczyć ci swoje – zaproponował. – Ale tych z pokemonami ci nie dam.

– Nie ma sprawy, kolego. Obiecuję zgłosić się do ciebie, jeśli nie uda mi się znaleźć mojej zguby – odrzekł Poniatowski, śmiejąc się już z całej akcji. Siłą wyobraźni zobaczył się naraz w ciasnych slipkach sześciolatka, które wznajają się w skórę i bezlitośnie odcinają dopływ krwi do jego najwartościowszych skarbów. Oczywiście dla syna zrobiliby wszystko, nawet kosztem tragicznych w skutkach, przykrych konsekwencji. – No to idę szukać ich dalej – rzucił. – Przepraszam, że cię obudziłem – dodał. Nachylił się nad dziecięcym łóżkiem i cmoknął Remika w czoło. – Kocham cię bardzo, łobuzie. A teraz do spania, bo jutro będzie dramat.

– Też cię kocham, tatusiu, nawet gdy biegasz bez majtek po moim pokoju – odwzajemnił wyznanie Remigiusz. – A tato? A gdy już znajdziesz majtki, to pobawimy się chwilkę? Proszę. Wtedy szybciej zasnę.

– Remigiusz, tata ma racje, do spania – wtrąciła srogo Natasza – Dobrze wiesz, co się dzieje rano, gdy muszę cię budzić do przedszkola.

– Ale mamo! Tylko raz, tato, proszę.

– No dobrze – odpowiedział Janek. – Przyjdę, ale tylko na chwilę. Rano idziesz do przedszkola. Słyszałeś, co mówiła mama? – puścił oczko Remigiuszowi i posłał mu wymowny uśmiech, za pomocą którego zawsze dawali sobie do zrozumienia, że łączy ich męskie przymierze. – Może być?

– Hura – ucieszył się malec. Z radości poderwał się z łóżka i odwzajemnił niezgrabnie gest mrugnięcia okiem. Wyglądało to bardzo komicznie.

Poniatowski zamknął drzwi od pokoju Remika. Nadał było mu głupio.

– Co ty odwalasz? Możesz mi wyjaśnić? – zapytała rozszłoszczona Natasza. – Czemu budzisz dzieciaka w środku nocy. I to z gołą dupą!

– Miałem przecucie, znasz mnie. – Janek odwrócił się przodem do żony. Wiedział, że w jej irytacji było pragnienie spędzenia z nim dalszej części nocy. – Ale o tym później, dobrze? – pocałował ją w usta. – Idę po gacie, załatwię szybko sprawę z Remigiuszem i wracamy do punktu wyjścia, a tak dokładnie to do punktu wejścia. Co pani na to, pani Nataszo?

– Wariat totalny – rzuciła, podnosząc znacznie kąciki ust. – Za chwilę zacznę myśleć, że to ty sam siebie przesładujesz i podrzucasz te listy, aby być w centrum uwagi – ironizowała. – Przecież zawsze lubiłeś błyszczeć. I jeszcze ta kanarkowa honda. Idealne auto dla psychopaty – zaśmiała się w głos.

---

Chodzież, 13 stycznia 2016, wieczór

Marianna Olecka

Bernard, nie gniewaj się na mnie, proszę. Opuść mi złe czyny. Błagam cię, kochanie. Dziś po raz ostatni. Przebaczone, po prostu zapomnij. Musisz to zrobić! Dla mnie i Anieli. Poznałeś przecież mój sekret. Największe

marzenie, które mogłam spełnić tylko dzięki tobie. Byłeś kimś szczególnym. Wartościowym dla mnie. Miałeś pieniądze i chciałeś się dzielić. A ja? Nie miałam złamanego centa, a moje anioły pilnie potrzebowały wsparcia. Rozmnażały się, rosły w siłę i codziennie szerzej rozwijały skrzydła. I coraz bardziej brakowało im miejsca w mojej przyciasnej głowie. Dusily się, płakały, umierały pełne niepokoju. Męczyły mnie, codziennie skomląc o budowę domu, który w końcu musiałam im stworzyć. Mogłam im go dać tylko dzięki tobie i miłości do twoich pieniędzy. Ciebie oczywiście też pokochałam. Nie chcę, byś myślał inaczej. Lecz najpierw omamiła mnie szansa nietrudnego zysku. Dopiero później tak mnie zachwyciłeś. Zakochałam się w tobie do szaleństwa. Nadal cię pragnę i wiem, że to się nigdy nie zmieni. Nie przestanę. Nie umiem i nie potrafię. Do dzisiaj nie wierzę, że chciałeś wyjechać ze mną. Zostawić to wszystko. Swoje dotychczasowe życie. Szczęśliwy dom, wspaniałą pracę i własne anioły. Piękną żonę i cudowną córkę. Oddałeś im siebie, całe życie. I nie mogłeś ich zostawić, ot tak, po prostu. To było straszne. A jednak się zdecydowałeś. Dla nas. Dla mnie. Dla moich aniołów. Gdybyś wtedy odpowiedział „dosyć!”, Bóg nie byłby świadkiem tak krwawej tragedii. Czy to ja ją spowodowałam? Oczywiście! Skarbie. To ja. Zmieniłeś pierwotne wytyczne, ale to ja wszystko ukartowałam. Ty byłeś tylko ślepym wykonawcą planu. Oстрыm narzędziem w wyjątkowych rękach. Dlatego nie możesz się za to winić. Uległeś emocjom, a sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nawet ja tego nie przewidziałam. Mój Boże, Bernard, co ja wymyśliłam? Skłamałam, że zepsuł mi się samochód. Sama uszkodziłam silnik. Kilka dni przed przyjazdem do ciebie zatrzymywałam ludzi na ulicach miasta. Bez problemu wskazywali drogę. Za każdym razem, gdy pytałam o Kalickiego, wszyscy z szacunkiem otwierali usta. Chętnie mówili o wielkim zwycięzcy. Bernard? Kalicki? Ten od totolotka? Taka sensacja! Podobno jeszcze niczego nie wydał. Nie chciał tej wygranej? Pani z telewizji? Wybrałam wietrzny i ulewny wieczór. Końcówka czerwca, pamiętasz? Lato właśnie się zaczynało, ale nie było zbyt ciepło. To dobrze. Pogoda też mi sprzyjała. Mogłam być bardziej wiarygodna. Smutna, zmęczona, przesiąknięta deszczem. Zupełnie jak teraz. Spójrz na mnie. No zobacz! Dlaczego nie patrzysz? Zmokłam na cmentarzu. Szukałam cię. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi zimno. Ale dziś nie udaję, przysięgam. Wierzysz mi, kochanie? Tylko kiedyś kłamałam, chciałam wzbudzić litość, a później cię uwieść. Oszukać, a potem ograbić. Ciebie i twoją rodzinę. To wszystko. Jeszcze bardziej rozczochrałam włosy i celowo rozchełstałam bluzkę. Podeszłam do wejścia. Ukłękłam i potarłam dłońmi o beton. Chciałam je zabrudzić. Próbowałam przecież naprawiać samochód, który właśnie odmówił mi posłuszeństwa. Stróżka świeżej krwi zaczęła spływać po zranionym palcu. Doskonale... Pomyślałam, że jestem gotowa. Nigdy nie byłam w lepszej, teatralnej formie. Zastukałam pięściami w drzwi. Usłyszałam kroki przybierające na sile. Wiedziałam, że idziesz. Chwilę później usłyszałam odgłos stalowego zamka. Klamka zapadła, odwrotu już nie było.

Połknąłeś haczyk od razu. Z miejsca poszedłeś obejrzeć samochód, a ja zostałam sama z Anielą, która obserwowała mnie z ogromną podejrzliwością. Nie dała się nabrać. Milczała dłuższą chwilę, a potem znienacka zadała pytanie: „Jakim cudem przemokła pani tak bardzo, skoro pani auto zepsuło się tuż przy wejściu do naszej posesji?”. Byłam przygotowana na atak. Doświadczeni kłamcy zawsze spodziewają się nagłej próby zdemaskowania. Takie sztuczki nie ze mną, kochana, pomyślałam i szybko podjęłam wyzwanie. Nie drgnęła mi nawet powieka. Odpowiedziałam bez zastanowienia, spokojnie: „Najpierw sama próbowałam usunąć usterkę – powiedziałam. – A dopiero później zdecydowałam się poszukać pomocy u obcych ludzi”. Specjalnie użyłam tego słowa: „obcy”. To brzmiało naprawdę dosadnie. Chciałam podkreślić, że zamiast mi pomóc, Anieli wykazuje niczym nieuzasadnioną niechęć. Na dowód prawdomówności pokazałam jej brudne dłonie i rozcięty palec. Nie, nie dała się do końca przekonać. Widziałam to po niej. Spytała, czym się zajmuję. Nadal mnie atakowała. Była oschła i przenikliwa, ale nie bałam się jej. Oswoiłam się z wrogiem, dlatego skuteczniej umiałam z nim walczyć. Odpowiedziałam, że prowadzę firmę i niedługo zamierzam otworzyć kolejny sklep. Z aniołami. Taki, jakiego jeszcze nie było. Piękny, mistyczny, otulony magią. „Sklep z aniołami?” – zadrwiła. Do dzisiaj pamiętam ten szyderczy uśmiech. Długo nie mogłam jej tego wybaczyć. Dopiero dziś na cmentarzu. „A kto to będzie kupował?” – dodała. Z trudem uspokoiłam ich gniew. Nawet nie wiesz, jak się ożywiły. Zaczęły krążyć zaniepokojone wokół Anieli. Zerwały się do ataku. Chciały to zrobić już wtedy. Nawet ja byłam zaskoczona. Znienawidziły ją. Właśnie w tamtym momencie. Ale to dobrze. Bardzo dobrze. Przez to i mnie było później łatwiej. Nie miałam skrupułów w dążeniu do celu. „Nawet pani nie wie, pani...?” „Anieli!” – usłyszałam. „Mając tak piękne imię, nie powinna pani nawet pytać” – zażartowałam z trudem.

Pilnowałam się, aby nie wyjść z roli. To imię wcale mi do niej nie pasowało. Obrażało świętość. „Na anioły jest wielkie zapotrzebowanie. Ludzie chcą się nimi otaczać. Mieć w domu osobistego stróża” – powiedziałam spokojnie. „Doprawdy? Co też pani powie?” Wszedłeś do środka z kluczami w dłoni. W odpowiednim momencie. W ogóle nie byłeś mokry. W konfrontacji z tobą wyglądałaś mało wiarygodnie. Również dziś tylko ja jestem przemoczona. „Spokojnie, przestało padać” – oznajmiłeś mi. Wyczułem moje zdenerwowanie. „Auto naprawione!” Nie wydałeś mnie, dziękuję, kochanie. Musiałeś przecież zauważyć, że sama zapchałam rurę wydechową. „Poluzował się jeden z przewodów, ale już wszystko w porządku. Może pani śmiało wracać do domu!” Spojrzałam na Anielę. Miała ci za złe to wierutne kłamstwo. Poznała się na nim. Obrzuciła mnie nienawistnym spojrzeniem, a potem rzekła coś na drogę. Wstałam i podałam jej rękę. Grzecznie podziękowałam za gościnę, lecz nie usłyszałam miłych słów odwzajemnienia. Co innego od ciebie... Pierwszy raz mnie dotknąłeś. Długo pamiętałam szorstkie ciepło rozognionej dłoni. Spojrzałeś mi prosto w oczy. Chciałeś wyczytać z nich od razu wszystko. Zaintrygowała cię moja tajemnica. „Nie wiem, jak się państwu odwdziżyć” – wyszeptalam. „Odprowadzę panią”. Dobrze, że wyszliśmy na dwór. Męczyły mnie drwiny Anieli, choć jej rozdrażnienie dodało mi skrzydeł. Frunęłam więc stamtąd pełna satysfakcji. One też. Gapiłeś się na mnie i skromnie milczałeś. Bałeś się pierwszy odezwać. Widziałam, jak bardzo się zestresowałeś, i dlatego pierwsza podjęłam rozmowę. Wyjęłam z torebki figurkę gipsowego anioła. Pierwszego, jakiego oddałam komukolwiek. I ostatniego. Przypięłam do niego karteczkę z numerem. Byłam przekonana, że wkrótce zadzwonisz. Bilecik wsunąłeś do kieszeni spodni, a białą figurkę utuliłeś w dłoniach. Wiedziałam, że dasz ją Anieli. Ten anioł nie miał być jej stróżem. Przeciwnie. Kazałam mu ją szpiegować. Usypiać czujność i zabierać zdrowie. Długo go tego uczyłam. Kiedy zadzwonił telefon, od razu wiedziałam, że to ty. Czekałam cierpliwie, więc się opłaciło. Znow miałam rację. Wszystko zgodnie z założonym planem. Że niby zapomniałam portfela? Nie. Specjalnie cisnęłam nim zręcznie pod stół. Miał być pretekstem, by do was powrócić, gdybyś nie zadzwonił. Zakładałam wiele scenariuszy i tylko jeden punkt kulminacyjny. Gdybym tylko wiedziała, że wszystko wymknie się spod kontroli. Całą resztę już znasz: spotkania, kolacje, snucie wspólnych planów. To był niesamowity czas, przynajmniej dla mnie. Nawet się nie zorientowałam, gdy przekroczyłam tę cienką granicę. I nie musiałam już cię okłamywać. Zakochałam się, znalazłam nagle w tobie sprzymierzeńca. Byliśmy po jednej stronie, mówiliśmy tym samym językiem i mieliśmy jeden, wspólny cel – pieniądze na wielką ucieczkę. Obiecałeś, że razem otworzymy mój sklep. Za granicą. Uwierz! Zaczynałam dostrzegać sens tego, co robię. Przestałam się bać konsekwencji. Gdybym tylko wiedziała, że postawisz o jeden krok za daleko. Nie znałam cię od tamtej strony. A ja? Niepotrzebnie wciąż dokręcałam śrubę nienawiści. Nie miałam umiaru w knuciu nowych intryg. Niezmordowanie chciałam cię przekonać, jak fałszywą suką jest twoja małżonka. Chciałam, byś ją szczerze znienawidził. Szło mi całkiem nieźle. Wymyśliłam, że miała romans. Wybacz mi, kochanie. A Wiktor był tylko waszym przyjacielem, nikim więcej. To taki dobroduszny człowiek. Wiesz? Jest ochroniarzem w mojej galerii? Spotyka się z moją przyjaciółką. Nie znasz Halinki... Boże, ile ja bym dała, by móc ci to wszystko kiedyś opowiedzieć. Może innym razem, jak znow się spotkamy. Pamiętasz? Tych kilka dni przed tamtą nieszczęśliwą nocą? Bernard! Wybacz, że powracam do niemiłych wspomnień, ale ja... Muszę się wypowiadać. Usprawiedliwić przed tobą. Bóg już mnie wysłuchał, dzisiaj w kościele. Aniela też, na cmentarzu. Teraz kolej na ciebie. Mieliśmy wszystko zapięte na ostatni guzik. Pieniądze z wygranej ukryte w ogrodzie, bilety do Niemiec w kieszeni, spakowane walizki. Wiesz, że na początku chciałam cię wykiwać? Zabrać wszystko i wyjechać sama. Nie taki był mój scenariusz na samym początku, lecz zmieniłam zdanie. Miłość do ciebie zmodyfikowała plany. I to właśnie przez nią doszło do wielkiej tragedii. Nie chciałeś się nawet pożegnać z Joasią. Mówiłeś, że ona zrozumie. Jest przecież zupełnie dorosła. Właśnie kończy osiemnaście lat. Wiesz co? Bardzo mnie przerażałeś swoim zaangażowaniem i determinacją. Chyba nawet ja nie porzuciłabym własnego dziecka. Ale wówczas o tym nie myślałam. Ludzkie uczucia nie były mi w głowie. Zresztą... Ja nigdy nie kochałam ludzi. Przeciwnie. Nienawidziłam ich i tak zostało mi chyba do dzisiaj. W każdym czułam największego wroga, który zasługiwał na śmierć. W dużym stopniu tej nienawiści uczyły mnie moje anioły. Tak jak ja tobą, tak one zawładnęły mną. Przesterowały całe moje życie dla osiągnięcia swoich pragnień. Dziś czuję się coraz bardziej wolna. Z pewnego oddalenia potrafię nawet stwierdzić, że wyrządziły mi wielką krzywdę. Kiedyś tego nie zauważałam. Byłam zbyt mocno zaślepiona ich perfidnym blaskiem. Nadal je kocham, ale wiem, że nie zawsze miały wobec mnie najczystsze

intencje. Potrafię powiedzieć to przed Bogiem, Anielą i tobą. Ukorzyć się w końcu i przyznać do winy. Skomleć o przebaczenie. Brakuje mi już tylko światła twojej łaski. Nie proszę o nią po to, by móc żyć spokojnie. Moje życie skończyło się bowiem już dawno. Jeśli w ogóle powinnam życiem nazywać czas wszystkich krzywd, jakie wyrządziłam innym. Wiem, że nie mam szans, by cokolwiek zmienić. O naprawie zniszczeń nie może być mowy. Zależy mi jednak na prawdzie. Chcę, abyś miał pewność, że to tylko ja jestem winna tego, co się wkrótce wydarzyło. Czekałam na miejscu, a ciebie nie było. Czas mijał. W uszach mam jeszcze zapowiedź pociągu, do którego mieliśmy wsiąść. Razem! Byłam na ciebie coraz bardziej wściekła. Miałam ochotę cię zabić, rozszarpać na małe kawałki. Nigdy nie uznawałam zdrady, a ty wystrychnąłeś mnie na dudka. Zrobiłeś ze mnie klasyczną idiotkę. Nie udźwignęłam tej podłej zniewagi. Postanowiłam dokończyć wszystko w pojedynkę. Tak jak zaplanowałam na samym początku, bez ciebie. Na szczęście byłam przygotowana na wprowadzenie planu awaryjnego. Potrzebowałam tych pieniędzy, a moje anioły nie pozwalały mi zrezygnować. Choć był środek nocy, nie wzięłam taksówki. Bałam się, że ktoś mógłby mnie potem skojarzyć. To małe miasteczko. Wszyscy się znają, a ja nie szukałam niepotrzebnych świadków. Z dna walizki wyjęłam ubranie na zmianę, gaz usypiający i stalowy nóż. Musiałam ich użyć. Bałam się tylko, że ciebie nie będzie w domu, że krążysz gdzieś nocą, śledzisz, obserwujesz. Masz ciągle na oku... Musiałam jednak zaryzykować. Poprosiłam moich skrzydlatych patronów, by miały mnie w opiece. Obiecały zająć się wszystkim, pomagać i poprowadzić za rękę, aż do samego końca. Musiałam im zawierzyć. Zaufać po raz kolejny. Nie miałam wyjścia, gdyż znów zostały mi tylko one. Ciebie już nie było. Ani tu, ani w sercu, ani w dalszych planach. Zostawiłeś mnie bez słowa. Z tym najbardziej nie mogłam się pogodzić. Dlaczego to zrobiłeś? Bernard... Przecież nie tak się umawialiśmy. Przesadziłeś, ale! Wybaczylam ci już, choć nie wiem do końca, czemu to zrobiłeś. Mam jednak świadomość, że czasem kontrolę nad naszym działaniem przejmują ciemne, niszczycielskie furie, nad którymi nie jesteśmy w stanie zapanować. Ludzie są zbyt słabi, by umieć się im przeciwstawić. Kiedy rozwścieczona dotarłam pod dom, wiedziałam, że nic nie będzie już tak, jak dawniej. To, co tam się stało, przerosło nawet moje wyobrażenie o śmierci. Uciekłam. Kochanie, jeszcze raz...

Urwała swój monolog w pół zdania, bo nagle go zobaczyła. Uśmiechnął się do niej życzliwie, a potem uniośł się lekko w powietrze. Zupełnie jak anioł, który leci z wiatrem ku niebu.

– Bernard, najdroższy! – krzyknęła. – Do zobaczenia. Niebawem znów się spotkamy – szeptała, machając mu ręką z nadzieją. – Dziękuję, że mi przebaczyłeś.

Marianna również poczuła się lżejsza. Jakby ktoś zdjął z jej barków ciężar grzechu i wyrzutów sumienia. Była radosna, zupełnie jak kiedyś. Zanim zło zamieszkało w jej sercu. Wstała z ławeczki i trzęsąc się z zimna, popatrzyła w niebo. Mimo późnej pory, wydawało się jej całkiem jasne. Dobrze wiedziała, że to jej zasługa. I Bernarda, który przed chwilą się jej ukazał. Mogę wracać, wszystko się udało – westchnęła i nagle czegoś się przestraszyła. Zerwała się z miejsca czym prędzej i nie oglądając się za siebie, uciekła.

---

## Piła, 13 stycznia 2016, wieczór

### Julia Węgorzewska, Gracjan Witkowski

– Wrrrróci...łem, kochana pnni. Znaszy się... Nieeee pani, tylko Juletszko złośiutkaa. Sooomsiadzetszko tyyy mooja!

Zaprawiony Gracjan wtoczył się z kuchni prosto do salonu. W ręku taszczył flaszkę otwartego wina. Jako że z coraz większym trudem utrzymywał się na niestabilnych nogach, postanowił zdać się na łaskę ziemskiej grawitacji, która oddziaływała teraz na jego nieposłuszne ciało z nadnaturalną mocą, i z wielkim impetem runął na kanapę. Trunek z butelki chlusnął na podłogę. Witkowski zaczął tracić kontakt z rzeczywistością i z wolna odpływał w zakłętę rewiry. Ale dostrzegł jeszcze, że Julka stoi przy zdjęciach i w nich grzebie.

– Pozzziwia paani mojefooo chłoopaka? – mamrotał z ledwością.

– Chłopaka? Gracjan! Co ty bredzisz?! – Julia teatralnie zaakcentowała swoje pytanie. Kątem oka łypnęła w stronę komórki. Jej filmik zapowiadał się świetnie. To będzie strzał w dziesiątkę.

– Noooo... A nic nie powijjjem. Najpierw buzi buzzzi. No dalej, Juletszko – właściciel mieszkania zmarszczył usta w zaśliniony dziubek i próbował się podnieść. Karkołomna próba skończyła się fiaskiem. Kolejna porcja czerwonego wina trysnęła obficie na parkiet. – A może jutro... Ja dziś juszz nie mogę. Idź już.

Pielegniarka kipiała zniecierpliwieniem. Zaczynała wątpić, czy ze wszystkim zdąży. Nie miała już czasu, a ta tłusta świnia znowu psuła jej szyki. A Julia? Ona jak zwykle chciała wszystko dzisiaj. Natychmiast. Tu i teraz. Terminy jej długów nie były już z gumy. Węgorzewska mogła oczywiście spokojnie poczekać, aż Witkowski zaśnie. Przeszukać dokładnie jego damskie lokum. Tylko co dalej? Spłaci swoje długi i zostanie z niczym. Jeśli oczywiście Gracjan ma w domu satysfakcjonującą ilość gotówki. Julia zawsze liczyła na więcej. Nigdy nie uznawała półśrodków i nie hołdowała połowicznym zyskom. Oprócz pieniędzy na spłacenie grzechów chciała się jeszcze obłowić na zapas. A przecież sprawnie przeprowadzony szantaż, oparty na groźbie upublicznienia jakże kompromitujących nagrań, otworzy jej drogę do życia w luksusie.

Doskoczyła do swojej torebki. Jakie to szczęście, że wzięła pistolet. Sprawny, nie sprawny, dureń się nie kapnie – pomyślała. On ewidentnie nie zna się na broni. Julia zdążyła poznać go na tyle, aby dobrze wiedzieć, że Gracjan raczej nie posiada żadnych męskich zainteresowań. No może z wyjątkiem tych największych ciągót... Skłonności, których była już święcie przekonana. W jego stanie równie dobrze mogłaby mu przytknąć do skroni gumowego laczka siostry oddziałowej z piłskiego szpitala. Na samo wyobrażenie zaśmiała się sama do siebie. Już nigdy nie musi tam wracać. Łatwiej i prościej zarobi pieniądze.

Nie zatem jakość rekwizytu tortur była tu teraz kluczowa. Nadrzędny był czas, który pędził jak chart na wyścigach. Wyjęła pukawkę z torebki, a potem cofnęła się szybko w stronę antycznej komody. Stała za kadrem włączonej kamery. Pomyślała, że im rzadziej będzie się przewijać w filmowych ujęciach, tym zdecydowanie lepiej dla efektu nagrań. A niechciane dźwięki i zbyteczne sceny powycina później, podczas cyfrowych poprawek. Wycelowała przedziewiałym gnatem w stronę Witkowskiego. Ku jej zaskoczeniu gej reagował jeszcze dość świadomie na wszystko, co dzieje się wokół.

– Z tej przyszczatej świni można coś jeszcze wykrzesać! – syknęła z miną zwyciężczyni. W jej głowie zrodził się nagle spontaniczny pomysł. Nie zwlekając ani chwili, wróciła na palcach do centrum salonu. Podniosła ze stołu szklanekę wody mineralnej i bez zawahania bryzgnęła nią prosto w twarz gospodarza.

– Cooo jesss, Juletszko? Coś ty? – zareagował przytomniej Gracjan.

– Rozbieraj się tłusta, spedalona świnio! – zaryczała tonem nieznoszącym kontry. Zmieniając ton głosu, z miejsca stała się arcygroźna. Niczym sprawczyni napadu na kantor. – Wstawaj, kurwa! Rozbieraj się! Spodnie, koszulka, wszystko. Masz być goły. Ale już, kurwa!

– Ja... ale dlaszegooo? Schoowjjj to nat..fmisat. Wynocha z mojecho domu! – Gracjan z trudem formułował zdania. Tym razem bardziej z emocji niż z otumanienia. Nie tylko się przeląkł, ale też mocno rozsierdził. Julia spostrzegła w jego wzroku źródło wzbierającej pasji. Zawahała się, lecz nie dała po sobie poznać chwili zwątpienia. Subtelny pogłos kobiecego wnętrza odpowiedział jej właśnie, że nie może mu teraz popuścić. Musi przycisnąć spaślaka jeszcze bardziej zdecydowanie. Zanim zdąży pomyśleć o chęci stawiania oporu.

– Bo ci, kurwa, łeb rozpiardolę, skurwielu! – wrzeszczała, ile sił w głosie. Oby tylko nie posłyszała jej reszta mieszkańców budynku. – I dobrze ci radzę, zagęszczaj ruchy, tłuszczochu.

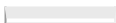
Gracjan wybałuszyl ślepią tak bardzo, jak gdyby ujrzał swoją lokatorkę po raz pierwszy w życiu. Jakby właśnie mu się przywidziała. W przykrótkiej, czarnej sukience, czarnych lakierowanych szpilkach oraz – co wyglądało na najmniej realne – ciężkim pistoletem w ręku. Targnął nim przeblysłk znajomego stresu. Strzępkami wracającej trzeźwości doszukał się w Julce jego źródła. Strach go obleciał. Wiedział, że musi się teraz podporządkować. I pomimo że w dalszym ciągu targała nim siła niepohamowanej złości, tylko nieznacznie złagodzona przez – jak mu się błędnie zdawało – spożyte w nadmiernych ilościach wino, postanowił wykonać wszystko to, o co go będzie prosiła.

Zaczął się rozbierać. Chciał wstać z kanapy, lecz w dalszym ciągu nie mógł utrzymać się na własnych nogach. Gdy siedział, wszystko wydawało się prostsze. Przymusowy striptiz zaczął więc na sofie. Od skarpet. Schylając się w stronę zawilgotniałych stóp, naraz zrobiło mu się niedobrze. Przez chwilę myślał, że puści efektownego pawia, lecz zdołał się opanować. Beknął tylko bezgłośnie i zacisnął usta. Gdy ściągnął skarpetki, cisnął nimi w stronę Węgorzewskiej. Ze złością. Obserwował jej minę. Nic nie powiedziała, jednak jej twarz zdawała się ciemnieć ze złości. Gracjan wiedział, że jego sąsiadka jest bliska nieprzewidywalnych działań. Odpiął skórzany pasek i rozpiął rozpięte. Zaczął niezdarnie opuszczać do kolan ciasne, sraczkowate dżinsy.

– Szybciej, do chuja! Strzelam, kurwa! – wrzasnęła – Gacie i T-shirt, już!

Zaczął od koszulki. Bezsilnie szarpał różowy materiał. Zakleszczył się nagle, usiłując przepchnąć zbyt ciasne ubranie przez niemały obwód tłustej łepety. Wyglądał jak budda z turbanem na głowie.

– Gacie, kurwa – pielęgniarz krzyknęła ponownie. Czują, że zdiera sobie gardło na amen. Przydałby się łyk schłodzonego piwa. – Ale to później – pomyślała. – Ściągaj gacie! I kutasa w rękę!



Piła, 13 stycznia 2016, wieczór

Jan Poniatowski, Natasza Poniatowska, Remigiusz Poniatowski

– Tatusiu, nie idź jeszcze – prosił rozbudzony Remigiusz. – Zostaniesz jeszcze pięć minut?

– Nie ma mowy, Misiek – odpowiedział stanowczo. – Dobranoc. No, chyba że chcesz, żeby mama za chwilę wkroczyła do akcji. A sam wiesz, co będzie, jak się mama wkurzy? – Poniatowski spojrział wymownie na zamknięte drzwi w pokoiku syna. Uśmiechnął się szczerze i porozumiewawczo przewrócił oczami.

– Tak, tak, wiem. Kara na bajki i telefon – chłopiec odrzekł z rezygnacją w głosie. Wiedział, że uległy ojciec dałby się jeszcze przekonać, lecz stanowczości mamy nie chciał wystawiać na próbę.

– No więc właśnie – podsumował Janek. – A jeśli dobrze pamiętam, to taki fajny ktoś... chyba z tego pokoju... coś mi obiecywał. Czekaj, czekaj... Mówił, że... A, już wiem! Że jak się z nim pobawię, to opowie, co ciekawego mu się dziś przyśniło. Mam rację? Widziałeś gdzieś może tego jegomościa?

– No tak tato, to ja – mina Remigiusza zdradzała niepokój. Nie miał ochoty żartować. Posmutniał, lecz ewidentnie nie z tego powodu, że za chwilę będzie zmuszony iść spać. – Tak mówiłem, ale...

– Ale co? Coś złego? – dopytywał Janek.

– Nic złego, chyba... Ale nie chciałbym, żeby tak było naprawdę.

– No to jak mi powiesz, to z pewnością tak nie będzie. Nasze sny spełniają się tylko wtedy, gdy nikomu o nich nie mówimy.

– Naprawdę? – spytał z nadzieją Remigiusz.

– Oczywiście. Jak bum cyk, cyk.

– No dobrze – synek dał się przekonać. – Śniło mi się, że gdzieś wyjechałem, ale nie na wakacje. Sam, bez ciebie i mamy. Bardzo, bardzo daleko. Tato, a obiecasz, że nigdy nie będę musiał wyjeżdżać bez was? – Oczy Remigiusza zaszklily się łzami. Janek z trudem się opanował.

– Daję ci słowo – odpowiedział. – Słowo skauta.

– Skauta? – zaciekawił się Remik. – Kto to jest skaut? Ktoś, kto chodzi po skałach?

– Nie. To znaczy tak. Czasami też chodzi po skałach – zachichotał ojciec. Bezwiedny żart zdziwionego malca przyszedł z odsieczą. – Skaut to taki amerykański harcerz. A wiesz kim...

– Wiem. Mama mi o nich mówiła. Harcerze to tacy mali żołnierze. Mają takie specjalne mundury i fajne czapki. I jeżdżą na obozy. Ale ja... Ja nie chcę jechać. Ja nie chcę być harcerzem.

– Nie musisz – uspokajał ojciec. – Nie martw się. Jeśli nie chcesz, nigdzie nie pojedziesz.



– No bo ja nie chcę, bo wtedy jak mi się to śniło, bardzo się martwiłem. Mama nie dała mi nic do plecaka. Ani jedzenia, ani ciepłej kurtki. Wiesz, tato? Ubrałem tylko ten strój, co mi kupiliście na kosza. Ale ten żółty, nie ten czarno-biały. I później było mi bardzo, ale to bardzo zimno. Jechałem sam starym autobusem. Takim bez siedzeń i okien.

– Ojej! I co było dalej?

– Dojechałem na miejsce, ale nie wiem gdzie, bo była noc. Padał deszcz i kierowca kazał mi wysiadać. Nie widziałem go, tylko usłyszałem. Miał taki niemiły głos. Ja mu powiedziałem, że chcę wrócić do domu. Ale on nie pozwolił. Kazał być cicho i... Tato, czemu przyśniło mi się coś takiego?

– Nie wiem, Misiu – odparł Janek, cmoknął Remigiusza w czoło, a potem mocno przytulił. Dopiero teraz, gdy jego twarz była niewidoczna, pozwolił, by po policzku spłynęła mu łza. – Nie mamy wpływu na to, co nam się może przyśnić. Nie martw się. Pamiętaj, że mama i tata bardzo, ale to bardzo mocno cię kochają i nigdy nie pozwolą na jakieś podróże po nocach. Tym bardziej bez nas. Co innego, kiedy będziesz starszy. Zobaczysz, że jeszcze będziesz nas błagał, byśmy puścili cię samego, na przykład na wycieczkę w szkole. Zaufaj mi. Tata wie, co mówi.

– Naprawdę? – Remik w dalszym ciągu szukał słów zapewnień.

– Na sto... tfu. Co ja mówię? Na dwieście procent – odrzekł Poniatowski i jeszcze raz pocałował chłopca.

– No to już wolę na te dwieście procent. Nie chce, byś przysięgał na harcerza. Na skauta też nie – żartował sześciolatek. – Ojej, mama idzie. No to masz przechłapanę, tato.

– I ty też, cwaniaku!

---

Piła, 13 stycznia 2016, wieczór

Julia Węgorzewska

– Alleluja! Mam was, kochaniutki. Wiedziałam, że tutaj będziecie. Chodźcie czym prędzej do mamy! – Julia była uradowana.

Szukała pieniędzy już dobrą godzinę. Tylko raz była zmuszona poprzestać. Ktoś nagle zastukał do drzwi. Głośno i z całej siły. Chyba był pewien, że Gracjan jest w środku. Miała nadzieję, że to nie policja. Któryś z sąsiadów mógł przecieżyć ją wezwać, usłyszawszy wrzaski i łomot zza ściany. Stała jak wryta, przestając oddychać. Bała się poruszyć, by nie zdradzić niczym swojej obecności. Jakie to szczęście, że wcześniej zgasiła niemal wszystkie światła w mieszkaniu tego dziwaka. Zagrożenie wkrótce minęło. Usłyszała tupot szybko znikających kroków. Było to zaraz po tym, jak skończyła nagrywać swój filmik.

– Julia, ty szczęściaro – zawołała z jeszcze większym zadowoleniem. – Wszystko wyszło cacy!

Witkowski wyśpiewał jej wszystko. Od A do przysłowiowego Zet. W miarę upływu czasu mówił coraz bardziej niewyraźnie, ale to prolog był najistotniejszy. Piękny. To, że jest regularnym gejem i że zakochał się bezpamiętnie w cudownym mężczyźnie, nagrało się już na początku. Tak samo jak moment, w którym osiągnął mimowolny wzwód, mówiąc o samczym źródle swojej fascynacji. O tym, że przeczytał list, który buchnął rankiem z kliniki, opowiedział później. Julka nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wiele w życiu widziała, lecz to ją przerosło. Pomyślała, że musi czym prędzej odtworzyć nagranie.

– Ale nie teraz, później, kochana. Nie trać czasu – szepnęła, w pośpiechu biegnąc do salonu.

Wróciła po chwili z ciężką torebką w dłoni. Wcześniej spakowała do niej wszystko, co mogło w jakikolwiek sposób poświadczyć o jej nocnej szarzy w domu Witkowskiego. Zatarła też inne, drobniejsze ślady swojej obecności. Sprzątnęła rozgardiasz ze stołu i zmyła brudne naczynia. Poskładała w kostkę przepocone ciuchy Gracjana, a błyskającą golizną tłustą dupę pochrapującego wieprza okryła frędzlowanym kocem. Raz, że patrząc na nią, dostawała nieustannych mdłości, dwa, by jutro rano skacowany grubas pomyślał, że własnoręcznie urznął się jak świnia, zasypiając później na sofie w salonie. Pod ciężką głowę wsunęła mu miękką poduszkę oraz obiekt westchnień w śnieżnobiałej ramce. Wszystko, ot tak, na wszelki wypadek. Gdyby pan Gracjan dziwnym trafem uodpornił się na

działanie szantażu. Było to oczywiście mało prawdopodobne, jednak w myśl reguły numer jeden Julii Węgorzewskiej, że zawsze powinno się mieć jakiś plan awaryjny, uczyniła wszystko, by w razie czego ochronić swój tyłek.

Postawiła torbę na ziemi i czym prędzej spakowała do niej wszystkie pomięte banknoty. Ile ich było? Nie miała czasu teraz tego sprawdzać, jednak zmyślne oko jej finansowego rentgena pozwalało sądzić, że zebrana suma rozliczy jej długi.

– Ty to jednak masz szósty zmysł, dziewczyno. Zachłanność sroki i przebiegłość lisa – jeszcze raz pochwaliła się na głos. – Kto inny wpadłby na to, że można trzymać forszę w koszu na bieliznę? Na samiusieńkim dniu. – Nawet nie chciała sprawdzać, czym były splamione sterty posklejanych gaci, które maskowały szeleszczący stosik.

A na to, aby zajrzeć do wnętrza pojemnika z brudem, zdecydowała się całkiem przypadkiem. Sama nie wie dlaczego. Silna kobieca intuicja i coraz lepsza znajomość psychiki tego popaprańca kazały jej nabrać powietrza i dzielnie zanurkować w szambie. No i może jeszcze ta zmiętolona dycha, stercząca z kiszeni utyłanych spodni.

– No cóż, jak to mówią, szukajcie, a znajdziecie. Ale, ale... nie trać czasu, Juleczko. Ten grubas gotów się jeszcze obudzić. Ależ nazajutrz będzie miał zagwozdkę.

Stała boso w ciemnym przedpokoju. Było cicho. Wsunęła omackiem szpilki, które cicho zdjęła podczas stukania do drzwi.

– Najszczęśliwsze buty Cinderelli – szepnęła wesoło, chcąc przełamać ciszę. Przez moment poczuła się nieswojo. Stres uchodzący z ciała czy opadająca adrenalina? Starła się nazwać nieznaną emocję, wyszukując w głowie trafne określenie. Szpilkowaty impuls – znalazła. Zaskoczył ją nagle, kłując z tyłu głowy. Rozchodził się szybko, by zawładnąć ciałem, przywołując dreszcze i spinając mięśnie. Węgorzewska zawahała się. Co to może być, do cholery? – pomyślała, bojąc się nawet poruszyć ustami. Strach ją obleciał. Próbowwała się z niego otrząsnąć, lecz zdecydowanie był silniejszy od niej. Postanowiła opuścić mieszkanie Witkowskiego tak szybko, jak tylko możliwe. Rzuciła jeszcze niewidzącym wzrokiem w stronę ciemnego salonu. Tak, wszystko zabrałaś, nie musisz się martwić. Komórka, forsa, pistolet... Wszystko masz w torebce. No więc o co chodzi? Skąd to ponure przeczucie? Biła się nadal z myślami.

– Chyba czas wychodzić. Do jutra, Gracjanie.

Kiedy stała na klatce schodowej, tylko w szpilekach i zwiewnej sukience, przeszedł ją zimny dreszcz. To pewnie wpływ zawilgoconej kamienicy, ale nie chodziło tylko o wyziębione mury. W powietrzu wisiało coś jeszcze. Pstryknęła czym prędzej wyłącznikiem światła. Wcześniej wolała tego nie robić, by dotrzeć do domu niezauważona. Teraz jednak pragnęła poczuć się pewniej. Żarówka bez klosza mrugała przez chwilę, a potem zgasła. Znów bezkresna ciemność i szmery tuż za nią. Usłyszała szuranie?

Błądząc po omacku, postawiła kilka niezdecydowanych kroków na drewnianych schodach. Dopiero teraz wpadła na pomysł, by włączyć latarkę w komórce. Roztrzęsioną dłonią sięgnęła do wnętrza torebki i czym prędzej rozświetliła ekran. Chwilę szukała właściwej ikony, po czym kliknęła w odpowiedni symbol. Słabe światło drgającego flesza nieznacznie ogrzało jej palce. W tym momencie poczuła na sobie zajadłe spojrzenie i usłyszała czyjś oddech. Bała się oderwać wzrok od telefonu, ale wiedziała, że powinna spojrzeć przed siebie.

– To ty? – ledwie pisnęła przez ściśnięte gardło. Telefon wypadł jej z ręki. Z głośnym hukiem trzasnął o podłogę. Znowu zrobiło się ciemno. Nie mogła uwierzyć, że ponownie jest w potrzasku. Takie rzeczy nie zdarzają się przecież szczęściarzom. – Co ty tutaj...?! – Nagle poczuła uderzenie w głowę. – Jeszcze zobaczymy – jęknęła. Była to jej ostatnia, niewypowiedziana groźba.

---

Piła, 13 stycznia 2016, noc

Natasza Poniatowska

„Zginiesz skurwysynu!” – Natasza z obawą czytała wiadomość. Już po raz kolejny. Spojrzała na Janka śpiącego tuż obok. Nie chciała go teraz martwić. Jutro – pomyślała. Wszystko dopiero jutro.

Cmoknęła go w czoło z miłością. Krótkim dmuchnięciem dogasiła świecę.

– Dobranoc, kochanie. Dziękuję ci za wszystko.

## ROZDZIAŁ 8

Szmata przesadziła! Tak nie zachowuje się dama. Skompromitowała mnie! Mnie! Wystawiła na pośmiewisko kogoś takiego jak ja. Chyba jeszcze nie wie, z kim ma do czynienia. Nie docenia mojej władzy i dzikich zapędów. Dawno zasłużyła na karę, ale tym razem Bóg już nie chce zwlekać. Właśnie mnie poprosił, by zrobić to teraz. Życie nie jest zabawą, w której bezkarnie można szydzić z innych.

Rośnie we mnie gniew. Promienieje wewnątrz. Rozsadza mi klatkę, kłując w środek serca. Zawsze się tak czuję przed atakiem. Napięcie, którego nie umiem rozładować w żaden inny sposób, stopniowo zamienia się w boskie podniecenie. Zwłaszcza gdy czuję już blisko oddech swej ofiary. Płytki, przyśpieszony. Nie lubię kończyć od razu. Lubię przedłużać mękę: cielesną i metafizyczną, ofiary i osoby przez nią naznaczonej. Odpowiedzialnej za nią i za jej nieszczęście.

To właściwe słowo. Ofiara. Ktoś, kto poświęca życie dla innych. Cierpi za nich, jednocześnie wyrządzając im krzywdę. Czeka na oprawcę niczym na zbawienie. Jest od niego uzależniona, bo tylko on jest w stanie skrócić ich cierpienie. A co jeśli kat celowo przedłuża ich męki? No co? Jak wy się na to zapatrujecie? Współczujecie? Jasne! Martwicie się tylko na pokaz. Bardzo powierzchownie. Życie dalej, śmiejecie się głośno i opowiadacie, jakie to straszne. Ale nie cieszcie się! Za chwilę ktoś będzie opowiadał innym o waszej tragedii. Dajcie mi trochę czasu. Wszystko mam dokładnie zaplanowane. Wszystkimi się zajmę, tworząc czarną serię. Wszystko w swoim czasie...

Dam znać komu trzeba, by pomógł mi działać. Pilnie potrzebuję wsparcia. Przearanżowanie pierwotnego planu wymaga pomocy i zdwojonych dążeń. Boję się, że nie ogarnę sprawy w całości. W pojedynkę może być trudno, a ja nie chcę ryzykować. Ciągle zastanawiam się, czy mogę jej ufać. Osobie, której do końca nie znam. Dziwne to. Wysysa ze mnie energię. Patrzy tak dziwnie, kiedy rozmawiamy. Czy to możliwe? Nie, chyba raczej nie. Ale teraz muszę ją wykorzystać. Potem pozbędę się świadków. Każdy zasługuje na śmierć. Każdy!

---

Chodzież, 17 sierpnia 1996, noc

Joanna Borecka, Karolina Janicka, Sebastian Świdorski, Jan Poniatowski

– Co tu, kurwa, tak jasno? Aśka, co jest? Twój starzy nie śpią czy jak? A może balangują? – wybełkotał Sebastian, a potem cisnął w krzaki pustą butelkę po wódce. Stanowczo przeholował z piciem. Janek zresztą też. Jeszcze nigdy świat tak mocno nie wirował im w głowach. Ale przynajmniej są odważniejsi. Całkowicie gotowi na wszystko.

Noc była gorąca. Ciepły pęd wiatru owiewał ich twarze siłą sierpniowego skwaru. Czuć w nim było zapach przeschniętego lasu i chemiczną woń stygnącej ulicy. Gdzieś w zakamarkach głośno koncertowały świerszcze. W oddali zawodziły kundle z okolicznych domostw.

Właśnie za tym tęskniła Joasia. Sielskość i anielskość kończącego się właśnie dzieciństwa. Daleko jej było do hulackich imprez. Mimo osiemnastych urodzin wciąż czuła się małą, bezbronną dziewczynką. Bardzo samotną bez ciepła rodziców. Bez przerwy myślała o Sebastianie. Zakochała się w nim do szaleństwa. Była tego bardziej niż pewna. I nawet teraz, gdy zachowywał się jak ostatni prostak, nie potrafiła się na niego złościć. A jeśli to ona jest dziwna? Sztuczna i mało rozrywkowa? Może nie pasuje do reszty paczki? Na dzisiejszy wypad zgodziła się tylko z jednego powodu. Marzyła o tym, by Sebastian ją pocałował. Czy oczekiwała czegoś więcej? Być może... Była już

przecież dorosła. Biorąc jednak pod uwagę aktualny stan ukochanego, zamiast pierwszego razu mogła przeczuwać najwyżej kłopoty. I to z całą tą nawaloną jak stodoła trójką.

Co ona z nimi zrobi? – zastanawiała się w myślach. Będzie zmuszona wszystkich przenocować. Tak bardzo nalegali na nocny powrót do jej domu. Co powie rodzicom? Tata jest przecież niezmiernie nerwowo. Joanna mogła się tylko domyślać, z jakiego powodu. Co mama sobie o niej pomyśli? No co? Że jej grzeczna córka stoczyła się na dno?

Tylko ona jedyna była dziś trzeźwa w tej całej ferajnie. Nie wypila ani grama alkoholu. W głośnej dyskotecie tylko udawała, że pije przez słomkę kolorowe drinki. Później pod sklepem na chodzieskim rynku ukradkiem wylała alkohol do klombu. Oczywiście, że nikt nie zauważył. Byli zajęci wyłącznie sobą. A Sebastian? Zapatrzyony w kumpla jak w najświętszy obraz. Nie w nią, tylko w niego. Coś razem kombinowali. Zdecydowanie. Tylko co? Sebastian jest całkiem inny, kiedy nie widzi obok tego szurniętego Janka.

– Aśka, otwieraj bramę. Wjeżdżamy z imprezą na chatę – piszczała Janicka, chwając się na boki. Świeże zapasy alkoholu brzęczały pogłosem w nylonowej siatce. – Hałas na całą ulicę, co nie? Tylko ciii... bo zbudzimy niedźwiedzia. Asiu, macie w tym lesie niedźwiedzie? – bełkotała. – Chłopakiiiiii, śpiewamy! Jak to szło? Stary niedźwiedź moooooocno śpi. Staaaary niedźwiedź moooooocno śpi. Myyyy się go...

– Zamknij się, wariatko – Janek uciszył głośną koleżankę. – Słyszysz cię cała okolica. Wiesz która jest godzina?

– Taa, Janeczku. Ja nie wiem? Pierwsza. Pierwsza godzina, niedźwiedź śpi, druga godzina, niedźwiedź chrapie – Janicka z trudem wymamrotała słowa dziecięcej wyliczanki. Jej śmiech co chwilę przerywały krótkie odgłosy czkawki.

– Trzecia godzina niedźwiedź łapie. Łaaaaa! – wrzasnął rozochocony Sebastian. Jemu najbardziej udzieliła się aura głupkowatej zabawy.

– Bądźcie już ciszej, proszę – nieśmiało wtrąciła Joanna. Czowała się teraz z nimi koszmaranie. Głupio i nieswojo. Nie tak miały wyglądać jej pierwsze dorosłe urodziny.

– Aśka, daj spokój. Coś taka drętwa? Wóda cię nie wzięła? – Karolina znów potrząsnęła reklamówką z piwem. Cud, że szklane flaszki były całe. – Za chwilę gólniesz sobie browar, to ci się humor poprawi.

Joasia wyjęła klucze z torebki. Pokręciła jednym z nich w dużym zamku ogrodowej furtki. Zanim nacisnęła klamkę, niepewnie spojrzała w stronę gospodarstwa. Tonący w półmroku dom wydał się jej niesamowicie groźny. Obcy i bardzo przynębiający. Niepokój potęgowało niezgaszone światło w sypialni rodziców. Nie umiała tego wyjaśnić, ale pierwszy raz bała się wracać do miejsca, w którym zawsze czuła się bezpiecznie. Widocznie tak to już jest, gdy dorosły człowiek przestaje być dzieckiem – pomyślała, rozliczając się z dziwnych przeczuć. Znika aura magii, a świat staje się zupełnie inny. I taki właśnie musiał być obraz jej nadchodzącej przyszłości. Mroczny i zupełnie niezrozumiały.

Kątem oka zauważyła ruch. Mogłaby przysiąc, że w ciemnej gęstwinie za płotem widziała postać ubraną na czarno. Raz jeszcze spojrzała w tę stronę. Nie było tam teraz nikogo. To tylko wiatr – starała się dodać sobie animuszu. Robi sobie ze mnie głupie żarty – odwróciła się szybko za siebie. Sebastian i Janek stali nieco z tyłu. Z mokrymi butelkami w dłoniach. Pewnie przed chwilą otworzyli kolejne piwa. Rozprawiali o czymś po cichu, wznosząc co chwilę braterskie toasty. Kruchy dźwięk trzaskających flaszek rozniósł się echem, szybując w przestworza. Janicka stała samotnie z rękami założonymi na piersiach. Przeskakiwała z nogi na nogę. Niecierpliwiła się? A może była już całkiem pijana?

Joasia otworzyła bramkę i zrobiła kilka niepewnych kroków wzdłuż wąskiej, cementowej dróżki. Mocno przyspieszała z każdym stąpnięciem tak, by w końcu biec z całych sił w stronę wołającego domu. Czowała, że musi być w środku jak najszybciej. Zatrzymała się dopiero w wejściu do budynku. Jej ciałem wzdrygnął kolejny dreszcz niepokoju, a nogi ugięły się w kolanach.

Piła, 14 stycznia 2016, raneek

Aleksandra Poniatowska

Aleksandra Poniatowska wreszcie dotarła do pracy. Po drodze kilkakrotnie spadał jej łańcuch w rowerze. Brudne, zamrznęte dłonie i mokre ubranie – oto skutki zimowej jazdy rumakiem o nożnym napędzie. Mokro, zimno i znikąd pomocy.

– Prostak i cham – burknęła ze złością, gdy weszła do swojego biura. Czuła się jak odbezpieczony granat, który lada chwila może eksplodować. W myślach przywołała mężczyznę, który przechodząc obok, nawet nie zainteresował się losem kobiety w tarapatkach. Od razu wydał jej się dziwny. Od stóp do głów ubrany na czarno. Twarz zakrywał grubym, wełnianym szalikiem. Gdy spytała o pomoc, przyspieszył kroku i tyle go w sumie widziała.

Czym prędzej chwyciła za telefon, przeciągnęła palcem po zaporowanym ekranie i wyszukała numer Halinki Stępnia. Ślad rozmazanego brudu pozostał na wyświetlaczu.

– No cześć, kochana – usłyszała melodyjny głos po drugiej stronie. – Od samego rana myślałam o tobie i właśnie nabrałam ochoty na kawkę. To jak, nasiadówka?

– Wstawiaj wodę, Halinko. Dla mnie dziś duża porcja bardzo gorącej kawy. Tak mnie telepie, że nie mogę dojść do siebie. Mówię ci...

– A co się stało, Oleńko? – przerwała Stępnia. Uruchoimiła tryb czuwania z elementami doraźnej rejestracji.

– Zaraz jestem, pa. – Aleksandra rozłączyła się pośpiesznie. Nie miała dziś chęci na informacyjną żarłoczność koleżanki, a jedynie na rozgrzewający napar podsunięty pod sam nos. Ciekawe, jak wyszło spotkanie Janka i Nataszy – zastanowiła się w myślach. Wczoraj dowiedziała się, że są umówieni na wieczorną rozmowę w restauracji. Poniatowska była pewna, że to milowy krok na drodze do ich pojednania. Musi czym prędzej sprawdzić, czy młodzi ustalili cokolwiek. To idealny moment, aby wreszcie wrócili do siebie – rozprawiała. Czym prędzej stuknęła palcem w ekran ostatnio wybieranych połączeń. Natasza.

---

Piła, 14 stycznia 2016, raneek

Gracjan Witkowski

Gracjan nakrył się kocem z frędzlami. To jego ulubiony koc, lecz tylko na długie, zimowe wieczory. Nie na mgliste poranki. Coś mu tutaj stanowczo nie grało. Rozejrzał się wokół zdziwiony. Przestronny salon rozświetlony brzaskiem, zamiast półmroku małej sypialni. Przewieszane zdjęcia na blacie komody. Każde z nich miało tam swoje, ściśle przestrzegane miejsce, a więc prędko zauważył zmiany. Na jednym z foteli leżało jego ubranie. Zaraz, zaraz... – gonił myśli w głowie. Krzywo poskładane w kostkę? Nigdy tak przecież nie robił.

Zajrzał niepewnie pod wełniany koc. Poczul na ciele szorstką fakturę przędzy. Wystające włókna gryzły go w skórę. Nie pomylił się. Przespał noc całkowicie nago. Nie mógł wprost uwierzyć, że zrobił to znów. Obiecował sobie przecież tyle razy, że nie będzie się już masturbować. To rzeczy dobre dla chłystków. Widocznie znów naszły go grzeszne myśli. Oczywiście z nim w roli głównej. Uniósł się lekko na sofie. Zobaczył róg zdjęcia pod miękką poduszką.

– A więc jednak? – szepnęła z zawahaniem w głosie. – Nie, to wprost niemożliwe, że film mu się urwał. Ileż to litrów wina musiałyby wytrąbić, by dziś nie pamiętała niczego? Chyba że dwa gąsiory. Wino? No jasne – analizował olśniony. Tak, pił je na sto procent. Ale nie sam. Węgorzewska! Oprzytomniał nagle i poczuł ból głowy. To nie była mara, a już myślał, że to wszystko tylko mu się przyśniło. Co się tutaj działo? Czy to możliwe? Ta mała żmijka? Byłaby zdolna do tego wszystkiego? Musiała mi czegoś dosypać! Skąd miała tę spluwę i co jej mówiłem? Tylko spokojnie... Gorzko pożałuje tego, co zrobiła. Gracjan był coraz bardziej rozwścieczony.

W formułowaniu coraz bardziej konstruktywnych ocen przeszkodził mu dźwięk telefonu.

– Kuchnia, wiadomość, napisał! – chrypiał przesuszonym gardłem. Serce zabiło mu mocniej, a puls przyspieszył z emocji.

Zerwał się z miękkiej kanapy. Nazbyt gwałtownie. Wczorajszy alkohol szumiał jeszcze w mózgu, a ból ciężkiej głowy wzrastał w galopującym tempie. Czuł, że zaraz rozsadzi mu czaszkę. Owinął się kocem i poczłapał w męczarniach do kuchni. Telefon pulsował niebieskawym światłem. Pochwycił go w dłoń tak zachłannie, jakby ktoś chciał mu go skonfiskować.

Usiadł na stołeczku przy kuchennym blacie i zaczął czytać otrzymaną pocztę. Treść była spora, z długą litanią szczegółów. Nie ma sprawy, słonko – uśmiechnął się szczerze na tyle, na ile miał siłę. Odpisał i poszedł przeszukać swoją tajną skrytkę. Miał bowiem złe przeczucia.

---

## Piła, 14 stycznia 2016, rano Jan Poniatowski

Jan właśnie się ubierał. Natasza zostawiła mu klucze na stole. Wczesnym rankiem wstał tylko na chwilę, by pożegnać się z nią i Remigiuszem, a potem znów wrócił do ciepłej sypialni. Spojrzał na zegar w komórce. Chwila przed dziesiątą. Nie mógł wprost uwierzyć, że drzemał tak długo. Zapomniał zupełnie, jak to jest się wyspać.

Na stole znalazł również list od Nataszy. Dziękowała mu za wczorajszy wieczór i przepiękne chwile, które spędzili w nocy. Przepraszyła, że nie powiedziała mu o przykrej wiadomości, jaką otrzymał, gdy już słodko zasnął. „Nie miałam sumienia Cię budzić. Nie martw się na zapas. Będzie dobrze. Mimo wszystko miłego dnia. W kontakcie... Twoja Natasza”.

A on właśnie zaczynał się martwić. Kolejna wiadomość od stalkera. Ten to chyba nigdy nie ustąpi. No chyba, że wreszcie dorwie Poniatowskiego w ciemnym zakamarku miasta. Zaczął się znów denerwować, a poranny spokój prysnął jak bańka mydlana. Z chwili na chwilę odprężone ciało sztywniało od przyrostu stresu. Wszystko stopniowo wracało do normy. Wiedział, że ogrom negatywnych myśli związanych z obawą, do czego jeszcze może być zdolny ten chory popapraniec, jak również z tym, że jego przyjaciele właśnie w tej chwili mogą przechodzić przez piekło na ziemi, podczas gdy on nie umie im pomóc, wyprze swym ciężarem resztki pozytywnych wspomnień.

Postanowił czym prędzej pojechać do domu. Stamtąd od razu zadzwoni do Jahnca. Zada mu retoryczne pytanie, czy mają być może jakieś nowe tropy. Powie mu też o kolejnej groźbie, jaką otrzymał dziś w nocy. Jakby to miało w czymś pomóc. Jakby w cudowny sposób popchnęło śledztwo do przodu. Janek już nie wierzył w nagły sukces sprawy. Miał wrażenie, że policja siedzi beczynnie z rękami w kieszeni. A kryminalni piją kawkę, licząc na cuda i przychylność niebios. Nie chciał się jednak ponownie narażać. Aspirant kazał mu przecież informować się o wszystkim, bez najmniejszego wyjątku. A z władzą na służbie się przecież nie dyskutuje.

Napawające przerażeniem wnioski zmobilizowały Janka do pracy. Najbliższe godziny wykorzysta na to, by jeszcze raz wszystko dobrze przestudiować. Przeanalizować i zebrać w całość. Być może gdzieś tam, pomiędzy wersami gniewnych anonimów, tkwił mały klucz do wielkich tajemnic.

A jeśli nie ma w tym logiki? – spytał podświadomość. Jeśli ten furia działa bez planu? Kompletnie przypadkiem, spontanicznie? Ot tak, pod wpływem narastającej furii? Kierowany żądzą zabijania? Nie, to chyba raczej bez sensu. Przecież bezspornie ściga całą czwórkę. Paczkę znajomych z przeszłości... No dobra. To dlaczego tylko mnie męczy pogroźkami? Karola nie dostawała listów, Sebastian tym bardziej. A jednak to oni zaginęli pierwsi. Pytania, pytania, pytania...

---

## Piła, 14 stycznia 2016, rano Kajetan Andrzejewski

– Klinika urody, znaczy medycyny. Andrzejewski, słucham. Tak, tak. Estetycznej. Cinderella, a zna pani inną w Pile? Nie, nie będzie doktora. Jutro? Też nie. Właściwie to ciągle nie wiemy. Jeszcze nam nic nie wspominał. Proszę dzwonić jutro!

Długowłosy blondyn skończył kolejną rozmowę. W tej samej sprawie, rzecz jasna. Julce wychodziło to bardziej profesjonalnie – myślał z utęsknieniem w recepcyjnym wnętrzu. Czuł na sobie dzikie spojrzenia wszystkich nerwowych pacjentek.

Był załamany. Z dwóch powodów. Ten zdecydowanie mniej ważny to taki, że był zmuszony tu siedzieć. Nie znał się w ogóle na pracy za ladą, a na domiar złego już od trzech kwadransów musiał tłumaczyć się z nagłej nieobecności Żabskiego, odwołanych wizyt i całej masy zabiegów, które się dziś nie odbędą. Gdyby wiedział, że doktorek tak załatwi sprawę, rzuciłby lewym zwolnieniem. Szczególnie po zajściu, którego był wczoraj przypadkowym świadkiem. No a Żabski, nic. Jak zwykle nie liczył się z nikim. Zadzwoił dopiero chwilę po dziewiątej. Sapał do słuchawki jak zboczeniec w parku. Że go dziś nie będzie, że to, że tamto. No i że trzeba zmienić Węgorzewską. Zaraz po tym przerwał połączenie tak, jakby bał się niewygodnych pytań.

– Dureń i wariat – syknął nienawistnie Kajtek. Czuł, że nie wytrwa tutaj do zamknięcia.

Drugą, o niebo ważniejszą przyczyną wielu katastroficznych wizji, jakie od rana nawiedzały głowę młodego informatyka, był brak możliwości skontaktowania się z Julką. Praktycznie od wczoraj po południu. I chociaż wczoraj telefonu również nie odebrała, to jednak odpisała później, że u niej już wszystko w porządku. Dziękowała za uratowanie życia i za przyjacielską troskę. Pisała, że będzie dziś w pracy, również po to, by – jak to dokładnie ujęła – zrobić Arczkowi kuku. Kajtek wiedział, że Julka to twardy zawodnik i uznał jej słowa za pewnik. Takie dziewczyny jak ona nigdy się nie poddają. Walczą bez wytchnienia, szukając rewanżu. Tym większe było więc jego dzisiejsze zmartwienie, kiedy zorientował się, że najmilsza, najpiękniejsza i najzabawniejsza pielęgniarzka świata nie przyszła rano do pracy.

Jeśli istniała miłość od pierwszego wejrzenia, to zakochany Kajtek zaczynał się szczerze jej lękać. Uczucia, które nim teraz rządziły, nie były bowiem przyjemne. Wręcz przeciwnie. Niepewność, smutek, tęsknota i trwoga. Tak w skrócie mógłby określić aktualny stan swoich emocji. Ale to właśnie one kazały mu dalej próbować. Być może teraz się uda.

Sięgnął do szuflady. Telefon jeszcze nie wystygł po ostatniej próbie. Kajtek podświetlił ekran. Dwadzieścia jeden połączeń do Julii. Kliknął w pośpiechu zieloną słuchawkę i zbliżył komórkę do ucha. „Wybrany abonent na wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem. Prosimy spróbować później. *The number, you tried to reach...*”.

– Kurwa – zaklął desperacko Kajtek. – Teraz to już nawet sygnału nie ma. Włącz ten telefon, dziewczyno!

—  
Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie

Anna Sass

Anka właśnie poprawiała służbową zapaskę. Wolała być w pracy, niż rozpaczać w domu nad rozlanym mlekiem. Dziś czuła się już zdecydowanie lepiej. A tak pomiędzy bogiem a prawdą to nie miała wyboru. Musiała odrobić swoje wczorajsze wyjście. Jarek zastąpił ją wprawdzie, ale pod jednym względem.

– Weźmiesz jutro jeszcze moją zmianę – polecił stanowczo. – Muszę trochę odpocząć, a poza tym mam ważne sprawy na mieście – tłumaczył.

Zważywszy na swój stan psychiczny, wczoraj Anka zgodziłaby się prawie na wszystko. Byleby tylko zwolnił ją do domu.

A dziś? Była już prawie trzynasta. Czas upływał szybko, a natłok restauracyjnych zadań skutecznie amortyzował troski. I nawet wszystko byłoby w porządku, gdyby nie chora nadgorliwość szefa. Wydzwaniał ciągle pod byle pretekstem. Co kilkanaście minut. A to z zapytaniem, czy wydrukowała najnowszą kartę z alkoholami, a to



z poleceniem, by uzupełniła przyprawy w słoiczkach, czy w końcu po to, by po raz kolejny najzwyczajniej spytać, jak dzisiaj się czuje po wtorkowych przejściach.

– No nie, znowu? – Sasanka przerwała krótką chwilę rozważań. – A tego co dziś upierdoliło? – szepnęła zbyt głośno, klikając w telefon.

– Jak to co? – głośno zachichotał Grzesiuk. Słyszał uszczypliwości Anki. – Mnie? Nic mnie nie upierdoliło, jakbyś chciała wiedzieć – przedrzeźniał zbyt szczerą kelnerkę. – Mam tylko jedno pytanie.

– No to ci mówię od razu, że jeżeli chciałeś tylko zapytać – Anka odczytała godzinę z zegarka – o te ostatnie dwanaście minut, w których tu nie dzwoniłeś, to śpieszę uprzejmie cię poinformować, że nic się nie wydarzyło. Nic, ale to absolutnie nic się nie zmieniło. Świat się nie zawalił i Świtez też stoi. Żaden nowy psychopata nie przyszedł na kawę i żadnego jeszcze nie ubyło. Niestety. Tak, tak. Oczywiście, że tak! Powymieniałam wkłady w świecznikach i pozgłaszałam zamówienia online. Tak, jak prosiłeś, Jareczku. Aha i jeszcze odebrałam tysiąc telefonów. Boże, jak klienci lubią być namolni. Człowiek nie ma nawet chwili oddechu. I tak pewnie do późnego wieczora. Jak w jakimś matriksie czy coś. I jeszcze ty. Kontrola, kontrola i jeszcze raz kontrola. A czy ty, Jarku, w dniu wolnym od pracy nie masz trochę ciekawszych zajęć? Jak chcesz, to przyjdź do Świtezi. Nie będziesz musiał wydzwaniać co kwadrans – Sasanka zaczynała się znowu rozkręcać jak dawniej. Traciła kontrolę nad wartkim nurtem wypowiedzanych słów. Wiedziała, że Jarek nigdy się nie obraża, więc mogła się trochę zatracić. Zawsze czuła się lepiej, gdy na bieżąco mogła pozbyć się z głowy niepotrzebnych myśli.

– Czyli rozumiem, że masz dużo pracy? – sparafrazował rozbawiony szef.

– Dobrze rozumiesz, boss. – Sasanka wciągała właśnie do płuc świeżą porcję słowotwórczego tlenu. Już chciała coś dodać, lecz tym razem to Grzesiuk jej przerwał.

– Dokumenty pani Poniatowskiej? Uszykowałeś? – wstrzelił się w ciszę po przeciwnej stronie. – Pamiętasz, że przyjdzie podpisać aneks o czwartej?

– Pani Poniatowskiej? – Anka przed oczami zobaczyła Janka. Serce zabiło jej szybciej. Te oczy, uśmiech, fryzura. Bardzo polubiła nowego kolegę. Na więcej z pewnością nie będzie mogła liczyć. – Tak. – Ocknęła się z rozmarzenia. – Uszykowałam – skłamała.

– No i bardzo fajnie – odpowiedział kierownik zmiany. – Pamiętaj, aby to migiem załatwić. Pani Natasza nie ma zbyt wiele czasu i wczoraj już marudziła, że musi tu wracać. Ale ona dziś ma to wszystko podpisać. Choćby skały srały! To sprawa życia i śmierci, rozumiesz? Być albo nie być naszej restauracji, ale też ciebie i mnie.

– Tylko nie śmierci, Jareczku – Sasanka odzyskiwała rezon. – Nie strasz mi tutaj kobiety po przejściach – zażartowała. – Spokojna twoja rozczochrana. Ona to dzisiaj szrajbnie, jak nic. Choćby te twoje skały srały, a nawet sikały.

– No, no, tylko bez takich tekstów do swojego bossa – zaśmiał się Jarosław. – Dobra, dobra – uciał nagle. – Wiesz, muszę kończyć. W razie czego – pisz.

– Jeśli zdąży przed tobą chwycić za komórkę... – nie skończyła, bo usłyszała ciszę z drugiej strony. Odłożyła telefon.

Dzisiaj do Świtezi ma wrócić była żona Janka Poniatowskiego? – dumiała. Podpisać brakujący aneks? Nie przyswoiła takich informacji. Czy Jarek na pewno coś mówił? – zastanawiała się skolowana. Chociaż, zaraz, zaraz. Podczas jednej z całej masy porannych rozmów z Grzesiukiem coś jej się chyba obito o uszy. Nic jednak nie pamięta. Czemu?

Pewnie dlatego, że nie skupiała się na mało istotnych faktach. Zwłaszcza na tych, co do których była święcie przekonana, że mogą dotyczyć dnia wczorajszego. A już przepięknej właścicielki Wspaniałych Ślubów szczególnie. I zafascynowanego nową klientką Grzesiuka. Prawdę powiedziawszy, to Anka nie miała najdrobniejszych chęci, by ją dzisiaj zabawiać. Z powodu Janka Poniatowskiego? Czy była zazdrosna? Poczula lekkie ukłucie w żołądku. O, nie! – szybko skarciła się w duchu. Nie mogę myśleć w taki głupi sposób. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. A w dwudziestym pierwszym wieku wszystkie damy z klasą nie żywią prostackiej urazy. O, nie. Ani Janek, ani też nikt z jego najbliższych nie zasługiwał na takie podejście. A może się jeszcze z Nataszą polubią, kto wie? Anka

słyszała przecież wiele pochlebnych opinii o miłej, sympatycznej i dobrze zorganizowanej założycielce Wspaniałych Ślubów. Przecież to wszystko nie wzięło się znikąd.

– No dobra. Szkoda czasu na duperele – westchnęła cicho kelnerka. Samo się przecież nie zrobi. – Do pracy, rodacy – zawołała. – Oby tylko boss dał mi już dzisiaj spokojnie pracować – znów poprawiła styłonowy fartuch i poszła przeszukać zaplecze. Gdzie ta umowa? Gdzie te flepy? Gdzieżeś je wetknął, Jareczku?

---

## Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie Aleksandra Poniatowska, Halina Stępiak

Aleksandra Poniatowska dopiero przed chwilą uporała się ze wszystkimi obowiązkami menadżera czystości. W związku z tym, iż rankiem zaskoczyło ją kilka niezaplanowanych wyzwań, z bólem serca musiała przesunąć poranną kawę w towarzystwie najlepszej przyjaciółki. No! Teraz już nic nam nie przeszkodzi – pomyślała, wychodząc w pośpiechu ze swojego biura. Zamknęła drzwi na klucz i długim korytarzem przeszła na teren pasażu handlowego. O tej porze ruch w galerii zaczynał się już stopniowo nasilać, co widać było po ilości błotnistych śladów pozostawionych na lśniącej posadce wypielęgnowanej podłogi. Aleksandra czym prędzej chwyciła za telefon i wybrała numer sprzątaczkii odpowiedzialnej dzisiaj za utrzymanie czystości w dolnej kondygnacji budynku.

– Gdzie pani jest, pani Lewandowska? – zapytała głosem nieuznającym sprzeciwu. – Kosze niemal się wysypują, a do głównej toalety to bym nawet szczura nie wpuściła. Ktoś rozsypał popcorn w wiatrołapie! Wczoraj rozmawialiśmy na ten temat. Jesteśmy świeżo po kontroli! – Aleksandra poczerwieniała ze wściekłości.

– Jem dopiero śniadanie, pani Olu – usprawiedliwiała się pracownica. – Od rana nie miałam nic w ustach, a już popołudnie. Przepraszam – zawinęła nadgryzioną pajdę w zmiętolony papier. – Już wracam na pasaż.

– To już pani problem – odcięła się Poniatowska. – Trzeba było zjeść coś przed pracą. Nie płacę pani za siedzenie, tylko za utrzymywanie należytej czystości. Zadam pani podstawowe pytanie, pani Lewandowska. Jak się nazywa nasza firma? No jak?

– Blask Wielkopolski – odrzekła wystraszona kobieta niczym uczennica wywołana do odpowiedzi.

– No właśnie! – Aleksandra nie potrafiła mówić cicho, kiedy rozmawiała przez telefon, szczególnie gdy głowę miała pełną trosk. – Tylko że jak się wchodzi do naszej galerii, to nie widać ani należytego blasku, ani wielkopolskiej gospodarności. Jeśli nie weźmie się pani natychmiast do pracy, rozstaniemy się jeszcze dzisiaj – zagroziła. – I to jest chińskie ostrzeżenie! Jeśli wie pani w ogóle, co to oznacza. Wie pani?

– Oczywiście. Ale ja...

– Żadne ale! – przerwała szefowa, przekraczając już próg swojego ulubionego sklepu w galerii. – Za pół godziny sprawdzę efekty. Żegnam panią i radzę wziąć się wreszcie do roboty. Bezczelna, je sobie śniadanie – fuknęła i odłożyła telefon. Ślad rozmazanego brudu pozostał na wyświetlaczu. Co za tupet! – dokończyła w myślach. – Po co mi to wszystko? Mój biedny Janek...

– Co? Znów problemy z pracownikami? – zapytała zaciekawiona Halinka.

– Jak zawsze, kochana, jak zawsze – odparła. Po zdenerwowaniu nie było już ani śladu. Teraz jej mina zdradzała najszczerze wyrazy sympatii i zrelaksowania. Emocjonalny kameleon. – Wiesz jak to jest, gdy się jest zbyt dobrym, Halinko. Dasz palec, a wezmą całą rękę.

– Oj, tak, Oleńko. – Halinka cmoknęła przyjaciółkę w powietrzu. Przyjacielski gest przywitania wypadł nieco mechanicznie. – Zawsze ci powtarzałam, że zbyt dużą swobodę mają te twoje dziewczyny – dodała, choć wcale tak nie uważała. Wręcz przeciwnie. Jej zdaniem problemy kadrowe, z jakimi nieustannie Ola się borykała, wynikały przede wszystkim z nieumiejętnego zarządzania ludźmi oraz braku choćby minimalnego poziomu empatii.

– Wiem, wiem – rzekła Poniatowska, odpowiadając powietrznym całusem. – Ale znasz mnie przecież, słoneczko. Ja po prostu nie potrafię być inna. Ciągłe sobie powtarzam: zmień się i zacznij myśleć o sobie. I jakoś mi nie

wychodzi, pewnie przez moje miękkie serduszko. Jak ma się miękki charakter, to trzeba mieć twardą dupę. Tak mówią.

– Już ja coś o tym wiem, kochanieńka – przytaknęła Stępnikowa. – Widzisz sama, jak jest ze mną i Marianną. Ona wiecznie mnie wykorzystuje. Dziś znów nie przyszła do pracy. Zadzwoiła jak zwykle, że jej nie będzie, ot tak – zaczęła narzekać na szefową. – Ale wiesz co? Zaczekaj... Zamknę sklep na pół godzinki, to sobie spokojnie porozmawiamy. Wchodź na zaplecze i pstryknij czajnik. Woda przed chwilą się zagotowała! – Halinka podeszła do wejścia. Włożyła mały kluczyk do zamka i uruchomiła automat opuszczający srebrną roletę. W szybie powiesiła mocno wysłużoną kartkę papieru z napisem: „Zaraz wracam”. Przygasiła wystawowe światła na znak chwilowego zamknięcia sklepowego boksu. – No i po kłopotcie – stwierdziła. – Mamy chwilkę tylko dla siebie!

– A Marianna nie będzie zła, że zamykasz sklep ze względu na mnie? – zapytała Ola bardziej po to, aby podtrzymać temat nieobecnej właścicielki, niż z samej troski o wzajemne relacje pracujących razem przyjaciółek. Nie pierwszy raz Halinka zamykała przecież sklep, tworząc dogodne warunki do codziennych ploteczek przy kawie.

– A powiem ci szczerze, Oleńko, że gównu mnie to obchodzi. Ona nie martwi się o mnie, zostawiając mnie tutaj ciągle samą, to i ja nie będę martwić się o cały ten bajzel – żaliła się Stępnikowa. – Siadaj, kochana, kupiłam świeżuteńkie delicje do kawki. Częstuj się, na zdrowie.

Przyjaciółki weszły do ciasnego zaplecza. Wnętrzem małego pomieszczenia jak zwykle rządziły dwa, żyjące w ścisłej symbiozie żywioły: przyduszone powietrze i podłoga pokryta stertą sklepowych szpargałów. Aleksandra za każdym razem musiała przyzwyczajać się przez dłuższą chwilę do niekomfortowych warunków panujących w środku. Usiadła zatem przy zagraconym stoliku i od niechcienia wcisnęła guzik plastikowego czajnika.

Halinka wszystko uszykowała. Musiała już wcześniej nasypać kawy do filiżanek i rozpakować paczkę ich ulubionych ciasteczek. Położyła również na blacie dwa malutkie, porcelanowe spodeczki, przyozdobione mnóstwem uśmiechniętych aniołków. Poniatowska zorientowała się, że koleżanka specjalnie dla nich otworzyła nowy komplet ekstrawaganckiej zastawy. Właśnie otwierała usta, żeby coś powiedzieć.

– Sama widzisz, Olu. Weźmy na przykład to nasze zaplecze – Stępnikowa kontynuowała tyradę narzekań. – Ty i ja dziesiątki razy mówiłyśmy Mariannie, aby coś z nim zrobiła. Dobrze wie, że często pijemy tu razem kawę i rozmawiamy o ważnych sprawach. Przydałaby się tutaj kuchnia z prawdziwego zdarzenia. A Marianna? – rozejrzała się krytycznie po klaustrofobicznym wnętrzu. – Ona żyje jakby w innym świecie. Niby nas słucha i tępo przytakuje, ale niestety na tym z nią kontakt się praktycznie kończy. A już ostatnio? W ogóle jej nie ma. A gdy już jest, to dosłownie na chwilę. Wpada i wypada pod pretekstem ważnej sprawy na mieście. Kiedy o coś ją pytam, odpowiada kompletnie od rzeczy, tak jakby mówiła jakimiś przenośniami czy metaforami. Z tego bełkotu nic nie wynika. Jest taka tajemnicza. Dasz wiarę, Oleńko, że nawet ja nie potrafię wydobyć z niej żadnych konkretnych informacji? – Halinka zrobiła głęboki wdech. Chciała jeszcze coś dodać, ale zabrakło jej powietrza. Zdążyła za to poczęstować się czekoladowym ciastkiem. Słodki przerwany z pewnością dobrze jej zrobi.

– A nie domyślasz się, o co może jej chodzić? Chyba nie zawsze była taka? – Aleksandra wykorzystała lukę w pędzącym monologu Halinki. Zwróciła uwagę na plastikowy czajnik, który zabulgotał gniewnie i pstryknął głośno na znak zakończonej pracy. Poniatowska władcym spojrzeniem wydała kulinarny rozkaz zapowietrzzonej gospodyni. Ta wsadziła do ust okrągłą, lekko nadgryzioną delicję i pośpiesznie nalała wrzątku do przygotowanych wcześniej filiżanek. Po chwili miniaturową przestrzeń zaczął wypełniać boski aromat świeżo zaparzonej kawy.

– No jasne, że nie, Oleńko – bełkotała z pełną buzią. – No może i była trochę zamknięta w sobie i tajemnicza, ale widocznie taki już ma charakter. Wiesz, kiedy zaczynałyśmy tutaj pracować, była najszczęśliwszą osobą pod słońcem. Spełniło się jej marzenie o własnym interesie. Podobno całe życie marzyła o sklepie Pod Aniołami.

– Jasne – przerwała Poniatowska. – Marzenia marzeniami, ale czy wiesz cokolwiek o jej przeszłości? Co robiła, zanim wróciła do Polski, miała męża? Dlaczego wyjechała?

– No w sumie to nie wiem – Stępnikowa zamyśliła się, jakby sięgała pamięcią do wszystkich rozmów, które odbyła z nieobecną dziś przyjaciółką. Szukała odpowiedzi na słuszne pytania Aleksandry, lecz ku swojemu zdziwieniu nie znajdowała nic konkretnego. – No wyjechała za pracą, podobno.

– A rodzina, znajomi, czasy sprzed przyjazdu?

– Boże, Oleńko, pytasz jak policjantka – zaśmiała się sprzedawczyni. Widać było jednak, że ostro zastanawia się nad zadawanymi pytaniami psiapsiółki.

– Ano pytam, bo powiem ci szczerze, kochana, że tak sobie ostatnio o Mariannie myślałam. Doszłam do wniosku, że właściwie to nic o niej nie wiem. A powinnam. Zaintrygowało mnie to tym bardziej, że ostatnio Marianna coraz częściej bywa w nieciekawej formie. Proszę, zostaw to tylko dla siebie – Aleksandra zniżyła głos do szeptu. – Ona chyba popija, co?

– No wiesz, Olu. – Halinka poczuła się trochę niezręcznie. Miała wyrzuty sumienia, że rozmawia coraz śmielej o nieobecnej szefowej. – Niestety, muszę przyznać ci rację. Też ostatnio to zauważyłam. musi mieć jakieś poważne kłopoty. Oleńko, powinnyśmy jej jakoś pomóc, nie uważasz?

– No jasne, tylko skoro nie wiemy, o co chodzi, będzie niezmiernie ciężko.

– Musimy chyba wszystkie razem szczerze porozmawiać – zdecydowała Stępniakowa. – Zapytamy ją wprost, czy ma jakieś problemy, i już. – Nabrała wielkiej ochoty na jak najszybsze przesłuchanie Oleckiej i rychłe zapoznanie się z gryzącymi ją zmartwieniami. Zawsze lubiła prześwietlać życie innych, więc tym bardziej nie mogła doczekać się ogromnej porcji świeżutkich zwierzeń. A tymczasem postanowiła przejść do sedna: – A co u Janeczka, Oleńko? Doszedł wreszcie do siebie?

– U Janeczka? – Poniatowska nie była zadowolona z drastycznej zmiany tematu. Nie miała dziś chęci na rozprawianie o swoich rodzinnych problemach. Bierne gadanie, jak do tej pory, nie umniejszyło problemów jej syna. Wręcz przeciwnie. Miała wrażenie, że położenie Janka pogarsza się wprost proporcjonalnie do liczby szczegółów zdradzonych pazernym koleżankom. Dlatego z dużą niechęcią streściła Halinie wszystkie bieżące informacje.

– To mówisz, że się wreszcie spotkali? – Stępniakowa słuchała z wypiekami na twarzy. – Olu, to przecież cudowna informacja.

– No niby tak – odrzekła Aleksandra. – Oby tylko coś z tego wynikło. Tak bym chciała, by znów byli małżeństwem.

– Będą, będą, kochana, zobaczysz. Najważniejsze, że zrobili ten pierwszy krok. I żeby w końcu złapali tego psychopate. – Stępniakowa była w swoim żywiole. Dla takich rozmów warto było zamykać sklep nawet na całą godzinę. – Przecież to, co się dzieje w naszym mieście, to jakiś horror. Często się delicjami, słoneczko – wskazała na porcelanowy talerzyk. – Kupiłam je rano specjalnie dla ciebie.

– Ale, Halinko, obiecuj... – Poniatowska postanowiła zgasić żar nadmiernej ekscytacji, jaki czerwił się na twarzy Halinki. Na dziś miała już dosyć. Pragnęła wyjrzeć na świeże powietrze. – Obiecuj, że nie wspomnisz nikomu o tym, co usłyszałaś. Nawet Mariannie.

– Olu, bo się na ciebie obrażę. Wiesz przecież! Kamień w wodę. A powiedz mi jeszcze kochana, co na to wszystko... – Halina Stępniać chciała jeszcze o coś spytać, lecz w tym samym momencie zadzwonił jej telefon. – Marianna – zawołała w przypiływie emocji.

– Odbierz – Aleksandra szepnęła tak, jakby dzwoniąca mogła ją teraz usłyszeć. – Może dowiemy się, dlaczego dzisiaj nie przyszła. Zapytaj, czy będzie jutro.

– No witaj, kochana – zciekawiona pracownica kliknęła w symbol zielonej słuchawki skaczącej po szybcie i wymownym gestem przytknęła palec do ust. Dała znać koleżance, aby milczała. Zamiast przybliżyć komórkę do ucha, włączyła tryb głośnomówiący. – No mów, Marianko. Właśnie ogarniam zaległe faktury – skłamała.

– Halinko, zaraz będę, parkuję samochód. Wstaw, proszę, wodę na kawę i zadzwonił szybko po Olę. Muszę wam coś opowiedzieć – zaśpiewny głos właścicielki opanował małą, przyduszną kanciapę. Siedzące w niej przyjaciółki niezwłocznie wymieniły spojrzenia. Być może dowiedzą się wreszcie czegoś konkretnego.

---

Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie  
Natasza Poniatowska

Natasza właśnie zamykała biuro. Przemarzała w nim dzisiaj doszczętnie. Parterowy lokal w starej kamienicy był wyziębiony. Będzie musiała wreszcie coś z tym zrobić. Jutro wyśle pismo do administracji. Albo natychmiast podłączą centralne, albo ekspresem się stąd wyprowadza. – Klienci też nie są zmiennocieplni – syknęła, zgrzytając zębami.

Przez cały dzień w pracy nie mogła się skupić. Długi czas myślała o znajomych Janka. Przede wszystkim o tym, czy jeszcze w ogóle żyją. Jeśli tak, to gdzie i w jakich warunkach są przetrzymywani. Co robią, o czym myślą, jak bardzo się boją? Zastanawiała się nad tym, czy uda się ich odnaleźć. Od wczorajszej kolacji w Świtezi oraz od chwili, w której późną nocą pierwszy raz w życiu zobaczyła na własne oczy realną groźbę pozbawienia życia, dotarło do niej naprawdę, w jak wielkim niebezpieczeństwie może znajdować się Janek. I choć wiedziała, że akurat on jest jedną z ostatnich osób na świecie, która pozwoli się złapać temu psychopacie, jej niepokój zwiększał się wraz z każdą mijającą chwilą. Wprost proporcjonalnie do spadającej na zewnątrz temperatury.

Ileż by dała, by móc teraz jechać do domu. Mieć ich z powrotem przy sobie. Obu. Widzieć ich ciepłe uśmiechy. Słyszeć wesołą rozmowę. Wślizgnąć się w szlafrok i zaparzyć kawkę. Włączyć znany serial, odpocząć. A przecież ma jeszcze tyle do załatwienia. Świtez, Remik z treningu, poczta, zakupy, tankowanie...

– Ech, dni są zbyt krótkie, a doby się chyba skurczyły – westchnęła zrezygnowana. Pomyślała o tym, jak ciężko żyje się zimą oraz jak bardzo chciałyby mieszkać w innej części świata. Takiej gorącej przez cały okrągły rok. Bez śniegu, deszczu, wiatru i zdeptanego błota paskudzącego nastroj. Zimą nigdy nie mogła jakoś uwierzyć, że w Polsce również występuje lato. Nastają suche i ciepłe miesiące. Do głosu dochodzą wonne, śródziemskie wieczory cykające skwarem i szumiące pulsem gasnącego zgiełku. I dokładnie tymi samymi ulicami miasta, które dziś spowił ziąb przegniłego wiatru, można spacerować, ot tak, po prostu. I wcale nie marznąć. Bez czapki, szalika, grubej puchowej kurtki i całej reszty warstw niepotrzebnych ubrań. Jeszcze kilka długich miesięcy – przemyśliwała. Wiosna przecież też lubi być kapryśna. Oby szybko zleciało.

Nawet się nie spostrzegła, kiedy dotarła na parking. To chyba z zimna tak bardzo przyśpieszyła kroku. Wyjęła czym prędzej kluczyki z torebki oraz wcisnęła odpowiedni guzik. Mokre reflektory czerwonego opla zamrugaly jasnożółtym światłem. W ich krótkim, pulsującym blasku Natasza kogoś spostrzegła. Spojrzała za siebie, by móc zauważyć więcej. Jakiś kierowca wsiałł szybko do samochodu. Odpalił silnik w pośpiechu, a potem z miejsca odjechał. Natasza nie mogła widzieć jego twarzy. O tej porze dnia było już całkiem szarawo. Zwróciła tylko uwagę na jego samochód. Widziała go całkiem niedawno? Tylko gdzie, do cholery! – analizowała. Była przekonana, że ta informacja jest w tym momencie dla niej niebywale ważna. A może to jakiś mój klient? Najprawdopodobniej...

Wsiadła do auta, ucinając myśli. Kierunek pierwszy: restauracja Świtez. Zerknęła na zegar w kokpicie: szesnasta czterdzieści. Cudownie. Powinna być u nich o czwartej. Jak zwykle jest niezmiernie spóźniona. No trudno. Przynajmniej będą tam z wszystkim gotowi.

Nie dla niej dziś trudy długiego czekania. Właśnie uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Od rana nie miała nic w ustach. Poza rogalikiem i wylaną kawą. Może przekąsi coś u nich na szybko? Miała ochotę na pikantne flaczki. Albo na staropolski żurek, podawany w chleбку z gotowanym jajkiem. Smaczny początek wieczornych sprawunków. Poprawiła włosy i zapięła pasy. Z radia zagrała muzyka. Odjechała z wolna, śpiewając swój ulubiony kawałek. Na brudnym asfalcie zostały niknące ślady bieżnika. I pomięta kartka, której nie widziała.

---

Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie

Aleksandra Poniatowska, Halina Stępnia, Marianna Olecka

– Boże, Halinko, jestem szokowana. Rozumiesz, coś z tego wszystkiego? Jaka przemiana, jaka lekkość? Ostatnia droga krzyżowa? Znalazła się nagle Matka Marianna od Aniołów. Wierzysz w tę jej historię? Tak było naprawdę? Co za obłądny bełkot. – Ola Poniatowska nie wytrzymała napięcia. Z oschłymi komentarzami nie zaczęła nawet, aż cień przyjaciółki zniknie doszczętnie za szklaną witryną.

Właścicielka anielskiego sklepu zjawiła się w pracy, gdy wystawowy zegar oznajmił szesnastą. Lekkim krokiem weszła na zaplecze. Świeżo wykąpana w Piątce od Chanella, otulona bielą luksusowych ubrań, wspomagana czarem jubilerskich skarbów, błyszcząca splendorem jak gwiazda. I nawet ruda, ceramiczna lalka, którą Halinka sprzedała dziś rano, nie miała tak równo poskręcanych loków. Ale dziś Marianna nie była oziębła ani uszczypliwa. Przeciwnie. Uśmiechała się szczerze. Jakoś tak prosto, życzliwie, normalnie. Oczywiście miłe. Nie była dziś sobą w najdrobniejszym stopniu. Dziewczyny jej takiej nie znały.

Halinka nie wzięła nawet do ręki teczki z napisem „faktury”, których przeliczaniem ponoć się właśnie zajęła. Stwierdziła, że nie ma sensu udawać wielce zapracowanej, skoro i tak siedziała już z Olą przy świeżo zaparzonej kawie. Zdążyły nawet do cna opędzlować pękata tytkę świeżutkich delicji. I niech sobie Olecka myśli, co jej się żywnie podoba. Akurat to, że wiecznie nie ma jej w sklepie, bo sama traktuje ludzi jak stęchłe powietrze, w najmniejszym stopniu nie powinno niszczyć dobrych relacji reszty towarzystwa. Stępniakowa stwierdziła, że grzecznie wysłucha, jakież to wieści ma dla nich dzisiaj Marianna, a później wygarnie błędzącej w chmurach szefowej od serca. Powie jej w końcu, że odchodzi z pracy. Ma po dziurki w nosie tych jej fanaberii. Jak i całej reszty tego bałaganu.

– O, świetnie Oleńko, że jesteś dziś u nas. Znowu jesteśmy w komplecie – zaczęła rozmowę Marianna. Nie chciała dziś zwracać uwagi na gniewne spojrzenia Halinki. Koleżanka nie musi już nic podejrzewać. Za chwilę dowie się przecież wszystkiego. – Chyba nadeszła odpowiednia chwila, abym zdradziła wam prawdę o sobie.

– Jaką prawdę, Marianko? – zaczęła niepewnie Halinka. Ciekawość ją zżerała. – Pięknie wyglądasz, jakoś tak korzystniej... niż ostatnio – pokusiła się o komplement, by zachęcić szefową do zwierzeń.

– Oj, tak, tak, kochana – wtrąciła się Poniatowska. – Też tak uważam. Po prostu wyglądasz super. – Zbliżyła do ust filiżankę i zachłannie upiła łyk parującej kawy. – A co się stało, słodziutka? Powiedziałaś, że... – Ola nie dokończyła. W sumie to przecież nie musiała wiedzieć, o czym Marianna rozmawiała z Halinką przed chwilą.

Olecka siadła przy okrągłym stole na pustym krześle pod ścianą. Ciekawskie twarze obu przyjaciółek widziała dokładniej niż zwykle. Jakby śledziła ich obraz przez lupę. Żadna z nich nie śmiała się nawet odezwać. Czekwały cierpliwie na rozwój wydarzeń. Marianna nie chciała już zwlekać. Wyjęła z torebki małą kopertę z odręcznym napisem.

– Halinko... – zaczęła odważnie. – To ważny dokument dla ciebie. Przeczytaj dokładnie, lecz dopiero jutro. Bardzo cię proszę, jutro. Obiecay mi, że nie otworzysz dzisiaj, zrozumiałaś? – spytała głosem zniżonym do szeptu.

– Oczywiście, Marianno – skłamała. – Zrobię dokładnie tak, jak zechcesz. Mimo że Halina Stępniak przytaknęła, raczej nie uszanuje prośby przyjaciółki. Nie da po prostu rady.

– Olu, kochana moja – ciągnęła Olecka. – Nie myśl sobie, że robię coś za twoimi plecami. Nie mogłabym. To są... – urwała dotykając ręką białego papieru. Złotą bransoletkę stuknęła o stół – ...sprawy formalne. Nie mają wpływu na to, co jest między nami. Ani też na to, co będzie za chwilę. Chcę, żebyście tylko wiedziały, że w tych okolicznościach widzimy się dziś po raz ostatni. Nie widzę innej możliwości. Wszystko mam ustalone.

– Testament! – krzyknęła Ola zbyt głośno. Dopiero później zorientowała się, że słyhać ją było za ścianą. – Marianno? Czy ty jesteś chora? Umierasz? O Boże! A my... Myśmy myślały, że coś... – teraz już niemal szepotała.

– Nie, nie umieram, a to nie testament – zaśmiała się cicho Marianna. – Nie wybieram się jeszcze na tamten świat. Zmieniam jedynie miejsce swej pokuty. Na takie, jakby to w słowa ująć, bardziej odpowiednie dla wielkiej grzeszniczki. I uprzedzę z miejsca twoje następne słowa. Nie, moja droga, nie włożę habitu w zakonie, chociaż nawet myślałam o tym rozwiązaniu – rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu. Żywy karmin szminki zapłonął szczerością.

– A jeśli chodzi o ciebie – spoważniała nagle i straciła humor. Chwyciła Olę za rękę. Długo nie zwalniała mocnego uścisku – Nie będzie to lekka opowieść. Kiedy poznasz, kim naprawdę jestem, znienawidzisz mnie – dukała. – Pewnie już całkiem. I Janek... On to przede wszystkim. Zbyt wiele wycierpiał. To, co zaraz powiem, może odmienić twój pogląd na sprawę. Wiesz wtedy, dwadzieścia lat temu, wiedziałam od zawsze, co wówczas się stało. Powinam powiedzieć ci wszystko od razu, gdy tylko się poznałyśmy. Ale nie zrobiłam tego. Skłamałam, przepraszam. Dziś nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Oczyszczam się z grzechów i poczucia winy. Moje anioły

są już samodzielne. Dałam im dom i dzieciństwo. Tego najbardziej pragnęły. A ja? Muszę już tylko pożegnać się z wami. Rozgrzeszyć się dzisiaj do końca. Jutro już nas nie będzie. Mnie, nas i niczego...

Opowieść Marianny trwała niecałą godzinę. Opowiadała o tym, kim była naprawdę, jak żyła, czemu wciąż kłamała, jak krzywdziła ludzi i paliła mosty. Za sobą. Ciągłe wspominała o głośnej tragedii z przeszłości. Głośno podkreślała, jaki miała udział w tej okrutnej zbrodni.

Bo przecież one tego chciały. Tak jej kazały. Anioły. Przyznała się szczerze, że ją zniewoliły. Te, którym tak bardzo ufała, dla których zrobiłaby dosłownie wszystko. Z początku tego nie czuła. Zmamiły ją bielą, by osmolić serce. Oddała im duszę bez reszty. Zająły jej serce, niszcząc życie innych. Dziś była już tego świadoma.

Aktualnie, jak to w punkt nazwała, krocząc drogą ostatniej pokuty, była zła na siebie. Głównie dlatego, że zbyt późno przejrzała na oczy. Zrozumiała po fakcie, w jak przerażającym żyła zakłamaniu. Przeświadczeniu, że one wcale jej nie wykorzystały po to, by Marianna mogła wyzyskiwać innych. Nie dla własnych celów, lecz po prostu dla nich. A jej samej dały lśniący ochłap. Nudną gorycz poczemniałych zbrodni lukrowały resztką powierzchownych uciech. Dała się nabrać na wszystko. Na cały ten świat otulony bielą. Kiedyś mówiły: jesteś wyjątkowa. Wierzyła w to mocno. Czuła się wybranką. Miała w życiu wyjątkowe plany i boskie wsparcie w ich realizacji. A one? Stały się kiedyś jej przewodnikami.

Olecka zastanawiała się krótko. Ale tylko przez chwilę. Wcześniej nie doszła do takowych wniosków. Dopiero tutaj, w sklepie. Czy to nie demony? Mogła się tak pomylić? Nie! Na pewno nie... Tego nie dałaby sobie powiedzieć. Żadne demony, lecz chiwe życia anioły. Bardzo zachłanne i niezwykłe.

Kiedy Marianna w swojej opowieści dotarła już niemal do końca, czyli do wczorajszej wizyty w domu starego Bernarda, zastanowiła się jeszcze nad jednym. Oczywiście zauważyła to wczoraj, jednak nie zapisała w głowie tej informacji. Były to bowiem mało znaczące, poboczne okoliczności, które przecież nie miały dla niej w ogóle znaczenia. A może powinny mieć? Docierało to do niej właśnie tu, przy stole. Opowiedziała o swych wątpliwościach Oli i Halince. Że słyszała trzaski i dziwne odgłosy. Dochodziły z tyłu gospodarstwa. Jednego nawet się wystraszyła. Było ciemno i zimno, a gdzieś z zabudowań ciągle ulatniał się gaz. Bała się podchodzić. Szybko wróciła do domu.

– Nic z tego nie rozumiem, Oleńko. Fiksum dyrdum i dwie kołomyje – Stępniakowa mówiła szeptem, wodząc wzrokiem za opuszczającą sklep właścicielką. Złote pukle jej skaczących loków zniknęły powoli za szybą. – Jak myślisz, co jest w tej kopercie? Myślisz, że mogłabym...

– Nic nie mów, Halinko! – Aleksandra była już głową gdzie indziej. – O Jezus, podaj mi torbę kochana, szybko! Muszę zadzwonić do Janka! Jezus, Maryja! Boże święty!

---

Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie

Natasza Poniatowska

Zmarznięta Natasza wysiadła z auta z tęsknotą za ciepłem, które niechętnie zostawiała w środku. Przez tę krótką podróż z pracy do Świtezi rozgrzała się tylko troszeczkę. Trudno, ogrzeje się mocniej przy żurku. Czasu miała mało, lecz powinna zdążyć. O piątej trzydzieści musi być po syna. Do miejsca, w którym Remigiusz najczęściej trenował, było stąd przecież dość blisko. Nie więcej, niż pięć minut jazdy samochodem. Miała więc dla siebie jakieś dwa kwadransy. No, może nie całkiem dla siebie. Raczej dla przyszłości jej Wspaniałych Ślubów. Zaplanowała, rzecz jasna, większy zapas czasu, aby na spokojnie przeczytać kolejną wersję umowy, zanim ją znowu podpisze. Ale cóż... Życie! Coś jej nie zagrało i plany w łeb wzięły. O tym, że przez brak profesjonalizmu szefów restauracji podczas sporządzania pierwszego kontraktu musiała tu dzisiaj być znowu, wołała już nawet nie myśleć. Po co więc się złościć? To i tak niczego nie zmieni. Lepiej pomyśleć o pysznej kwaśnicy i ciepłe Świtezi kojącym jej stresy.

Zamknęła samochód, wciskając guzik w pilocie, a potem pośpiesznie ruszyła w stronę służbowego wejścia. Tego, przez które do środka wpuszczono ją wczoraj. Aby dotrzeć do niewidocznych z ulicy białych drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”, musiała przemierzyć całą długość klockowatego gmachu. Z ciągnącego się wokół restauracji,

nieoświetlonego nawet wąłym światłem placyku, który latem tętnił gwarem piwnych ogrodów Świtezi, widziała skrzącą się w blasku latarni, rwącą ton niestrudzonej rzeki. Niespokojny wiatr hulał w nadbrzeżnych zaroślach. Szarpał wyschniętą kępą tataraku i niszczył przegnite sitowie. Nie oszczędzał także wybująłych krzewów, rosnących ciut bliżej Świtezi. Gdyby je podciąć fachowo, mogłyby stworzyć żywoplot – pomyślała.

Spojrzała niechętnie w ich stronę. Oprócz zimnych wpływów porywistego wiatru ujrzała w ich gąszczu coś jeszcze. Ruch, którego nie mógł wywołać nawet najsilniejszy podmuch styczniowego szkwału. W tej chwili wołała jednak o nim nie rozmyślać. I wejść jak najszybciej do środka. Przyspieszyła kroku. Niemal biegła. Obejrzała się szybko za siebie.

– Ciemno jak w horrorze i żywego ducha... W co ja się znowu pakuję? – szepnęła, chcąc dodać sobie animuszu. Obłok białej pary uleciał w powietrze. – Mogłam wejść jak wszyscy od strony ulicy – dodała.

Na szczęście była już prawie przed drzwiami. Już dobrze widziała ich białawy zarys. Jeszcze kilka kroków i szarpnie z impetem za klamkę.

Ale zamiast biec do przodu, stanęła w bezruchu. Słuchała, jak dudni jej serce. Coraz głośniej i szybciej. Ściśnięty żołądek podchodził jej do gardła. Ten chrobot sprzed chwili nie mógł być przecież uludą. Śmiałe, ciężkie kroki ścierające beton. Ucichły, gdy tylko przystanęła w miejscu. Zamknęła oczy w modlitwie. Poprosiła Boga, by, gdy je otworzy i spojrzy zuchwale za siebie, nie widzieć nic więcej ponad mrok przestrzeni.

Nagle poczuła uścisk. Tak silny, że miażdżył jej szyję. Próbowała krzyknąć, szukając pomocy. Za późno. Ktoś zatkał jej usta. Wiła się przez moment zaciśnięta w klinclu. Chciała się jakoś uwolnić. To największa z głupot, poddać się teraz bez walki. Tylko... Jakie w ogóle ma szanse?

Pomyślała, że lepiej się nie odwracać. Jeśli ten ktoś z za jej pleców miałby jej teraz coś zrobić, dokonałby tego już dawno. Była ku temu sposobność. Natasza odsunęła więc ręce od zaśmierdłej dłoni, która tak bardzo ścisnęła ją w szyi. Zahaczyła o coś nieswojego. O coś, co nagle upadło na zmarznięty beton. Melodyjnym dźwiękiem udawało metal lub odłamki pokruszonego szkła. To ostatni bodziec, jaki odebrała, zanim straciła przytomność.

---

Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie

Anna Sass

Sasanka miała już dosyć. Intensywna praca zabiła dzisiaj jej stresy, ale również ją samą. Jeśli za chwilę nie zakurzy fajki, nerwy rozszarpią jej trzewia. Na całe szczęście Jarek się wreszcie odczepił. Nie dzwonił już do niej od ponad godziny. Pomyślała, że zajął się wreszcie czymś bardziej szlachetnym, niż kontrola zdalna i rozkazy online.

– Przerwa – oznajmiła radośnie, wkładając do ust papierosa.

Wyszła w pośpiechu z ciasnego zaplecza. Przeszła przez wąski korytarz i rozpostarła skrzydło białych drzwi na tyłach, wypadając przez nie na zewnątrz. Cofnęła się szybko po chwili.

– Ciemno jak w dupie! – zaklęła przez zęby. – Szlag! – dodała, gdy papieros poturlał się gdzieś w szarą otchłań.

Pacnęła pstryczek nerwowo. Biały strumień jaskrawego światła rozbłysnął tylko na chwilę, a potem zgasł razem z krótkim sykiem. Super. Jeszcze mi przyjdzie wymieniać żarówkę! Co to, to nie. Przyjdzie jutro Jarek i zajmie się wszystkim – skontestowała.

Wyszła znów z budynku. Z wielkim trudem odnalazła zgubę. Zapaliła fajkę i ścisnęła poły pikowanej kurtki.

– Ciemno i szaro – szepnęła, tworząc ustami zadymioną mgiełkę. Dygotała. Trochę z zimna i trochę z pośpiechu. By się lekko rozgrzać, zrobiła kilka kroków przed siebie, tupiąc i przeskakując z nogi na nogę.

Zastanawiała się, gdzie się też podziała piękna właścicielka firmy od mariaży. Była żona cudownego Janka. I choć ciągle dostawała małego kuksańca w żołądek, ilekroć myślała o pani Nataszy Poniatowskiej jako o partnerce jej nowego kumpla, stopniowo zaczęła się martwić. Kobieta miała być w knajpie o czwartej. Anka zbliżyła lewą rękę do twarzy tak, by poprawnie odczytać układ wskazówek w zegarku. Szesnasta pięćdziesiąt dwie. Spóźnia się. A może jej dzisiaj w ogóle nie będzie? Zapomniała czy jak?



Musi jak najszybciej zadzwonić do Jarka i powiedzieć mu do razu, że dokumenty, o których wcześniej rozmawiali, raczej się dziś nie podpiszą. Przynajmniej szef jutro nie będzie jej robił wymówek. Ale najpierw w ciszy dopali do końca. Należy się jej przecież chwila błogiej przerwy. Zapracowała dziś na nią bezdyskusyjnie.

Wzięła głęboki, tytoniowy oddech. Chciała się nim zrelaksować. Nie myśleć przez chwilę o niczym. A może bardziej o nikim? Przymknęła znużone powieki, uwalniając z płuc balsamiczny dymek. Jeszcze jeden, drugi, a potem kolejny. Nie zwróciła nawet uwagi, kiedy czerwień żaru odpadła z ustnika. Rzuciła peta na ziemię, depcząc go odruchowo. Pod cienką podeszwą wyczuła jednak coś jeszcze.

A to co, do diaska? Schyliła się. Wzięła do ręki brudne znalezisko: kawałek metalu na cienkim łańcuszku. Była zszokowana. Nie tym, jak wiele można zobaczyć w ciemnościach. Bardziej tym, jak wiele można zrozumieć w jednym ułamku sekundy. Nie, nie zadzwoni teraz do szefa. Musi natychmiast porozmawiać z Jankiem.

---

## Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie

### Jan Poniatowski

Cisnął w kąt zmiętolony papier. Pastwił się nad nim już ponad godzinę i jeszcze go nie olśniło. Wkurzył się tylko, nic więcej.

Analizował wszystko raz jeszcze. Wypisał na kartce najważniejsze fakty. Począwszy od chwili, w której odebrał pierwszy głuchy telefon, poprzez listy z chorymi pogroźkami, na śmierci Joanny i porwaniu przyjaciół skończywszy. Nic w tym nie trzymało się kupy. Ogrom rozbieżności i mało wskazówek. Przeszłość Jana Poniatowskiego, chaos religijnych komunikatów i postać ubrana na czarno. To ona zabiła Joannę? Karolina, Sebastian... Czy jeszcze żyją? Jeśli tak, to jak ich odnajdzie?

Wstał od stołu i poszedł do kuchni. Ekspres był jeszcze włączony. Wcisnął dwa najbardziej wytarte przyciski. Duża i mała do jednego kubka. Cienki strumień parującej kawy przeciął powietrze jak laser. Kilka szybkich łyków, a potem pomówi z Nataszą. Spojrzał na tarczę zegara. Powinna już być po pracy. A może wieczorem spotkają się znowu, kto wie?

Nie zdążył nawet dokładnie o tym pomyśleć, kiedy w salonie rozległ się sygnał komórki. Telepatia – stwierdził. Ona zawsze działała w ich związku. Tak samo jak robienie tych samych rzeczy w tym samym czasie. Cieszył się, że przynajmniej ta część jego życia wracała stopniowo do normy. Byleby tego nie schrząnąć – rozkazał sam sobie i podniósł telefon ze stołu.

Anka? Nie teraz, pomyślał i odrzucił połączenie. Zauważył też kilka nieodebranych połączeń od matki. O, nie – zdecydował. Później do niej oddzwoni. Kliknął w ikonkę ostatnich połączeń. Natasza śmiała się ciągle z małego zdjęcia na górze. Już prawie dosięgnął jej kciukiem, kiedy nadeszła wiadomość. Nie chciał jej teraz otwierać, ale przeczytał fragment w oknie szybkiego odczytu: „Odbierz! Chodzi o symbol. Wiem, gdzie go...”.

Dotknął ekranu, by zobaczyć więcej. Serce zabiło mu szybciej. Telefon nie reagował. Mocno zastukał w wyświetlacz. Prawie rozbił szybkę.

– Co za chińskie gówno – krzyknął. – Błagam, nie teraz! Nie w takim momencie.

Skierował głowę ku górze, prosząc niebiosa o wsparcie. Kiedy ponownie spojrzął na wyświetlacz, wiadomość od Anki była już otwarta. Wiedział już wszystko.

– To niemożliwe – szepnął. – Jak? Dlaczego? Kurwa!

## ROZDZIAŁ 9

Piła, 14 stycznia 2016, popołudnie  
Jan Poniatowski, Anna Sass

Zahamował w ostatnim momencie. Prawie skosił lampę przed wejściem do knajpy. Nowej przyjaciółki również nie zauważył. Ledwie odskoczyła z krzykiem.

– Zwariowałaś? – odczytał pytanie z ruchu warg Sasanki. Postukała dłonią w brudną maskę kanarkowej hondy. – Wiedziałaś, że jeździsz jak wariat, ale to już przesada – dokończyła, wsiadając do środka. – Nie jesteś na torze rajdowym.

– Przepraszam – odrzekł Poniatowski. Widział, że jest w dużo lepszej formie niż wczoraj. – Śpieszyłem się.

– Ale do mnie? – zażartowała. – A to wybaczam.

– No tak... – nie wiedział, co odpowiedzieć. – Umówiliśmy się przecież.

– Dobra, dobra. Rozumiem – znów się uśmiechnęła. – Też tak czasem jeżdżę, jak są przeceny w galerii. Kiedyś to nawet w trzy minuty dojechałam tam z pracy. Ale się opłaciło, mówię ci. Jedna moja klientka w sekrecie mi powiedziała, że mają nowe torebki za bezcen. A wiesz, było już późno, a ja byłam w pracy...

– Anka – przerwał jej nagle. Zbyt się rozkręcała. – Masz ten łańcuszek? Pokażesz?

– No mam, oczywiście.

Włożyła rękę do kieszeni kurtki.

– No nie! Wpadł do tej dziury w podszewce – jęknęła. – Czekaj... No właśnie, á propos. Nowym płaszczykiem też nie będę gardzić. Najlepiej teraz kupować, prawie za pół darmo. Ech... – westchnęła. – Przez to wszystko nie mam nawet czasu uderzyć na shopping. Może jutro coś wykombinuję albo nie. Lepiej...

– Jesteś pewna, że to jego? – zapytał Janek stanowczo. Nie dał szans Sasance odlotu w swoją stronę.

– Na dwieście procent – rzuciła stanowczo. – Zaraz ci to pokażę. Ależ wpadło dziadostwo. Dno dna, normalnie. No mówię ci, taki nowy płaszcz z kieszeniami...

– Tylko czy to ma jakiś związek? – zastanawiał się Poniatowski. Naszły go wątpliwości. Nie tak jak przed chwilą, w której był pewien, że znalazł wreszcie odpowiedź. – Masz?

– Mam. O... proszę.

Cienki łańcuszek i mały znak szatańskiego krzyża. Gdy Anka błysnęła mu srebrem przed nosem, poczuł się jak w hipnozie. Jakby ktoś usypiał go wahadłkiem. I jeszcze ten trupi zapach. Anka znów była nim przesiąknięta.

– Janek – potrząsnęła nim kelnerka. – Nie odbierzesz? – Przestał wirować w zaświatach. – Jesteś?

– Co? – odrzekł Poniatowski. Cieszył się, że wyrwała go z niemilego transu. – A, tak. Podniósł telefon z półki na kokpicie. Remigiusz.

– Tato, tato... – synek zanosił się płaczem. – Ktoś z twojego banku zabrał mnie z treningu. Mówił, że jesteś w szpitalu. A potem mnie zabrał. A wczoraj mówiłeś, że nie pozwoliś mi jechać gdzieś bez was. Boję się bardzo, tato.

– Remik? – Jankowi zrobiło się gorąco. – Nie płacz, Misiek, wszystko będzie dobrze – próbował go pocieszać. – Tata cię uwolni. Gdzie jesteś?

– No w samochodzie, w bagażniku. Wrzucił mnie do środka. Zakleił buzię, ale bardzo słabo. Dzwonię, bo kiedyś mówiłeś, że jakby coś się stało, to...

– Bardzo dobrze zrobiłeś, kochanie – krzyknął Poniatowski. Nerwy zaczęły mu puszczać. – A teraz mnie dobrze posłuchaj, słyszysz? – Zerknął na milczącą Ankę. Szukał w jej oczach ratunku i iskry pomocy w działaniu. Strachu jednak w tak wielu kolorach nie widział nawet u Muncha. Doszczętnie struchlała. Jak po porwaniu Janickiej. – Remik?

– Tak, tato, słyszę.

– A znasz tego mojego kolegę? – Janek sam nie wiedział, o co ma zapytać. Bał się, że coś nagle przerwie połączenie. – Widziałeś go już kiedyś?

– Nie, tato. Powiedział, że pracuje z tobą – chlapał kilkulatek. – Myślałem że to ten nowy. On nie wie, że do ciebie dzwonię. On jest bardzo zły, tato... Ma taką srogą minę.

– Słuchaj mnie teraz – nakazał Janek stanowczo. – Schowaj gdzieś telefon i go nie wyłączaj. Ścisz go tylko, słyszysz? Żeby ci go nie zabrał! Najlepiej do majtek schowaj. Zaraz się rozłączymy. Ten pan nie może wiedzieć, że rozmawialiśmy i że w ogóle masz przy sobie telefon, rozumiesz?

– Tato, proszę nie rozłączaj się – błagał w spazmach chłopiec. – Mów do mnie! Znajdź mnie! Bardzo się boję... Gdzie mama?

– Znajdę, obiecuję – zapewnił, spychając w cień wątpliwości. Dopadnę skurwiela! – pomyślał. To, co robił jemu, mogło psychopacie jeszcze ująć na sucho. Lecz teraz stanowczo przesadził. Znajdzie go, a potem po prostu zabije. Rozszarpie na tysiąc kawałków. Innej drogi nie ma, jeśli choćby włos spadnie z głowy Remika.

„Gdzie mama?” – słowa przedszkolaka huczały mu w głowie jak grzmot zwiastujący burzę. Dwa krótkie wyrazy. Zwykle pytanie, a było w ich brzmieniu absolutnie wszystko: strach, żal, niepewność, tęsknota, nadzieja i miłość. Wiara, że mama go zaraz przytuli. Zawiezie do domu i zrobi kolację. Dziś raczej tak się nie stanie i Janek nie umiał się z tym faktem pogodzić. Jak mógł dopuścić do tego wszystkiego? Powinien przecież przewidzieć... Przed oczami wyświetlił mu się teraz fragment ostatniego listu. Czytał go jeszcze przed chwilą. „Znasz jakąś odpowiednią osobę? Rozejrzyj się wokół siebie i pomyśl!”

– Tato, jesteś tam? – zapytał Remigiusz. – Słyszysz mnie? Tato?

– Tak, słyszę – odpowiedział Janek. – Zrób tak, jak ci mówię. Schowaj telefon.

– Dobrze, tatusiu. Znajdziesz mnie?

– Tak, znajdę, bądź dzielny, synku. Wszystko będzie dobrze. Kocham cię, pa...

Przerwał połączenie w ostatnim momencie, zaraz by się całkiem rozkleił. Nie mógł i nie chciał się poddać słabości. Nie teraz. Kątem oka ocenił Sasankę. Nadal tkwiła w stuporze. Może i lepiej w tej chwili. Co robić? Natasza... Musi jej powiedzieć. A może nie? Zdecydowanie tak! Gdy ona pojedzie odebrać Remika i go tam nie zastanie, wpadnie w panikę. Nie poradzi sobie z sytuacją. Nie ona.

Spojrzał na telefon. Zdjęcie Remika zniknęło właśnie z ekranu. Na znak pożegnania chciał je jeszcze musnąć opuszkami palców, ale nie zdążył. Nie mógł opanować drżenia rąk i dreszczy, które jak seria zastrzyków właczały do żył przerażenie.

– Janek – Anka przemówiła szeptem. – Powiedz, że to nie jest prawda.

– Porwał Remika, rozumiesz? – wrzasnął, zamiast odpowiedzieć. – Skurwysyn! Zajebię go, kurwa, zapierdołę chuja! Znow zaczął stukać palcami w telefon. – No działaj, kurwa!

– Co robisz? – chciała wiedzieć Anka. Była nad wyraz spokojna albo jeszcze w szoku.

– Nie wiem, kurwa, nie wiem. Spróbuję Remika namierzyć. Mam taką aplikację. Oby się udało. Muszę zadzwonić do Nataszy. Ona się zabije – wrzeszczał, a łza bezradności spłynęła mu po policzku. A później druga, większa.

– Znajdziemy go, zobaczysz – odparła. – Czuję to. Włącz namierzenie, daj mi telefon i jedź. Ja zadzwonię do Nataszy. Miała być u nas o czwartej, ale nie przyszła. Wiedziałeś?

– Co za gówno – narzekał na wolne działanie smartfona. – Co? – zapytał. – Nie, nie wiedziałem. Tak. Ty zadzwonił. I jeszcze do Jahncu.

– Daj, ja to włączę – zaproponowała kelnerka. – Uspokój się, a wszystko będzie dobrze.

– Udało się, jest – zakomunikował po chwili. – Trzymaj telefon i nie wychodź z tego – wskazał palcem mapę na małym ekranie. Są za Piłą, jedenastka, Ujście. Nie dogonię ich, kurwa!

– Jedź! – wydała rozkaz, jak pilot na rajdzie. – Dogonimy ich. I dawaj ten numer.

Poniatowski ruszył z piskiem opon, jak zawsze. Na mokrym parkingu zostawił ślad nadpalonej gumy oraz woń czarnych spalin. Nie podda się teraz bez walki. Dostyc tych podchodów. Dopadnie psychola, nawet na drugiej półkuli.

Natasza nie odbierała. Po kilku sygnałach ciągle włączała się poczta. Jan martwił się niezmiernie, lecz nie miał szansy nic zrobić. Nie mógł już zawrócić. Kazał Sasance próbować do skutku. Bardzo się cieszył, że jest obok niego.

Za to na Jahncu zawsze mogli liczyć. Odebrał jak zwykle po pierwszym sygnale. Był podniecony rozwojem wydarzeń. Obiecał działać natychmiast. Im oczywiście surowo tego zabronił. Bezwzględny nakaz robienia niczego, pod groźbą kilku paragrafów, których Anka nie spamiętała. Aspirant prosił o podanie numeru, z którego dzwonił Remigiusz, i danych do konta gmail.

---

## Piła, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

### Jan Poniatowski, Anna Sass, Aleksandra Poniatowska

Żółta honda Poniatowskiego mknęła ulicami miasta. Anka spojrzała w stronę kierowcy. Była ciekawa, czy Janek ma świadomość szaleńczej jazdy wiaduktem, kilkanaście metrów nad ziemią. Nawet nie drgnął za kółkiem. Wrzucił tylko wsteczny i wrócił na drogę. Złamał dziś chyba wszystkie możliwe przepisy. Już za samą prędkość właśnie stracił prawo. Kiedy sunęli Poznańską, licznik wskazywał ponad sto trzydzieści.

Byleby tylko nie minąć drogówki – modliła się, w dłoniach ściskając oba telefony. Pierwszy z przesuwaną się mapą na ekranie, drugi swój, z serią wybieranych połączeń, ciągle pod jeden numer. Nigdy nie sądziła, że będzie z takim zacięciem dzwonić do pani Nataszy. Kiedy minęli Poznańską, kierując się w stronę Ujścia, rozdzwoniła się komórka Poniatowskiego. Zdjęcie jego matki bez przerwy zalewało ekran.

– Oddzwoni, byle na chwilę – wydał polecenie. – Ona nie odpuści. Powiedz jej, że teraz nie mogę.

– Ze swojego? – zapytała pilotka.

– Najlepiej.

Sasanka wystukała kombinację dziewięciu cyfr, którą Janek wykrzyczał z pamięci. Dopiero za trzecim razem zdołała się wstrzelić w otwartą linię pani Poniatowskiej.

– Halo! Kto mówi? – warknął zachrypnięty głos. – Halo, pani z banku, z ofertą? Proszę się rozłączyć i nie blokować linii.

– Chwileczkę, proszę posłuchać – zdążyła krzyknąć dziewczyna. Jej prędkość mówienia przydała się teraz jak nigdy. – Mówi Anna Sass, znajoma pani syna.

– Co się stało? Kto, jaka znowu Anka? Kim pani jest?

– Janek jest obok, prowadzi samochód i nie może rozmawiać – tłumaczyła kelnerka.

– Ale on musi rozmawiać, rozumie pani? Chcę mu coś powiedzieć, to ważne – piekliła się Aleksandra.

– Dobrze – zgodziła się Anka, a potem spojrzała w stronę kierowcy. Uruchomiła tryb głośnomówiący, a potem szturchnęła łokciem kolegę, dając mu znać, co robi. – Proszę, może pani mówić.

– Mamo? – Janek zaczął pierwszy, skupiając się bardziej na drodze, niż na rozmowie z matką.

– Janek, słyszysz? Jesteś tam? Nic ci nie jest? Gdzie jesteś? – Aleksandra zadała serię krótkich pytań. – Z kim ty w ogóle jesteś?

– Mamo jadę samochodem, nie mogę rozmawiać. Coś ważnego?

– No bardzo ważnego, ale słyszę, że masz jeszcze ważniejsze sprawy.  
– Mamo, przestań biadolić – jęknął w emocjach. – Mów, do cholery, albo się rozłącz!  
– Jedź do Chodzieży i dzwoń na policję – poleciła matka. – Chyba wiem, gdzie oni wszyscy są.  
– Co ty mówisz? Przestań – wrzasnęła, a dopiero później spytał o szczegóły. – Co? Jacy oni? Skąd to wiesz, mamo?

– No, jak to kto? Sebastian i Karolina, a niby kto? A wiem, bo Marianna wczoraj tam była. W domu Kalickich, słyszysz?

– Mamo, nic nie rozumiem, po co tam była? Była i co? Nic nie zrobiła?

– Nie zrobiła, bo nie mogła, to znaczy nie wiedziała – tłumaczyła z pasją Aleksandra. – Słyszała tylko hałasy na tyłach. A wiesz, ja sobie wszystko skojarzyłam. Ten dom, kiedyś, teraz, te porwania, pogroźki. Słyszysz? Jesteś tam? Janek!

Rudera Kalickich. Dlaczego o niej zapomniał? Jak to się stało, że w swoim nieudolnym śledztwie nie wziął na tapetę tej parszywej dziury? Jednak w sumie po co miałby brać? Myślał często o domu Joanny, nie w kontekście aktualnych zdarzeń, ale nawiązując bardziej do niemiłych przeżyć sprzed dwóch dekad. W najczarniejszych wizjach nie przewidział jednak, że jego historia zatoczy koło. Co ma z tym wspólnego jakaś tam Marianna? Policja tam była? A jeśli to prawda? Kto tam w ogóle jeszcze się zapuszcza?

– I czemu to wszystko, do chuja, się dzieje? – na głos wymówił ostatnie pytanie.

– Że co? Janek! Pytałeś o coś? – ochrypli głos matki wyrwał go z przemyśleń. – Jesteś tam? Halo?

– No jestem – odrzekł, poskramiając stres. – Na ułamek chwili oderwał spojrzenie od szyby zachodzącej delikatną mgiełką. Rozpadało się. Zerknął na Sasanę, która przed chwilą zmieniła zakres nawiewu powietrza. Puścił jej oczko, dziękując za pomoc.

– No i co ty na to?

– No nic, mamo – skłamał.

– No jak to nic? – wycodziła matka o niebo donośniej niż zwykle.

Do tej chwili Poniatowski sądził, że nie da się już głośniej wrzeszczeć przez telefon. Jakże znowu się pomylił. Kątem oka spostrzegł, jak Anka drgnęła w przestrachu. Niemal nie zgubiła telefonu z mapą.

– Halo! Słyszysz mnie? – dopytywała matka.

– Tak, słyszę, dobra. Sprawdźę to – opowiedział, aby czym prędzej uspokoić ją i zbytnio nie musieć kłamać. – Zadzwonię. Gliny się tym zajmą, mnie przecież nie wolno.

– Tylko się pośpiesz. – Ola znów była głośniejsza. – Dzwoń i to szybko. I daj mi znać, co powiedzieli, od razu! – Telefon Anki ponownie zacharczał złowrogo. Chyba pierwszy raz ktoś znęcał się nad nim tak bardzo. – No a gdzie Natasza? Gdzie Remik? Jeszcze na treningu? – bombardowała. – Natasza go odbiera?

– Co? To znaczy... tak – zawałał się nagle Jan. Zabiła go tym pytaniem i choć bardzo chciał o wszystkim opowiedzieć matce, nie mógł tego uczynić. Serce mu krwawiło, ale to nic nie da. Tylko zaszkodzi – pomyślał.

– A Natasza? Z kim ty w ogóle jesteś? I gdzie dokładnie? – matka zaczynała drążyć.

– Mamo, muszę kończyć. Mam coś z samochodem – skłamał i dał znać Sasance, by zakończyła rozmowę.

---

Mrok, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Julia Węgorzewska, Karolina Janicka

W takich warunkach nie trzyma się nawet świni – pomyślała Julia, otwierając oczy. Ujrzała przed sobą ciemności. I czuła rosnący ból głowy. Tak wszechpotężny, że miażdżył jej czaszkę.

Leżała na stercie śmierdzących papierów. Z trudem usiadła, opierając skostniałe plecy o wilgotną ścianę. Dopiero teraz się zorientowała, że ma na sobie tylko małą czarną i swoje najlepsze szpilki. No bo cóż innego? Byłam w tym

wczoraj, bez płaszcza. Długo nie dam rady w tych ciuchach. Zamarznę za jakąś godzinę, o ile ten psychopata nie wróci tu wcześniej, aby mnie załatwić. Nie zrobił tego od razu? Dlaczego? Zaraz, zaraz... Ta głośna sprawa z telewizji? Oby nie – każda nowa myśl napełniała ją strachem i coraz większą pewnością, że tutaj raczej lekko nie będzie.

Zdecydowanie nie była panią sytuacji, a to nie było w jej stylu. Wcześniej królowa wschodzącego życia, a teraz łajza w cuchnącym rynsztoku. Upodlona, zmarznięta i brudna. Z ciężkim żelastwem u nogi, z lękiem, jakiego nie znała, bez cienia pomysłu na ratunek. A przecież zawsze się udawało. Wszystko szło niemal idealnie, spadało jej z nieba jak kropelka rosy ze świeżo rozkwitłych, białych płatków róży. Zmyślnie rozplanowane i dopięte na ostatni guzik. Taki był patent na życie bez orki: ustalić, wykonać i wygrać.

Lecz dziś wszystko minęło. Szczęście odwróciło się od niej, a koło fortuny stanęło. Spotka ją pokuta za grzechy przeszłości. Powinna przecież spodziewać się kary, szczególnie w takiej postaci. Ale że jak? – pomyślała. Taka śmierć, w ciemnościach? Tak z zaskoczenia? Tak bez wysłuchania racji? Tuż pod własnym domem?

– Dramat! – syknęła ze złością. A już zaczynała wierzyć, że to nagłe najście uda się przekuć w zyski. W ciemnościach klatki schodowej usłyszała nawet krnąbrne podszepty jej życiowego suflera: „Podejmij wyzwanie, ustal, wykonaj i wygraj!”.

– Łatwo, kurwa, mówić – zaryczała w gniewie i przyplływie siły.

Starczyło jej go na tyle, by szarpnąć potężnym łańcuchem. Przemarzniętym ciałem wstrząsnął dreszcz bólu, który zaczął się spięciem w opuchniętej kostce, a skończył eksplozją rozwścieczonych iskier w głębi pulsującej czaszki. Krzyknęła, choć dźwięk, jaki z siebie wydała, nie był adekwatny do odczuwanego bólu. Spróbowała raz jeszcze i wyszło jej nieco lepiej. Zdziwiła się szczerze, bo kiedy ponownie zamilkła, jej głos nadal niósł się w bezgranicznej ciemni. Najpierw pomyślała, że to echo, ale szybko zrozumiała, że ktoś próbował coś powiedzieć. Kobieta. Miała tak zachrypnięte gardło, że Julka z trudem słyszała jej słowa. Kto tu, kurwa, jest? – zastanowiła się w myślach.

– Halo, kto tam? Słyszysz mnie?

– Tak. Pomocy. Zabije nas... Sebastian...

– Ja pierdolę – Julia wystękała z trudem. – Jaki Sebastian, co?

– Mój... chłopak. On tu leży, nie żyje. Wróci tu, potnie nożem, zabije. Wszyscy zginiemy.

– Kto wróci? Kim jesteś? – spytała Julia złęknioma – Dlaczego my?

– Nie wiem, ale wróci – szept kobiety stawał się słabszy i niższy. Węgorzewska czuła, że zaraz zostanie sama w mokrej, przegniłej ciemności. – Pomocy... Mam tu nóż, proszę... Pomóż mi...

– Gdzie jesteś? Daj mi ten nóż, słyszysz? – Julia dojrzała światełko nadziei. – Nie mogę się ruszyć, przykuł mnie do ściany – mówiła szybciej i głośniejsze. Z podniecenia, ale też z przeświadczeniem, że ma coraz mniej czasu na rozmowę z towarzyszką niedoli. – Halo, jesteś tam? – zawołała, lecz zamiast odpowiedzi, usłyszała brzęk metalu, który spadł gdzieś obok.

Pochwyciła zdobycz i mocno ścisnęła.

– Dosyć biadolenia, kochana – mruknęła. Kara karą, pokuta pokutą, ale jak to mówią: bądź kowalem własnego losu i sama wykuj kształt swojej przyszłości. Szczęście znów się do ciebie uśmiecha. Tylko spokojne, jesteś młoda, silna, sprytna i energiczna. I masz w rękę ostry jak brzytwa sztylet. Jeden cios wystarczy, by znów być na górze. A tak w ogóle, kurwa, gdzie moja forsa z domu Witkowskiego? Tyle gotówki i wysiłku na nic? Kurwa, nie oddam jej nigdy, choćbym miała zabić. Nikomu!

---

Mrok, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Remigiusz Poniatowski

– Wyłaź! I nie waż się pisnąć, rozumiesz? – wrzasnął najgłośniejszym głosem, jaki tylko potrafił. W uszach struchlałego dziecka może i brzmiał wiarygodnie, lecz siebie nie umiał oszukać. Nigdy nie będzie rasowym mordercą i samcem z drapieżnym instynktem. Z hukiem otworzył bagażnik. – I lepiej rób to, co ci każe.

Remigiusz otworzył oczy. Bał się nowego widoku, lecz powieki piekły go coraz dotkliwiej. Ścisnął je do granic, niemal przez całą drogę, zamknięty w głośniejszej ciemności. Z zamkniętymi oczami czuł się dużo pewniej. W myślach mógł porozmawiać z mamą albo spytać tatę, kiedy go wreszcie uwolni. Niedługo, już jadę – słyszał wyraźny głos w podświadomości. Przemarzniętą dłonią wymacał telefon. Ukryta w majtkach komórka była na swoim miejscu. Nie chciał, aby mu teraz wypadła. Spojrzał w stronę światła, a potem głośno zapłakał.

– Idziemy. Nie rycz i lepiej bądź grzeczny. Dobrze ci radzę. – Złapał chłopca za futrzany kaptur i szarpnął nerwowo do góry.

Remigiusz z ledwością ustał na nogach. Trząsł się ze strachu i z zimna tak bardzo, że nie mógł wyjść z bagażnika. Bał się skoczyć na błotnistą ziemię, wprost do czarnej, lodowatej wody.

– Ale ja nie chcę – zachlipał. Obiecał sobie, że będzie posłuszny i nie będzie płakał, ale mu się wyrwało. Bał się przeokropnie. Wolałby iść znowu na ten głupi zastrzyk. Sto razy by wolał. Tam przecież była z nim mama. Było ciepło i nikt na niego nie krzyczał, a i tak się spłakał. Mógł płakać, bo wiedział, że ona go zaraz przytuli. Albo kupi chipsy w nagrodę. – Proszę! – błagał, patrząc przed siebie. Spozstrzegł zarys trzech małych budynków. Mokrych, szarych i cuchnących błotem. Szli w stronę tego pośrodku. Był mniejszy niż pozostałe, chyba nie miał okien, tylko duże, żelazne drzwi.

Ubrany na czarno mężczyzna stawiał niezgrabne kroki, grzęznąc w pośniegowej brei. W mglistej ciemności prawie nic nie widział. Nie wolno mu było włączać oświetlenia. Szedł przed siebie, szarpiąc łkającego chłopca. W oczach miał wielką nienawiść. Do świata, który go wykluczył, do ludzi, których nienawidził, i marzeń, których spełnienie nigdy nie nadejdzie. Nie w tym wcieleniu i nie w jego skórze. Przeklął znów dzień, w którym się urodził. I parszywe życie, które go zawsze brzydziło. Całkiem jak to zatęchłe miejsce. Zimne, zniszczone i brudne. Przesycone grzechem i kolejną zbrodnią.

Już na samym starcie zasłużył na karę, ale nigdy się jej nie lękał. Cóż gorszego od dotychczasowych zgryzot mogło go jeszcze osiągnąć? Większej ceny nie mógł już przecież zapłacić. Dlatego się zgodził. Podjął ryzyko i zacisnął zęby w imię wielkiej miłości. Jedynej, jakiej doświadczył i w jakiej siłę naiwnie uwierzył. Prawdziwej, nienaruszalnej i trwałej. Ta wiara nie mogła być pustym echem naiwnych przekonań. Bez niej stałby się jak ta miedz brzęcząca albo cymbał brzącający. Karmił się pasją z dnia na dzień, stąpając po coraz mniej stabilnym podłożu. Tak, jak w tej chwili.

Jeszcze miesiąc temu nie uwierzyłby, że weźmie do ręki nóż. Dla niego to jakaś abstrakcja. Koszmarny sen mordercy. Ale skrupuły miał tylko za pierwszym razem. Później stał się automatem do cięcia i dziurawienia. Ostrą kraljnicą ludzi. Zatracił się w zadawaniu ran i nawet nie spostrzegł, kiedy przekroczył tę cienką granicę. Jeden cios wystarczył, by otworzył oczy po tamtej stronie. W miejscu, z którego nie miał już powrotu. I nawet dzisiaj się nie zawahał. Miał lekkie obawy, lecz tylko z początku. I co z tego, że to jeszcze dziecko? Pójdzie mu lżej i łatwiej. Kiedy się myśli o swoich potrzebach, wszystko staje się prostsze, a życie bez skazy też się jakoś kręci. Na wyparciu grzechu, w okowach nadziei, w przyodziewku ludzkiej normalności. Inaczej przecież się nie da. Musi oszukać ludzi, świat i siebie. W przeciwnym razie wyrzuty sumienia rozsądzą mu serce.

Z początku był pewien, że to sprawa diabła, który najpierw uspił schorowaną duszę, szprycując ją dozą miłości, a potem zaczął otumaniać rozum. Dużo o nim wiedział i dlatego umiał oprzeć się jego sprawczej mocy. Nigdy mu nie uległ i był z siebie dumny. Przecież człowiek jest, nie tylko, ale i aż człowiekiem i ponad wszystko powinien być wolny. Powinien się uczyć panować nad głową i cierpliwie ćwiczyć nieodporny rozum. Zwłaszcza gdy wkłada się nóż do zmywarki. Tak więc i on odpływał w najśmielsze fantazje, a wszystko, co robił, tłumaczył miłością. Tą prawdziwą, w najczystszej postaci, i tą z boskim błogosławieństwem. To miłość zadawała rany, nie on... To ona! To nie on.

– To nie ja – syknął nerwowo, lecz szybko się opanował. Nie mógł się teraz rozpraszać. Musiał zrobić to, czego teraz chciała. Uwięzić bachora i lekko zadrasnąć. Przynajmniej na razie. Ścisnął w rękę ciemnoszarą torbę.

Sprawdził, czy wziął wszystko z domu. Noże brzęknęły, uderzając o siebie. Był przygotowany.

Z furią pchnął gówniarza w stronę szarego budynku. Dzieciak pobiegł bezwładnie przed siebie, robiąc kilka wymuszonych kroków, a potem upadł na bagnistą ziemię. Czubkiem głowy musnął o kant betonowych schodków, tuż przez wejściem. Dało się słyszeć krótki, głucho brzmiący dźwięk. Mężczyzna machnął ręką. Jeśli bachor nadal się rusza i wstaje znad smolistej ziemi, to nic mu nie jest.

Wyjął z torby nóż i latarkę, podszedł bliżej i jednym pstryknięciem rozświetlił parującą przestrzeń. Wąską strugą światła omiótł zrujnowany barak, a po chwili wycelował żółtą wiązką w ofiarę. Chłopiec był mokry jak szczur. Klęczał w głębokiej kałuży. Woda spływająca ciurkiem z przerażonej twarzy mieszała się ze łzami, błotem i krwią. Oślepił go poblask latarki, ale nie odwrócił wzroku. Zmrużył tylko powieki, odczekał sekundę i zaniósł się płaczem, który rozdarł panującą w okolicy ciszę. Gdzieś z zakątków mroku jednostajnym piskiem zawtórował mu niespokojny pies. W powietrze wzbily się ptaki. Słyszać było, jak furczą im skrzydła, mokre i ciężkie od uderzeń deszczu. W lesie zatrzęsły się korony wybujałych sosen.

– Wstawaj – rzucił niecierpliwie. – Idziemy.

Podszedł do chłopca i złapał go za rękę. Mokry rękaw kurtki dał się wykręcać jak szmata.

– Tato... – stęknął cicho Remigiusz. – Przyjedź po mnie, proszę... Zimno mi.

– Zamknij się! – warknął. – Twój zasrany tatuś już ci nie pomoże!

Poszedł do drzwi krytych przerdzewiałą blachą. Zdjął ze skobla ciężką, kwadratową kłódkę, a potem zajrzał do ciemnego wnętrza. Kroił je przez chwilę wiązką latarkowego światła, a potem zacisnął drugą dłoń na zimnej rękojeści. Dźgnął dziecięce ramię. Bez chwili zastanowienia. Tak po prostu, jak dziurawi się balon. Nie poczuł oporu na ostrzu. Zamiast niego usłyszał przeraźliwy pisk. Na razie wystarczy – pomyślał i wrzucił nóż na dno torby. Wepchnął szczyła do środka. Głośny płacz odbił się echem od ścian.

Mężczyzna trzasnął metalową sztabą. Wściekle, zajadle i dziko. Nadal był zły, że musi to robić, więc chciał jakoś odreagować. Tylko spokojnie. To nie ty, to ona! Ciężka kłódka jeszcze przez chwilę dyndała na zardzewiałych skoblach.

– Dobra – podsumował. – Idę do was, gówno warte szmaty!

---

## Chodzież, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Jan Poniatowski, Anna Sass

Poniatowski tracił kontakt ze światem. Nie tylko ze zmęczenia. Głównie z bezsilności i rosnącej trwogi. A płynący czas wzmagał histerię. Wydłużał myślenie i nasuwał setki najczarniejszych wniosków. Jeden z nich pozwolił mu stwierdzić, że jest największym imbecylem świata.

Już od kilku minut kwadratowy dymek z malutkim zdjęciem Remika przestał się przemieszczać na mapie lokalizatora w komórce. Anka kilka razy czytała na głos nazwę ulicy, podając jeszcze parę innych szczegółów: ulica Franciszka Buszczaka, krajowa jedenastka, mały skrawek lasu, plac, domki, jakieś duże rondo.

Wściekł się, że na to nie wpadł. Przecież od dawna powinien to wiedzieć! Nawet matka się już domyśliła, a on jakoś nie. Wrzeszczał bez przerwy i klął jak szewc. Za wszystkie nieszczęścia zaczął winić siebie. Za to, że Joanna nie żyje, za to, że zniknął Sebastian, potem Karolina, za to, że skazał na śmierć Remigiusza. Wszystko przez jego głupotę, błędy młodości oraz brak pomysłu na starość.

Anka słyszała na przemian: debil, imbecyl, dureń, kretyn, tępak, bezmózgie yeti, beznadziejny głupek i skończony bałwan. O różnorodności i oryginalności wplecionych w to wulgarniejszych obelg wołała już nawet nie myśleć. Ale czuła, że takie zachowanie przynosi mu ulgę, dlatego postanowiła milczeć. Poza tym nie miała siły go przekrzykiwać. Ona też potwornie się bała, tylko w inny sposób reagowała na stres.

Cho chwila na nią spoglądał. Sprawdzał, czy jest obok oraz czy jej, tak samo jak jemu, zależy na znalezieniu Remika. Kilka razy musiała go o tym zapewnić. Bez przerwy wydawał jakieś rozkazy. Zrób, zadzwoni, sprawdź,



podaj, przysięgnij, powiedz, że jest cały. Najczęstszym rozkazem był jednak powtarzalny wykrzyknik: próbuj!

Chodziło o telefon do Nataszy, będącej niezmiennie poza zasięgiem. A im częściej Anka informowała go o włączającej się poczcie głosowej, tym częściej kazał jej dzwonić ponownie. Jeszcze raz, ostatni, a potem znowu. Wiedział, że to bez sensu, ale nawet nie myślał odpuścić. Przy ostatniej próbie zaczął płakać. Tylko przez chwilę. Potem ochłonął. Musiał się pozbierać i działać do końca, przynajmniej póki jadą i są coraz bliżej.

Minął chodzieskie rogatki. Wjechał, a raczej wtargnął z brawurą na obwodnicę. Rzucił okiem na miejsce mrocznego finału sprzed lat. Widok wzgórze i błysk migoczących iskier wcale się nie zmienił. Tak je zapamiętał. I choć przejeżdżał tędy setki razy, nigdy nie patrzył w tę stronę. Zrobił to dopiero dziś, jakby ktoś go zmusił. Pomyślał, że ktoś go przeniósł w czasie tylko po to, by wrócił w to miejsce. Tylko po co? – nie chciał się teraz nad tym zastanawiać, ale złapał się na tym, że coraz bardziej jest w stanie kontrolować sytuację. Opanował się. Uspokoił szaleńczą jazdę, ale nie zwolnił ani trochę. Za kilka minut powinni tam dotrzeć. Nie chciał myśleć, co dalej i co jeśli ten ktoś jest uzbrojony. Liczył na to, że szybko dotrze tam również policja. Oby tylko nie było za późno.

Zerknął w prawą stronę. Natknął się na niespokojny wzrok Anki i nie pierwszy raz zobaczył w nim rozniewany strach. Właśnie otwierała usta, by mu coś powiedzieć. Nie zdążyła, bo on zaczął pierwszy.

– Przepraszam – szepnęła, mając na myśli swoje zachowanie. – Wszystko w porządku? Dajesz radę? Mogę cię wysadzić, chcesz? – zadał kilka pytań. Nie liczył na konkretne odpowiedzi, ale chciał sprawdzić jej reakcję.

– Do reszty cię pojechało? – wrzasnęła. – Nie myślisz chyba, że cię tak zostawię. Przecież ten psychopata może być uzbrojony – odczytała myśli Poniatowskiego. – Ale ja mam to w dupie, a ty? Myślisz, że mogłabym zrezygnować? Naprawdę? No to ci, Janek, powiem, że właśnie nie – zaczynała się rozkręcać. I jeśli ktoś w tym towarzystwie był uzbrojony, to ona z pewnością. W ciężki karabin maszynowy do wystrzeliwania zdań. – Trzeba psychopatę zaskoczyć i samemu nie dać się podejść. Oglądałam kiedyś taki film... Ale spoko, nie będę ci teraz opowiadać, bo i tak uznasz, że wygaduję jakieś totalne bzdury. Podziękujesz mi za to po wszystkim, jak zauważysz, że beze mnie to wszystko nie miało by sensu. Nie po to los nas tak zestawił, żebyś mnie teraz gdzieś wysadzał. A w sumie, to niby gdzie? Na środku ulicy? I gdzie ja sobie pójdę? Uważaj! – wrzasnęła. Zahamował w ostatniej chwili. O mały włos wjechałby w samochód zwalniający przed nimi. – Weź się skup na drodze!

– No dobra już, dobra. – Chciał się uśmiechnąć, lecz stres po swojemu zawiadywał mięśniami. – Po prostu myślałem...

– Ty już za dużo nie myśl – przerwała kelnerka. – Skup się lepiej, bo zaraz kogoś rozjedziesz. I rura! – wydała z siebie mobilizacyjny okrzyk. – Nie ma czasu do stracenia.

– Się robi – odparł, a potem znów wcisnął gaz do dechy. Lżej zrobiło mu się na sercu, kiedy uzmysłowił sobie, jakie wsparcie ma w tej dziewczynie. Oby tylko wszystko skończyło się dobrze. – A ty spróbuj...

– No właśnie wybieram numer. – Pilotka wiedziała co robić. – I na policję też zaraz zadzwonię. Niech zagęszczą ruchy!

---

Chodzież, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Karolina Janicka, Julia Węgorzewska

Karolina poczuła zimny dotyk stalowego ostrza. Tego, które wcześniej rozcięło gardło Sebastianowi. Wszystko widziała w rozbieganym świetle latarki. Leżała na wznak, tylko z głową opartą o ścianę. Twarz miał całkiem bladą, jakby odlaną z wosku skąpanego we krwi. Nie poruszał się i nawet nie pisnął, kiedy ciężki nóż zagłębił się w pobielącej skórze. Nie, z pewnością już nie żył. Wierzyła w to resztką sił. Ucieszyła się... Tak bardzo chciała, żeby nie cierpiał już dłużej. Pierwszy raz w życiu pragnęła śmierci kogoś tak bliskiego. Stoczyła się na dno, stała się zimna i wyrachowana.

Teraz ona. Ciosy były płytkie, słabe, nieporządne i zadawane w pośpiechu. Przynajmniej tak je czuła, choć nie była pewna. Chwilę wcześniej opróżniła kubek szaroburej brei. Duszką, do ostatniej kropli. Tak długo czekała na

kolejną porcję i w końcu dostała kilka łyków szczęścia. Teraz wyczuła więcej alkoholu. Oby zaczął działać, zanim nóż rozharata jej gardło.

Szamotała się. Uderzała łańcuchem o beton, chociaż wiedziała, że nie jest w stanie nic zrobić. Była zbyt zmęczona i zrezygnowana. Raczej pogodziła się z losem, lecz wciąż bała się śmierci. Jak robak przyciskany butem. Ostatnią nadzieję pokładała w sile głosu tej nowej dziewczyny. Wydał się jej dziarski, zaborczy i nieuznający sprzeciwu. Tylko przecież, gdyby była przebiegła i sprytna, to nie dałaby się tu zamknąć. Ale ma jej nóż. Może się chociaż odegrać. Za brutalną śmierć Sebastiana.

Karolina usłyszała coś jeszcze. Krzyk dziecka i jeszcze jakiejś kobiety. Na zewnątrz budynku? Być może... Albo to działo się wczoraj? Pewnie się przesłyszała. Nie była już pewna niczego, bo czas i przestrzeń przestały już istnieć. Dlatego mógłby już z nią skończyć. Zadać głęboki cios wyzwolenia. Tak jak Sebastian, byłaby już daleko. Na rozgrzanej szosie, w drodze powrotnej do domu, w kołyszącym aucie, które nigdy nie zdradza swojego kierowcy. Mogłaby czuć nad ojcem. Nie zasnąć, kazać się zatrzymać, nalegać na postój, zmienić drogę i lepiej ukierunkować przyszłość.

Przestała czuć ciosy. To jeszcze nie jej pora i zapewne nagrzeszyła w życiu tak wiele, że musi dłużej pocierpieć. Najwidoczniej słyszał to, co ona. Przez chwilę znów pomyślała, że to dźwięk stworzony przez jej niestabilny umysł, ale nie. Rytm kroków na zewnątrz stawał się coraz głośniejszy. A jednak jest nadzieja – pomyślała ostatkiem sił.

Czarny oprawca wstał z kolan, a sekundę później Karolina poczuła na sobie twardą podeszwę trepowego buta. Miała wrażenie, że złamał jej plecy w trzech miejscach.

– Ratunkuuuuu! – usłyszała nagle wrzask hardej dziewczyny. Nie było w nim szału, lecz bardziej wystudiowana rola. – Pomocy, tutaj... Pomocy!

Nożownik zerwał się z miejsca, a potem rzucił latarką w stronę dzikich wrzasków. Liche światło mrugnęło, a potem zgasło, ulegając ciemni. Karolina usłyszała szmer krótkiej szamotaniny, potem nieznaną jęk i głośne trzaśnięcie drzwiami.

– A masz skurwysynu! Obyś zgnił w męczarniach – głos hardej dziewczyny triumfował złością.

Ale dla mnie chyba nie będzie happy endu, pomyślała Janicka. Zbliżał się błogosławiony spokój, a tuż po nim szczęście życiodajnej drzemki. Mętne lekarstwo zaczynało działać.

– Dobranoc mamusiu – szepnęła spokojnie i odpłynęła w nieznane.

---

Chodzież, 17 sierpnia 1996, noc

Joanna Kalicka, Karolina Janicka, Jan Poniatowski, Sebastian Świdorski

Krew była wszędzie. Joanna poczuła mdłości od jej słodkiego zapachu. Zatrzymała się w przedpokoju, obserwując jak reszta wbiega do salonu – jak bydlę tratujące rolę, z klapkami na oczach, w biernym, półprzytomnym pędzie. Wcale nie chciała pobiec za ogółem. Wiedziała, że każdy krok zbliży ją do poznania najstraszliwszej prawdy. Świat zawirował jej w głowie, a ona utkwiała w centrum rodzinnego szkwału. W rozgniewanym oku trąby powietrznej, która najpierw zabrała noże z kuchennych zakątków, a potem, kręcąc nimi żwawo w węzowatym leju, ćwiartowała wszystko, co spotkała na domowej drodze. Źródłem nienawistnego cyklonu była jej nagła dorosłość. Joanna nie znajdowała innego uzasadnienia.

Jej przyjaciele wrzeszczeli jednocześnie, lecz ona prawie ich nie słyszała.

– Asia!

Poczuła, jak ktoś szarpie jej rękę. Tylko przez chwilę, zbyt mocno. Wirowanie w głowie ustało, zakłócenia wrzasków przycichły.

– Uciekaj! – zawyla Janicka, ciągnąc ją ze sobą do wyjścia. – Słyszysz?

Dziewczyna nie uległa rozpaczliwej presji. Spojrzała przed siebie w milczeniu. Zaledwie kilka kroków dzieliło ją od mętnej poświaty salonu. Zrobiła je nagle, ale nie samotnie. Ktoś nią pokierował. Jak marionetką, której do końca przytwierdzono sznurki. Ktoś za nie pociągał według swojego uznania, kierując na siłę w stronę życiowej krawędzi. W zniewoleniu przekroczyła niewidzialną linię, zostawiając za sobą krwistoczarne ślady najnowszych sandałów.

Drzwi do pokoju gościnnego były szeroko otwarte, a w środku nie było nikogo. Za to historyczne wrzaski pijanych kolegów stały się głośnie i bardziej wyraźne. Dosięgły ją z prawej strony, tak jak przypuszczała. Z sypialni rodziców, do której wejść można było, tylko przechodząc przez salon. Joanna rozejrzała się wokół, choć chciałyby teraz oślepnąć. Takiego pobjowiska jeszcze nie widziała. Wszystko zniszczone i porozrzucone. Przewrócone fotele. Jeden z wyrwanym oparciem, a drugi z rozprutym poszyciem. Ze starej, rozkładanej ławy z wolna skapywała wódka, opłukując z krwi przewrócony kieliszek. Kilka innych naczyń rozbito o ścianę. Ktoś strzaskał szyby w kredensie. Ciężką, kryształową misą, która zatrzymała się w jednej z przestawionych pól.

Spojrzała jeszcze za siebie. Na kanapie leżały pootwierane książki, zmięte papiery i szkatułka mamy wysadzana złotem. Asia wiedziała, gdzie mama ją zamykała, ale nigdy nie odważyła się do niej zajrzeć. Dziś zobaczyła całą jej zawartość. Biżuterię, listy, pocztówki, połączoną szczotkę do włosów, zasuszone kwiaty i flakony po starych perfumach. Listy. Przenośna świątynia pamięci... Joanna kiedyś widziała, jak mama chowała do środka coś jeszcze. Niewielki notes w skórzanej okładce, ale teraz nie było go nigdzie w pobliżu.

Za to była krew, wszędzie. Jeszcze błyszcząca szkarłatną świeżością. Tysiące kropel na deskach parkietu, liczne smugi na meblach, odbite palce na bielonych ścianach. Najwięcej czerwieni Joanna dostrzegła na szarej framudze sypialnianych drzwi. Rozpoznała w niej nawet odcisk uciekającej dłoni. Ślad ciągnął się dalej, aż do rozświetlonego wnętrza, w którym głośno zaskomlał Sebastian. Pobiegnęła tam prędko, znów poniesiona wolą teatralnego lalkarza. Nie chciała tam wchodzić, bo bała się prawdy zza ściany.

– Janek, zostaw to, kurwa! Jesteś cały we krwi. Odłóż nóż i wyjdź stamtąd, do chuja! – To wrzeszcząc, Świdorski rozplakał się i zwymiotował na siebie. Alkohol zmieszany z resztkami kebabu zapałkał mu adidasy. Sebastian oparł się ramieniem o skrzydło rozpostartych drzwi i wolno osunął na brudną podłogę, by na koniec klapnąć w czerwonej mazi. Ukrył twarz w zakrwawionych dłoniach, a jego ciałem targnęły spazmy dreszczy.

Joanna zaczęła krzyczeć. Tak głośno i z taką przerażliwością w zachrypniętym głosie, że wystraszyła się samej siebie. Ale nie przestawała.

Matka leżała skulona. Jak złęknione dziecko szukające wsparcia, którego nikt nie chce przytulić. Cała we krwi, lecz wciąż bardzo piękna, jak zawsze. Oczy miała zamknięte, a usta lekko rozchyłone. Z nich również wypływała czerwień. Joanna miała wrażenie, że jeszcze się uśmiechają. Do niej, nie do zabójcy.

Gęste, kasztanowe loki posklejały się w sztywniejące strąki i przybrały odcień głębokiego burgundu. Jeden kosmyk włosów przykleił się mamie do nosa. Dzielił jej twarz na dwie równe, blade jak ściana połowy.

Joanna spojrzała na szyję, a potem na resztę jej ciała. Była poraniona. Rany były małe i duże. Największa w okolicach brzucha. Rozszarpana halka w żaden sposób nie zasłaniała pokiereszowanej skóry. Obie dłonie, jakby polakierowane krwistym odcieniem bejcy, złożone miała tak, jakby chciała się modlić. A może jeszcze wciąż się modliła? Może zastygła w błagalnej pozie?

Kalicka nie przestawała zawodzić. I chociaż coraz bardziej zatracala oddech i coraz bardziej przeszkadzały jej ły, starała się wytrwać w żalości. Nie wiedziała, co zrobi, kiedy przestanie i jak będzie wyglądał jej świat. Na razie miała zajęcie. Wykonywała zwierzęcą, instynktowną czynność, która póki trwała, chroniła ją przed zapadnięciem w stupor. Zamknęła powieki i nadal krzyczała. Ciągle czekała aż świat się w końcu zawali, czas zatoczy koło, a ona znów stanie się dzieckiem, chcącym wślizgnąć się w ciepłe posłanie zdziwionych rodziców. Liczyła na to, że kiedy ponownie spojrzy przed siebie, nie będzie tu żadnej krwi, żadnych rozwianych pragnień jej dorosłości, żadnych zafajdanych kumpli, a przede wszystkim jej matki z brzuchem podziurawionym jak dętka.

Chodzież, 17 sierpnia 2016, noc

Wiktor Szewczyk

– Halo, słyszycie? Szybko! – sapał do słuchawki, jak gdyby ukończył maraton. A zdążył przebiec najwyżej pół kilometra, z domu Kalickich do najbliższej budki. Po drodze modlił się, by jeszcze działała od wczoraj. Na własne oczy widział, jak banda młodocianych drani szarpała sznurem prostokątnej puszki.

– Komisariat, słucham? – zapytał mężczyzna. Nie usłyszał nic, poza przyspieszonym oddechem, trzaskami po drugiej stronie i szumem wiatru. – Halo... Jest tam kto?

– Halo, Staszek? To ty? Szewczyk mówi.

– O, Wiktor. No cześć, a ty co? Dospać na wolnym nie możesz? Wiesz, która jest go...

– Zgłaszam morderstwo! – wrzasnął. – Jeszcze byli w środku... dziesięć minut temu. W domu Kalickich. Halo...

– Halo, Wiktor, to ty? Co ty bredzisz? Żarty sobie robisz po nocach?

– To ja, słyszysz? – warknął Szewczyk. – Skup się wreszcie i słuchaj! Nie będę więcej powtarzał.

– Dobra, mów. – Mężczyzna zmienił ton, gdy nagle dotarło do niego, że sprawa jest bardzo poważna. – Przepraszam, już piszę.

– Wracam z domu Kalickich – oznajmił policjant. Starał się mówić głośno i wyraźnie, nie mógł tylko opanować pośpiechu. – Stało się coś strasznego, jedźcie tam natychmiast. Widziałem morderców pod domem. Pośpiesz się, to złapiecie ich jeszcze na miejscu!

– Rozumiem, przyjmę. Zaraz się tym zajmimy. Dom Kalickich, Buszczaka, tak?

– Dokładnie! – zasapany Wiktor syknął, wydmuchując resztki powietrza zaczerpniętego na miejscu zbrodni. – Bez odbioru – rzucił. – Wracam ich dogonić – skłamał, a potem odwiesił ciężką słuchawkę. Poczul ulgę. Oby tylko starczyło mu sił, by umieć się z sensem tłumaczyć.

---

Chodzież, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Gracjan Witkowski

– Dobrze, że już jesteś – rzucił Witkowski, gdy wyszli z ciemnego budynku. – Zobacz, jak mnie załatwiła, dziwka! – zawył, szczerle uciskając ramię. – Ale tamta dostała za swoje, według życzenia. Co teraz? – zapytał.

– Koniec, a co ma być, kurwa? – usłyszał, a potem znów poczuł ból. Tak silny, jakby ktoś rozdarł mu ciało na pół. A po chwili znowu i jeszcze raz. Nie pojmował niczego. Słowa zlały mu się w nieczytelny zgiełk, jak melodia puszczona od tyłu. Nogi się pod nim ugięły, a potem piasnął bezwładnie w kałużę. Jeśli zaraz nie wynurzy twarzy na powierzchnię, utopi się w pośniegowym błocie. Nie mógł się poruszyć. Poczul, że traci przytomność. Płynie w jedną stronę razem z krwią wnikającą w bagno. Oczywiście miał nadal otwarte, dużo szerzej niż przed chwilą.

Zdziwił się, że wciąż może generować myśli. Nie było już świata na zewnątrz, ale tylko wątpa gwiazdka podświadomości, skrząca się malejącym blaskiem. Wiedział, że zniknie za jakąś chwilę, może za kilka minut... Zanim wszystko się skończy, teraz i na zawsze. I już nie będzie niczego.

Tak wiele poświęcił. Dla miłości zrobił wszystko, w zamian ma gorzką zapłatę. W najczarniejszych snach nie spodziewał się zdrady. Smutku i odrzucenia owszem, ale nie tak wielkiego oszustwa. Po co więc była ta mistyfikacja? Piękne gesty, jednobrzmiące słowa? Chyba tylko po to, aby do cna wykorzystać jego naiwność i słabość. Witkowski zdał sobie z tego sprawę dopiero przed śmiercią, a szkoda. Wolałby umrzeć w niewiedzy, która pozwoliła mu cieszyć się złudnym, płomiennym uczuciem. Przecież słyszał wyraźnie: dla nas robimy to wszystko, liczymy się tylko my!

Kiedyś nawet się przytulili. Osiągnął wzwód pulsujący grzechem, lecz czuł się bosko szczęśliwy. Dopiero gdy się rozstali, kochał się samotnie przed najlepszym zdjęciem. Niestety nie doczekał dnia, w którym zrobią to razem. Tylko we dwóch. Z szeroko otwartymi oczami, bez korzystania z chorej wyobraźni. Bardzo się cieszył, że taka chwila

nadchodzi. Czekał na nią cierpliwie i wykonywał zleczone zadania. Był pewien, że gdy skończy wszystko, o co go poprosi, moment nagrody w końcu przyjdzie. Czekanie w napięciu dawało mu siłę do robienia rzeczy coraz bardziej odważnych, spektakularnych i złych.

Najgorzej było z chłopakiem. Sebastianem czy jak mu tam było. Przez chwilę pomyślał nawet w ekstazie, że zrobi z chłopakiem coś jeszcze. Nikt by nic nie wiedział, bo w ciemnościach wszystko dało się ukryć. Zrezygnował. Bał się wyrzutów sumienia, które zdradziłyby go przed jego prawdziwą miłością. Wolał jeszcze poczekać i zaznać szczęścia, którym go omamił. Uwierzył w niego ślepo, ale go zawiodł. Jakże się znów pomylił.

Ma jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, spraw do zamknięcia, wina do wypicia... To się nie może tak skończyć. Przecież on nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Bóg ma dla niego inny plan. Jest na świecie po coś. By osiągnąć tego, czego jeszcze nie zdążył odkryć i posmakować. Zawsze wierzył, że ominą go wszelakie nieszczęścia, że stoi po tej drugiej stronie, po której może rozdawać karty. Decydować o krzyżu, jaki noszą inni. Jest kimś szczególnym. Nie jakimś tam Janem Poniatowskim, pospolitym bubkiem. Osobą, po której nigdy nie zostanie żaden, nawet najmniejszy ślad na kartach najnowszej historii. Nie jest przeciętnikiem. Nie jest zwykłym samcem próbującym zlizać czubek piramidy potrzeb o mocno zachwianych proporcjach.

Jeśli to koniec naprawdę, musi to wreszcie powiedzieć, wyzwolić się i odejść, będąc choć trochę lżejszym. Nie wszystko da się zmasać, a już z pewnością nie to, co robił tym ludziom w ciemnościach. Wiedział, że ich rany nie znikną wraz z jego martwym ciałem. Przeciwnie, pociągnie ich krzywdy za sobą, dokądkolwiek się teraz wybierają. Ale jedną rzecz musi zostawić na ziemi. Nie miał dotąd wcześniej odwagi, by komuś to wyznać, a przecież okazji ku temu było ostatnio coraz więcej. To nic. Ma jeszcze chwilę czasu i resztki sił, by to wreszcie głośno powiedzieć.

Przestał się zastanawiać, czy widzi przed sobą doczesne światło latarki, czy przytulny tunel w zaświatach, tłący się miękkim, aksamitnym blaskiem. Było mu coraz cieplej i milej. Znowu poczuł się sprawny. Wstąpiła w niego energia.

Wstał. Był piękny, letni wieczór. W tym samym miejscu, teraz pachnącym maciejką i świeżo skoszoną trawą. I lasem, który szumił w rytm cykających świerszczy. Długie promienie gasnącego słońca prześwietlały roślinność ogrodu. Popatrzył na dom. Ten sam, ale nie taki sam. Jasny, dostojny, skrzący się magią błękitu. Otwartymi na oścież drzwiami zapraszał, by wejść w jego progi. Za chwilę, zaraz przyjdę – pomyślał. Muszę coś jeszcze załatwić. Odwrócił się za siebie. Tak, może mówić. Usłyszy go i zrozumie:

– Kocham cię. Nigdy cię nie zapomnę. Żegnaj, ukochany.

Zniknął w świetle domu. Srebrne wrota niebios zamknęły się za nim bezgłośnie.

---

Chodzież, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Jan Poniatowski, Anna Sass

– Janek! – szepnęła, chwytając przyjaciela za rękę. W ostatniej chwili, kiedy jedną nogą był już poza autem. – Idę z tobą, słyszysz? Zobacz jak tu ciemno i jak śmierdzi gazem. Normalnie w takich miejscach...

– Absolutnie! – przerwał głośno. Chwilę wcześniej staranował bramę i siłą rozpędu wtoczył się na tyły zniszczonego domu. Zahamował w ostatniej chwili, jak zawsze. W odległości kilku centymetrów od starych szop gospodarczych. Pamiętał. Były tu chlewy i kurnik. Wystawił głowę na zewnątrz i wzrokiem starał się złamać niemal absolutną ciemność. Rozedrgane światło jedynej, zawieszanej na furtce żarówki zgasło wraz z karkołomnym szturmem Poniatowskiego. Na nic zdało się pozostawienie włączonych lamp w rozsierzdzonej hondzie. Swoim zasięgiem nie rozświetlały zmaconej mżawką przestrzeni, a jedynie fragment mokrej, zdezelowanej ściany. – Czekasz tu na mnie i próbujesz dzwonić. Zabraniam... Słyszysz?

– To po co w ogóle mnie tu zabierałeś? – fuknęła. – Prawie nie zginęłam po drodze, a teraz każesz mi zostać. A jak ktoś mnie napadnie tutaj samą? Czy bierzesz za to odpowiedzialność, Janie Poniatowski, synu Aleksandry? –

Anka otworzyła ogień, a to nie był odpowiedni moment na strzelaninę. Z impetem otworzyła też drzwi, a już po chwili nie było jej w aucie. Ich spojrzenia spotkały się tuż nad poziomem dachu auta.

– Anka – rzucił bez przekonania, wiedząc, że jej nie powstrzyma. – Proszę, uważaj na siebie, OK?

– Spokojna, pańska rozczochrana – uśmiechnęła się lekko, choć widział jak walczy ze strachem. – Nie takie dywany się trzepało.

Na skinienie Jana obeszli auto. Spotkali się z tyłu kanarka.

– Co robimy? – spytała.

– Ci...

Przyłożył palec do ust.

– Słyszysz, kurwa? Chyba ktoś płacze. Remigiusz!

– Za ścianą – oznajmiła. – Tam chyba jest wejście. – Ręką wskazała boczną ścianę budynku. – Idziemy?

– Za mną, powoli – rozkazał.

Okrążyli podłużny barak z oknami zabitymi deskami. Janek szedł z przodu, ale cały czas czuł lekką dłoń Sasanki na swoim ramieniu. W drugiej ręce trzymała komórkę, która tym razem służyła jako latarka. Potknęła się chyba przed chwilą, lecz nawet wtedy nie zwolniła uścisku. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że jest z nią wszystko w porządku. Stał przez żelaznymi drzwiami. Na metalowych skoblach dyndała niezamknięta kłódka.

– Poświeć – polecił Ance, nie odwracając się. Wsłuchiwał się w głośnie echo serca. I mimo iż nigdy nie sądził, że może ono pulsować z tak dużą częstotliwością, ten szaleńczy rytm nieco go uspokajał. Nie słyszał za to Sasanki. – Hej, tutaj, poświeć – powtórzył. – Słyszysz?

Odpowiedział mu krótki, stłamszony pisk, a potem przestał czuć na sobie dotyk lekkiej dłoni.

– Tylko się porusz, a poderżnę jej gardło! – zabrzmiała groźba, a potem zimny dreszcz przeszył mu ciało na wskroś. Strzał adrenaliny jeszcze mocniej rozkołysał oddech. W odruchu uległości Jan podniósł do góry ręce i odwrócił się bardzo ostrożnie. Anka nawet nie próbowała się wierzczać. Stała nieruchomo, jak zaczarowana, ze wzrokiem szukającym wsparcia.

– Czego chcesz? – spytał Poniatowski, by zyskać na czasie. Mimo ciemności, wszystko stało się jasne. Wiedział już, z kim ma do czynienia. Anka jeszcze nie. Mogła się tylko domyślać, rozpoznać mendę po głosie, no i po zapachu. Dostrzegł w jej wzroku pytanie. Czekala, aż Jan przytaknie, czy ma na myśli właściwą osobę. Mrugnął na znak potwierdzenia.

– Zamknij się, bo za chwilę ona będzie gniała obok tego geja. – Gestem wskazał miejsce w gęstniejącym mroku.

Anka upuściła telefon. Jasne oczko światła zniknęło w odmetach kałuży.

– Co, kurwa? Nie wiesz, o co chodzi? Standard od dwudziestu lat! No... no proszę. Biedny Janek, jak zwykle poszkodowany przez życie. Oj, jakże mi ciebie szkoda, zaraz się chyba rozpłacze. Ty jebany skurwielu! Zawsze byłeś dupkiem, chudym popaprańcem, a wszyscy i tak cię kochali. Ratował cię ten nieskazitelny pysk filmowego amanta. Zawsze! Rozejrzyj się. Pamiętasz te mury? Wtedy też nabrali się na twoje niewinne spojrzenie. Ale dość tego! Na szczęście uwalniam wszystkich od twojego wpływu. A w pierwszej turze niewinną Nataszę. A była już blisko kolejnego upodlenia. Taka cudowna kobieta. Nigdy nie byłeś jej godzien – szydził z egzaltacją, coraz bardziej zaciskając ramię na wątej szyi Sasanki. Janek widział, że bardzo ją boli.

– Spokojnie – przerwał mu. – Jeśli chodzi ci o mnie, to puść ją w spokoju. Ona ci nic nie zrobiła – dodał, drżąc ze strachu o dziewczynę. Bał się jak nigdy przedtem, lecz strach wyzwalał w nim wolę walki. Gdyby nie Anka, od razu rzuciliby się na tego psychola. – Dlaczego akurat ja? – postanowił zyskać na czasie. Być może przyjedzie policja. Oby tylko niczego nie spierdolili. – Co ja ci zrobiłem, co? Nawet się dobrze nie znamy. Dlaczego to robisz?

– Ha, ha, ha – napastnik zarżał efekciarsko, jakby odgrywał na deskach teatru rolę swojego życia. – A mówią, że nie ma głupich pytań – parsknął. – Chcesz wiedzieć? Powiem ci, jeśli jesteś na tyle tępą, aby do dziś na to nie wpaść. Tylko że... – nabrał powietrza – niestety to nie gra na korzyść całej tej rąbniętej bandy twoich znajomych. Tak grzecznie na ciebie czekali. I co? W końcu przekonają się, że boski i cudowny Jan Poniatowski, niestety, ich nie uwolni. Dlaczego ty? No pomyśl! Rozejrzyj się wokół. Czy to miejsce coś ci przypomina? No oczywiście, że tak.

I nie krzyw tak tej ślicznej, wymuskanej mordy. Za chwilę nie będzie już taka głodziutka. Otóż całe dwadzieścia lat temu nijaki Jan Poniatowski, i dodam, że zbieżność nazwisk nie jest tu przypadkowa, na oczach swoich przyjaciół, w tym oto miejscu zamordował miłą, pocziwą i szanowaną obywatelkę tego, jakże pięknego, spokojnego miasteczka, a potem sprowokował jej męża do samobójstwa. Aniela i Bernard Kaliccy – mówi ci to coś? Nie? No więc ja ci mówię, że tak. No bo znałeś Joannę, prawda? Ostatnio, dzięki twojej rzekomej niewinności wymknęła nam się z rąk, jak mówili Niemcy. Ten gej ją dokończył. Jaka szkoda, nieprawdaż? No, ale... Tak naprawdę to ty ją zabiłeś. Omamiliłeś i zwodziłeś przez całe dwadzieścia lat. A ona tak bardzo cię polubiła. Jak większość świata zaślepionego twoim wdziękiem. Wiesz, że to cholernie niesprawiedliwe? Zaufała ci, wpuściła do swojego domu, a potem zabiłeś jej najukochańszych rodziców. Wiesz, jak ona wtedy cierpiała? Jak wówczas się czuła? Myślisz, że uwierzyła, że to nie ty? Serca kochającej córki nigdy nie oszukasz. Glinom mogłeś wmawiać te swoje bajeczki, ale nie jej. Ona umarła przez ciebie, błagała, bym wreszcie z nią skończył, bo jej życie nie miało już sensu. I to właśnie ty do tego doprowadziłeś. Zbrodnią i dwudziestoletnimi kłamstwami. Ale nie martw się. Powiedziałem jej wszystko, czego się dowiedziałem. Z każdym ciosem prawdy wypływała z niej porcja nabrzmiałego bólu. Krwi, która oczyszczała ją z wielkiej nienawiści do ciebie, z ogromnej tęsknoty za rodzicami i beztroskim życiem bez strachu. I wiesz co? Bardzo jej pomogłem i chyba przyznała mi rację. Nie sądzę, żeby chciała mnie zwodzić. Nie miała po co. Akurat mi powinna zaufać. Byłem po jej stronie. Nienawidzę przecież twojej gęby jeszcze bardziej niż ona. Widzę, jak teraz myślisz. Brak inteligencji bruździ gładką skórę? Za co? Za co? Co ja mu takiego zrobiłem? Chcesz wiedzieć? Ależ proszę bardzo.

– Nic ci nie zrobiłem, to jakieś bzdury! – przerwał Poniatowski. – Gównu wiesz. Puść ją, słyszysz? – nakazał, wzdając krew ściekającą z szyi przyjaciółki. Zrobił krok do przodu. Zrób coś, do licha! – zmobilizował się w myślach.

– Jeszcze jeden krok, a wpiędnę jej nóż w samo gardło, przysięgam – syknął oprawca, a potem mocniej zacisnął dłoń na rękojeści. – Podejdiesz do mnie, kiedy ci pozwolę, rozumiesz?

Janek skinął głową, uniośł ręce w uspokajającym geście, a potem się cofnął.

– O czym to ja chciałem? – spytał mężczyzna z teatralnym zacięciem. – A... Właśnie, że się nie domyślisz. No to ci podpowiem. Natasza! Natasza Poniatowska. Jakże to nazwisko plami jej szlachetność. Zabiera jej piękno i szczerość. Kocham ją, rozumiesz? Kocham. Powinna należeć do mnie, bo to ja pierwszy się w niej zakochałem, przed tobą. Dlaczego mi ją zabrałeś? Ona naprawdę przychodziła do mnie. Uśmiechała się, mówiła miłe rzeczy. W jej oczach widziałem miłość i blask, jakiego nigdy się nie zapomina. A potem zjawiłeś się ty... Wtedy już wiedziałem, że wszystko stracone. Już nie zwracała na mnie uwagi, a jej oczy nie śmiały się do mnie, lecz w twoim kierunku. Nie mogłem normalnie żyć, pracować, oddychać, kochać. Chciałem umrzeć. Odwracałem wzrok, gdy ją całowałeś, dotykałeś, wdzieczyłeś jak jakiś kretyn, szeptałeś bzdury do ucha, trzymałeś za rękę. Na samo wspomnienie wciąż chce mi się rzygać. Ale to minęło. Wyleczyłem się z żalu i trudnej miłości. Postanowiłem odżyć i powierzyć duszę komuś wspanialszemu. Tylko Bóg mi pomógł, pokochał, przytulił i uśmierzył ból. Obiecał, że za jakiś czas będę jego sługą, posłańcem, narzędziem w ręku wielkiej, słowem nieopisanego energii. Nauczył mnie przetrwać. Sądzić w chwale żywych i umarłych. Nożem wymierzać sprawiedliwość. Z jego pomocą wszystko stało się prostsze. Słowa nienawiści zmieniły się w konstruktywne, metodyczne działanie, które niczym na skrzydłach zaprowadziło mnie do pierwszych sukcesów. Otworzyło oczy na żal i cierpienie Joanny. Jej historia już dawno zasługiwała na szczęśliwe zakończenie. On powiedział do mnie: dosyć jej męki, chcę ją mieć u siebie, niech w końcu będzie spokojna. I zgadnij, kogo poprosił o pomoc? No kogo? Tak, brawo, tępaku, mnie! Brzydkiego, otyłego, obleśnego i niekochanego chłopca. Pragnącego szczęścia, ciepła i akceptacji, jak każdy. Pierwszy raz w życiu poczułem, jak ktoś mnie przytula. Opatula kocem jak matka. Moja matka też mnie tuliła, do czasu. Póki nie poznała jego! Dlaczego on mi to robił? Przecież tak bardzo go polubiłem. Uśmiechał się, gładził, zabiegał o względy. Problem w tym, że zbyt intensywnie i zbyt napastliwie. Skąd miałem to wiedzieć? Przyszedł do mnie w nocy. Położył się obok. Mama była w pracy... Kazał zdjąć piżamę i rozkazał milczeć. Nawet nie wiesz, kurwa, jak to bolało. Pamiętam, jak bardzo płakałem. Nie mogłem zatamować krwawienia, a potem zemdlałem w łazience. Zaniósł mnie do łóżka, dał tabletki i pogroził palcem. I tak nie odważyłbym się komuś o tym szepnąć. Z początku za bardzo się bałem, a później za bardzo wstydzilem. I jeszcze ten ksiądz na religii. On chyba coś wiedział. Wyczuł, że jestem

narzędziem do masturbacji w śmierzących rękach pedofilów. Też ze mną spróbował. Uciekłem. Nie wybaczę sobie tylko jednego, że nikomu o tym nie powiedziałem. Przecież ktoś mógłby mnie jeszcze obronić. Nie daruję też swojej matce. Teraz brzydzę się nią jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy przymykała oczy na prawdę. Mógłbym przysiąc, że wiedziała o wszystkim. Dawał jej forszę, że niby ją kocha. Gówno! Nie kochał jej, tylko uwielbiał mnie pieprzyć! A śmierzącą kasą podcierał dupę tej kurwie. Ale to mogłem jeszcze zrozumieć. Byliśmy biedni, a dzięki jego pieniądzom dostałem piłkę na urodziny. Oryginalną. W szkole się podobała, ale ja nie miałem siły w nią grać. Wszystko mnie bolało. Raz nawet wylądowałem w gabinecie u higienistki. Na szczęście nie kazała mi się do końca rozbierać. Teraz matka nadal milczy. Udaje zupełnie kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. Wiedzie nowe życie, niby zwykłej, normalnej kobiety. Takiej, jakich na pęczki. Teraz jej jeszcze pozwolę na wegetację, jest mi potrzebna. Ona wie zbyt dużo i wszystkim się dzieli. Chyba tym chce spłacić dług swojej obojętnej przeszłości. Chce wyrównać krzywdy, odbudować ufność, uspić swe demony. Łudzi się, że wszystko jest w porządku. Myśli, że jest na dobrej drodze do szczęśliwego życia na kanwie mojego bólu. Nic bardziej mylnego. Ją też wkrótce odwiedzę. Wepchnę jej nóż, tam gdzie on wpychał mi kutasa. Innej drogi nie ma. To Bóg zapala moje kolejne gromnice, a w ich świetle wskazuje nową osobę. Ja tylko podtrzymuję dygoczące płomienie ich strachu, aby móc zgasić ich światło na wieki. No... ale dosyć o matce. Natasza? Tak, wyleczyłem się z wielkiej miłości. Byłem najszczęśliwszą osobą na tej planecie, kiedy dowiedziałem się, że się rozstajecie. O wszystkim wiedziałem. Moje szczęście przyćmiła tylko rosnąca nienawiść do ciebie. Za to, że zrobiłeś krzywdę takiej anielicy. Całe miasto huczało, a każda plotka rozdzierała mi serce. Nigdy ci tego nie wybaczę. Najpierw mi ją zabrałeś, a potem tak bardzo skrzywdziłeś. U mojego boku nigdy nie spadłby jej włos z głowy. Nie naraziłbym mojej ukochanej na to, by wszyscy wzięli ją na języki. Że została zdradzona, upokorzona! Zdrada jest najgorsza. Niczego gorszego nie można się w życiu dopuścić. Jesteś Judaszem. Słyszysz? Judaszem! A ona znów ci uległa, wybaczyła, widziałem to w jej oczach. Tęskniła za tobą jak pies. Nie za mną... Za tobą. Na mnie nawet spojrzeć nie chciała. Tak jakby nic nigdy nas nie łączyło. A wczoraj... Nawet się ze mnie śmiała. Szydziła wraz z tobą. Tego było dla mnie za wiele. Musiałem to wreszcie skończyć, a stwórca wytyczył mi nową drogę. Krętą ścieżkę wiodącą do bram wyzwolenia. Zapamiętaj! Nikt więcej i nigdy nie będzie bawił się mną, moim ciałem i moimi uczuciami. Nikt nie wystawi mnie na pośmiewisko i nikomu nie uda się jeszcze mnie skrzywdzić. Przysięgam. Dzisiaj to ja decyduję, rozdaję karty i kreuję swoją przyszłość. Nie! Nie zapominam o przeszłości. Nie mógłbym i nie potrafię. Mam nowe dowody na to, jak potężną zbrodnię popełniłeś kiedyś. Wiktor Szewczyk, pamiętasz? Nasz dzielny policjant sprzed dwóch długich dekad. No więc okazuje się, że stary pan Wiktor ma doskonałą pamięć i lekkie pióro pisarza. Ostatnio wpadło mi w ręce jego najnowsze dzieło. Stworzył piękną opowieść, w której bez reszty przepadłem. A wszystko dzięki uprzejmości mojego naiwnego sługi. I niech zgadnę... Oczywiście nie wiesz, o co chodzi? Nie? Dlaczego ja to wiedziałem? Otóż, nasz nieustępliwy stróż prawa i sprawiedliwości napisał list w przededniu śmierci Joanny. Tak, Joanny. Nie rób takiej miny. Co miał z nią wspólnego, oprócz tego, że łączyła go wielka, nierozzerwalna przyjaźń z Bernardem? Ano to, że był jej prawdziwym ojcem. A to heca, nie?

Napastnik odjął nóż od Sasanki. Tylko na chwilę. Machnął ręką zachęcająco, a potem znów przycisnął jej ostrze do szyi.

– Chodź tu, kurwa – nakazał. – Podejdz, ale bez żadnych głupich pomysłów, rozumiesz? Bo będziesz miał na koncie kolejną ofiarę.

Janek drgnął tylko nieznacznie. Sam nie wiedział, co ma robić.

– No idziesz, kurwa? Wyjmij z mojej kieszeni list i latarkę, a potem odczytaj nam wszystkim prawdę o sobie. – Przytknął ostrze mocniej do gardła dziewczyny, widząc, jak Poniatowski zbliża się do nich. – Tylko, kurwa, bez kombinowania – zagroził.

– Spokojnie – szepnął zdezorientowany Jan, a potem wyjął z kieszeni wystające przedmioty. Na skinienie cofnął się na miejsce, włączył latarkę i rozłożył zmiętolony papier.

– No dalej! – warknął psychopata. – Głośno i wyraźnie, już!

Poniatowski odchrząknął i zaczerpnął powietrza. Z trudem opanował drżenie rąk, a potem zaczął czytać.



*Droga Joasiu!*

*Pisząc te słowa, wiem, że nawet ich nie przeczytasz. Ale możesz je poczuć, w swoich myślach i tęsnej podświadomości. Wysyłam ich treść z głębi serca wprost do twego zranionego wnętrza. Przepraszam, że robię to zdecydowanie za późno, że dopiero teraz. Zbrakło mi wcześniej odwagi, lecz na odkrycie prawdy chyba nigdy nie jest za późno. Wiele razy byłem już blisko, lecz zawsze na końcu tchórzyłem. Bałem się zniszczyć ci życie, a i tak stało się przecież najgorsze. Dlatego, proszę, wysłuchaj, przebac, a potem zapomnij o wszystkim.*

*Chcę, żebyś wiedziała, że Barnard bardzo cię kochał. Zawsze, bezwzględnie i bezwarunkowo. Byłaś jego oczkiem w głowie, zanim i twój, i jego świat się zawalił. Nie był sobą, musisz mu wreszcie wybaczyć. Ale nie, Bernard nie był Twoim ojcem. To znaczy zawsze był Ci jak ojciec, lecz to nie on sprawił, że jesteś na świecie.*

*Aniela... Wiesz, jak bardzo kochałem twoją matkę? Nie da się tego opisać słowami. To uczucie milion razy większe od tego, które można napisać, używając słowa: „kocham”. Tak. Mieliśmy romans, długi, szczęśliwy i trwały. Przynajmniej dla mnie. A jego owocem jesteś Ty, kochanie. Tak! Jesteś moją córką. I choć trudno w to uwierzyć, taka jest prawda. O ile kiedyś ktoś z nas mógł mieć co do tego jakieś wątpliwości, o tyle medyczny postęp ostatnich lat rozwiązał wszelakie niedomówienia. Wszystko sprawdzone i potwierdzone. Na sto procent, córeczko...*

*Nie chcę być zachłanny, nie oczekuję niczego więcej ponad to, co łączy nas teraz. Te krótkie, zaplanowane przeze mnie spotkania i tak dają mi dużo szczęścia. Teraz po prostu będziesz wiedzieć, że nie jestem tylko przyjacielem twojej rodziny, który przechodząc obok, wpadł zapytać, co słyhać. Wypić kawę i nacieszyć wzrok twoim widokiem. Uśmiechem podobnym do matki i cechami mojego charakteru, które ciągle widzę u ciebie. Mam nadzieję, że tego mnie nie pozbawisz, i łudzę się, że pozwolisz na więcej.*

*Lecz dziś dla mnie najważniejsze jest to, abyś wróciła do zdrowia. Bym mógł cię przytulić i porozmawiać. Nawet nie wiesz, jak bardzo przeżywałem to wszystko. Kiedy zniknęłaś, mój świat zapadł się pod ziemię razem z resztą tego, co jeszcze mi w nim pozostało. Prócz ciebie... Dagmara urodziła synka, twojego siostrzeńca. Jest do ciebie taki podobny. Na pewno pokochasz go tak, jak ja, od pierwszego spojrzenia. Dagmara nic nie wie. Nikt nic nie wiedział, aż do tego listu. Tylko ja i Aniela. I Bernard... Ten sekret zżerał mnie od środka. Nigdy nie nauczyłem się żyć z bagażem tajemnic dźwiganym na plecach. Każdy dzień bez prawdy przekonywał mnie o tym, jak bardzo cierpię i jak wielką krzywdę wyrządzam sobie milczeniem. I Tobie, kochanie. Każdy zasługuje na prawdę. Nawet tę najgorszą i ciężkostrawną. Tylko szczerłość prowadzi nas ku jasności. Kłamstwo ciągnie w dół, strącając na samo dno piekiel.*

*Dlatego napisałem ten list, gdyż jest on moim oczyszczeniem z grzechu zakłamania, tchórzostwa i przemilczenia. Wiesz... muszę Ci wyjaśnić, co zaszło tamtego dnia. Nie chcę nawet do niego wracać, ale muszę. Jeśli prawda ma w końcu ujrzeć światło dzienne, muszę cię cofnąć do dnia Twych osiemnastych urodzin.*

*Nie, nigdy nie powiedziałem Bernardowi o Tobie, o mnie i Anieli. Aniela też nie, tego jestem pewien. Ona pisała pamiętnik. Bernard musiał go znaleźć. Tamtej nocy, gdy byłem pod domem, wyraźnie słyszałem, jak czyta go na głos. Cytuje jej słowa. Byłem w nich ja i moja miłość. Aniela płakała. Nie, nie zaprzeczała, to nie miało sensu. Była szczerą, odważną i hardą. W pewnym momencie wyrzucił pamiętnik przez okno, a potem zaciągnął kotary. Widziałem, jak wybiega na zewnątrz. Wraca, a potem znów wybiega z domu w pośpiechu. Z butelką w dłoni. Cały czas dyszał i wrzeszczał. Był wściekły, a ona płakała. Coraz rozpaczliwiej.*

*A ja? Stchórzyłem. Schowałem się w lesie, usiadłem pod drzewem, a uszy przykryłem rękami, by nie słyszeć wrzasków. Wiedziałem, że muszę wrócić, wkroczyć między nich, wziąć winę na siebie, ale najprościej w świecie stchórzyłem. Kiedy wróciłem pod dom, było absolutnie cicho. Dom otwarty, światła pozapalane. Wróciliście...*

*Joasiu... Ja naprawdę widziałem morderców. Nie miej mi tego za złe. Od początku wiedziałem. Byliście pijani, a takiej zbrodni nie mógł dokonać ktoś trzeźwy. Chyba że byłby demonem. Wysłannikiem piekiel, diabłem w ludzkiej skórze. Byłem pewien tego, co wtedy widziałem. To była ciężka noc, a w takich emocjach wnioski nasunęły się same. Tak było prościej. Za bardzo szanowałem Bernarda.*

*Nie słyszałem krzyków. Wiedziałem, że stała się jakaś wielka krzywda. Pobiegłem w stronę miasta, ile sił w nogach. Wezwałem policję. Zgłosiłem morderstwo i nie pomyliłem się. Boże, a jak bardzo chciałyby.*

*I najbardziej wstyd mi tego, że wtedy stchórzyłem. Uciekłem w kłamstwie, panice i lęku. A przecież już dawno chciałem powiedzieć o wszystkim Tobie i Bernardowi. Obiecałem sobie, że do dnia twoich osiemnastych urodzin*

skończę z tym wszystkim, wyznam prawdę i zacznę życie od nowa. Z prawdziwą rodziną. Z Anielą i z Tobą, córeczko. Wtedy liczyła się dla mnie tylko przyszłość, kobieta mojego życia oraz córka. Nie chciałem się Wami dzielić z całkiem obcym mężczyzną. A tak w ogóle... Bernard też nie był wtedy święty.

*Za każdym razem, gdy opuszczałem Wasz dom, płakałem za drzwiami jak dziecko. Czułem się, jakby ktoś wyrzucił mnie z rodzinnego domu. Godzinami wystawałem pod twoim oknem. Z lasu widać było wszystko, co robisz w pokoju, jak czeszesz włosy, słuchasz muzyki, uczysz się, kładziesz się spać. I jak tulisz misia ode mnie. Wtedy oddałbym wszystko, by móc uczestniczyć choć w skrawkach twojego codziennego życia.*

*Dziś chciałbym, żebyś wiedziała, że kocham Cię całym sercem. I raczej już nigdy nie przestanę, tak samo, jak nie przestałem kochać Twojej matki. Okrutny los zabrał mi ją wtedy. Wieczorami modłę się, by teraz nie zabrał mi ciebie. Zdrowiej, kochanie. Wierzę w to, że będzie dobrze.*

*Kocham, całuję, tęsknię*

*Twój Tato*

– I co, kurwa, na to powiecie? – wrzasnął. – Rzuć na ziemię list i latarkę – rozkazał Poniatowskiemu, znów mocniej zaciskając dłoń na stalowej klindze.

Janek widział, jak pluje pianą. Wolał się nie odzywać. Wykonał grzecznie polecenie, a potem zaczął intensywnie myśleć, grać na zwłokę i szacować swoje możliwości.

– Macie jeszcze jakieś wątpliwości, że musicie ponieść karę za to, co się stało? Wszyscy jesteście winni, kurwa! Wszyscy. I Joanna też. Dlatego, że była tam z wami. Zadając się z taką plugawą bandą, musiała mieć coś na sumieniu. Nie wierzę, że nie. Zresztą, to ona skróciła mi drogę do zemsty na tobie, cwaniaczku. Och, żałuj, że nie widzisz teraz swojej miny. Na to czekałem tak długo. Wyglądasz jak dupa zaskoczona brakiem liści w środku lasu. Tak, za Nataszę. Joanna była pierwszym krokiem do zemsty na tobie, a potem już poszło jak z płatka. Jeszcze z początku miałem wątpliwości co do waszej winy, ale list, który wpadł mi w ręce, rozwił je natychmiast. Jak wiatr zmierzający do prawdy.

– Nic nie wiesz! – przerwał mu Poniatowski. – Z tego listu wcale nie wynika... – Nie wytrzymał. Musiał mu przeszkodzić, chcąc sprawdzić, w jaki sposób zareaguje ten psychol. Musiał zacząć działać, byle szybko. – Nie znasz całej prawdy.

– Zamknij się i słuchaj! List to tylko potwierdzenie informacji, jakie posiadam z pierwszej ręki! – zaśmiał się szyderczo. W oczach miał blask triumfu. – Myślisz, że jestem idiotą? Tak się składa, że moja ukochana mamusia, nijaka Halina Stępnia, jest najlepszą przyjaciółką tej kurwy, która cię urodziła, a ona nie jest jakoś specjalnie powściągliwa. Podziękuj Oleńce, cwaniaczku. Ona wie, a przede wszystkim mówi więcej, niż mogłoby ci się zdawać – ciągnął z egzaltacją w głosie. Z całych sił starał się zaprezentować swoją zwyczajną wyższość. W przerwach między jedną a drugą serią efekciarskiego śmiechu coraz mocniej zaciskał ramię na szyi Sasanki, czego nie kontrolował. – No więc twoja matka...

– Puść ją! – znów przerwał mu Poniatowski. Miał coraz mniej czasu. Wzrok przyjaciółki panicznie wzywał pomocy. – Nie o nią ci chodzi, a o mnie. Sam powiedziałeś.

Zrobił krok do przodu. Mimowolny, wyrażający gotowość udzielenia pomocy.

– Stój, kurwa! Zajebię ją, słyszysz? – głośnie echo wzbilo w powietrze psychopatyczną obsesję zmieszaną z błagalnym piskiem Sasanki. Coraz mocniej krwawiła. – Jeszcze jeden krok i nie będzie tak słodko. Chodzi mi o wszystkich, którzy są ważni dla ciebie. Nawet nie wiesz, pod jak wielkim wrażeniem twojego zasranego uroku jest moja Ania. Nienawidzę was wszystkich!

Poniatowski widział, że nożownik traci panowanie nad sobą. Najwyraźniej wykorzystał już resztki chorego opanowania na wyrzucenie z siebie słów morderczej spowiedzi. Janek był zaskoczony. Przez cały czas wiedział, że ma do czynienia z osobą nie zrównoważoną psychicznie, pałającą do niego wielką nienawiścią, gniewem i zazdrością, ale nie spodziewał się, że te uczucia są tak silne i powodują taką potężną determinację w działaniu. Jan w głowie miał mętlik. Wiedział, że musi pomóc Ance i to już zaraz, maksymalnie za kilka sekund. Nie miał pojęcia, jak głęboka

może być jej rana. Serce dudniło mu jak oszalałe, a ilekroć pomyślał o Remigiuszu i Nataszy, czuł siłę turbodoładowania objawiającą się chęcią i determinacją. Nie zastanawiał się nad tym, kto wygra i jak to się skończy. Mało go to teraz obchodziło. Nerwy, stres, ból, miłość, tęsknota i troska były tak ogromne, że w sercu nie było miejsca na dalekosiężne analizy. Nie zwlekał już ani sekundy.

– Spójrz lepiej za siebie – huknął z odwagą. – Chyba nie jesteśmy tu sami. Może nie wszystko poszło tak, jak sobie zaplanowałeś?

Oprawca drgnął z niepokojem. Oderwał wzrok od Poniatowskiego, a potem się odwrócił. Pojął dopiero po skrawku sekundy, że dał się nabrać jak dziecko.

Janek był już przy nim. Chwycił za nadgarstek trzymający zakrwawione ostrze, a potem zacisnął na nim swą dłoń. Tak mocno, że ból zamajaczył mu w skroniach. Spojrzał w gniewne oczy. Błysnęły nienawiścią, a potem znalazł w nich cień zaskoczenia. Jeśli nie wpadnie na coś za chwilę, przegra. Raz kozie śmierć – pomyślał. Ja, albo on!

Widział to tylko w filmach i nigdy nie wierzył w sprawczą moc ciosu zadanego głową. Znajdował się jednak w korzystnej pozycji. Był też dużo wyższy od przeciwnika. Spojrzał na Ankę, dając jej znać, że za chwilę muszą zadziałać w duecie. Odchylił kark do tyłu najmocniej, jak tylko potrafił, zamknął oczy, wymówił błagalną prośbę o powodzenie, a potem gruchnął w twarde jak marmur czoło psychopaty. Stracił na chwilę świadomość. Poczł głuche stuknięcie, palący ból w czaszce, pisk w uszach, a pod powiekami dojrzał plejadę pulsujących gwiazd. Rozpływały się w gęstym, mlekowatym tle.

Chwilowe ślady zamroczenia szybko straciły na intensywności. Janek usłyszał wątłe stęknięcie, a zaraz po tym bezbarwny pogłos szamotaniny. Otworzył oczy i dostrzegł, jak przyjaciółka godzi łokciem w brzuch mężczyzny, który jeszcze przed chwilą więził jej szyję w nienawistnym szachu. Nie zastanawiał się. Widząc jego dezorientację oraz to, jak całkiem bezwładnie zachwiał się na ugiętych nogach, skopiował dwukrotnie mocny cios Sasanki, a później szturchnął rozhuśtane ciało. Z całej mocy i obiema rękoma. Kucająca za nogami sprawcy kelnerka, zadziałała naraz jak podstawa dźwigni. Czarna postać runęła na ziemię jak kłoda. Z wielkim nożem w dłoni.

– W porządku? – zapytał. – Anka, krwawisz!

– Drasnął mnie tylko, skurwysyn – szepnęła, ale bez przekonania. Nie mogła widzieć, jak mocno została raniona. – Wiem, kto to, a ty?

– Oczywiście. Ale nigdy nie pomyślałbym, że to akurat on.

– Poczekaj – syknęła powodowana bólem. Okrążyła leżącego na wznak mężczyznę. Kucnęła przy jego głowie i ściągnęła mu z głowy czarną kominarkę. – Ożeż, kurwa, wiedziałam. Jak mogłeś? I ty, Jarek, przeciwko mnie?

– Dobra, nie ma czasu. Musimy tam wejść – nakazał Jan. Odwrócił się w stronę zrujnowanego budynku, przed którym zaskoczył ich Grzesiuk.

– Uwważaj! – zdążyła krzyknąć Sasanka.

Janek spojrział za siebie. Zauważył, jak zdesperowana dziewczyna chwyta obiema rękami ubłocony kamień, a potem poczuł piekący ból w udzie. Struga gorącej krwi spłynęła w kałużę. Chwilę wcześniej Grzesiuk się ocknął. Na szczęście kelnerka zarejestrowała tę chwilę. Widziała, jak wstaje. Przyklęła tuż za nim i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby go porządnie uszkodzić i powstrzymać od zadania ciosu. Widziała, jak oprawca kieruje nóż w stronę Poniatowskiego. Dłonią wymacała kamień, duży i ciężki jak hantle z siłowni. Była pewna, że zdąży, zanim brudny nóż utkwi w nodze Poniatowskiego. Pomyliła się. Zabrakło jej ułamka sekundy. Zamachnęła się, a siłę jej mięśni wsparła gotowość przetrwania. Jak mógł jej to zrobić? On? Jej bliski przyjaciel?

– Wybacz... Nie mam wyboru... – szepnęła. Podniosła kamień najwyższej jak mogła, potem łupnęła nim prosto w czubek łysiej głowy. Stęknęła przy tym jak tenisistka na korcie. Po chwili spostrzegła, jak Grzesiuk zwalnia uścisk.

Ciało desperata zastygło w bezruchu, po czym opadło wprost w rozmokniętą breję. Głośne plaśnięcie zwiastowało koniec.

– Zabiłam człowieka – powiedziała Sasanka bez jakichkolwiek emocji. Zawisła między światami, zastanawiając się, w którą stronę skierować dalsze działania. Wstała z kolan i czym prędzej podbiegła do Janka. Zajrzała mu w oczy. Nie wyglądał dobrze. Twarz miał pobladłą jak kawałek ściany. Stał zgarbiony, ręką zasłaniając coraz rozleglejszą plamę. Stracił dużo krwi. – Co dalej? – szepnęła.

– Policja, słyszysz? Jadą tu. Idźcie po Remika, najpierw po... – stęknął, osuwając się w dół. – Słyszysz? Policja... – dodał, mdlejąc od upływu krwi.

– Janek – zawołała Anka. – Trzymaj się, chłopie.

Chciała go podtrzymać, ale był dla niej za ciężki. Złapała go w pasie, a potem razem z nim usiadła na mokrej nawierzchni. Ciężką głowę Jana ułożyła na swoich kolanach. Pogłaskała go czule.

– Będzie dobrze, wytrzymaj – prosiła. – Podniosła wzrok i odwróciła głowę. Zobaczyła niebiesko-białą, migającą poświatę. Akompaniowały jej dźwięki ratunkowych syren. Kilka osób biegiem zmierzało w ich stronę. Czerń zbrojnych kominiarek, a za nimi czerwień uniformów z logo Eskulapa. Nagle usłyszała wrzask z głębi ciemnego gospodarstwa. Młoda dziewczyna wzywała pomocy.

– Ratunku! Jest tu kto? Ludzie – głos był pewny, hardy i niepokonany.

Poznała ją. Była w szpilkach, sukience, z wielkim nożem w dłoni. Wyłoniła się z mroku, jakby wyszła zza kotary w ciemni. Stała tuż przy nich.

– Co tu się, kurwa, wyprawia? – zapytała. – To wy, do kurwy nędzy?

Coś nagle huknęło. Tak głośno, że Anka przestała słyszeć. A potem stała się jasność. Ciepły wiatr palił jej plecy jak napalm. W oczach Julii zobaczyła żar buchającej pożogi.

---

Piła, 14 stycznia 2016, późne popołudnie

Marianna Olecka

Marianna Olecka właśnie odłożyła słuchawkę. Zaraz tu będą, pomyślała. Miała ostatnią chwilę dla siebie. Resztki wolności, której nie będzie już potrzebować. Jak ją wykorzysta? To pewne. Na garść najpiękniejszych wspomnień.

Wróciła myślami do niego, a raczej do jednego ze snów, w których go spotykała. Prosił ją wtedy o pomoc, chciał ją znowu ostrzec. Uświadomić, co będzie, gdy nie zdradzi prawdy skrywanej przez lata.

Był uroczy jak w dniu, kiedy go poznała. Nic się nie zmienił, nie zmarniał ani nie zestarzał. Może nawet dobrze, że zginął tak młodo. Nie poznał udręki starczego żywota ani utraty miłości. Błagał ją o pokutę. Tak pięknie i tak nonszalancko. Prosił, aby go uwolniła. Pozwoliła odejść do litościwego stwórcy. Nikt już nie będzie go sądził, potępiał, oceniał. I nikt nie będzie rozpamiętywał tego, czego się kiedyś dopuścił. Albowiem bóg jest miłością, wielką świetlistą energią, nieograniczonym szczęściem, którego częścią Bernard stał się dopiero wczoraj. Dzięki niej, w dniu zakończenia jej ostatniej drogi.

Była pewna, że zrobiła dobrze. Wszystko dokładnie zaplanowała, a pomogły jej one. Znowu. Były z nią przecież tak długo. Od początku do nastającego końca. Najpierw ona pomagała im, a później one się pięknie zrewanżowały. Za dom, który im stworzyła, i za młodość, jaką im poświęciła. Była z siebie dumna. Nikt nigdy nie doświadczył tego, co ona, dlatego nie bała się teraz niczego.

Mogła zaraz umrzeć, bez obawy śmierci. Dały jej przecież znać, że kres nie istnieje. Życie to tylko krótka, nieudana próba, po której następuje wieczne, nieograniczone szczęście. Anioły pośredniczą w krętej drodze stąd do świata nirwany. Pozostaje tylko kwestia tego, czy ludzie potrafią dostrzec ich starania, czy też pozostają ślepi na białych wysłanników Boga. Czy wpuszczą ich dobro do ludzkiego serca i stworzą warunki do rozkwitu bieli? Ona tak zrobiła. I nigdy nie żałowała.

Sklep zapisała Halince. Przyjaciółka w pełni na niego zapracowała. Tak bardzo jej pomagała, zastępując w dniach, gdy ona musiała troszczyć się o swoich przyjaciół. Poza tym ktoś musi dalej pociągnąć interes. Była

prawie pewna, że Halinka nie zniszczy dorobku jej życia. Kto wie? Być może wypielegnuje nowe pokolenie latających stróży? Na to Marianna nie będzie miała już wpływu, ale do grobu zabierze nadzieję.

Wszystko opisała w liście. Swą grzeszną historię, plugawe błędy młodości i prawdę. Poszła do notariusza. Umowę przekazania sklepu również zamknęła w kopercie. Chciała Halince choć w części wynagrodzić poniesione straty, a także chwile słabości, w których sama musiała zarządzać sprzedażą. Zawsze mogła liczyć na jej wsparcie, a takich przyjaciół nie zostawia się na lodzie.

A ona? Cóż... wkrótce odejdzie. Głośna sprawa sprzed lat ponownie zobaczy światło dzienne. Lecz tym razem wszyscy ocenią morderstwo z innej perspektywy. Nie dbała o to, jak inni rozliczą jej postać. To nie miało dziś dla niej najmniejszego znaczenia. Osąd ludzki posiada na ziemi tylko krótkotrwałą wartość. W świecie aniołów traci na wadze i jednoznaczności. One zawsze widziały w niej piękną i uczuciową kobietę, szukającą szczęścia i posłusznie spełniającą ich wolę.

Usłyszała dźwięk domofonu. To oni, już tu są – stwierdziła w myślach. Spojrzała w lusterko, poprawiając włosy. Wszystko w największym porządku.

– Jesteś piękna, odważna i silna, Marianno – uśmiechnęła się szczerze do siebie. – Właśnie skończyłaś odgrywać rolę, jaką napisało ci życie. Oskar za całokształt – szepnęła. – Nikt inny nie byłby w stanie zrobić więcej dla tego świata niż ty. I dla nich... Twoich łopoczących braci. Nie martw się, nigdy cię nie opuszczą.

Leżała na łóżku w sypialni. Czekwała spokojnie. Muśnięte złotem powieki stawały się ciężkie i lepkie. Poczowała ciepło i anielską błogość. Odpływała. Położyła głowę na miękkiej poduszce. Chyba zamknęła już oczy. Nie usłyszała nawet szelestu opadającego opakowania po lekach. Zażyła wcześniej całą ich zawartość. Wszystko zgodnie z planem.

Nagle na rozpalonych policzkach poczuła kilka tysięcy leciusieńkich muśnięć. Wiedziała dobrze, kto ją tak dotyka. Nawet nie musiała sprawdzać. Nie chciała otwierać oczu, by nie stracić przyjemności, na którą czekała tak długo. Dotknęła ręką przyprószonej twarzy. Tak, to one. Lekkie piórka ze skrzydeł jej dzieci. Było ich coraz więcej. Czowała, że zaraz otulą niewinnością bieli ciało umęczone życiem. Wreszcie doczekała się nagrody od stwórcy i blasku najjaśniejszego światła. Zobaczyła tunel, drogę w jedną stronę. Nie zawahała się. Wiedziała, że musi pójść w ich kierunku, wrócić nareszcie do domu.

Stała już w rajskim ogrodzie. Łomotanie do drzwi przestało mieć nagle znaczenie.

## EPILOG

Piła, 21 marca 2016 roku, raneł

Jan Poniatowski, Karolina Janicka, Anna Sass

– No cześć! – zawołała Anka, wchodząc z Janem do sypialni Janickiej. – Super wyglądasz, kochana – dodała, a potem razem usiedli obok koleżanki.

Karolina cudem uniknęła śmierci. Kiedy ją znaleźli, była nieprzytomna i wyglądała na martwą. Rokowania zdaniem lekarzy nie były optymistyczne, a kilka pierwszych dni na oddziale intensywnej terapii było prawdziwą walką sztabu najlepszych specjalistów z niecierpliwą śmiercią, stojącą nad łóżkiem. Dziewczyna straciła wiele krwi, liczba ran była wielocyfrowa, a wyniki badań tragiczne. Tydzień przeleżała w śpiączce, a później jeszcze pięć długich tygodni hospitalizacji. Ale wygrała. Takie cuda są raczej rzadkością. To jeden z jej pierwszych dni w domu, pod ścisłą opieką.

– No nareszcie – Janicka rzuciła z uśmiechem. – Nie mogłam się was doczekać. Co słyhać na mieście? – Podciągnęła się, a potem podłożyła sobie poduszkę pod plecy. – Są jakieś promocje w galeriach? – zażartowała.

– Skąd wiedziałas? – zdziwiła się szczerze kelnerka. – Mają teraz tyle nowości na wiosnę, że sama się gubię. Ludzie wpadli w szał zakupów, zachowują się jak dzikusy, a sklepy pękają w szwach. Ruszyć się nie można. No mówię ci, istny koszmar! – Słowa wyskakiwały jej z ust jak popcorn z przepełnionej maszyny. – A właśnie, prawie bym zapomniała. Ta pielęgniarka, Julia. Spotkałam ją wczoraj w takim nowym butik. Z początku jej nie poznałam, ale od słowa do słowa... No i poszliśmy na kawę pogadać, bo wcześniej nie było okazji.

– No właśnie – przerwała jej Karolina. – Mów, byle szybko, co u niej?

– No weź przestań, Kara – podjęła temat Sasanka. – Ona do dzisiaj jest przerażona tym wszystkim. Wiele mi opowiadała. Na przykład o tym, że wtedy, jak wpadła nam pod samochód, to ona właśnie uciekała z kliniki Cinderelli, no wiecie tej nowej, luksusowej. Julia tam pracowała od kilku dni w recepcji. Molestował ją psychopata. Prawie ją zgwałcił i zabił, dacie wiarę? A kto? Nigdy nie zgadniecie – zrobiła pauzę, by zbudować napięcie, a przy okazji nabrać powietrza. – Słynny w całym kraju doktor Arkadiusz Żabski. Co, zatkało, kakao? Tak, tak, kochana – spojrzała na Janicką. – Co tak patrzysz? Zawsze mówiłam, że psychopata czai się za każdym rogiem. Gdzie się nie obrócisz. No, ale! Słuchajcie, ten doktor... – zastanowiła się, ponownie biorąc głębszy oddech. – Wydaje mi się, że coś tam między nimi zaszło. Jakiś romans czy coś, ale nie wnikałam, bo czemu tu się dziwić? Dziewczyna młoda, ładna, zdrowa, to i potrzeby ma. Julia mi powiedziała, że kiedy słyszała w telewizji o naszej głośnej sprawie, to właśnie jego podejrzewała. Była pewna, że to on ją załatwił, a nie Jarosław Grzesiuk. Na własnej klatce, czujecie klimat? – Sasanka zrobiła wielkie oczy. – Facet ze zdjęć jej sąsiada!

A z tym, co jej zrobił Żabski, wcale nie poszła na policję. Powiedziała mi, że skompromitowałyby się na całej linii. A ja do niej mówię: „Nad czym się zastanawiasz, dziewczyno? I tak musisz to zgłosić. To przecież szantaż, próba gwałtu i usiłowanie morderstwa”. No bo podobno tak było. A ona na to, że jeszcze zaczeka i że ma swoje sposoby, aby na tym skorzystać. W sumie to ja nie wnikałam, jej sprawa.

– No tak – odezwał się Janek i szczerze uśmiechnął do Karoliny. Spojrzał dość wymownie, dając jej sygnał, że monolog Anki może trochę potrwać. – Doktorek też ma zadatki na psychopatę – powiedział i puścił oczko Janickiej. – Bo przecież...

– Czekaj, stop! – weszła mu w słowo kelnerka. – Nie przerywaj mi, bo stracę wątek – nakazała i mówiła dalej: – No ma, i to jeszcze jakie. Ja to bym się jeszcze przyjrzała pewnemu taksówkarzowi w Pile, o którym Julia też mi opowiedziała. Dziwnym trafem, ilekroć ostatnio zamawiała taxi, trafiał się jej kurs właśnie z nim. Gość gadał z lusterkiem! Zaraz, zaraz, czekajcie, jak on się nazywał? – Zastukała tipsami w drewniane oparcie łóżka. – Jakoś tak idiotycznie. Wiem! Roman Bańka – krzyknęła, pukając się w czoło. – Kolejny psychol, bo jak się potem okazało, ten cały Bańka pracował z trupami. Dorabiał sobie po godzinach w zakładzie pogrzebowym, a na końcu nawiał do Hiszpanii przed żoną. Psychopata i jeszcze nekrofil! Boże, co to się dzieje w tej Pile? – Anka się zapowietrzyła.

– Sodoma i Gomora – rzuciła Janicka, której udało się wstrzelić w krótką przerwę.

– Żebyś wiedziała, kochana – Sasanka znowu się ożywiła. – I jak nasza Julia leżała potem w szpitalu, to ją odwiedzał jakiś kolega z pracy. Takie oryginalne imię... Mówiła mi... O, mam! Kaseton czy jakoś tak. Dobra, nieważne. Ponoć to on właśnie ją wtedy uratował z rąk krnąbrnego doktora. No a później, po wszystkim tak o nią dbał, że zostali parą. Fajnie, co nie? Prawie jak w bajce o Kopciuszku, a może raczej w Cinderelli – zachichotała. – Julka mówiła, że koniec końców pozbyła się starych problemów, zdobyła łatwe pieniądze, które po wszystkim policja znalazła w samochodzie Grzesiuśka, a co najważniejsze, zyskała miłość życia. To się nazywa mieć farta, co nie?

– Oj, tak, Aniu, oj, tak – podsumowała Janicka. – A jak tam w pracy? – zmieniła temat. – Wszystko wróciło do normy?

– Coś ty! Daj spokój, Kara. – Anka zrobiła kwaśną minę, a wierzchem otwartej dłoni nakreśliła długą linię odcięcia. – Koniec. Mam dość pomyśleń, a to miejsce kojarzy mi się tylko z jednym. Jak tylko skończy mi się zwolnienie, rzucam wypowiedzenie. Nawet nie wiem, czy po tym wszystkim klienci chcą jeszcze tam chodzić.

– I tu cię zaskoczę, kochana – wszedł jej w słowo Janek. – Natasza jest bardzo zadowolona, a telefony w sprawie organizacji imprez wyłącznie w Świtezi wprost się urywają. No mówię wam, totalny odjazd. Krwawa i psychodeliczna walka.

– Jak widać czarny pijar zadziałał – podsumowała Karolina z lekkim przekąsem. – Moja noga i tak nigdy tam nie postanie, bo Świtez kojarzy mi się tylko z... – wielkie oczy Janickiej zaszkliły się – ...tylko z Sebastianem – rozpląkała się. – Przepraszam.

– No coś ty, Karola. – Anka dotknęła ramienia Janickiej, a potem szybko cofnęła rękę. Obawiała się nadwyrężyć jej wciąż świeże rany.

– Spokojnie, już nie czuję bólu – uspokoiła ją Janicka. – A przynajmniej tego fizycznego. Rany od noża już się zablizniły, lecz stęsknione serce nadal krwawi. A wiecie? Nie wybaczę sobie tego, że nie mogłam być z nim do samego końca, pożegnać się po raz ostatni.

– To nie twoja wina – Janek uśmiechnął się opiekuńczo. – Byłaś z nim przecież do końca, odchodził przy tobie. No, a pogrzeb Sebastiana i Asi? – zrobił smętną minę. – Uwierz, nie należał do lekkich przeżyć. A te tłumy, prasa, telewizja? Nie było tam miejsca na chwilę zadumy.

– Janek ma rację, słoneczko – tym razem Anka śmiało przylgnęła do przyjaciółki. Przytuliła ją, nie dbając o to, czy zrobi jej krzywdę. – Myślę, że Sebastian rozumie. I wiesz co? Powiem ci więcej. Uważam, że żyjesz i jesteś tu z nami tylko dzięki niemu. Czuwał nad tobą z góry. Przecież to cud, że z tego wyszłaś. I my też. Ten wybuch! Horror i gehenna, jak u Hitchcocka. To kolejny cud, że nikomu nic się nie stało, prawda, Janeczku?

– Oj, tak – odpowiedział bankowiec. – Zawsze bałem się gazu, że tak powiem, jak ognia, a tu taka niespodzianka. Szczęście w nieszczęściu, że propanu z butli odkręconych przez naszych szaleńców nie zdążyło ulotnić się na tyle dużo, by wysadzić w powietrze również budynki na tyłach posesji. Wtedy i z nas nie zostałyby nic, jak tylko ulotne wspomnienia – Janek zażartował. – I pomyśleć, że Grzesiuś planował na końcu puścić z dymem połowę osiedla, aby pozbyć się śladów. Lecz przynajmniej ten przeklęty dom raz na zawsze zniknął z powierzchni ziemi – podsumował. – Tak czy inaczej Sasanka ma rację.

– Tak. Dziękuję, Aniu – Karolina wydała się już spokojniejsza. Była pewna, że przyjaciółka ma słuszość. Zawsze wiedziała, że w niebie ma osobistych stróżów. Do niedawna tylko rodziców, lecz teraz dołączył do nich

Sebastian. – Tobie też Janek, za wszystko.

– Daj spokój, od czego ma się przyjaciół? – Mężczyzna poczuł łyzy w oczach. Jeśli zaraz nie zmienią tematu, rozklei się po raz kolejny. Przy damach nie chciał okazywać słabości. Nie dzisiaj.

– No właśnie! – huknęła Sasanka. – Jeszcze jedno mnie zastanawia. Zawsze jakoś zapominam spytać o coś, co mi nie pasuje w tym całym porwaniu. Bo zobaczcie, skąd Witkowski i Grzesiuk wiedzieli, że Seba jedzie do Piły? No i że zatrzyma się na tej cholernej stacji?

– Też mnie to nurtuje – rzekła Karolina. – Rozmawiałam z rodzicami Seby. Oni też właśnie tego nie potrafili pojąć, ale policja rozwiązała moje i ich wątpliwości. W trakcie śledztwa Grzesiuk...

– Ano właśnie, Kara – Anka weszła w słowo przyjaciółce. – Mówże, kochana, bo mi się jakoś nie zgadza. Chociaż w sumie może i jest to możliwe, przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek, rozwój techniki, błyskawiczny przepływ informacji. Wszyscy o wszystkim wiedzą, co nie?

– Dokładnie, Aneczko – z uśmiechem przyznała jej rację. – Wyobraź sobie, że Grzesiuk znał Sebastiana, a ostatnio bardzo interesował się jego sprawami, jak zresztą życiem nas wszystkich.

– Tak? – zdziwiła się kelnerka. – A niby skąd go znał, co? Chyba nie z Facebooka, choć Jarek zapraszał wszystkich jak leci.

– Otóż to, kochana. Grzesiuk dodał Świderka do znajomych jakieś pół roku temu. A poza tym Seba był gościem Świtezi, zanim oczywiście wyjechał do Bydgoszczy.

– A widzisz, tego nie wiedziałam. – Anka była zaskoczona. – W sumie co tu się dziwić. Piła to dziura, a świat staje się wioską.

– No więc właśnie – skwitowała Janicka. – A jak wiadomo, Sebastian był uzależniony od internetu, mediów społecznościowych i bycia on-line. I nawet mnie ciągle namawiał na aktywację Facebooka.

– No i wrzucał tam wszystko, kilka razy dziennie – wtrącił Janek. – Również to, że ma w Pile randkę w Świtezi. Bardzo się na nią cieszył.

– A na stacji też mówił, że będzie? – zapytała Anka.

– No jakoś nie – odpowiedział. – To właśnie wciąż pozostaje niewyjaśnione. Policja uważa, że to czysty przypadek. Grzesiuk zeznał tak na początku, a potem wszystko odwołał. Być może to nowa linia obrony. Podobno on razem z Witkowskim chcieli porwać Sebastiana i Karolinę w tym samym czasie. Stąd, sprzed domu. To, że Sebastian miał nocować u Karoliny, też musieli wiedzieć. Dlatego Grzesiuk umówił się ze współnikiem, który czekał w pobliżu, na dalsze wytyczne. Ponoć chcieli użyć gazu usypiającego, a potem wtargnąć do środka. Ale że Jarosław spotkał Świderka na stacji benzynowej, postanowił wykorzystać znak od Boga – Janek zrobił palcami gest wzięcia ostatnich wyrazów w cudzysłów – i nagle zmienił ustalony plan. Poczuł przypływ złości i adrenaliny, a potem zadziałał w afekcie. Uznał też, że dla Karoliny dotkliwszą karą okaże się fakt, że jej ukochany nie przyszedł na randkę i porzucił ją bez słowa. Tak jak niby jego przed laty Natasza. Witkowskiemu zaś polecił włamać się do domu, pomyszkować i zdobyć jak najwięcej informacji o Karolinie, by móc lepiej przygotować się do następnego porwania. Chciał zacząć ją prześladować, tak jak mnie. Miała się bardziej bać.

– No, a Witkowski poszedł na łatwiznę i buchnął komputer – wtrąciła Karolina. – Chyba myślał, że ja też nie mogę żyć bez wirtualnego świata.

– Najwidoczniej – odezwała się Anka. – No, a ten cały Gracjan? To dopiero numer, co nie? Janek? – Zerknęła w stronę kolegi. – Czy to czasem nie on odwiedził cię wtedy w banku?

– W rzeczy samej – odrzekł Poniatowski. – Policja zidentyfikowała go na podstawie nagrań z monitoringu.

– Tylko po co przyszedł? – chciała wiedzieć dziewczyna.

– Najprawdopodobniej, żeby ustalić, gdzie jestem, aby mógł bezpieczniej podrzucić mi ten anonim – wytłumaczył Jan. – Kretyn! Dał się wciągnąć w chorą grę Grzesiuka.

– Zgadzam się w całej rozciągłości. – Sasanka zaczerpnęła powietrza. – A dał się w nią wciągnąć, bo to regularny pedzio, obsesyjnie zabujany w Jarku. Miał w domu pełno jego zdjęć. Julia mówiła, że Witkowski zrobiłby wszystko



dla niego. On nawet zapisał ich obu do kliniki Żabskiego. Podobno chcieli sobie penisy powiększać. Boże, co to się porobiło na tym świecie. To mi się w głowie nie mieści.

– No tak – ciągnęła Janicka. – Wszystko się zgadza. Działali razem, bo Grzesiuk nie dałby rady w pojedynkę. Przyszli tu razem również w dniu, w którym mnie porwali. Wieźli mnie na śmierć, byłam tego więcej niż pewna. Tym bardziej że po drodze zdjęli kominiarki, zdradzając swoją tożsamość. Boże, to był jakiś koszmar, który łagodzili robioną przez siebie miksturą. Kazali mi ją wypić od razu.

– Chryste, jak można? – żywo zareagowała kelnerka. – Mnie musieliby chyba najpierw zabić, zanim włąłabym w siebie coś, czego kompletnie nie znam – wykrzywiła usta w niesmacznym grymasie. – A wiadomo już, co to w ogóle było?

– Tak, wiadomo – odpowiedziała Janicka. – Deszczówka z wódką, w której topili tabletki nasenne. Choć akurat to było w tym koszmarze dobre, pozwalało odpłynąć, zapomnieć o strachu i bólu. Tylko w smaku tragedia, jakby tę wodę nabierali z szamba. A zapach? – skrzywiła się na samo wspomnienie. – Zapamiętam go do końca życia.

– No właśnie zapach – odezwał się Janek, który przez dłuższą chwilę myślami był całkiem gdzie indziej. Razem z żoną i synem. Jakie to szczęście, że im akurat nie stała się krzywda. Jeśli musiały opowiadać o ranach, jakich doznali, to wymieniliły wyłącznie te, które długo zostaną w ich duszach. Najbardziej martwił się o Remika. Takie przeżycie nieprędko zniknie z głowy sześciolatniego chłopca. Trudno. Trzeba się cieszyć, że zarówno Remigiuszowi, jak i Nataszy nie spadł z głowy przysłowiowy włos. Usilnie chciał wierzyć, że biegnący czas będzie od teraz sprzymierzeńcem całej jego rodziny. Nowej, silnej i scalonej dzięki wielkiemu dramatowi. – Czemu ja nie skojarzyłem tego od początku? – szepnął.

– Ale że co? – podchwyciła Anka. – Skąd mogłeś wiedzieć, że oni w ogóle pili tam takie ohydztwo?

– Nie, nie. Nie o to mi chodzi – odrzekł Poniatowski. – Mam na myśli zapach mordercy, znaczy się Grzesiuka – wyjaśnił. – Ostatni list, który mi przysłał, był nim przesiąknięty. Tak samo jak ty – spojrzał wymownie na Ankę. – Nie obraż się, ale zawsze kiedy się z tobą widziałem, czułem siłą tej obleśnej woni.

– No wiesz co? – zaprotestowała kelnerka i przewróciła oczami. – Gdybym cię nie znała, uznałabym cię za chama! Wypada mi się obrazić – fuknęła.

– Na szczęście mnie znasz – zripostował z uśmiechem. – A chodzi mi wyłącznie o to, że osoby pracujące w gastronomii często przechodzą takim charakterystycznym zapachem smażenia, gotowania. I chociaż dla innych woń ta może i nie jest jakoś szczególnie odrażająca, o tyle dla mnie od zawsze była wprost nie do zniesienia. No i właśnie za każdym razem, gdy się widzieliśmy, moja serdeczna i najdroższa koleżanko, która się nigdy nie obraża i do życia podchodzi z wielkim dystansem – starał się udobruchać przyjaciółkę – że się tak wyrażę, pachniałaś dość dosadnie swoim miejscem pracy. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ciągle zastanawiałem się, dlaczego tego zapachu za nic w świecie nie umiem powiązać z wonią czegoś więcej.

– Może i masz rację – westchnęła kelnerka. – Grzesiuk to jakoś specjalnie o higienę nie dbał. A te listy to pewnie pisał i przechowywał w Świtezi. Matko, że też ja niczego nie zauważyłam. No a te religijne symbole, którymi się posługiwał, to co? – chciała wiedzieć kelnerka. – Odwoływanie się do Boga? Policja wie, czemu ich używał?

– Niespecjalnie – do rozważań włączyła się Karolina. – Choć podczas przesłuchań cały czas do nich nawiązuje, cytuje Biblię i mówi, że to właśnie Bóg nim kierował, że tak chciał, że wybrał go na swojego sługę. Psychopata i tyle.

– Otóż to – zareagowała żywo Sasanka. – A powszechnie wiadomo, że każdy psychopata ma nierówno pod sufitem i bez fłaszki się tego nie rozkmini – zaświergotała, już bez żalu w głosie. – A tutaj to się nie ma nad czym zastanawiać. Zdrowy, normalny człowiek takich rzeczy przecież nie robi, co nie?

– Również tak uważam. – Karolina poprawiła sobie poduszkę, a potem westchnęła tak, jakby chciała skwitować dotychczasowe rozważania – Tylko tych normalnych to coraz mniej na tym świecie.

– Za chwilę się okaże, że nie macie już w czym przebierać – zadrwił Poniatowski. – Jak odrzucicie wszystkich wariatów, to kto wam zostanie, co?

– Ty, Janeczku – odpowiedziała Sasanka, jak zwykle bez zastanowienia. – Yhm, to znaczy... – zarumieniła się.

– No co ty nie powiesz? Zastanów się lepiej, ja przecież wyczerpuję większość znamion rasowego psychopaty.

– Tak? A niby jakie to znamiona? – Anka próbowała nie dać się zbić z pantyłyku.

– Ano na przykład takie, że jakieś dwadzieścia lat temu zostałem okrzyknięty mordercą i jak widać, niektórzy do dziś dnia uważają, że nie jestem bez winy.

– Daj spokój, Janek – broniła się Anka. – Nigdy ani przez chwilę w ten sposób o tobie nie pomyślałam. Bardziej to ja się zastanawiałam, jak wtedy było naprawdę, tamtej nocy, w dziewięćdziesiątym szóstym?

– Janek? – Karolina zerknęła wyczekująco na przyjaciela. – Opowiesz, jak to wtedy było?

– Jasne – Poniatowski chętnie się zgodził. Chciał jeszcze raz wrócić do przeszłości. Uporządkować fakty, a potem zamknąć na dobre pierwsze w jego życiu, prywatne śledztwo. – Otóż, pewnego dnia Kalicka zaprosiła nas na swoje osiemnaste urodziny – zaczął swoją opowieść. – I pomimo, że do tej pory nie kolegowaliśmy się jakoś specjalnie z Joanną, postanowiliśmy skorzystać z okazji do darmowej balangi. Jednak, co się okazało niebawem, była to najgorsza impreza w naszym nastoletnim życiu. Ten wieczór od początku był dziwny, a w domu Kalickich panował nietypowy klimat. Dało się go wyczuć od razu. Zahukana i wyobcowana Aśka, jej wrzeszczący ojciec i usłużna matka z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Kiedy byliśmy w pokoju na górze, ciągle dało się słyszeć hałas domowych awantur. Dlatego też coraz bardziej zależało nam na tym, aby iść poszaleć gdzieś indziej. Popić, pogadać i kompletnie się wyluzować. Ale szanowna jubilatka nawet w klubie nie miała humoru. Ciągle marudziła i chciała zakończyć zabawę, która nam zaczynała podobać się coraz bardziej. Biadoliła, że chce już wracać, że jest zmęczona i że ma złe przeczucia. Ulegliśmy jej, tym bardziej że w mojej i Sebastiana głowie pojawił się głupi pomysł. Plan...

– Jaki plan? – Sasanka nie wytrzymała. – Chcieliście zrobić coś złego? Bo przecież...

– Daj spokój, Anka – przerwał jej przyjaciel. – Nic wielkiego i straszego nie mieliśmy w planach. Nie myśl sobie, że byliśmy psychopatami – zaśmiał się w głos. – Po prostu chodziło nam o to, że... – Jan przerwał zakłopotany. – Mieliśmy po szesnaście lat, byliśmy nastolatkami pełnymi buzujących hormonów. Wtedy w klubie... – szukał najwłaściwszych słów – założyliśmy się z Sebastianem, że tego wieczoru staniemy się prawdziwymi mężczyznami, jeśli wiecie, co mam na myśli. Byliśmy młodzi i głupi. No i odczuwaliśmy straszną presję ze strony kolegów z klasy, którzy już dawno... No wiecie. – Poniatowski zarumienił się, a po chwili dodał: – Chcieliśmy to zrobić z matką Joanny. Wiem, teraz to wydaje się głupie, ale my ze Świderkiem tej nocy nie myśleliśmy realnie. Po prostu odezwały się w nas młodzieńcze, erotyczne fantazje, które i tak z pewnością nie miałyby racji bytu. O urodzie Anieli Kalickiej krążyły legendy, a my? Cóż. Młodość, krew buzująca w żyłach i morze wypitego alkoholu.

– No ładnie, ładnie, Janeczku – Anka również się zaczerwieniła i chyba sama nie była tego świadoma. – No nie poznaję kolegi, fiu, fiu – zagwizdała. – A tu taki klops na miejscu – ugryzła się w język. Znow przeholowała z nieprzemyslaną ripostą.

– Ej no, taki to klops, że policja zastała mnie z nożem w rękę w zakrwawionej sypialni – Janek odrzekł całkiem od niechcienia, jakby wracał myślami z dalekiej podróży. Pora skończyć z przeszłością. Przez chwilę znow był w domu Kalickich dnia siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Pamiętał wszystko dokładnie. Zwierzęcy wrzask Joanny. Rozpacz, z jaką tuliła się do zakrwawionych zwłok ukochanej matki. A potem każdą kolejną nieprzespaną noc, mokrą od potu i łez, pełną koszmarów.

Przez miesiąc byli zimnymi, pozbawionymi uczuć mordercami. Pierwsze dowody bezspornie obciążały ich czwórkę, a świat żądny najtańszej sensacji zamienił młodzież w rozszalałe bestie. W oczach własnych rodzin, w sercach straconych przyjaciół oraz opinii publicznej. Nikt nie dawał wiary wyjaśnieniom grupy nastolatków zepsutych do szpiku kości. Nawet sami przestali myśleć, że są niewinni. Dochodzenie trwało zbyt długo, a Jan, Joanna, Sebastian i Karolina znaleźli się w pułapce.

Na szczęście ich szanse na oczyszczenie się z czasem wzrosły. Nie znaleziono przecież Bernarda Kalickiego, który po śmierci Anieli przepadł jak kamień wrzucony do wezbranej rzeki. W mieście mówiło się tylko o jednym. O jego płomiennym romansie, a także o tym, że uciekł z kraju z kochanką. A z domu zniknęły wszystkie pieniądze. Zrozpaczona Joanna nie chciała w to wierzyć, a zniknięcie taty było dla niej kolejną mroczną niewiadomą, która jednak szybko zmieniła się w bezdyskusyjne fakty.

Był pierwszy września. Janek pamiętał ten dzień doskonale. Bardzo chciał wrócić do szkoły. Wydawało mu się, że może żyć tak, jak wcześniej, całkiem normalnie, bez izolacji, sztabu psychologów, troski zmizerniałej matki, nienawistnych spojrzeń przechodniów. Nie było to jednak możliwe.

I wtedy odnaleziono Kalickiego, a raczej to, co z niego zostało. Rozkładające się ciało mężczyzny wisiało w lesie na drzewie, z pętlą zaciśniętą na szyi. Z kieszeni spodni wystawała kartka. Kalicki przyznał się w pożegnalnym liście do zabicia żony. Błagał o przebaczenie. Przepraszał, że nie potrafił wybaczyć Anieli zdrady. Pisał, jak rośnie w nim furia, niegasnąca żądza morderstwa i chęć zemsty za tak wielkie oszustwo małżonki. Kalicki przeczytał pamiętnik, w którym Aniela wspominała swój romans z Wiktorem, a także o tym, że ciągle żywiła nadzieję na wspólną przyszłość z kochankiem. Niestety, w liście Kalicki nie wspomniał nic o Mariannie ani o tym, że Joanna nie była jego córką. Widocznie chciał chociaż w tych kwestiach pozostać nieskazitelnym i zachować honor stuprocentowego mężczyzny i prawdziwego ojca. Pamiętnika Anieli Kalickiej nigdy nie odnaleziono.

O sprawie wkrótce zapomniano. Wracano do niej sporadycznie, lecz już bez większych emocji. Bardziej snując mroczne opowieści o opuszczonym domu oraz strasząc legendą o mordercy, którego dusza nigdy nie zaznała spokoju.

– Janek? Helou – Anna potrząsnęła dłonią zamyślonego kolegi. – Jesteś?

– A, tak – Poniatowski wrócił do teraźniejszości. Miał nadzieję, że tym razem już ostatecznie.

– Dobra, kończymy – zdecydowała Janicka. – Zamykamy śledztwo i na zawsze ten rozdział w naszym życiu. Co wy na to? – zaproponowała.

– Jestem za – przytaknęła Anka. – Koniec z psycholami! – dodała. – I mam jeszcze jeden, dużo lepszy pomysł. Kara, masz jeszcze to wino po babci, własnej roboty? Jakoś tak się zimno zrobiło od tych mrocznych wspomnień. Rozgrzewka by się przydała.

– Jeszcze bardziej za – zawtórował Jan Poniatowski.

– Świetnie! – Sasanka zaklaskała w dłonie. – Janeczku, może lepiej ty przynieś dla nas jakąś dorodną flaszkę ze spiżarni babci, co? Szczerze? Jakoś się boję tam wchodzić.

– Ja jeszcze winka nie mogę – rzekła Janicka z lekkim żalem w głosie. – Ale pomysł jak najbardziej trafiony. Wasze i moje zdrowie, kochani! Janek – zwróciła się do kolegi – pierwsza półka od góry. Wszystkie butelki są podpisane, rocznik dziewięćdziesiąty... – Anka i Janek spojrzeli na Janicką z przesadnym wyczekiwaniem. – Przynieś rocznik dziewięćdziesiąty siódmy.

KONIEC

# OD AUTORA

W najśmielszych snach nie wierzyłem, że kiedyś doczekam tej chwili. Spełniło się moje marzenie, które w postaci wydanej książki można nareszcie przeczytać. No właśnie... Tu mam trochę obaw, lecz żywię nadzieję, że powieść spodobała się Państwu. Dziękuję za jej przeczytanie i pełen optymizmu ośmielałem się liczyć, że ktoś z Państwa, odkładając ją za chwilę na półkę, uśmiechnie się szczerze i szepnie: „Super... Naprawdę super”. A może nawet poleci ją swoim najbliższym? Kto wie?

Dziś oczywiście czuję, że ta książka mogłaby być lepsza i gdybym miał zacząć pisanie raz jeszcze, sformułowałbym jej treść zupełnie inaczej. Tylko czy wówczas byłaby to pierwsza, najświeższa, najprawdziwsza i wypływająca z głębi serca, czysta wersja mojego debiutu? Czy byłaby to wciąż ta „Implikacja”? Chyba nie, a raczej na pewno nie.

Miejscem akcji jest Piła i Chodzież. Dwa miasta, które kocham i z którymi jestem bardzo związany emocjonalnie. W pierwszym się urodziłem, wychowałem, wykształciłem i mieszkam. Drugie uwielbiam dzięki najcudowniejszej osobie na świecie. Jakoś nie wyobrażałem sobie, gdzie indziej umiejscowić fabułę „Implikacji”. Dom państwa Kalickich, restauracja Świtez, miejsce pracy Jana Poniatowskiego, tak samo jak większość miejsc opisanych w książce istnieje naprawdę. Pozwoliłem sobie jednak na pewną swobodę w nadawaniu im nazw oraz w topograficznym ich lokalizowaniu. Wszystkie postacie są wymyślone, a ewentualne zbieżność imion, nazwisk, przywar czy cech charakteru jest przypadkowa i niezamierzona.

Dziękuję osobom, bez których „Implikacja” nigdy by nie powstała.

Kasiu... Kocham Cię całym sercem. Dobrze wiesz, jaka jest prawda i proszę Cię, nigdy w nią nie wątp. Dziękuję za wsparcie, cierpliwość, wyrozumiałość oraz znoszenie piśmiennej huśtawki nastrojów, kąpanego w gorącej wodzie męża. Myślę, że gdyby nie Ty, nigdy nie skończyłbym swojej powieści. I gdyby nie to, że gdy przeczytałaś jej pierwsze fragmenty powiedziałaś, że nigdy nie przypuszczałaś, jak pięknie potrafię pisać, z pewnością odłożyłbym laptop na półkę, kasując pierwsze stworzone fragmenty. Nawet nie wiesz, iż od Twoich słów wtedy zależało wszystko. Ale się udało. Dziękuję, za wiarę, dobre słowo i za to, że nawet ja, moim surowym i krytycznym podejściem do własnej twórczości nie zdołałem przekonać Cię o tym, że to co robię jest złe, słabe oraz beznadziejne.

Sergiuszu... Wiem jaki byłeś dumny, gdy opowiadałeś w szkole, że Twój tato pisze książkę. I nawet nie wiesz, jak bardzo ja wówczas ucieszyłem się, że możesz pochwalić się w klasie mną oraz tym, co robię. Tak, jak i ja zawsze i wszędzie mogę się pochwalić najcudowniejszym synem na Ziemi. I przepraszam Cię za wszystkie chwile, których nie spędziliśmy razem, gdy moją twarz rozświetlał i bezlitośnie wciągał uzależniający blask monitora. Mam nadzieję, że kiedy dorośniesz, przeczytasz tę powieść, bo ma ona być nietypową pamiątką po mnie dla Ciebie. Czymś, dzięki czemu nigdy nie zapomnisz o mnie i o tym, jak bezgranicznie Cię kocham.

Mamo, tato... Daliście mi wszystko to, co mogłem dostać od najwspanialszych rodziców. I nie mówię tutaj o rzeczach materialnych, bo czasem było naprawdę ciężko. Mam na myśli rodzicielską miłość i wychowanie na wartościowego człowieka. Niczego nigdy mi nie nakazywaliście, niczego nie narzucaliście, z niczego nie rozliczaliście, lecz co najcenniejsze zawsze wspieraliście we wszystkich życiowych pomysłach. Bardzo Was kocham, dziękuję.

Monika Sławińska... Jestem Ci wdzięczny za wiarę w moje umiejętności. Czytałaś zaledwie pierwsze, krótkie fragmenty tworzonej przeze mnie historii, lecz za każdym razem powtarzałaś, że jestem świetnym pisarzem i prosisz o więcej. Dziękuję Ci z całych sił za wszystkie lata przyjaźni, wielką dawkę poczucia humoru, słowa wsparcia. No i przepraszam, że nie dotrzymałem obietnicy, dotyczącej przekazania Ci wcześniej całego tekstu do przeczytania.

Wolałem jednak, abyś miała szansę poznać już gotowy, wymuskany w wydawnictwie produkt tak, by Twoja wiara w moje umiejętności nie zmalała po przeczytaniu surowej wersji powieści. Jeszcze raz dziękuję za wszystko i wiesz co? Świetna z Ciebie „Babka”.

Odrębne podziękowania za wsparcie książki składałam też następującym osobom: Monika Malińska (Tobie również dziękuję za wiarę we mnie, uśmiech, optymizm, poczucie humoru oraz wieloletnią przyjaźń), Aleksandra Sipos, Wojciech Dudzień, Mariusz Mrozek, Arleta Sławińska, Mateusz Bonin, Maria Haupa, Katarzyna Zawadzka, Izabela Małecka, Marcin Markiewicz, Paweł Maluga, Wioletta Grabowska, Anna Kurzyńska, Karolina Rentz, Dariusz Fryga, Piotr Haupa, Magdalena Niedopytała, Barbara Soboń, Magdalena Ochędzan, Dominika Wawryn, Katarzyna Michalska-Bułaś, Agnieszka Fornalska, Tomasz Hojda, Norbert Stężycki, Sylwia Gołyńska, Danuta Trusewicz, Karolina Byczyk, Grażyna Zaworska, Renata Koniuszewska, Anna Chlebda, Agnieszka Idasiak, Anna Staszkiwicz, Małgorzata Anuszko, Roman Jagielski oraz Ernest Adach.

Pragnę też podziękować pani Jolancie Świetlikowskiej, właścicielce wydawnictwa Oficynka, która również uwierzyła we mnie, w moją wyobraźnię, literacki talent, w pisarskie umiejętności, a przede wszystkim w stworzoną przeze mnie historię. Zaufała, wsparła dobrym słowem niepewnego, początkującego autora, udzielając przy tym wielu profesjonalnych wskazówek. To dzięki nim *Implikacja* uzyskała ostateczną, najjaśniejszą formę.

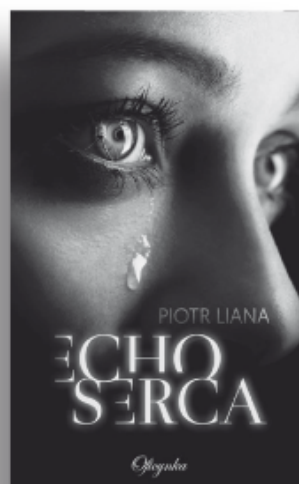
Do zobaczenia gdzieś w Polsce, gdzieś w zawiłych meandrach elektronicznej sieci i, mam nadzieję, do przeczytania w nowych, kolejnych odsłonach mojej literackiej przygody.

*Tomasz Brewczyński*

# OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

## POLECAMY



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

tel. 510 043 387



**OFICYNKA**  
WYDAWNICTWO



# SPIS TREŚCI

---

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Epilog](#)

[Od autora](#)

[Karta redakcyjna](#)



Copyright © Oficynka & Tomasz Brewczyński, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: zespół

Korekta: Anna Marzec

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Raggedstone/Shutterstock,

© Dm\_Cherry/Shutterstock

ISBN 978-83-65891-90-7



[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

tel:691962519

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek